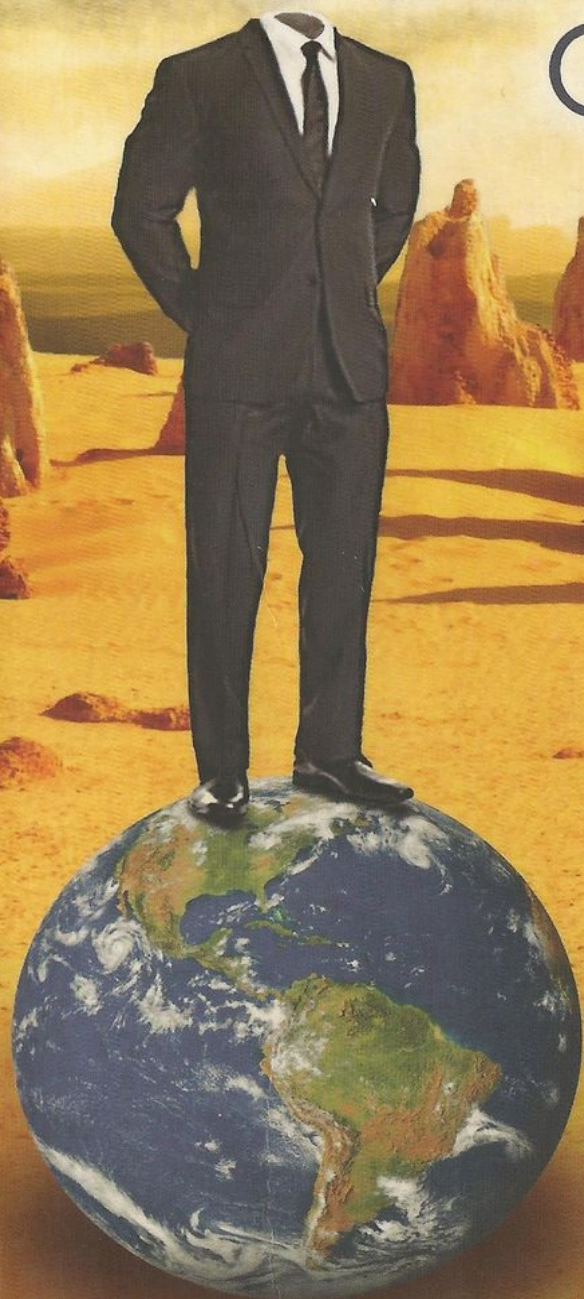


EDWARD GUZIAKIEWICZ

OB CY Z ALFY CENTAURI



SF

Edward Guziakiewicz

Obcy z Alfy
Centauri

Redakcja

Bogdan Biskup

Korekta

Grażyna Jenczelewska- Stolarczyk

Projekt okładki

Grzegorz Działo

Copyright © Edward Guziakiewicz

© Publisher Wydawnictwo Dreams

35- 310 Rzeszów

ul. Unii Lubelskiej 6A

tel. 691962519

ISBN 978-83-932877-0-3

Spis treści

Strona tytułowa
Karta redakcyjna

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

Przypisy

Nigdy dotąd w bazie księżycowej, usytuowanej w pobliżu krateru Kopernika, nie panował taki chaos i komandor Venzeno Pacelli, krewki Włoch, ochrypl od wydawania rozkazów. Rozrywał uszy sygnał alarmu. Samoczynnie zamknęły się śluzy do bocznego skrzydła, w którym doszło do dekompresji. Do ambulatorium spiesznie przeniesiono tych, którzy wcześniej zdołali się cudem wyrwać z zagrożonego sektora. Udzielono im pierwszej pomocy i opatrzono ich rany. Będący bohaterem zajścia młody rosły Irlandczyk histerycznie wykrzykiwał, że przez masywną powłokę stacji wdarli się do środka odrażający obcy. Przypominali ponoć poruszające się bez kończyn koszarne ludzkie głowy. Nikt jednak nie dawał wiary jego bredzeniu, tym bardziej że chłopak nie wyszedł dotąd z szoku. Takich dziwacznych istot nie było i musiało mu się coś przywidzieć. Okryty ciepłym pledem, siedział na dostawce, trząsł się jak osika i z przerażenia dzwonił zębami. Aż żal było na niego patrzeć. Ktoś litościwy wetknął mu w dłoń kubek gorącej kawy. Zaordynowano mu również sporą dawkę środka uspokajającego.

Przejęty do głębi Pacelli po krótkim namyśle założył, że przez ścianę przebił się – rzecz niezmiernie rzadka – niewielki meteor o piramidalnie dużej prędkości. Chodziły słuchy, że od czasu do czasu takie się pojawiały. Pędziły jak pociski wystrzelone z działa, ale nie wiadano, skąd się brały. Na pierwszy rzut oka ta hipoteza wydawała się przekonująca. Nie wyjaśniała jednak, dlaczego leżący w ambulatorium mają obrzydliwe rany brzucha, a śpiący już snem wiecznym nieodżałowany Bruno Solle, ofiara zajścia, doszczętnie poszarpane wnętrzności.

Opuścił ambulatorium. Nigdy nie lubił tam zaglądać, bo nie znosił widoku krwi. Myślami umknął na obytą błękitem planetę. Bogiem a prawdą zafrasowanego komandora aż tak bardzo nie zajmowało, co za diabeł wywołał tę fatalną w skutkach dekompresję. Bardziej niepokoił się medialnymi następstwami niemiłej awarii. Nie miał pojęcia, jak na kłopotliwe zajście zareaguje Ziemia, a nie chciał, żeby przypadła mu w udziale rola chłopca do bicia. Ostatnio wszystko, co działo się na Księżycu, wywoływało niezdrowe emocje. Dziennikarze mogli mu zdrowo przetrzepać skórę, z premedytacją obrzucić go błotem i oskarżyć o nieporządek, niestaranność i niechlujstwo. W bazach Japończyków i Rosjan takie hece się nie zdarzały. Utrzymywał się na powierzchni dzięki słabiutkim koneksjom politycznym, lękał się więc niespodziewanych zawirowań, grożących jego kruchej karierze. Wysłał już na planetę dwa obszerne zaszyfrowane radiogramy. Pierwszy zaraz z rana, a drugi w południe, licząc według czasu Greenwich. Odebrano je w centrum komputerowym w Górach Skalistych. Niecierpliwie czekał teraz na odpowiedź, denerwując się, gdyż tamci z Ziemi ostentacyjnie ignorowali ustalone terminy emisji. Cóż, byli panami sytuacji i robili, co im się żywnie podobało. Dopiero po przekazaniu mu sekretnymi kanałami szczegółowych instrukcji, mógł oficjalnie powiadomić środki masowego przekazu o wypadku i zwołać telekonferencję Ziemia - Księżyc.

Jedenastu monterów w kombinezonach próżniowych w dużym pośpiechu pracowało nad likwidacją szkód. Chłopcy dobrze sobie radzili w takich akcjach. Była więc nadzieja, że do siedemnastej zdołają usunąć źródło dekompresji. Z poważniejszych uszkodzeń na baczność uwagę zasługiwało właściwie tylko jedno - był to wyżłobiony w blisko metrowej pancernej ścianie idealnie okrągły otwór o średnicy około pięćdziesięciu centymetrów. Zimna próżnia zaglądała złym okiem przez ten nieoczekiwany wizjer do przytulnego wnętrza

stacji. Niestety, przypadkowemu odłamkowi skalnemu nie można było przypisać tak upiornego dzieła.

Oglądających zagadkową wyrwę przeszywał dojmujący chłód. Nikt nie chciał poczuć na sobie wszechpotęgi mrocznej księżycowej nocy. Z tym pokrytym skamieliną i pyłem satelitą bez atmosfery nie warto było zadzierać. Należało z rozwagą respektować jego prawa i dbać o rudymentarne środki ostrożności. Krótko mówiąc, pilnować swojego tyłka.

- Miło, że pan tu wdepnął, komandorze - rzucił niedbale jeden z dwu specjalistów od analizy gruntu, pozwalając sobie na niewybaczalną poufałość. - W pale się nie mieści, to prawdziwy majstersztyk - proszę spojrzeć. - Pacelli skierował wzrok na dosyć wyraźny obraz na ekranie monitora. Niewielka ruchoma kamera na wyginającym się na wszystkie strony cienkim przegubowym statywie krążyła wokół tajemniczego otworu jak osa, oferując im zbliżenia zadziwiającego wyłomu od najróżniejszych stron. Podobna sekundowała jej na zewnątrz bazy.

- Zabawiali się czymś potężniejszym od lasera - analityk kręcił z niedowierzaniem głową. - Za nic w świecie nie chciałbym się na nich nadziać - z wrażenia przyciszył głos. - Chyba żeby mi zależało, by ekspresem trafić do piachu. A do tego mi jeszcze niespieszno.

- Nie ma wątpliwości, tego nie zrobił nikt z Ziemi - po chwili milczenia dorzucił jego kompan, podejmując ten sam budzący lęk wątek. - Nasi nie dysponują takim arsenałem. Bez obrazu, to musieli być... - nie dokończył, kogo ma na myśli, ale jego ponury głos sugerował najgorsze.

Pacelli skrzywił się z niesmakiem. Zarzucali go kasandrycznymi domysłami, a nie lubił, gdy go straszono. Analitycy byli nielicznymi cywilami i jak wszyscy bez stopnia wojskowego w bazie ostentacyjnie lekceważyli przepisy. Nie nosili optymalizującego ciężar ciała pasa z ołowianym obciążeniem. A poza tym mieli czupumy i szorstki sposób wyrażania się, z czym

wiązał się brak szacunku dla dystynkcji oficerskich. Już otworzył usta, by zabrać głos, ale nie zdążył. Na zapiętym na nadgarstku komunikatorze zajarzyło się czerwone oczko. Wzywano go pilnie do sali łączności. Machnął więc ręką, odwrócił się bez słowa i z grobową miną opuścił słabo oświetlone pomieszczenie nadzoru.

Udał się do windy, by zjechać na jeden z najniższych poziomów stacji. Stał w cicho sunącej w dół kabinie, oglądał wypiełgnowane paznokcie i zastanawiał się nad celowością segmentowej rozbudowy bazy na powierzchni Księżyca. Intuicja podpowiadała mu – podobnie jak innym, których tu wyekspediowano z Ziemi – że dużo bezpieczniej jest w głębi. Należało wwiercać się w grunt lub przynajmniej kryć się w solidnych kamiennych masywach, których tu nie brakowało. Co było warte wojsko bez okopów? Panicznie lękano się uderzeń meteorów, choć prawdopodobieństwo, że dojdzie do prawdziwej katastrofy, bo coś naprawdę dużego trafi w stację, było – zgodnie z wyliczeniami – raczej niewielkie. Ileś tam zer po przecinku.

– Do licha, to irracjonalne – zachnął się, mrużąc pod nosem do siebie. – Nie ma co się bać na wyrost.

Rozszyfrowany tekst radiotelegramu spoczywał na płycie dyspozytora, a rozkazy były jednoznaczne i niebudzące wątpliwości. Komandor poczuł najpierw ulgę, ale potem na czole wystąpiły mu kropelki potu, a nogi się pod nim ugięły. Z instrukcji wynikało bowiem, że incydent w bazie księżycowej należy koniecznie ukryć przed opinią publiczną, a śmierć pracownika stacji przedstawić jako samobójstwo. Prychnął ze zniecierpliwieniem i zmarszczył brwi, a potem nerwowo przetarł oczy. Chciano wystrychnąć go na dudka. Działo się coś, co wymykało mu się spod kontroli. Zapewnienie Ziemi, że zajście już się nie powtórzy, a stacji nic nie grozi, gdyż sprawcy pożegnali Księżyc i odlecieli, brzmiało złowroźnie. Pacelli pomyślał, że powinien ostrożnie przepytac młodego

Irlandczyka, najlepiej w cztery oczy, by dowiedzieć się, co tamten ujrzał naprawdę. Przecież nie odwiedziły Księżycy figlarne skrzaty ani nie wybrał się tu na wypoczynek brodaty święty Mikołaj. Tekst instrukcji wbił sobie w pamięć.

– Czarno to widzę – ze ściśniętym sercem rzucił do dyspozytora, wkładając zadrukowaną kartkę papieru do niszcarki dokumentów. Z drugiej strony posypał się do pojemnika biały śnieg. Tamten wolał się nie odzywać, ale wyraz twarzy miał taki, jakby mu ktoś w nią napluł i kazał za to podziękować.

Wrócił windą na górę, po drodze smętnie medytując nad tym, co wciśnie dociekliwym dziennikarzom na Ziemi, gdy w odświeżonym mundurze zasiądzie przed kamerami w mieszczącym się obok centrum dowodzenia niewielkim studiu telewizyjnym. Nie cierpiał, gdy zmuszano go do roli krętacza i łgarza. Wiadomość o tym, że któryś z niższych rangą pracowników bazy w chwili słabości targnął się na swoje życie, nie należała do szczególnie ważnych, nie musiał się zatem specjalnie spieszyć. Czas go nie gonił. Zdecydował, że poczeka z zapowiedzią konferencji prasowej do godziny siedemnastej, gdy już zostanie ponownie otwarty sektor C, a ponure ślady po osobliwym zajściu bezpowrotnie znikną. Czuł się pewniej, gdy u siebie miał posprzątane.

Błękit ciemniał, a ptaki latały niżej, trzymając się wierzchołków drzew. Rysujące się bliżej horyzontu, strzelające w górę kominami obłoki różowiły się od zachodzącego słońca. Nadchodził cichy i ciepły wieczór, niezapowiadający żadnych niespodzianek. Lekki wiatr pieścił drobne gałązki i liście. Nie tak odległe Alpy o tej porze dnia wyglądały jak wycięte z obrazka i wprost aż się prosiły, by wyruszyć na ośnieżone zbocza lub nad kryjące się w kotlinach urokliwe jeziora. Świst był prawie niesłyszalny. Coś dziwnego wystrzeliło w górę od strony ryżowych mokradeł, poleciało po pijanym łuku i

opadając, wyrznięło z impetem o ziemię między bukami i świerkami. Trafiło na niewielką leśną polanę i tu się zatrzymało, ryjąc murawę. Nikt nie zwrócił uwagi na to zwariowane lądowanie, bo nikogo w pobliżu nie było. Jedyne buszująca między konarami osamotniona wiewiórka ostrzegawczo fuknęła, a zawtórował jej ze strachem ukryty w gęstwinie ptak.

Lekko wbity w rozdarty grunt kulisty obiekt zdawał się przypominać piłeczkę golfową, odbitą z dala przez gigantycznego gracza. Jednakże ów się po nią nie pojawił, jakby spisując ją na straty. Kiedy na niebie zabłysły pierwsze gwiazdy, niezemski twór poruszył się, dając pewne oznaki życia. Ulegając płynącym z wnętrza impulsom, zaczął się przekształcać, rosnąc i pęczniejąc jak na drożdżach, a ostatecznie przyjmując formę pryzmatu, mającego około jednego metra wysokości i dwóch długości. Jarzył się przy tym słabiutkim, bladym światłem, które wkrótce przygasło. W jakiś czas później – jak w baśni – w piorunującym tempie wyrosły wokół niego dzikie krzewy, młode świerki i paprocie. Tak otoczony, stał się niewidoczny. Maskowanie było całkiem udane, gdyż na gościa z kosmosu i nie zwróciła uwagi para zakochanych, szukająca łoża z zieleni, oświetlonego jedynie przez blady księżyc. Chłopak i dziewczyna z pobliskiej wioski, zamieszkałej przez grupę naturystów z radykalnego odłamu Fratellanza, przeszli cicho, niemal ocierając się o osłaniające obcego drzewa i krzewy. Kilka metrów dalej znaleźli miękką gęstą trawę i tam się zatrzymali. Nieświadomi tego, co im grozi, zapomnieli się w gorących pieścizotach i uściskach. Później w milczeniu odeszli, w upojeniu trzymając się za ręce i rozkoszując się własnym szczęściem.

Około północy twór ożył, a wraz z nim poruszyły się krzewy i paprocie. Niczym nocny drapieżnik ruszył w pierwszą ziemską podróż. Śladem pary zakochanych powolutku przemieszczał się w stronę wioski, płynnie dostosowując maskowanie do zmienia-

jącego się otoczenia. Potem jednak zniemacka zmienił kurs i przyspieszył. Bez trudności pokonał kanał wodny i ciągnące się za nim podmokłe grunty z uprawami ryżu, by wyrwać się wreszcie na suchszy i wyższy teren. Świtało, gdy znalazł się daleko od miejsca upadku, na szosie, na którą przypadkiem natrafił. Tu przycupnął i zmarł w bezruchu, dokładnie na środku jezdni, jakby dotarł do mety. Wydawało się, że się zdrzemnął, zmęczony nocną marszrutą, nie zareagował bowiem na nagły dźwięk klaksonu. A może nie miał pojęcia, co on znaczy.

Rozłożysty mustang sunął z dużą prędkością, a zaspany weterynarz za kierownicą intuicyjnie zasygnalizował swą obecność, nie wiedząc nawet, po co to czyni. Gdyby miał sprawny autokomputer, zapewne by się uratował – szosa była bowiem wyposażona w równomiernie rozstawione po obu jej stronach elektroniczne pacholki, a radar wykrywał takie przeszkody. Wóz z nagłą wyrznął w coś twardego, niczym w mur z cegły, odbił się i zgrzytając, znieruchomiał, strasząc zmiażdżoną karoserią. Potem przez chwilę nic się nie działo.

Kosmiczny włóczykij tchórzliwie rozpląszczył się na szosie, tracąc barwy ochronne. Na kilka sekund stał się prawie przezroczysty, a wynurzające się właśnie zza horyzontu słońce prześwietliło jego zagadkowe wnętrze. Z głębi wyzierały dwie odpychające obce twarze o dziwacznej, niepodobnej do ludzkiej fizjonomii. Twór jednak zaraz zmatowiał, uniósł się i usiłował sprostać rzuconemu mu niespodziewanemu wyzwaniu. Zmierzył się z przeszkodą i zaczął cierpliwie pochłaniać wrak. Połykał go jak wygłodniały wąż boa upolowanego kozła. Przepuszczał go przez siebie, z niezwykłą precyzją odtwarzając jego pierwotne kształty. Dość szybko się z tym uporał. Po krótkotrwałej, niespiesznej kosmetyce na szosie stał sprawny, gotowy do jazdy wóz, a niezwykły wagabunda rozmył się i znikł, całkowicie wtapiając się w jego opalizującą karoserię.

Cichy terkot zakłócał ranną ciszę. Powietrze nie zdążyło się jeszcze nagrzać, ale zapowiadał się upalny dzień. Trzy masywne śmigłowce bez znaków rozpoznawczych od jakiegoś czasu unosiły się nad szosą. Czwarty, największy, stał na murawie z szeroko otwartą ładownią. Obok czekała wydobyta z niej ciężarówka z doczepionym białym kontenerem. Na asfalcie pozostały kawałki czerwonego szkła z rozbitych reflektorów, fragmenty wycieraczki, pogięta pokrywa koła i trochę „szklanego śniegu” po stłuczonych szybach. Kamery i czujniki o dziwnych kształtach miały włączone zasilanie, laserowy szperacz przeczesywał centymetr po centymetrze każdy skrawek szosy, a na monitorach, które ustawiono na przenośnych statywach, rysowały się mgliście kształty obu wehikułów – samochodu osobowego i garbatego niby- pojazdu pozaziemskiego pochodzenia.

Pochylony nad pulpitem mężczyzna zdjął z głowy niewygodny kask, wyposażony w nasuwaną na oczy przesłonę ze specjalnymi filtrami. Czoło pokrywały mu kropelki potu. Tu znalazła go młodziutka kobieta, która wysiadła z czerwonego sportowego wozu, zupełnie niepasującego do zarzuconego kosmicznym sprzętem otoczenia. Postronny obserwator zapytany, do czego może służyć zgromadzona tu aparatura, miałby kłopoty z odpowiedzią. Nie znalazłby jej w żadnym folderze, reklamującym najnowsze cuda techniki, gdyż była to produkcja unikatowa i zastrzeżona. Sama Alice również nie pasowała do tego miejsca. Bez kombinezonu i kasku, w eleganckich getrach i obcisłej, podkreślającej jej kształtne piersi bluzce przypominała znudzoną modelkę, która ma zamiar wybrać się na imprezę i rozgląda się właśnie za odpowiednim chłopakiem do towarzystwa. Zachowywała się pewnie i swobodnie. Odpowiadała z lekkim uśmiechem na życzliwe gesty, którymi ją pozdrawiano.

– John? – zwróciła się do mężczyzny przy pulpicie. – Jak widzisz, udało mi się tu dotrzeć, chociaż nie bez pewnych trud-

ności. To jednak kawałek drogi, ponad sześć tysięcy kilometrów, a mówili mi, że mam się spieszyć – trzepała językiem, tłumacząc się. – Dali czadu! Przerzucili mnie przez Atlantyk w czymś, co wyglądało bardziej na myśliwiec bojowy niż na samolot pasażerski. A w Mediolanie załapałam się na ten wóz, podobno szefa tutejszych służb, na szczęście z autokierowcą – perorowała z zapalem. – Chyba mnie docenili, bo to nowiutka i bardzo zgrabna maszyna, udany model. Widocznie mieli taką dyrektywę z Waszyngtonu. Utrzymywali, że kobietom niczego innego nie dają, żadnych wojskowych dżipów, i że w środku nocy nie będą budzić pilotów. Ci byli podobno po forsownej akcji w okolicach Korsyki i Sardynii na Morzu Śródziemnym. Coś tam im nie wyszło i odsypiali biedacy cztery doby... – urwała wreszcie, nie widząc i nie słysząc żadnej reakcji.

John niemrawo mruknął coś pod nosem, co miało być powitaniem i przytaknął, nie odrywając oczu od ekranu. Jej bliskość paraliżowała go jak młokosa – stawał się przy niej sztywny i oschły, niezdolny do spontanicznych odruchów. Gdy ktoś głośniejszy zakrzyknął przy kontenerze i odwróciła się na moment – wtedy ukradkiem zlustrował ją wzrokiem. Musiała stanąć na głowie, by po podróży z drugiej półkuli wyglądać tak ponętnie i świeżo, niemniej jednak wcale go to nie uradowało. Przysunęła się z powrotem do niego, niemal dotykając go ramieniem i wbiła wzrok w monitory. Poczul upajający zapach perfum i pomyślał sobie, że taki strój powinien być w ich służbach zabroniony. Obcisłe ubrania z modnego ostatnio i ponoć stymulującego aktywność niektórych enzymów, elastycznego materiału działały na męską wyobraźnię, pobudzając i drażniąc zmysły.

– Co to takiego? – zapytała z zaciekawieniem, pokazując palcem dwie ledwo znaczące się kule, wykonujące na ekranie powolne, symulowane ruchy. Umiała przy nim zachowywać się dziecinnie, jeśli nie głupiutko, jednak technik dobrze wiedział,

że tylko ktoś nieorientowany mógłby posądzić ją o infantylizm. Alice świetnie radziła sobie tam, gdzie inni się poddawali, wątpiąc w swoje siły. Wszyscy w sekcji o tym pamiętali. Młodziutka agentka miała za sobą kilka fakultetów i podobno kochała się w Johnie.

Zignorował to niewinne pytanie i odepchnął pragnienie, by przygarnąć ją do siebie i obrzucić jej słodką twarz gorącymi pocałunkami.

- Bawią się materia jak malcy plasteliną w przedszkolu - chłodno skonstatował. - W ogóle nie stawia im oporu, jakby nie obowiązywały jej prawa fizyki. Skurczybyki, w lot kreują, co tylko zechcą. Kurza twarz, my tak nie potrafimy. - A czując, że się dziwi, szybko dorzucił: - Mają w jednym paluszku wszelkie możliwe teorie wiązań. Są pod tym względem niesamowici i mogliby właściwie jak Bóg stworzyć świat z niczego...

Wzmógł się warkot w powietrzu. Piąty śmigłowiec, który od kwadransa penetrował okolicę, latał bez dysz tłumiących. Wracał od strony Vercelli, unosząc się nad obsianymi pszenicą i kukurydzą bezkresnymi połaciami gruntu.

- Hej, krasnalu! - rozległo się wołanie przez radio, wzmocnione i słyszane przez głośniki w promieniu blisko trzystu metrów. - Mamy to, czego chcesz, na sto dwa...

Stojący obok wstydliwie zachichotali, a Smith jeszcze bardziej zeszywniał. Przyjazd ślicznej dziewczyny wywołał zrozumiałą przerwę w pracy. Wszyscy wiedzieli, że nie cierpiał, gdy ktoś żartował sobie z niego przy Alice, a tym bardziej gdy nazywał go w ten sposób.

Technik nerwowo odkaszlnął. Szykowała się awantura.

- Odbiło ci, czy co? - warknął do mikrofonu. - Nie musisz drzeć mordy, palancie! Słoń ci nadepnął na ucho?

Ktoś szybko wyłączył nagłośnienie.

- Podaję parametry... - tamten krzyczał nadal, nie przejmując się niczym. - Sześćdziesiąt cztery, czternaście, dwadzieścia pięć... Tyle... Ślad urywa się w pobliżu niewielkiej wioski, a

raczej skansenu. Aha, to ci z Fratellanza. Dalej niczego nie ma, tylko zarośla i las. – Przestał krzyżeć, widocznie ktoś go ostrzegł na innym kanale. – Ależ są zabezpieczeni... – komentował o wiele ciszej. – Omal nie oberwałem laserem po ogonie. Ktoś tam z góry powinien się zająć tymi łebkami i zrobić z nimi porządek...

Smith błędził chwilę palcami po klawiaturze, korygując dane, którymi wcześniej dysponował. Na ekranie wyświetliła się trasa przelotu obcego bolidu, który poprzedniego wieczoru niespodziewanie spłynął z orbity, ładując się z hukiem w rozległą kotlinę rzeki Pad. Obok sunęły w dół zielone kolumny cyfr.

– Przyjąłem – powiedział do mikrofonu. A potem spojrzał na asystującą mu dziewczynę. Poczł się odrobinę swobodniej. Wpadł mu w oczy jej delikatny makijaż. Pogładził swoje króciutko przycięte włosy. – Wpadli! Mamy ich jak w złotej klatce, nie ma co...

Niczym studentka podczas egzaminu ulegle przytaknęła i prawie szeptem powtórzyła:

– Nie ma co...

Nie była jedynym gościem na szosie, który przybył tu cywilnym samochodem. Właśnie nadjeżdżał inny wóz, który zatrzymał się również na poboczu. Można było odnieść wrażenie, że tego dnia ów niewielki zakątek Niziny Padańskiej znalazł się w centrum uwagi niemal całej waszyngtońskiej śmietanki wywiadowczej.

– Chryste Panie, to przecież zastępca Greimasa! – z osłupieniem zauważył jeden z młodzików w kombinezonie, stojący tuż przy Alice. Wszyscy gapili się teraz w tamtą stronę.

Przyjezdny przeholował w kreowaniu się na cywila. To, co miał na sobie, było skrzyżowaniem stroju markiza z osiemnastego wieku i mistrza karate Bruce'a Lee z dwudziestego. Powinien był zmienić sobie kreatora wizerunku lub zaufać ekspedientom w salonach sprzedaży. Tak

nonsensownie odziany przypominał sutenera, mającego na swych usługach uliczne prostytutki.

– Dobra robota, panowie! – powiedział, podchodząc do nich i zacierając dłonie. – Perfekcyjna. I udana. O to nam chodziło.

– Był niskawy i z lekka posapywał. Należał do tych, którzy nie bali się nadwagi.

Przywitał się ze Smithem, okazując mu niezwykle szacunek, co tamtego wprowadziło w chwilowe osłupienie. Rzadko kiedy ci z zarządu podawali rękę zwykłemu technikowi. Obejrzał uściśniętą przez szefa dłoń z takim wyrazem twarzy, jakby się zastanawiał, czy nie powinien jej jakiś czas nie myć.

– Faktycznie, robota skończona – przytaknął ulegle. – I możemy się zwijać, zanim nakryją nas wścibscy reporterzy. Nic tu po nas...

– A pani?! – zastępca Greimasa nie mógł sobie przypomnieć, czy zna Alice. Wyszykowana laseczka zrobiła na nim wrażenie.

– Jest analitykiem z trzyletnim stażem w naszej firmie – skromnie podpowiedział Smith. – Podobno najlepsza – dorzucił ze skrytą dumą, jakby była jego żoną lub córką.

– Ach, tak – tamten nieuważnie kiwnął głową, usiłując zebrać w myślach strzępy informacji. – Miło mi panią poznać – mruknął, pochylając się i z kurtuazją całując ją w rękę. Dopiero teraz John zauważył, że Alice ma zrobione wystrzałowe manicure. Paznokcie miała pociągnięte lakierem perłowym, a jej palce zdobiły pierścionki.

Przyjezdny był wylewny i kordialny, co technika zaniepokoiło. Szykowała się nowa, nie mniej ważna robota albo osiągnął sukces znacznie większy niż przypuszczał. Musiał się upewnić, bo przecież na pewno niczego nie spartaczył. Kierując się nagłym impulsem, wyjął z kieszeni kombinezonu trefne papierosy, nafaszerowane jakimś pobudzającym świństwem. Gniótł je tam z pół roku, zupełnie nie pamiętając, gdzie je zdobył. Zapalił jednego, odważnie zaciągając się mdławo-słodkawym dymem. A potem zaczął kaszleć, czym zaniepokoił

Alice. Zastępca dyrektora nie dał po sobie poznać, że poczuł specyficzny zapach papierosów. Poszedł dalej, chcąc zamienić kilka słów również z innymi specjalistami, sprowadzonymi z Atlantyku do pracy na szosie.

Wóz ruszył z miejsca, zręcznie windując się na jezdnię. Alice podała autokierowcy prędkość i zerknęła za siebie na ciężarówkę z białym kontenerem. Ta posłusznie ciągnęła za nimi. Smith nie pojmował, jak to się stało, że wylądował w jej gablocie. Po tym idiotycznym numerze z nafaszerowanym marihuaną papierosem czuł się nieco oszołomiony. Pomyśl należał do wyjątkowo kretyńskich i wreszcie dotarło do niego, że zrobił z siebie półgłówka. Otumaniony wydał ostatnie polecenia, a nim się spostrzegł, umiejętnie podprowadzony pojazd o opływowej sylwetce już stał tuż przy nim z podniesionymi drzwiczkami, gościnnie zapraszając do wnętrza. Machinalnie wsiadł i z ulgą przylepił się do miękkiego siedzenia. Zapiął pas i uprzytomnił sobie, że przecież zamierzał zabrać się z Williamem.

Lekko pociągnął nosem. Alice nadal rozsiewała wokół siebie zapach drogich perfum. Chwilę trwało kłopotliwe milczenie, ale nie przerywał go. Dotąd nigdy nie byli ze sobą sam na sam, a przy tym tak blisko siebie, a to sprawiło, że laska poczuła się wytrącona z równowagi.

– Wiedzieliście, że lecą na Ziemię? – rzuciła zaczepnie, przerywając niepokojącą ciszę. – Odgadliście, że będą tu lądować, nie powiesz mi, że nie?! – natarła na niego z impetem i złością.

Odetchnął głęboko i postanowił, że wtajemniczy ją w szczegóły tej afery.

– Spokojnie, mała, wrzuc na luz. Mieliśmy ich cały czas na oku, nie byli igłą w stogu siana. Dopiero gdy wchodzili w atmosferę, zastosowali coś w rodzaju osłony antyradarowej, jednak mało udanej. I nie zmienili trajektorii... – powoli

klarował.

- Jak to? I nie zrobiliście nic, ty i twoi wstrętnei szefowie, żeby ich powstrzymać?! - parsknęła z niesmakiem. - Zwłaszcza po tym, co wyczyniali na Księżycu?

Wstrzymał oddech. Przeszyła go raptem bolesna myśl, że nie ma u niej żadnych szans, gdyż dziewczyna sypia z kimś wpływowym, kto dzieli się z nią ściśle tajnymi informacjami. Tylko z kim? Nie miał zielonego pojęcia, przecież jej nie śledził.

- A więc i o tym wiesz? - zdumiał się i poczuł ściskanie w żołądku. - Szybka jesteś, nie da się ukryć.

Gdyby wyłączyła komputer i sama poprowadziła wóz, nie popisywałyby się teraz jak ostatnia idiotka i nie rzucałyby nierozważnych oskarżeń.

- Proszę, droga wolna, nie krępujcie się - nadawała jak najęta, ironizując i kpiąc. - Witamy na planecie, pardon, co mówię, na naszym poletku eksperymentalnym. Czujcie się jak u siebie, rozgoście się, kłaniamy się wam w pas - kipiała. - Tu wszystko wolno. Może chcecie zabawić się w pirotechników? Jeśli tak, to nic nie stoi na przeszkodzie. Poszalejcie, pozbytkujcie, to wam dobrze zrobi. Im więcej nabroicie, tym lepiej. Co? To za mało? Śmiało, nie wstydzcie się! - plotła z wypiekami na twarzy. - Zburzcie jakieś miasto. Będzie trochę zgliszczy i dymu. I postrzelajcie sobie do tych dwunożnych istot jak do kaczek. Z przyjemnością się przyjrzymy, lubimy takie numery. Może przy okazji coś nowego nam pokażecie, czego dotąd nie wymyślili nasi do cna rozkojarzeni naukowcy... - zachłysnęła się wreszcie i zamilkła. Zapatrzyła się w dal.

Nie próbował jej przerywać. Uzmysłowił sobie, że wykończyła ją ta forsowna podróż. Jej niekontrolowany wybuch skojarzył mu się z żywiołowymi tańcami południowoamerykańskimi i pewnie dlatego poczuł ulgę. Nie wkurzały go takie zwariowane teksty. Myślami umknął na południową półkulę. Kilka lat temu wybrał się na urlop do Brazylii. Trwał karnawał w Rio i omal nie wciągnęła go w wir

tańca posuwająca się w rytmie samby pełna temperamentu skąpo odziana Mulatka o odkrytych, kusząco kołyszących się piersiach. Jej wiele obiecujące czarne jak węgiel oczy przeszyły go na wylot. Prowokująco otarła się o niego i odpłynęła, powiewając piórami i pokazując mu zgrabny tyłeczek. Faceci w jego wieku nie zapominali takich przypadkowych spotkań. Odwrócił wzrok od szosy. Mijali porośnięte winnicami uroczne wzgórze z niewielkim, sypiącym się już średniowiecznym zameczkiem, znaczącym się na jednym ze zboczy. Strzelała w niebo baszta obronna.

- Widzisz, mała, jest niezupełnie tak, jak to sugerujesz. Nie zabawiamy się kosztem Ziemi - zaczął spokojnie, pragnąc, by Alice wróciła do równowagi. - Trafili na nasz warsztat i wzięliśmy się do galopu. Cóż innego mogliśmy zrobić? Satelity okołomarsjańskie, a następnie okołoksiężycowe dostarczyły nam danych, z których wynikało, że te istoty nie są zbyt rozgarnięte - ciągnął. - Co tu dużo mówić: to nie byli światli kosmici, jakich sobie często wyobrażamy. Żadne tam górujące nad nami istoty rozumne. Jeżeli już coś przypominali, to raczej nasze ssaki. Takie... skrzyżowanie bardzo bystrej małpy z utyłaną świnią - podsumował. - A to sprawiło, że przestaliśmy się ich bać. Nie było wiadomo, czego te niby- zwierzaki właściwie szukają. Zresztą, chyba one same tego nie wiedziały. Co rusz zmieniały tor lotu, urządzały pikniki, a wszędzie zostawiały za sobą kupy śmieci. Zwyciężyło przekonanie, że dysponują technologią, której na pewno same nie stworzyły. No i w tym właśnie był pies pogrzebany. Zależało nam na tym, żeby odebrać im zabawki. Gra była warta świeczki, nie ma co...

Uspokoila się i zerknęła na niego z zaciekawieniem.

- Tak? - zapytała z niedowierzaniem. - To coś nowego...

- Na tym, trochę spieprzonym retrozatorze dano nam niezbyt udaną wersję beta. Jednak udało mi się wyizolować to i owo. Te potwory siedzą na bardzo ciekawym wynalazku. Chodzi o cacka wielkości tradycyjnego pilota tv lub telefonu

komórkowego – pokazał jej palcami – naładowane niezwykle energią. Na tym nam zależy – tłumaczył, szukając w kieszeniach czegoś słodkiego. Czuł w ustach niesmak po wypalonym papierosie. Zorientowała się, o co mu chodzi i podała napoczętą paczkę miętusów.

Włożył jednego do ust. Cmoknął i skrzywił się.

– Dlaczego nie są słodkie?

Zachichotała, widząc jego minę. Humor jej się powoli poprawiał. Siedzący obok niej technik przypominał łagodnego i na wpół oswojonego misia.

– W takich czasach żyjemy – zażartowała. – Cóż my teraz mamy? Cukierki bez cukru, kawę bez kofeiny i wodę sodową bez bąbelków.

– No i nadmiar łysych – pieszczotliwie pogładził się po czole, które sięgało cokolwiek za wysoko. – Ale, ale... – przypomniał sobie.

– Przecież przyleciałaś tu ze Stanów w związku z tym cackiem. Ze swoim zespołem będziesz się musiała nim zająć, kiedy tylko wpadnie nam w ręce. Jest to niezwykle sprawny transformator materii, o ile hipoteza, którą stworzyła ekipa Altizera, jest trafna...

Zaświeciły się jej oczy. Już nie zwracała uwagi na ciągnące się po obu stronach plantacje drzew owocowych.

– Naturalnie, jeżeli potrafię – potwierdziła, ujmując kierownicę. Znowu była układną i cichą anielicą, gotową adorować i podziwiać mężczyzn. Mignął obok nich młodzian na rozpędzonym czarnym motocyklu. Wyłączyła autokierowcę, zbliżali się bowiem do miasteczka. Przed nimi pojawiały się zabudowania. – Jesteś pewny, że oni tu jeszcze są? – zapytała z błyskiem w oku.

Z przekonaniem kiwnął głową. Dogadali się. Miał na przegubie dłoni mikrotel, więc połączył się z Williamem, który jechał z tyłu ciężarówką.

– Dojeżdżamy! – poinformował kompana.

Ulokowany przy wjeździe do miasteczka średniej wielkości supermarket był otoczony przez podekscytowanych karabinierów. Ściągnięto ich tu kilkudziesięciu. Królowały kaski, tarcze, kuloodporne kamizelki i podobne ochraniacze na nogi. Ustawione bez ładu i składu wozy policyjne z migającymi światłami tworzyły istną barykadę, utrudniającą dotarcie do celu. Trochę dalej przycupnęły dwa furgony z nieobcym Johnowi oznakowaniem.

- Co, kręcą tu film?! - zażartował, gdy kierujący ruchem młody policjant usłużnie pochylił się nad ich wozem. Oznaczenia na kombinezonie Smitha mówiły same za siebie, więc funkcjonariusz nie pytał, kim jest dwójka tajemniczych przyjezdnych.

Włoch odruchowo zasalutował. Znał dobrze angielski.

- O ile to wy jesteście producentami... - zręcznie odbił piłeczkę, z niekłamanym zaciekawieniem zezując na młodą damę za kierownicą. Ta właśnie zakładała okulary przeciwsłoneczne.

- To pewnie ta hollywoodzka gwiazda, która ma się pojawić na planie? - pozwolił sobie na dowcipny rewanż.

Alice parsknęła śmiechem, zasłaniając sobie usta, a Smith przecząco pokręcił głową i natychmiast wyprowadził żartownisia z błędu.

- Niestety, będzie tylko widzem. Chociaż, kto wie? - zamyślił się na moment. - Ale do rzeczy - ocknął się. - Musimy się dostać trochę bliżej. My, no i ta pokaźna maszyna za nami... - odruchowo wskazał za siebie.

Młody policjant jeszcze raz zasalutował.

- Zrobi się - rzekł z ikrą. Włożył do ust gwizdek i zabrał się żwawo do dzieła. - *Vietato! Pręgo!*¹ - energicznie pokrzykiwał,

zamaszyście wymachując rękami. Chwacko zagonił kilku karabinierów za kierownice, każąc im czym prędzej przestawić wozy.

Alice ostrożnie lawirowała między pojazdami, co rusz kładąc nogę na pedale hamulca, aż wreszcie wyłączyła silnik przy grupie cywilów. Słońce dźwignęło się już wysoko i ci przezornie schronili się w cieniu rosnących tu pinii i cyprysów, chociaż do sjesty było jeszcze daleko. Ciężarówka również przystanęła, blokując ostatecznie wyjazd z parkingu.

—*Buon giorno!*². Co się dzieje?! – Smith wyjrzał z wozu, udając niezdrowe zaniepokojenie.

Podnieceni Włosi aż palili się do rozmowy.

– Proszę, niech pan rzuci na to okiem – starszawy facet z przejęciem ściągnął basco z głowy. Miał na sobie przepocone zielone polo, z trudem opinające wydatny brzuch. – Bezczelnie wdarli się tam mustangiem, z nikim i z niczym się nie licząc, jak najgorsi bandyci! Któż to widział?! – rozwodził się, wymownie gestykułując. – Takich zbirów powinno się ładować do obozów pracy. Byłby wreszcie porządek jak się patrzy.

Smith rozumiał piąte przez dziesiąte z tego, co słyszał. Za dobrze nie znał włoskiego. W Chicago miał wprawdzie kilku kolegów makaroniarzy, ale oni wtrącali do rozmowy tylko pojedyncze słowa w ojczystym języku. Spoglądał ze zdumieniem na wyrwę, przez którą zbierający przekleństwa krewkich Włochów niepoprawni przybysze z kosmosu dostali się do wnętrza. Neon z nazwą supermarketu wisiał przechylony i wydawało się, że za chwilę spadnie i rozprysnie się o ziemię.

– Ilu ich jest? – rzucił kolejne pytanie.

Jego rozmówca jednak nie odpowiedział. Przywołał natomiast kilku dużo młodszych od siebie, ubranych w służbowe marynarki i koszule oraz krawaty z raczej lichego jedwabiu. Tacy nie ubierali się u Armaniego. Pewnie pracowali w merostwie lub w innym tutejszym urzędzie.

Jeden z nich znał dobrze język angielski, więc zabrał się za

tłumaczenie.

- Dwóch, a właściwie trzech, lecz ten za kierownicą wyglądał na śpiącego lub martwego. Kto wie, a może był nieprzytomny? Wskoczyli z tego wehikułu, a ściśle biorąc wypełzli. Co za łajdaki, nieźle mieli w czubie. Jacyś nacpani, czy co? Sam tego nie widziałem, na szczęście. Kierownik z supermarketu twierdził, że dranie się czołgali. Wyczuł, co się święci i natychmiast wyprowadził kupujących przez zaplecze. Klientów nie było wielu, gdyż ci nikczemnicy zawitali tu z samego rana - objaśniał.

- Są jacyś poszkodowani?

- Nie. Nikomu nie zrobili krzywdy.

- A co teraz robią?!

Niepewnie spojrzeli po sobie. Rozmawiali szybko po włosku, uzgadniając odpowiedź. Młody z wydatnym orlim nosem powiedział w końcu coś, co wydawało się kompletną bzdurą:

- Chłepczą oliwę.

Alice zachichotała, gdy to usłyszała. Podniosły się drzwiczki i z wdziękiem wysiadła z wozu. Skupiła natychmiast na sobie całą uwagę południowców. Fascynowała swą urodą. Przypięli się do niej i zaczęli strzepić języki.

- „*Grazie, grozie tante!*”³ - wyszeptał Smith do swoich rozbieganych myśli. Uzmysłowił sobie, że tutejszym nie przyszło do głowy, iż mogą gościć kogoś z kosmosu. Brano przybyszy za rozwydrzonych młodzików, którym nieźle odbiło, i to już w porze śniadania.

Nie poszedł w ślady swojej towarzyszki i pozostał w samochodzie. Czuł rosnące podniecenie i przyklejony do siedzenia przez dobrą minutę główkował nad tym, na co może się porwać. Skoczyła mu adrenalina. Póki co, nikt z firmy nie próbował tu interweniować i wydawać poleceń. Miał więc wolną rękę, a poza tym był jedynym wtajemniczonym w tym gronie. Szczerze mówiąc, poza nim nikt tu się nie orientował, co się naprawdę dzieje. Zamarzyła mu się błyskawiczna i sprawna

akcja, uwieńczona powodzeniem. Wreszcie podjął męską decyzję. Połączył się z trochę gapowatym Williamem i wydał mu półgłosem polecenie.

Plastikowe pojemniki z oliwą zdawały się mieć nieomal magiczną moc i działały jak magnes na niby- zwierzaki z kosmosu. Kulisty stwór mamrotał, mlaskał, chłeptał olej, prawie wniebowzięty sunął od butli do butli i kapał się w kałuży złocistego płynu.

- Mbrrrr. Muuu. Macyć, macyć! - rozchodziły się bełkotliwe odgłosy, przechodzące momentami w ostre, agresywne piski.

Drugiego przez chwilę nie było widać. Zajęty sobą marudził gdzieś w ukryciu, potem jednak się pojawił i z energią poszedł w ślady pierwszego. Toczył się, prawie tańczył i ślizgał, wykonując koła i ósemki jak łyżwiarz na lodowisku. Rąbał z siłą w opakowania, rozbijając je i zgniatając. Łapał ostrymi kłami białe zatyczki i z werwą je wyrywał, powiększając śliskie bajoro.

Mustang, którym tu dotarli, wyrznął w ścianę. Prawie się w nią wrył, ale odrażający przybysze chyba nie zamierzali go drugi raz naprawiać. Wyrzucony przy zderzeniu martwy kierowca zawisł na przewróconych półkach z mąką. Oblepiony nią i zakrwawiony wyglądał jak koszmarne manekin, żywcem ściągnięty z planu jakiegoś horroru.

- Mbrrrr! Muuu, muuu, macyć, macyć!...

Pierwszy, lśniący od tłustego potu, przetoczył się w kierunku wraku. Przyssał się wypustką do podłużnego przedmiotu, wyglądającego jak pilot tv lub tradycyjny telefon komórkowy. Mlasnął, pokazując wstrętne ciemnoczerwony ozór i... raptem zaczął rosnąć. Przekształcił się w jakąś dziwnie pokrzywioną niby- ludzką istotę, zajmując miejsce jej głowy.

Drugi zarechotał. Oliwa wylewała mu się z otworu gębowego. Można było odnieść wrażenie, iż śmieszy go to, że jego

kosmiczny towarzysz rezygnuje z przyrodzonej postaci, a tym samym z rozkoszy uczyty i kąpieli.

- Ci, ci, pi, ti, ti, ti! - posypały się ostre i szybkie dźwięki. Wyrażnie strofował kompana.

Tamten odpowiedział. Kiwał się, chwiejnie osadzony na szyi niby to żywej kukły. Dźwięki były jeszcze ostrzejsze i szybsze.

Potyczka trwałaby pewnie dłużej, gdyby nie to, że pierwotny instynkt zwyciężył. Pragnący udawać przedstawiciela gatunku *Homo sapiens* porzucił prostokątną płytkę, staczając się w dół i wracając do poprzedniej idiotycznej zabawy. Ciało humanoida rozpłynęło się jak nagle podgrzana stearyna, zamieniając się w szeroką kałużę i znikając bez śladu.

Pochylony, krył się za półkami, starając się przypadkiem niczego nie kopnąć i nie narobić hałasu. Utknął między rozrzuconymi puszkami z piwem, klnąc w duchu i żałując, że wybrał właśnie to przejście. Wreszcie przysiadł na piętach, podniósł puszkę, po cichu ją otworzył i z rozkoszą wlał jej zawartość do gardła. Nic nie pił od rana, więc męczyło go pragnienie. Trochę mu ulżyło. William warował za nim kilka metrów dalej. W kombinezonie i odlotowym kosmicznym kasku, z udarowym laserem w ręku wyglądał tak, jakby go żywcem ściągnięto z dużej stacji na orbicie. Od frontowej ściany supermarketu ostrożnie posuwali się asekurowający dwóch śmiałków chłopcy z oddziału interwencyjnego. John wyciągnął ich z furgonów i zagonił do roboty.

Ruszył dalej. Ostatnią leżącą na uboczu puszkę piwa niechcący kopnął i z niepokojem zamarł, śledząc jej ruch. Potoczyła się jak piłeczka po stole bilardowym i zatrzymała na leżącej butelce. Wyczuł, że nie został zdekonspirowany. Dobiegały go z głębi jakieś odgłosy, ale niekojarzące mu się z niczym znanym. Coś bulgotało.

Tamci byli groźni. Wiedział, jak się popisywali na Księżycu, a

wcześniej na Marsie, gdzie zniszczyli automatyczną, bezzałogową stację, usytuowaną w pobliżu bieguna północnego. Nawet jeżeli byli nierozgamięci, jak wynikało z ich prowizorycznych portretów psychologicznych, to jednakże dysponowali sporą siłą rażenia. Smith mógł więc z nimi wygrać tylko przez zaskoczenie.

Medytował nad tym, czy przeskoczyć słodką barykadę, powstałą ze zwalonych tabliczek czekolady, czy cofnąć się i wybrać inne przejście. Wybrał drugi wariant – jak się okazało, dość szczęśliwie – i mógł nadrobić straty. Zdecydowanie postąpił naprzód. Niemalże otarł się o Williama Cone'a, ruchem ręki każąc mu pozostać z tyłu. Minął cicho regały z winem. Przeszyła go myśl, że powinien wziąć ze sobą jedną lub dwie butelki, wynieść się z supermarketu i zabrać Alice na piknik nad piękne alpejskie jeziora. Cieszyły go miękkie buty, stanowiące element ekwipunku. Miały przyczepne spody i nie było w nich słychać idącego. Zatrzymał się na chwilę przy serach, sprawdzając raketnicę i broń krótką, zatknietą za pasem pod bluzą. Przy ostatnich półkach, na których królowały krewetki, kraby i ślimaki, przezornie położył się na posadzce i dopiero wtedy ostrożnie wychylił się w stronę rozbitego samochodu.

Serce załomotało mu z wrażenia. Tamci byli rażąco zieloni i szczerze mówiąc, wcale nie mieli ciał. Pocętkowane ze wszystkich stron żółtymi przyssawkami twory, do złudzenia przypominające ścięte na gilotynie ludzkie głowy, z szerokimi otworami gębowymi i szparami, w których błyskały czarne ślepia, pławiły się, mrużąc z rozkoszy, w rozlanej oliwie. Mlaskały ozorami.

Żałował, że nie ma ze sobą kamery. William zauważył, że John znieruchomiał, zaintrygowany podpełzł do niego. Uniósł przysłonę przy kasku i Smith ujrzał jego przerażone oczy. Chłopak odruchowo przysunął do siebie broń. Maszkary, które właśnie oglądali, nie figurowały w żadnym, nawet największym

atlasie zwierząt. Na pewno nie pochodziły z tej planety.

– Warto by je sfilmować... – wyszeptał John.

Cone zrozumiał. Spuścił przesłonę i uruchomił jakiś mechanizm. Przez kilka sekund kręcił w milczeniu niecodzienny film. Smith pomyślał, że za nagraną tu kamerą wideo scenę stacje telewizyjne zapłaciłyby im krocie. Westchnął z żalem. Niestety, to nie wchodziło w rachubę. Byli działającymi skrycie agentami, a nie goniącymi za sensacją reporterami.

Należało podjąć jakieś kroki. John ruchem głowy odwołał Williama i ten przestał filmować. Potem technik podniósł się i wyszedł zza półki z krewetkami, pojawiając się w polu widzenia obcych. Krzyknął i nieznacznie cofnął się.

Stwory zamarły. Nie były jednak wystraszone i nie gotowały się do ucieczki. Zaczęły popiskiwać, instynktownie oceniając sytuację.

– Coś ty narobił! – William nie wytrzymał nerwowo. Wycełował broń w stronę maszkar.

Jedna z nich zniknęła we wraku mustanga. Wyniosła stamtąd mały przedmiot, przypominający pilota tv. Wnet okryła się czarną, lśniąca substancją, niby kombinezonem kosmicznym i znieruchomiła. Druga się wahała. Zaraz jednak ruszyła do ataku. Skok był niespodziewany i tak szybki, że żaden z agentów nie zdążył zareagować. Zielone monstrum dopadło z chrapliwym krakaniem głowy leżącego Williama i odskoczyło. Kask uratował mu życie.

– Strzelaj ! – wrzasnął Smith. Darł się jak opętany. – Wal w niego, wal!

Sam nie zdążył wypalić z broni. Cone bowiem zerwał się i rzucił do tyłu, zwalając go z nóg. Obaj znaleźli się na przewracających się z hukiem półkach z owocami morza.

Stwór powtórzył atak, tym razem skuteczniejszy. Kask Williama potoczył się po posadzce, a jego twarz zalała się krwią. Odskoczył znowu z chrapliwym krakaniem i w tym właśnie momencie John oddał pierwszy strzał. Kula przeszła po

chropowatej skórze potwora, pozostawiając wyraźny znak. Draśnięty, zachwiał się, jakby tracił kontakt z podłożem, a potem z przeraźliwym piskiem umknął między półki. Drugi pełnił tylko rolę obserwatora. A gdy Smith na niego spojrział, składając się do następnego strzału, z majestatycznym spokojem potoczył się w stronę ściany nośnej i wtopił się w mur, nie zostawiając po sobie śladu. Pocisk trafił w to miejsce, odłupując jedynie tynk.

William żył, ale twarz miał pokiereszowaną. Zęby kosmicznego głąba zostawiły na niej ślady. Krew polała się z brwi, rozciętego ucha i rany ciągnącej się od czoła aż do szyi. Oko się chyba uratowało. Był blady i dygotał z przerażenia.

– Wyjdiesz z tego, stary – szepnął technik ze współczuciem.

– Nie martw się. To nic groźnego.

Na krótką chwilę umysł dociekliwego naukowca zwyciężył w nim nad instynktem wojownika. Z biciem serca zbliżył się do wraku mustanga, rozglądając się po zalanej oliwą posadzce, a potem zaglądając do zdemolowanego wnętrza wozu. Starał się niczego nie dotknąć. Niewinna płytką o zaokrąglonych krawędziach leżała porzucona na tym, co pozostało z poszarpanych foteli.

– Mam cię – szepnął do swoich myśli. – Mam. Nareszcie!

Złapał ją dwoma palcami i unióśł ostrożnie do góry, wsuwając do foliowej torebki, którą wydobył z przepastnej kieszeni.

Krzyki i strzały, które usłyszał, dowodziły, że obcy wpadł na komandosów. Pomógł wstać Williamowi, z niepokojem zerkając na ścianę, w której skrył się drugi z przybyszy, nieco inteligentniejszy od pierwszego.

– Idiota, zniknął razem z alfą – wycedził z gniewem. – Ale go wykurzymy.

Ujął rannego pod pachę i krok po kroku poprowadził ku wyjściu. Widok, który ich tam czekał, mocno ich zaskoczył. Jeden z komandosów, dość dobrze zbudowany Murzyn, trzymał obcego w dłoniach potężnych jak łopaty. To było niewiarygodne.

Pozostali otoczyli go z uniesioną do góry bronią, z nieskrywanym zdumieniem i oszołomieniem przyglądając się zwierzakowi, przypominającemu pocętkowaną jak salamandra główkę kapusty. Ten wściekle się szamotał i zajadle warczał, daremnie próbując złapać chłopaka zębami. Nie miał szans. Chyba to pojął, bo wreszcie uległ, żałośnie kracząc i coraz ciszej popiskując. Opadał z sił.

– Niczego sobie bydlę. Skąd to się wzięło?!

Murzyn się uśmiechnął. Pakował obcego do potężnego szklanego słoja po kolorowych cukierkach. Ruchy miał powolne, ale pewne.

– Jak to zrobiłeś? Przecież to coś ma cholerny refleks! – Smith był poruszony do żywego.

– To kwestia doświadczenia – rzekł komandos pyszałkowato.

– Nad Ontario łapię ryby gołymi rękami.

Smith żałował, że William nie nadaje się do pomocy. Marzył o uwiecznieniu tej sceny dla potomnych.

W supermarkecie krył się drugi obcy, więc działać trzeba było szybko.

– Jak masz na imię? – zapytał osiłka.

– Maks.

– Słuchaj, Maks. Musimy się dostać do tamtego skurwysyna!

– rzucił z determinacją. – Teraz albo nigdy.

Ostrożnie zbliżyli się do ściany, w którą wrył się mustang. Za nimi pociągnęło kilku innych chłopców. Czujnik przy laserze udarowym jarzył się rubinowo. Smith zatrzymał się, omiatając lufą przestrzeń.

– Kawał drania, siedzi w murze i ani drgnie – wyjaśnił półgłosem, jakby się obawiając, że obcy może go usłyszeć i zrozumieć.

– Gdyby udało się go stamtąd wywabić...

– Mamy zabawki, które tu się przydadzą – rzucił Maks. – Trzeba ten fragment ostrzelać od dołu i od góry. Może wtedy wyskoczy?

Johnowi spodobał się ten pomysł. Skinął głową i wydał kilka

komend. Chłopcy w zielonych mundurach sprawnie ustawili się do ostrzału.

Atak był gwałtowny i ściana ustąpiła. Smith nie przewidział jednak tego, że buchnie ogniem rozlana oliwa. Czerwone, liżące wszystko języki zaczęły pełzać po posadzce.

– Cholera! Wycofujemy się! – krzyknął. Omal nie zajął mu się kombinezon. Mimochodem wyobraził sobie, że rannego i poparzonego wyprowadzają go kompani i że w takim stanie wpada w ramiona przerażonej Alice. Nie, do takiej kompromitacji nie mógł dopuścić.

W kłębach gryzącego dymu z trudem mógł ustalić pozycję obcego. Czujnik wskazywał, że nie ma go w murze, staranowanym przez młodych wojaków. Kapuściany łeb krył się gdzieś pod posadzką. Wyraźnie przesuwiał się pod spodem, zbliżając się do technika. Nagle rubinowe oczko zamigotało i zgasło. W tej samej chwili pękło podłoże tuż przed Johnem jak w czasie trzęsienia ziemi i czarny stwór wyrwał się do góry z głośnym, koszmarnym krakaniem, zdolnym przerazić nawet umarłego. Smith wypalił, ale nie trafił. Bydlę opadło i wryło się znowu jak kret, pozostawiając za sobą małe rumowisko. Wnet się ono powiększyło, bowiem chłopcy w zielonych mundurach bez pardonu ostrzelali to miejsce. Kanonadzie ognia towarzyszył trzask rozpryskującej się glazury.

– Stop, stop! – krzyknął John, powstrzymując atak. Dalsze działania nie miały sensu. Rubinowe oczko skrzyło się coraz słabiej, dowodząc, że maskara się oddala. Jak ekspresową windą spływała w głąb ziemi. – Mamy pecha. Dał dyla. Wycofujemy się! – zdecydował z żalem.

Włączył się system przeciwpożarowy. Mokra, gęsta mgła wypełniła powietrze, zamieniając się w obfitą pianę na wszystkim, z czym się zetknęła.

Do wieczora ekipy remontowe uporały się ze zniszczeniami,

przynajmniej tymi widocznymi z zewnątrz. Neon z napisem „Stan- da” wisiał prosto i świecił, a tworzące frontową ścianę supermarketu stłuczone wysokie szyby zastąpiono nowymi. Odjechały w dal furgony i ciężarówki. Panującej po zmroku ciszy nie zakłócały już żadne obce dźwięki, więc stary łachmaniarz Lukas, który zwykle kręcił się późną porą w pobliżu magazynu handlowego, odważnie wynurzył się z mroku, by pomyszkować w śmieciach. Ze smakołykami, które udało mu się wygrzebać, wracał na złomowisko samochodów. Tego wieczoru jednak nie miał farty i nie znalazł niczego, czym mógłby napełnić pusty żołądek. Sklął więc w duchu winnych takiego stanu rzeczy, a później z ponurą miną zawrócił. Ogrodzony teren nabrał cmentarnego wyrazu po tym, jak zepsuła się potężna prasa do brykietowania wraków. Zamienił się w trudny do pokonania labirynt. Clochard nawet po ciemku czuł się tam jak u siebie. W jednym z niedostępnych zakamarków urządził sobie mieszkanie. Z kilku pojazdów wymontował fotele i zrobił sobie wygodne leże. Przykrywał się starymi derkami, obiciami tapicerskimi i kartonami. Jeśli padało, wycofywał się pod dach. W schowku, który mieścił się tuż przy jego królewskim łożu, przechowywał zdobyte frykasy. Wryta w ziemię zepsuta lodówka otwierała się drzwiczkami do góry. Ponieważ tego dnia nie udało mu się znaleźć niczego, co nadawałoby się do spożycia, musiał opróżnić ją z zapasów. Miał tam butelkę wina, spory kawał pieczonego kurczaka, nadgryzioną pizzę, ostatki różnych gatunków sera, mandarynki i nadgnite banany. Rzadko kiedy się kąpał i traktował wodę jak zło konieczne. Natomiast nie unikał mocnych trunków, gustując w whisky. Na złomowisku rezydowało jeszcze dwóch innych żebraków. Nie wchodzili sobie jednak nawzajem w drogę. Łączyło ich zamiłowanie do włóczęgostwa, ale dzielił wybujały indywidualizm. Zimę spędzali w przytułku.

Kolacja była całkiem udana i wcale nie taka skromna, a po opróżnieniu flachy Lukasowi zakręciło się w głowie. Miał

ochotę zaśpiewać jedną z ulubionych piosenek *Un Italiano vero*, ale nim się na to zdobył, ogarnęła go błoga senność. Nie zdążył się przenieść na łożo z baldachimem z gwiazd lśniących jak diamenty. Głowa mu opadła i zasnął tam, gdzie był, pólżąc przy rozłożonej folii z resztkami kurczaka. Z przewróconej butelki wyciekły resztki czerwonego wina. Wkrótce też zaczął donośnie chrapać.

Mimo pozornego spokoju w składnicy złomu panował cichy ruch. Noc była czasem wędrówek szczurów, które wychylały się z nor w poszukiwaniu żeru. Jeden z nich, kręcący się w pobliżu legowiska Lukasa, natrafił na zapadlinę pod wrakiem mercedesa. Jama okazała się zamieszkała. Kierując się powonieniem, nieostrożnie się do niej zbliżył, zaś jej lokator gwałtownie ożył. Rozległ się chrapliwy, nienawistny charkot, a potem ostry pisk. Krzyk zranionego szczura trwał krótko. Jego pogromca wy dostał się na powierzchnię, odsłaniając swe obce, kuliste kształty. Stary Lukas tego nie słyszał ani nie widział. Gdyby zdał sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa, niechybnie czmychnąłby z tego paskudnego miejsca. Kulisty stwór przesuwiał się małymi skokami ku źródłu obcych dźwięków i zapachów. Żebrak sapał jak miech kowalski, a brudna koszula rozpięła się, zachęcająco odsłaniając owłosiony brzuch. Chcąc nie chcąc, stanowił dla zwycięskiej maskary kolejne wyzwanie. Egzotyczny agresor zatrzymał się metr przed śpiącym, dygocąc z emocji i w niemym grymasie ukazując złowrogo ostre kły. Wreszcie sprężyste skoczył, celując w okolice pępka.

– Łaps!

Wrzask był przeraźliwy, mrozący krew w żyłach i zwiastujący agonię. Żebrak obudził się pod wpływem potwornego, paraliżującego bólu, ale w panicznym lęku nie umiał się bronić. Zwierz przyssał się do nagiego ciała, pokonując opór skóry i miękkich tkanek i wdzierając się z warkotem do jamy brzusznej. Łachmaniarz chwilę się szarpał,

a potem jego głowa bezsilnie opadła na splamione winem kartony.

Zapadła cisza. Szczury tchórzliwie gdzieś poznikały. Błady księżyc wyłonił się zza chmur, oświetlając rumowisko. Ulicą przed składnicą złomu cicho przejechał patrolujący okolicę, błyskający światłami wóz policyjny. Brama była zamknięta na solidną kłódkę i nic nie wskazywało, że w głębi może się dziać coś niepokojącego. Lukas nie zdradzał objawów życia, pomimo to rana na brzuchu stopniowo się zasklepiała – jakby pod wpływem cudownego eliksiru. To były jakieś czary. Czarny kocur, który miękko zeskoczył z wraku Citroena, miauknął, a potem obwąchał dłoń żebraka. Clochard niczym nowy Frankenstein otworzył martwe oczy. Jego ręka raptem drgnęła i kot znalazł się w śmiertelnym uścisku. Nie zdążył drugi raz miauknąć. Poleciał, odrzucony z rozmachem, i łupnął o ziemię z przetrąconym karkiem.

Niby- żywego Lukasa to nie zajmowało, zamknął niewidzące oczy w poczuciu osobliwego spełnienia, a na jego zniekształconą wysiłkiem trupioblada twarz wypełził uśmiech, jednak mało naturalny, a przy tym zdradzający coś wstrętne niezemskiego. Niczym pod wpływem magii zniknął zarost, wygładzały się zmarszczki, a cała postać się odmładzała. Mimo to trudno było uznać, iż pozbawiony duszy Clochard faktycznie staje się młodszy. Było w tym bowiem coś groteskowego, jeśli nie wręcz karykaturalnego.

Na stolikach figlarnie migotały świece, a w głębi urządzonej ze smakiem sali dyskretny kwartet smyczkowy popisывał się nastrojowymi melodiami rodem znad modrego Dunaju. Przez króciutką chwilę przyciągała jego uwagę czarna jak węgiel skrzypaczka. Byli na niezwykle popularnych Polach Elizejskich – w ekskluzywnym lokalu, osobiście wybranym przez Alice, lepiej zorientowaną w takich sprawach niż jej zamyślony i nieco gburowaty partner. W długiej wydekoltowanej sukni z gracją zasiadła naprzeciw niego i mógł z tłumionym zachwytem wpatrywać się w jej piękne oczy. Odniósł wrażenie, że psotny czas płata mu figle. Powinien był zaglądać do takich paryskich zakątków, kiedy miał na karku trzydziestkę, ale w tamtym okresie życia nie wabił go i nie pociągał stary kontynent z barwną mozaiką regionów geograficznych i licznymi śladami historycznej przeszłości. Brakowało mu wówczas stylu. Żałował teraz, że po akcji nie udali się do Wenecji, a tam nie wynajęli gondoli, by przy świetle księżycy błądzić w labiryncie wąskich kanałów i tulić się do siebie jak dwa gołąbki. Nad Sekwanę przybyli z północnych Włoch bardzo szybkim składem TGV, więc podróż nie była długa i męcząca.

– Naprawdę wytwornie – wybąkał, obracając palcami kieliszek. Milutka agentka obdarzyła go zachęcającym uśmiechem, usiłując rozruszać nieruchawego niedźwiadka. Z takim wdziękiem wyszykowana nie kojarzyła się mu ze służbami specjalnymi i przyszło mu do głowy, że swymi powłóczytymi spojrzeniami skruszyłaby faceta znacznie twardszego niż on.

Kiedy znalazł się w tym lokalu, poczuł się zakłopotany i speszony. Poruszał się jak sztywniak, bo w Nowym Jorku i w

Chicago najczęściej obijał się o bary szybkiej obsługi i nawykł do wymęczonych kelnerek, które nie cackały się z klientami. W lot jednak to przykre wrażenie minęło. Przy sposobności próbował sobie uzmysłwić, w co i za ile dał się wrobić. Z miną parweniusza zamówił pasztet z selera, smardzów i trufli, jagnię po pirenejsku z kapustą i mus z homara z papryką, czyli to, co szef kuchni najbardziej polecał. Tu umiano z portfeli wyciągać forszę. Nie pojmował, jak ślicznej agentce udało się zdobyć miejsca w zachwalanej w przewodnikach trzy gwiazdkowej restauracji, bo jak gdzieś słyszał, stoliki rezerwowało się tu z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem.

Jej błyszcząca kreacja z lejącego się materiału z pewnością nie pochodziła z byle jakiego sklepu. Nie potrafił się oprzeć niepokojącemu domysłowi, że jego partnerka przewidziała, iż znajdą się razem w Paryżu. Jak to zrobiła?

Dystyngowani kelnerzy dzielili się z klientami pozytywnymi wibracjami, więc po pasztecie dał sobie spokój z nurtującymi go wątpliwościami. Apoza tym dobre francuskie wino robiło swoje. Dziwiło go wyraziste brzmienie instrumentów. Żał mu było Williama, który utknął w mediolańskiej klinice. Ale nie było innego wyjścia, przecież wszedł w kontakt z ostrymi kłami obcego, nawet gdyby więc nie wiadomo jak się starał, nie ominąłby wiszącej nad nim kwarantanny.

Melodyjny sygnał wytrącił go na chwilę ze stanu błogiego spokoju. Nie odebrał przy stoliku, gdyż połączenie było kodowane. Kluczył w kierunku kontuaru w poszukiwaniu ściennego wideofonu, myśląc po drodze o tym, że zamiast angażować się w rozliczne zadania służbowe, powinien paść przed Alice na kolana i poprosić ją o rękę. A po ślubie zaszyć się z nią gdzieś na Karaibach. Agentka nabrała śmiałości. Zadbala o to, by pojechali razem do metropolii nad Sekwaną, a potem postawiła go sprytnie w takiej sytuacji, że nie mógł nie zaprosić jej na kolację. Zaczynała wodzić go za nos, co takie ślicznotki jak ona miały od dziecka we krwi.

Uzyskał połączenie po wyjęciu z kieszeni interfonu i wciśnięciu go w prostokąt gniazdka. Jak wszyscy agenci, miał w komórkę wmontowany specjalny dekodery. Nie musiał czekać. Na ekranie ujrzał funkcjonariusza, którego przelotnie poznał przy supermarkecie. Przyplątał się dopiero po akcji, ale ponoć był wyposażony w szerokie uprawnienia.

- Miałeś rację, John - rzucił tamten, widząc go na wyświetlaczu telefonu. Nie bawił się w żadne wstępny. - Jeden z czujników zaczął pikać. Odezwał się na dwie, trzy sekundy - wyjaśniał. - Kamery powoli obróciły się w tamtą stronę, ale nie udało nam się niczego dostrzec. Nic się nie ruszało.

Smith zastanowił się. Wydawało mu się, że wie, co w trawie piszczy, i że coraz lepiej wczuwa się w psychikę obcych. Szło mu jak po maśle. Już po pierwszych niepokojących sygnałach z Czerwonej Planety, na której maskary dobrały się do bazy, zaczął pośpiesznie gromadzić materiały o psychozjawiskach alternatywnych. Dzięki programom komputerowym udawało się tworzyć skomplikowane modele osobowości innych możliwych wyższych form życia w kosmosie. Teraz w jakiejś mierze zajmowały się tym nawet dzieci w szkole.

Wstydliwie odkaslnął.

- Tak trzymać, nie ma co - powiedział, ociupinę rozkojarzony.

- W którą stronę... się potoczył?

Jego rozmówca ironicznie się uśmiechnął. Był całkiem łysy, a jego gładka czaszka lśniła.

- W którą stronę?! - zapytał z drwiną. Chyba nie zdawał sobie jeszcze sprawy z niebezpieczeństwa, jakie wiązało się z obecnością obcego. Podrzucili mu granat bez zawlecarki. - Ten krótki sygnał pochodził ze skraju złomowiska. Składują tam wraki samochodów.

Smith też przywołał na twarz blady uśmiech. Usiłował sobie przypomnieć, jak włoski agent ma na imię, ale bezskutecznie.

- Widocznie lubią nasze auta - rzekł niefrasobliwie, przypo-

minając sobie o tragedii z mustangiem. – Trzeba by im sprawić jakiś model, stylizowany – na przykład – na pierwszą połowę dwudziestego wieku.

Tamten szpetnie zaklął po włosku. Pojął, że Amerykanin sobie z niego kpi.

– A może to tylko błąd aparatury? – ostrożnie wyraził wątpliwość.

Technik skrzywił się z niesmakiem i nerwowo złapał się za ucho.

– Wykluczone! – parsknął. – To, czym dysponujemy w firmie, jest bezkonkurencyjne – rzucił, pewny siebie. – I zostało przetestowane w kosmosie.

Nieco przesadził z tym kosmosem, ale nie to akurat było ważne. Szczerze mówiąc, bardziej liczył na dane z satelity niż na prowizoryczny i ułomny system, który stworzył wokół supermarketu. Chłopcy szybko się uwinęli pod jego okiem i trochę zminiaturyzowanego sprzętu elektronicznego znalazło się na drzewach, słupkach i okolicznych budynkach.

Tamten stulił uszy.

– W porządku – powiedział. – Jeśli znowu będzie coś się działo, dam ci znać.

Już po przerwaniu połączenia technik uświadomił sobie, że jego rozmówca nie telefonował z biura, ale z jakiegoś przyzwoitego lokalu. Chodziła mu po głowie nazwa „Tavola Calda”.

– Ależ się łajdaki urządzają – mruknął do siebie zawistnie, wracając do stolika.

Zaraz jednak uprzytomnił sobie, że sam znajduje się w bardziej wyszukanim miejscu i szybko tamtego rozgrzeszył. Każdy ułatwiał sobie życie jak mógł, o ile nie kłóciło się to z obowiązkami zawodowymi.

Alice taktownie nie zapytała o rozmowę. Sączyła wino, tęsknym wzrokiem obrzucając meksykańską kapekę, która w tymczasem zastąpiła kwartet smyczkowy. Smith chwileczkę się

wahał. Nie popisywał się na parkiecie od lat, ściśle biorąc, odkąd zmarła jego żona. Ileż to już minęło? Usiłował sobie przypomnieć, zezując na dużo młodszą od siebie partnerkę. Chyba całe wieki. Czas biegł nieubłaganie, nie dodając mu urody, co unaoczniały mu coraz liczniejsze bruzdy i zmarszczki na twarzy.

– Chcesz zatańczyć? – zapytał i zaraz się przestraszył. Nie pojmował, jak ta śmiała propozycja przeszła mu przez gardło. Nie nadawał się na jej chłopaka, nie miał cudownie umięśnionego ciała i muskularnego brzucha.

Alice spokojnie odstawiała kieliszek. Lekko się podniosła i zjrzała mu prosto w oczy.

– Czemu nie... – zgodziła się bez wahania. – Wyobraź sobie, że dawno się nie kręciłam – rzekła szczerze. – Chyba od balu na uniwersytecie – dorzuciła. – Prawdę mówiąc, nie miałam z kim.

W to ostatnie zapewnienie nie chciało mu się wierzyć, ale nie zamierzał tego okazywać. Poczul bliskość jej szczupłego ciała i lekko zawróciło mu się w głowie. Nigdy dotąd nie trzymał jej w objęciach. Ogarnęło go jakieś nieziemskie zauroczenie. Meksykanie się ożywili, jakby od samego początku czekali na tę czarowną chwilę. Dźwięki się wzmogły i John pojął, że dziewczyna w jakiś tajemniczy sposób jest w stanie wykrzesać z niego – chłodnego i opanowanego półkrwi Irlandczyka – uśpioną od lat energię. Przywracała mu młodość.

– Kocham cię, Alice! – z ust wyrwało mu się raptem to, do czego nawet przed sobą samym się nie przyznawał. Jakąś tama w nim pękła i naraz przestał się kontrolować. Może dlatego, że poczul na sobie jej krągłe piersi. Zaraz jednak wpadł w panikę. Nie powinien był tak daleko się posuwać. Dziewczyna była bardzo ładna i mogła z powodzeniem zrobić karierę jako modelka. Dotąd dzieliły ich – niby wał – stosunki zawodowe. W „Taillevent” traciły one na znaczeniu.

Przytuliła się do niego, składając mu głowę na ramieniu. Poczul zapach jej włosów. Potem odsunęła się nieco i szepnęła:

– Ty niczego nie rozumiesz, jak wszyscy faceci...

Nagle zaschło mu w gardle. Pojął, że się ośmieszył, lecz było już za późno, by mógł się z honorem wycofać. Okazał się większym idiotą niż przypuszczał. Jej podniecające kształty sprawiły, że stracił głowę – co było tym groźniejsze, że dobiegał pięćdziesiątki. Zachciewa się staremu.

– Nie rozumiem? – usiłował zyskać na czasie, by znaleźć jakiś sposób na godne wycofanie się z deklaracji. Miał jeszcze dodać, że nigdy nie rozwiązywał testów z miłości, ale się nie odważył.

Roześmiała się serdecznie. Pocałowała go delikatnie w usta, zarzucając mu ręce na szyję.

– Niczego nie pojmujesz – powtórzyła, zachęcona jego wyznaniem. – Kocham cię, miśku! Zawsze cię kochałam, już wtedy, kiedy byłam na studiach – wyznała z rozbijającą szczerością. – Szalałam za tobą. Dlatego trafiłam do twojej firmy. Tylko ty się liczysz w moim życiu, nikt inny. Wierz mi. Wcześniej czy później musiałam ci to powiedzieć.

Melodia ucichła, lecz meksykańscy grajkowie jakby świadomi tego, co dzieje się z tą parą, rozpoczęli natychmiast następny utwór.

– Nie wiedziałem – wybąkał ze skrucą i przytulił ją mocniej do siebie. – Sądziłem, że wyślesz mnie w cholerę. Może do domu starców. – Z czułością pochylił się nad jej dłonią, ale trafił na długą, koronkową rękawiczkę.

– Pamiętasz ten okazały biurowiec obok parku? W każdy poniedziałek wychodziłeś głównym wyjściem około siedemnastej i odjeżdżałeś swoim wozem. We wtorki i środy – o szesnastej. Ja z bijącym sercem sterczałam zawsze po drugiej stronie ulicy.

Jej oczy zdradzały oddanie. Wyczytał z nich, że przeznaczenia nie można zmienić. Jeżeli czyniła takie próby i usiłowała walczyć z gorącą miłością, to te gniewne bunty i zrywy należały do przeszłości. Odsłoniła przed nim do końca swoją duszę. Nie był jednak pewny tego, czy potrafi odwzajemnić tak głębokie uczucie.

- Wracajmy - szepnął i obudził się w nim nagle silny instynkt opiekuńczy. - Uciekną nam bąbelki z szampana.

Podstarzały kelner wykorzystał ten moment, bezszelestnie podchodząc do stolika z ukrytą w serwecie kształną butelką.

- Burgund, rocznik dwa tysiące osiemnasty - z niezwykle szacunkiem podpowiedział dwójce Amerykanów. - To był bardzo dobry sezon w Europie. Przewidują, że obecny będzie jeszcze lepszy! - Taktownie nie dodał, że za skromnie wyglądającą butelkę trzeba będzie sporo zapłacić. Czy jednak w tak podniosłej chwili to mogło się liczyć?

Szef sekcji prawie leżał w przepastnym fotelu. Wygodnie wyciągnął nogi, kręcił palcami młynka i cierpliwie czekał. Emanował majestatycznym spokojem i wręcz arystokratyczną pewnością siebie. Sala była ciekawie urządzona i wyposażona. Przez olbrzymie okna zdawała się zaglądać do wnętrza oświetlona nocą wieża Eiffla. John nie czuł się pewnie, ulokował się trochę z boku i rzucał na starszego, posiwiąłego mężczyznę spojrzenia pełne szacunku. Żywił do niego odrobinę żalu. Z powodu Hilla musiał przerwać nastrojową kolację przy świecach i natychmiast odwieźć Alice do hotelu. Czar prysł, a tak dobrze mu szło. Przy burgundzie otrzymał niespodziewany telefon z poleceniem, aby czym prędzej stawiał się w paryskiej centrali. Zwołano naradę, która pewnie miała się skończyć po północy.

Główna ściana pełniła rolę biblioteki i była założona oprawionymi w brązową skórę woluminami z wytłoczonymi złotymi literami tytułami. Hill brał zwykle jedną z tych książek do ręki i kartkował ją, kiedy rozmawiał z mniej ważnymi interesantami. Oficjalnie gmach mieścił w sobie Instytut Historyczny, specjalizujący się w konfliktach zbrojnych XX wieku i biblioteka w wywołującej wrażenie sali przyjęć na piątym piętrze stanowiła część zaplanowanego kamuflażu. W

rzeczywistości naszpikowany elektroniką budynek służył całkiem innym celom, a gdyby któregoś z zatrudnionych tu pracowników zapytać o jakieś szczegóły, związane z pierwszą lub drugą wojną światową, wybałuszyłby oczy i miałby oczywiste trudności z udzieleniem poprawnej odpowiedzi.

Jednak tego wieczoru nie Humberto Hill ściągał na siebie spojrzenia oczekujących w sali agentów. Gdy się zebrali, niespiesznie rozsunała się jedna ze ścian ogromnego gabinetu, odsłaniając zaplecze ze sporej wielkości terrarium z grubego pancerzego szkła. Terrarium otaczały czujniki, kamery wideo i aparatura medyczna, ściągnięta z oddziału intensywnej terapii. W środku był zamknięty niecodzienny gość – złowiony przez agentów w dolinie Padu kapuściany przybysz z kosmosu.

Hill przepadał za sztucznymi teatralnymi gestami, z którymi uwielbiał łączyć ironiczne komentarze. Podniósł się więc z powagą z fotela i zaklaskał w dłonie, szykując się do występu. Przywołał obecnych do porządku.

– Miło mi powiadomić zebrane tu zacne grono, że na tym kontynencie, w słonecznej Italii, niespodziewanie zetknęliśmy się z przedstawicielami obcej cywilizacji – perorował. – To wydarzenie bez precedensu, coś wyjątkowego i niebywałego, na co wpatrzeni w czerń nieba Ziemianie z utęsknieniem oczekiwali od stuleci. Rendez- vous z kosmitami – uderzył w wysokie tony. – A oto jak wygląda jeden z nich! – z dumą wyciągnął wypielęgowaną dłoń w stronę uwięzionego zwierzaka. Zaraz jednak popadł w pozorowany smutek. – Niestety, i to wielka szkoda, nieprzezwyciężalne bariery językowe nie pozwalają temu śmiałkowi osobiście się nam przedstawić. A to byłby gest! Cóż, względy techniczne, a może zmęczenie długą podróżą – ironizował. – Pozostaje mi zatem zastąpić go w prezentacji – z zadowoleniem zatarł ręce. – To nie *homo aquarius*, moi panowie. Nie, nie! – zakrzyknął. – To *homo viator*. Przybysz, znający na wylot cały Układ Słoneczny...

Gad był osowiały po narkozie i nie zajmowała go ta pompa.

Na ranę postrzałową nałożono mu szwy w klinice w Mediolanie, jednak nic nie wskazywało na to, by wróciła mu chęć do życia. Przycupnął w rogu, osowiały i potulny, a ślepia miał półprzy- mknięte. Co rusz przeszywały go dreszcze.

- Chyba wyczuł, że o nim mowa, bo znieruchomiał - zauważył któryś z obecnych. Chwilę trwało pełne napięcia milczenie.

Po tym paradnym i całkowicie zbędnym wstępie narada gładko się potoczyła. Najwięcej do powiedzenia na temat obcego miał Hugo Boros, specjalista z zakresu inżynierii genetycznej, który przyleciał z Waszyngtonu i siedział teraz tuż obok Johna. Jego też poprosił Hill o pierwsze fachowe komentarze. Smitha nie zajmowały jednak przekazywane dyszkantem szczegóły dotyczące DNA stwora. Myślni był przy dziewczynie, która niby powiew gwałtownego wichru wdarła się w jego życie, wywołując wstrząs nie mniejszy niż starcie z drapieżnymi gadami z kosmosu. To było nieomal trzęsienie ziemi.

Hill wyrwał go jednak z zadumy. Gdy skończył swój zwięzły wywód brodaty profesor Boros, lansujący tezę, iż schwytyany potwór może mieć wiele wspólnego z dinozaurami, szef sekcji niczym doświadczony belfer wywołał technika do odpowiedzi. Ten z wrażenia omal się nie zakrztusił, ale wstał. Humberto zmusił go do relacji z niecodziennego polowania, prosząc go przede wszystkim o barwne szczegóły historii - co najmniej tak, jakby chodziło nie o elektryzujący kontakt z obcymi z kosmosu, ale o zapierające dech safari na rozległych sawannach Kenii lub Tanzanii.

- Tak więc, ślaniając się od dymu niczym kowboje, wypadliśmy z obleżonego przez policję i gapiów supermarketu z dużym słojem po kolorowych cukierkach, z którego wyzierało coś na kształt pocętkowanej na żółto kapusty - kończył swój wywód Smith. - Nie był to efektowny finał. Mimo to tamci przyjęli nas z aplauzem, wariowali jak podczas meczu rugby, wiwatowali i

klaskali. Ci, którzy oglądali to widowisko, liczyli pewnie na to, że wyprowadzimy skutych kajdankami młodych bandziorów. Nie tak sobie wyobrażali koniec zajścia. No, ale nie nudzili się. Słyszeli wystrzały. Widzieli pożar i dym. Było po co przyjść.

- O nic się nie obawiajcie - przerwał mu władczo szef, uznając, że technik powiedział tyle, ile powinien był powiedzieć. - Środki przekazu odpowiednio skomentują ten wypadek. Póki co, trafił on tylko do serwisów lokalnych, a wielkie stacje pominęły go milczeniem. Szkoda mi tylko - dorzucił zamyślony - że nie udało się złapać tego drugiego.

Smith nie czuł się winny, mimo to zaczął się tłumaczyć.

- Nie było takiej możliwości. Miał alfę, więc nawet gdyby udało nam się wynieść z magazynu kawał muru, to i tak byłby w stanie nam prysnąć. W każdym razie jest pod ustawiczną kontrolą.

Chciał jeszcze wspomnieć o zasługach swego pomocnika, Williama, ale uwaga obecnych skupiła się znowu na maszkarze. Humberto Hill zbliżył się do terrarium i niemal ostentacyjnie poprawił dobrze zawiązany krawat przy czarnej koszuli. Minę miał taką, jakby chciał zapytać stwora, czyjego zdaniem z gustem się ubiera, czy nie. A może źle dobrał wzór i kolor? Ten jednak opacznie pojął jego intencje. Otworzył ślepią i trwożliwie zakrakał. A potem umknął w przeciwny róg szklanej klatki.

- Alice Dupont - przypomniał sobie szef z roztargnieniem. - Nasze milutkie dziewczątko chyba już się zabiera do prześwietlania piekielnego urzędnika, które to bydlę przytargało?

Smith z lekka się zarumienił. Pomyślał, iż Hilla już poinformowano, że dopiero co tulił ją do siebie na parkiecie. Przecież w tej branży wszyscy patrzyli sobie na ręce.

- Ma powołać zespół i zabrać się do pracy - rzucił wymijająco.

Humberto zmarszczył brwi, popadając w nagłą zadumę.

- Znakomicie! Fenomenalnie! - oznajmił. - Następnie podszedł do biblioteczki, wyjął opasłe tomisko i bez pośpiechu zaczął je wertować. Zatem ten etap możemy uznać za zamknięty - podsumował w końcu z nieskrywanym zadowoleniem. - Ma się rozumieć, kilka drobiazgów trzeba będzie jeszcze wziąć pod uwagę. Należy posprzątać po akcji. Zatuszujemy nie tylko incydent w supermarkecie. Uspokoimy również tych z Fratellanza. Patałachy, skarżyli się, że naruszyliście ich spokój. Zdradzimy im w wielkim zaufaniu, iż było doniesienie o wycieku biochemicznym na szosie, na szczęście, fałszywe - objaśnił, dumny ze swego kretyńskiego pomysłu. Zaczął się śmiać. Potem nagle zmienił temat, nie wiadomo dlaczego zwracając się znowu w stronę siedzącego w milczeniu Johna. - A propos... Zdaje się, że matka tej Dupont była Francuzką, czyż nie tak?

Pytanie było właściwie bez znaczenia, a poza tym całkiem nie na miejscu, więc pytający przypuszczalnie nie oczekiwał na nie żadnej odpowiedzi. John nawet nie usiłował otwierać ust. Nietrudno było jednak dociec, co Hillowi chodziło po głowie. Niemniej na twarzy agenta znowu pojawił się rumieniec. Miał fart, że nikt tego nie zauważył, bo wszyscy gapili się na kosmicznego stwora, ciekawi jego zachowań. Humberto też zbliżył się do terrarium.

- Dobre sobie - wyszeptał John do swoich myśli. - A cóż to cię obchodzi, spryciarzu, nie ma co...

Od strony Champ de Mars nadjechała samotna taksówka i Smith z chęcią do niej wszedł, podając nazwę hotelu. Paryski kierowca był gadatliwy, niestety, John nie znał na tyle francuskiego, by podtrzymać rozmowę w obcym dla siebie języku i wkrótce zapadła grobowa cisza. Wyglądał przez szybę na dobrze oświetlone, lecz pustawe ulice. Był znużony, wyczerpany i rwało go w skroniach. Dobę wypełniły mu liczne

zajęcia i podróże – najpierw ta przez Atlantyk, potem z Włoch do Francji – nie miał więc powodu, by się dziwić, że jest półżywy ze zmęczenia i że pada z nóg. Oczyma wyobraźni ujrzał słodką Alice u swego boku. Niepokoila go jednak różnica wieku. Kalendarz nie kłamał, latka leciały. Przeszyła go bolesna myśl, że wypada przy zadurzonej w nim dziewczynie jak podstarzały papcio lub, nie daj Boże, dziadzio. Odrobinę go to krępowało i onieśmiało. Wiedział, że mógłby temu przeciwdziałać, jak robiło to wielu. Przyszło mu do głowy, że powinien skorzystać z bogatego arsenału środków odmładzających i leków przeciwko starości. Przypomniał sobie, że ostatnio dostał pocztą barwną ulotkę z interesującym programem medyczno- kosmetycznym i teraz żałował, że ją zmiął i wyrzucił do kosza. Nigdy dotąd takich nie gromadził i nie usiłował się w nie wgłębiać, bo uważał, że traciłby cenny czas. A chyba się mylił. Usuwano zmarszczki, plamy pigmentowe i piegi, eliminowano postępy łysiny i przywracano włosom naturalny, zdrowy wygląd. Biochemiczna redukcja tkanki tłuszczowej wiązała się z uwydatnieniem muskulatury. Nie stałby się supermanem, ale na pewno prezentowałby się o całe niebo lepiej.

Kierowca z Quai Branly skręcił na most na Sekwanie i znowu zagadał do niego. Smith jednak nie raczył mu odpowiedzieć i przy Place de l'Alma zdecydował się wysiąść. Zakręciły się od razu przy nim dwie zgrabniutkie laleczki, bez żenady oferujące wiadome usługi. Były w stylizowanych na dobrze wyprawioną skórę obcisłych czarnych kombinezonach. Ze stacji metra wysypał się spory tłum pasażerów, co Amerykanina nieco zdziwiło, gdyż była już prawie pierwsza w nocy. Odprawił nagabujące go dziewczyny niedbałym ruchem ręki, lecz nie bez pewnych oporów, bo wydawały się mu pociągające. Odstraszały go ich zwariowane fryzury. Nie cierpiał tych świecących w ciemności różnymi kolorami włosów, zdobionych dziwacznymi bibelotami. Żył jakby w innym czasie i szokowała go taka moda.

Jakiś cichuteńki głosik zdawał się usilnie mu podpowiadać, że powinien sprawdzić, do czego się jeszcze nadaje, a do czego nie. Wrócił myślami do nie tak odległej przeszłości. Z przelotnych znajomości skorzystał po śmierci żony dwa lub trzy razy, ale nigdy nie próbował wiązać się z żadną kobietą na dłużej, nie mówiąc o związku na stałe. Oddał się pracy i nie latał za spódniczkami.

- *Vous cherchez une filie?*⁴- obcięta na chłopaka młodziuteńka brunetka, która go zaczepiła, miała jeszcze ładniejszą buźkę niż poprzednie. Wyglądała na siedemnaście lat. Ślicznotka samotnie wystawała przed mieszczącym się w głębi lokalem, z którego dochodziła przytłumiona muzyka. Skryła się w mroku, więc pewnie dlatego jej nie zauważył. Omal się przy niej z wrażenia nie zatrzymał.

- *Non, merci. Pas aujourd'hui*⁵ - rzucił do niej po francusku, starając się, by zabrzmiało to poprawnie i niezbyt oschle.

Mignęły mu przed oczyma dinozaury. Przypomniał sobie, co mówił ten brodaty naukowiec z Waszyngtonu i raptem wyobraził sobie siebie w roli uwięzionego kapuścianego głąba. Do hotelu przy Avenue de New York było jeszcze dosłownie kilka kroków i docierając tam, ze smutkiem skonstatował, że bezsprzecznie należy do resztek wymierającego pokolenia, które nie wyzbyło się sztywnych norm i konwenansów społecznych. Był nadmiernie wstrzemięźliwy i bardzo ostrożny. Może to przychodziło z wiekiem? A przecież po odkryciu środków przeciw kilku wstydlwym chorobom świat oszalał i wydawało się, że każda forma miłości jest dozwolona. Istne wariactwo! Był zdania, że nie powinien dać się ogłupić do reszty. Niewykluczone, że przemawiała przez niego przewidująca dalekowzroczość agenta służb specjalnych, który musiał bacznie uważać na to, żeby nie wmanewrować się w niebezpieczne związki. Jednak czy przypadkiem nie coś innego było przyczyną jego powściągliwości? Jakieś wstydlwe kompleksy? Czasami z niechęcią się zastanawiał, czy nie ma

tłumionych skłonności do facetów, ale odrzucał ten domysł jako niedorzeczny.

Winda cicho wjechała na ósme piętro. W holu czterogwiazdkowego hotelu odnotował wzrokiem ekspozycję holograficzną, płynnie się dostosowującą do zmieniającej się pory dnia. Urokliwy nocny widok Mont Blanc sprawił, że technik przeniósł znowu całą uwagę na czarującą Alice. Znieruchomiał przed wejściem do swego numeru, bezmyślnie gapiąc się na nierówne dębowe słoje. Miał wrażenie, że jak mityczny wędrowiec dotarł na skraj świata, a za okrywającym ziemię firmamentem niebieskim nie ujrzy już niczego. Nie chciało mu się wchodzić do obcego i mało intymnego wnętrza. Raptem pojął, że ugrzązł w głębokiej pustce, a jedynym ratunkiem była rozpaczliwa ucieczka.

- *Pourquoi pas?*⁶ - szepnął. - Nie wszystko zależy od rozumu...

Nieomal na palcach, jak psotliwy uczeń, który zamierza zakraść się do sąsiadów i pobrykać na terenie ich posiadłości, a na koniec wrzucić im do basenu zdechłego kota, ostrożnie zbliżył się do drzwi Alice, mieszczących się przy końcu korytarza i przyłożył do nich ucho. Czyjej gorące wyznania miłosne uprawniały go do włamywania się do niej w nocy? A może rankiem przy śniadaniu z dojmującym chłodem zamierzała wszystko odwołać? Niepewnie zastukał, a właściwie zachrobotał, ale nie był pewny, czy go usłyszała. Przestraszył się nie na żarty - serce waliło mu jak młot - lecz nie wypadało się już wycofywać. Nerwowo zerknął na zegarek - pokazywał pierwszą szesnaście. Usilnie szukał w myślach jakiegoś pretekstu i wykoncypował, że jakoś się wytłumaczy. Odważył się i nacisnął klamkę. Ku jego zdziwieniu drzwi ustąpiły.

Agentka jeszcze nie spała. Wsparta na łokciu spoczywała na szerokiej kanapie, czytając przy bocznym świetle książkę. Stylizowany na czasy Ludwika XV apartament był urządzone ze smakiem, jak pewnie wiele innych w tym hotelu. Był dużo

ładniejszy niż jego pokój. Nie brakowało porcelany. Przeszło mu przez myśl, że pewnie w sypialni jest baldachim. Wnętrze było utrzymane w jasnym kolorycie, zdobione delikatną sztukaterią z motywami rocaille. Powłóczysta jak mgiełka koszula nocna, na którą dziewczyna niedbale narzuciła barwny szlafrok ze strzyżonej dzianiny frotte, harmonizowała z odcieniem tapicerki. Chyba liczyła na to, że się pojawi.

Wystudiowana poza była wdzięczna i wydawało się, że lada chwila wkroczy tu osobiście Pierre- Auguste Renoir z paletą i pędzlami, by uwiecznić ją dla potomnych. Równie dobrze mógłby to być uznany fotoreporter, zajmujący się aktami dla ilustrowanych pism kobiecych.

- O, rany! - szczerze się ucieszyła, odkładając lekturę. - Skończyliście wreszcie tę strasznie ważną naradę?

- Jak najbardziej — odrzekł. — Głędziliśmy o uprawie żywej kapusty na jednej z oddalonych planet, może w Układzie Słonecznym, a może nie - zażartował, mimowolnie naśladując szefa sekcji. - Takie tam lanie wody. Nudy na pudy...

Podniosła się z kanapy i krokiem baletnicy zbliżyła się do Johna. Bez słowa wpadła mu w objęcia, tuląc się do niego.

- Wiesz? Już myślałam, że straciłeś na mnie ochotę - szepnęła, cmokając go w usta. - Ty brzydaku, zostawiłbyś mnie samą na całą noc?

Ogarnęła go fala ciepła.

- Alice! - pogłaskał jej pachnące łąką włosy z prawdziwym rozrzewnieniem, a w jego oczach zabłyśły łzy.

Na twarzy Hilla zagościł grymas irytacji. Porzucił rolę zadowolonego z siebie zmanierowanego arystokraty z rodowodem sięgającym średniowiecza, a jego oczy zaczęły ciskać pioruny. Po zakończonej naradzie nadal pozostał w omszałym budynku i nie zamierzał go jeszcze opuszczać. Na piątym piętrze płonęły wprawdzie światła, jednak system zabezpieczeń nie pozwalał już nikomu z zewnątrz na złożenie nagłej wizyty. Nie wtargnąłby tu teraz nawet sam dyrektor waszyngtońskiego oddziału, bez względu na to, jak bardzo by się starał. Przy pancernym terrarium w białych kitlach cierpliwie warowało dwóch fachowców, monitorujących zachowania potwora z kosmosu i w miarę potrzeby gotowych mu służyć pomocą medyczną. Nadąsany szef sekcji podszedł do nich. Z marsową miną, głosem nieznoszącym sprzeciwu polecił, by zafundowali sobie dłuższą przerwę. Odesłał ich do znajdującej się przy końcu korytarza supernowoczesnej kuchni z dobrze zaopatrzoną lodówką i barkiem, wspaniałomyślnie zalecając, by czuli się tam jak u siebie w domu. Z sobie wiadomych powodów chciał pozostać z maskarą sam na sam. Dochował mu towarzystwa jedynie młodziutki, spolegliwy blondyn, w Instytucie Historycznym oficjalnie pełniący rolę gońca, faktycznie jednak zajmujący się niejasnymi dla otoczenia interesami, owianymi mgiełką tajemnicy. Dobrze poinformowani orientowali się, że był zaufanym Hilla i powiernikiem jego mrocznych sekretów.

– Czarna rozpacz mnie ogarnia, kiedy o tym myślę. Na Boga, gdybym wiedział, co się za tym kryje, nie szarpałbym się teraz i nie miotał jak skazaniec po celi. Chłopcze, jesteśmy jak ślepcy zmuszeni błądzić po omacku. A przecież wystarczyło przesłać –

via Pluton – króciuteńki, lakoniczny komunikat. I nic więcej. Jak się to stało, że tym strategom z wielowiekowym doświadczeniem i niedosięglym perfekcjonizmem coś wyslizgnęło się z rąk? – dzielił się z blondasem o nieco dziewczęcej twarzy tym, co mu leżało na wątrobie. – Jakim cudem dwa aprobusy mogły tu same dotrzeć z tak daleka?! – pienił się, nerwowo krążąc wokół terrarium.

Upewniwszy się za pośrednictwem Hansa, że słabo oświetlony korytarz jest pusty, a dyżurujący agenci z Waszyngtonu zajęli się parzeniem kawy i podgrzewaniem foliowanych potraw, Humberto skorzystał z niewidocznego dla postronnych przycisku wmontowanego w błyszczący blat biurka. Na jednej ze ścian przesunął się obraz w ramach, odsłaniając sejf o zdumiewającej ornamentyce pokrywy.

– Sezamie, otwórz się! – stęknął z sarkazmem. – Gdybyż to był faktycznie tylko świat bajek. W co myśmy się władowali? Balansujemy nad przepaścią.

Pokrywa ustąpiła, ukazując wnętrze wypełnione różnymi przedmiotami, których prawdziwego przeznaczenia nie dociekłby nikt z zatrudnionych w tym budynku. Hans ostrożnie wyjął niewielkie urządzenie na teleskopowym statywie. Wziąwszy pod uwagę dziwną, niespotykaną konstrukcję, z pewnością nie pochodziło ono z Ziemi.

– Pospiesz się! – syknął Humberto, zdejmując marynarkę i ściągając krawat. – Mamy co najwyżej kwadrans. Potem tamci wrócą i stracimy okazję, żeby czegoś się dowiedzieć. A lichy nie śpi.

Niemal wyrwał z rąk chłopaka wydobyty z sejfu translator i zbliżył się do terrarium, obrzucając obcego stekiem soczystych przekleństw, których nie powstydzilby się zapijaczony marynarz z portowej knajpy w Marsylii lub w Tulonie. Gdy się trochę opanował, zaczął przemawiać do kapuścianego łba w niezrozumiałym dla Hansa języku, pełnym śpiewnych sylab. Włączone urządzenie przekładało kolejne frazy na serie niby to

zwierzęcych pisków. Słyszący je gad niemrawo się poruszył i otworzył ślepią, ale nie okazał zachwyty. Uporczywie milczał. Umieszczone w klatce mikrofony nie zarejestrowały żadnej odpowiedzi.

– Najzwyczajniej w świecie to bydlę nie chce z nami gadać – szef sekcji po minucie wyczekiwania poczuł się zrezygnowany i przetarł ręką czoło, na którym pojawiły się kropelki potu. Ramiona mu opadły i odwrócił się od przybysza z kosmosu, który swą inteligencją niewątpliwie górował nad małpą i innymi ziemskimi ssakami, nie na tyle jednak, żeby dorównać istocie z gatunku *Homo sapiens*.

– A może by go tak zatłuc? – wyszeptał blondyn. – Przecież, gdy przeprowadzą gruntowniej sze badania, zwłaszcza genetyczne, odkryją, że nasz sympatyczny kompan z ptasim mózdzkiem jest nosicielem. Połapią się, że ukryty w jego torbie zarodek ma ludzkie DNA. Wtedy dopiero się zacznie. Ależ będzie afera!

Hill łypnął na chłopaka złym okiem. Zarzucił sobie na ramiona marynarkę. Usiadł przy biurku i zabębnił nerwowo palcami po blacie. Potem zerknął na oświetloną wieżę Eiffla i nagle znieruchomiał. Uciekł gdzieś w jednej chwili myślami i można było odnieść wrażenie, że zapadł się w gęsty mrok nad miastem. Akurat zaczynał kropić ciepły, letni deszcz.

– W gruncie rzeczy to nie nasza sprawa – rzekł wreszcie półgłosem, nie odrywając wzroku od czarnego nieba. – Wiemy, co mamy robić i tylko tego powinniśmy się trzymać – zreasumował swe zmagania z czymś, czego nie było słyhać ani widać. – Oni nie popełniają błędów. Nie możemy więc ich poprawiać. Jeżeli pozwolili tym gadom tak niefortunnie tu się dostać, to z pewnością nie kłóciło się to z ich zamiarami – dorzucił z namysłem. – Cholera, to takie oczywiste! – skrzywił się z bólem, a potem z uwagą obejrzał swoje dobrze opilowane paznokcie. – Tyle tylko, że jeszcze pozostaje nasze biedniutkie ludzkie ego – westchnął nie bez żalu. – Czy nie mamy prawa

wątpić i stawiać znaków zapytania? Wpadać w popłoch, kiedy czegoś nie ogarniamy?

Gdzieś poza Układem Słonecznym, na bardzo odległej niby-planecie rozświetlona postać wydawała się ciepło uśmiechać do jego czupumych myśli.

Zapadła pełna napięcia cisza. Blondyn wysłuchał go i wyszedł na korytarz, sprawdzając, co dzieje się u facetów z Waszyngtonu. Wrócił za chwilę do Hilla.

- Znaleźli tę butelkę - oznajmił konspiracyjnym tonem. - I opowiadają sobie sprośne dowcipy o klonowanych blondynkach. Nie ruszą się pewnie jeszcze z pół godziny. Powiedziałem im, że tu wszystko jest w najlepszym porządku.

Humberto skrzywił się z niesmakiem.

- Wszystko w porządku... - powtórzył z niekłamaną ironią.

- Mon Dieu, żeby tak naprawdę było!

Maszka zdecydowała się wreszcie przerwać milczenie, zakrakała i poczęstowała czułe mikrofony serią ostrych pisków. Hill zerwał się w te pędy, podbiegając do pozostawionego na podeście translatora.

- Ti, pi, ti, pi, ti! Ti, ta, ci, fi, ci, fi!...

Obcy urwał równie szybko, jak zaczął, i ostentacyjnie ziewnął, odsłaniając dwa rzędy ostrych kłów i tłusty ciemnoczerwony język z zieloną pręgą pośrodku. Translator w mig przełożył piski stwora na śpiewny dialekt, którym posłużył się wcześniej szef sekcji.

- No i co? I co?! - Hans Whitehead nie krył podniecenia, bo przecież pierwszy raz w życiu asystował podobnej wymianie zdań.

Hill niechętnie wzruszył ramionami i z ponurą miną oddał mu zbędny już aparat. Nie podzielał entuzjazmu blondyna.

- I pstro! - warknął. - Łobuz skarży się, że jest źle traktowany.

Młodszy parsknął histerycznym śmiechem. Zasłonił sobie usta, krztusząc się i pokaszując.

- Wredny typ - skomentował, gdy się uspokoił. - Te niby-myszące maskary stamtąd są wyjątkowo bezczelne. Jak w takiej sytuacji upominać się o prawa dla siebie? A ileż są warte? Tyle, co nasze zwierzęta rzeźne. I tak skończy w spalarni w klinice.

Pokryty ornamentami sejf zamknął się bez szmeru, a jego miejsce zajął znowu sporej wielkości obraz olejny, przedstawiający wiejski pejzaż z Burgundii. Hill zasiadł za swym okazałym biurkiem z marsową miną i Hans pojął, że szef teraz już naprawdę chce być tylko sam.

Dobiegała końca księżycowa noc i powoli wschodziło słońce. Powracający z rekonesansu łazik na szerokich kołach dotarł do podnóża kompleksu bazy i tam znieruchomiał. Zgasł silnik, a siedzący za kierownicą instynktownie obejrzał się do tyłu. Komandor Venzeno Pacelli podniósł się i powoli zsunął na twarde gruntu. Starał się wypaść jak stary wyga, sekundowało mu bowiem dwóch mechaników, a nie chciał, aby się rozeszło, że nie radzi sobie w próżni. Dobrnął po podeście do śluzy, kiedy zaś tam się znalazł, uchyliło się owalne wejście. Wtoczył się z ulgą do wnętrza i wkrótce syknęło zbawcze powietrze. Tamci dwaj weszli za nim. Pokonał kolejne podwoje ze stali, zdjął hełmofon, uwolnił się od niewygodnego srebrzystego kombinezonu, oddał sprzęt, a potem - uspokojony - zjechał windą do swojego apartamentu na szóstym poziomie. Marzyła mu się chwila odprężenia, był jednak za bardzo podekscytowany tym, co działo się na zewnątrz, żeby myśleć o wypoczynku. Chodziło mu po głowie, że powinien od razu zabrać się do przejrzenia danych, które gromadziła pracowita ekipa, nieodstępująca fascynującego znaleziska. Przez interkom wezwał do siebie obu specjalistów od gruntu księżycowego. Chociaż ich lekceważył, wiedział, że bez ich pomocy się nie obejdzie. Nie było sensu udawać mądrego i pokazywać, że

zjadło się wszystkie rozumy. Tylko ostatni kiep nie doceniłby ich wiedzy i doświadczenia. Byli nie do zastąpienia i w jego oczach ich akcje błyskawicznie poszły w górę. Jako naukowcy należeli bezsprzecznie do najlepszych, a gdyby nie dysponowali wiadomymi atutami, nie wysłano by ich na Księżyc, lecz zaoferowano w zamian nudną papierkową pracę na Ziemi.

Pojawili się niczym bracia bliźniacy w niecałe dziesięć minut. Nie różnili się szczególnie wagą i wzrostem. Chris Donlon nie miał ani cienia wątpliwości. Oglądał planszę, biorąc ją pod światło i mrużąc oczy.

– Ta studnia ma ponad trzy i pół tysiąca lat – oświadczył. – To przeżytek, pamiętający czasy rozkwitu kultury kreteńskiej, schyłek Średniego Państwa w Egipcie, a w Chinach kres dynastii Hia. Zbadaliśmy powierzchnię tradycyjną metodą węglową, a następnie systemem Geyera. Cylindryczna pokrywa w głębi wydaje mi się jeszcze starsza. Może mieć nawet około pięciu tysięcy lat. Ale to nie wszystko, komandorze. W tym cygarze zachowały się – moim zdaniem, a jak pan wie, jestem raczej ostrożny w ocenach – czynne nośniki energii, coś w rodzaju... baterii lub akumulatorów – oświadczył. – To ciekawe! – zaświeciły mu się oczy. – Na razie nie odgadniemy, co to właściwie jest i jak działa. Nie można wykluczyć, że to nibyśpiące bydlę okaże się sprawne. Może dać niezły koncert po uruchomieniu. Jednak będziemy mogli cokolwiek zawyrokować dopiero po usunięciu pokrywy włazu i zbadaniu zawartości, o ile kiedykolwiek wdrzemy się do środka. To prawdziwa forteca i chyba nie na nasze siły.

– Też coś?! – wtrącił komandor z nutą oburzenia. – Nie kraczcie. Musicie to jakoś przeskoczyć. Stać was na to...

– Tak pan uważa? – zapytał Chris, udając wielkie zdziwienie.

– Jak pan wie, naszą dewizą jest...

– Tak, tak, wiem – prychnął komandor. – Olewać wszystko, co się da. A moją: wdeptać w ziemię wszystkich cywilów. – To ostatnie dorzucił miękko, nie chcąc ich urazić. – Możemy sobie

skakać do oczu, ale nie w obliczu tego, co tam przed nami wyrosło.

Pomyślał o monterach w kombinezonach próżniowych, bezskutecznie szukających na powierzchni mechanizmu, który wprawilby w ruch rygle i blokady. Badano teren wokół, krok po kroku. Ściany zarytej w grunt księżycowy na blisko sto pięćdziesiąt metrów stacji były za twarde, by poradził sobie z nimi laser, używany do prac remontowych. Wpasowany pionowo w spękane skały i lawę monument wykonano z nieznanego na Ziemi stopu o niewyobrażalnych wręcz właściwościach fizycznych.

- Przydałoby się to, czym dysponowały te koszmarne stwory - mruknął David Griffith, przeglądający kolumny cyfr na wydruku.

- Ma się rozumieć - odrzekł jego kompan. - Ale i tak mieliśmy fart - dorzucił. - Los okazał się dla nas nadzwyczaj łaskawy.

Komandor wiedział, co tamtemu chodzi po głowie. Szczęśliwym trafem odkryli przecież samotną bazę, którą porzucili wysłannicy obcej cywilizacji, penetrujący przed wiekami te raczej niegościnne rejony kosmosu. Skąd tamci przybyli? Dokąd się udali? Czego szukali w tak odległym układzie solarnym? Po jakie лихо plątali się po pustawych peryferiach Galaktyki? A może to nie była wpuszczona w grunt budowla, ale starannie ukryty statek kosmiczny? Na te i inne pytania naukowcy na razie nie umieli jednoznacznie odpowiedzieć Włochowi. Operowali hipotezami.

- Uśmiech losu - szepnął do swoich myśli. - Dar przeznaczenia.

To Chris był w czepku urodzony. I to on wpadł na genialny pomysł, żeby udać się śladami, które znaczyły się po agresywnych intruzach, przypominających ludzkie głowy. Komandor początkowo się krzywił, bo kojarzyło mu się to z idiotyczną zabawą w traperów i Indian, ale nie wyraził

sprzeciwu. Pas wokół bazy był rozjeżdżony przez terenowe łaziki, jednakże dalej na zapyłonym podłożu rysowały się dość wyraźne nietypowe tropy, które doprowadziły ich w końcu do magicznego znaleziska. Nad wyraz szybko sobie z tym poradzili. I pomyśleć, że od lat było ono prawie na wyciągnięcie ręki. Aż żal, że nikt nie trafił na nie wcześniej ! Nie wykryły go okołoksiężycowe satelity, poszukujące minerałów, a przede wszystkim rud metali. Obcy zbudowali bowiem swoją niby-stację, wykorzystując związki krzemu, i Pacelli doszedł do wniosku, że cywilizacja ziemska, która nie rozwinęłaby się bez żelaza, mogła im się wydawać wyjątkowo prymitywna, jeśli nie wręcz żalosna.

Niecierpliwie zerknął na zegarek. Ich wnioski były zbieżne. Wykocypował, że na razie musi mu wystarczyć to, do czego doszli. Wstawał dzień, temperatura gruntu powoli się podnosiła, więc nie należało nadmiernie eksploatować ludzi i sprzętu. Wszechwładne słońce przeganiało z nagrzewającą się powierzchnią śmiałków, gotowych popisywać się umiejętnościami przetrwania w warunkach ekstremalnych. Mógł ich tam trzymać jeszcze dobę lub dwie. Wydał więc niezbędne polecenia i przeprosił ekspertów. Dysponował godziną wolnego czasu. Postanowił ją spędzić w obserwatorium astronomicznym. Udał się tam, medytując po drodze nad tym, na czym właściwie stoi.

- Trafiło się ślepej kurze ziarno - mruknął, sumując wiążące się z odkryciem aktywa i pasywa. Zapowiadało się obiecująco, jednak nie chciał popadać w euforię i wcielać się nawet w myślach w rolę faceta, który odniósł oszałamiający sukces. Czyżby szykowała się główna wygrana na loterii? - Poczekamy, zobaczymy

- uspokajająco szepnął do siebie, zbierając myśli. - Być może za kilka dni wszystko się wyjaśni.

W obserwatorium nikogo nie zastał. Zbudowana na planie regularnego ośmioboku przestronna sala była zwieńczona

kopułą, zdobioną pustymi kasetonami. Miała w sobie coś z muzeum, gdy się popatrzyło na stojące pod ścianami pojedyncze eksponaty, ilustrujące rozwój astronomii od starożytności po współczesność. Jednak pamięć o tym, że zaledwie kilkadziesiąt centymetrów jej kruchego sklepienia dzieli od szczerzącej kły zdradzieckiej próżni, nie wydawała się na nikogo działać zachęcająco. Dlatego tylko nielicznych przyciągał ten zakątek, stanowiący poniekąd sanktuarium bazy. Pozostali, na których wpływał deprimująco, raczej tu nie zaglądali. Bogiem a prawdą, nie było po co. Komandor należał do tej pierwszej, wąskiej grupy. Chętnie tu wysiadywał, ceniąc sobie spokój tego przybytku, a panujący w nim nastrój kojarzył mu się z zaciszem zabytkowych kościołów oraz dużych bibliotek i ich czytelni. Krótko mówiąc, lubił tę mało potrzebną świątynię dumania. Ogarniało go w niej błogie przeświadczenie, zwłaszcza kiedy gasło już światło, że zawisa gdzieś w połowie drogi między nagim Księżycem a domem rodzinnym w Los Angeles, zaś rozterki i zgryzoty, związane z kierowaniem stacją, pozostawia daleko za sobą. Zaprogramowany komputerowo teleskop automatycznie się dostrajał, bezustannie celując w Ziemię i za każdym razem Venzeno kontemplował obraz jaśniejącej odbitym blaskiem rodzinnej planety. Rzadko kiedy obracał go w inną stronę.

– Cześć, maluśka! – sapnął i tym razem, sadowiąc się w fotelu przed aparaturą. – Jak tam pogoda na północnej półkuli? Wiosna już w pełni? Drzewa obsypane zielonymi liśćmi?

Kontynent europejski o tej porze spowijał mrok, ale odpowiednie powiększenie pozwalało mu uchwycić mgliście znaczące się światła wielkich miast. Gdzieś tam, na dostojnie kręcącym się wokół osi obrotu globie zdecydowano o poczynaniach w bazie na Księżycu, a tym samym również o jego losach, bo przecież z tą lunamą placówką był głęboko związany.

Telekonferencja pokrzepiła go na duchu. Dobrze wypadł

przed kamerami, a poza tym przewybomnie sobie poradził z podchwytliwymi pytaniami pyszałkowatych dziennikarzy. Talentu aktorskiego mu nie brakowało, chociaż nigdy nie marzył o tym, żeby grać na scenicznych deskach. Trafnie odgadywał, że o samobójstwie na Księżycu będzie w mediach głośno dopóty, dopóki goniący za sensacją reporterzy nie wpadną na trop nowej afery, by o poprzedniej szybko zapomnieć. Jednakże zdawał sobie sprawę z tego, że nie wszyscy uwierzą w skleconą naprędce bajeczkę o kryzysie psychicznym astronauty. Uderzała ona przede wszystkim w psychologów i socjologów z Instytutu Badań Kosmosu, którzy wzięli pełną odpowiedzialność za przystosowanie ekipy do przetrwania w warunkach księżycowych. Nie przejmował się jednak ewentualnym dementi, gdyż to już nie było jego zmartwieniem. On robił to, co do niego należało. Uśmiechnął się w duchu, przypominając sobie rozsądne pytanie dziennikarki z BBC, Rity Blake, niepojmującej, jak Bruno Solle mógł opuścić stację bez kombinezonu kosmicznego przy sprawnym systemie zabezpieczeń śluzy. Podziwiał tę laskę w mini, z dobrze zrobionym makijażem. Miała rację, śluza bowiem nie powinna była się uchylić, by wypuścić samobójcę. Piekielnica dotknęła najsłabszego punktu naprędce wydumanego przez komandora scenariusza.

Zachichotał, wracając myślami do tamtej chwili. Z kamiennym wyrazem twarzy objaśnił, jak to się stało – choć miał wówczas wrażenie, że występuje raczej na dorocznym konkursie oszustów niż przed audytorium złożonym z doborowych sprawozdawców, bezwzględnie domagających się prawdy. Flegmatycznie wyjawiał, że faktycznie wchodzący do śluzy Bruno Solle miał na sobie jedynie roboczy mundur pokładowy, w którym na co dzień go widywano. Młody samobójca był wszakże przygotowany do wyrafinowanej gry z systemem zabezpieczającym. Pospinał wcześniej kombinezon i włączył zasilanie, a następnie tak przygotowany wciągnął

srebrne odzienie za sobą. Wprowadził w ten sposób w błąd kontrolującą go aparaturę, która odnotowała obecność jednego człowieka i jednego sprawnego kompletu lunopłaszcz. Komputer mylnie uznał, że wszystko jest w porządku. Jakoś przełknięto na Ziemi to łgarstwo, a komandor, aby wypaść bardziej wiarygodnie, z zaskakującą skruchą zobowiązał się, że zostanie niezwłocznie wprowadzona stosowna poprawka do programu śluzy, wykluczająca w przyszłości podobne pomyłki.

Światła Londynu znaczyły się tylko od północy. Południe miasta spowijały gęste chmury, które przez kanał La Manche ciągnęły się aż po Paryż. Rita Blake była zmieszana i chyba domyślała się, że Venzeno Pacelli zakpił sobie z obecnych w waszyngtońskim studiu korespondentów. Nie miała jednak na niego żadnego haka. Coś nieuchwytnego sprawiło, że bardziej niż tego oczekiwał, zaniepokoiła jego zmysły. Cóż, była ładniutka i zgrabniutka, w typie komandora. Raptem przyszło mu do głowy, że z przyjemnością spotkałby się z nią i umówił na lunch albo lepiej na nastrojową kolację, żeby potem wylądować z nią w łóżku. Oczyma wyobraźni ujrzał, jak siedzą sobie razem przed płonącym ogniem w kominku, l>e/. pośpiechu sączą wino, a on trzymając ją w objęciach i tuląc do siebie, zdradza jej w sekrecie, co naprawdę się stało w sektorze C.

- Ech, marzenia! - jęknął z odrobiną żalu. Zachwycająca ślicznotka była - niestety - za daleko, by jego nieśmiałe erotyczne fantazje mogły przekształcić się w coś bardziej realnego. Dzielilo ich wszak trzysta osiemdziesiąt tysięcy kilometrów!

Kiedy promienie wschodzącego słońca oświetliły złomowisko, wydobywając z mroku surrealistyczną kompozycję, złożoną z wraków zużytych maszyn, stary Lukas podniósł się z ziemi. Ruchy miał niepewne i toporne. Był już właściwie młodym

Lukasem, ale w jego rysach twarzy czaiło się coś obcego – jakby ten, który go od nowa stworzył, nie do końca po mistrzowsku portretował ludzkie postaci. Przypominał lunatyka. Z wyciągniętymi przed siebie rękoma, niczym ślepiec wykonał trzy niezdarne kroki i zwałił się jak długi na resztki citroena. Jęknął, gdyż ból dawał mu się we znaki. Nie miał jednak wpływu na to, co robił. Dygotał przez długą chwilę, a oczy niemal wyszły mu z orbit, tworząc nabrzmiące wypukłości, koszmarnie zniekształcające twarz.

– Nie – walczył z sobą. – Nieee!

Wreszcie znieruchomiał i jakby zasnął. A gdy uniósł się ponownie, stąpał już dużo pewniej, utrzymując równowagę. Omiatał wzrokiem otoczenie. Coś mu mówiło, że nic nie jest w stanie mu zagrozić, zatrzymał się więc i jak gniewny goryl zaczął uderzać się pięściami po piersiach, wystukując rytm jak na bębnie. Wydawał przy tym groźne pomruki.

Koczujący po drugiej stronie złomowiska clochard przystanął jak wryty, widząc jego małpie celebracje.

– Stary Lukas zwariował. Zwar- io- wał. Ma kuku na muniu – zachichotał. – Zaraz jednak naszły go bardziej posępne myśli.

Uzmysłowił sobie, że i na niego może z nagłą spaść taka okropna choroba, pętająca umysł i sprawiająca, że człowiek w sile wieku zachowuje się jak dziecko. I tak był stetryczałym, cierpiącym na uwiąd starczy pijaczną.

– A może to nie on, lecz ktoś inny? A jeżeli to ja popadam w obłąd? – osłonił dłonią słabowite oczy. – On i nie on – pomrukiwał, z zaciekawieniem podchodząc coraz bliżej i nie rozumiejąc, dlaczego to wyglądający na Lukasa wagabunda jest taki młody.

Jego ciekawość okazała się fatalna w skutkach. Żelazna dłoń, która zacisnęła się mu na gardle, już go nie puściła. Uchwyt był miażdżący, a clochard zacharczał i opadł. Krzyk zamarł mu na ustach. Po pewnej chwili Lukas trzymał w łapach już tylko jego zakrwawioną głowę. Z otwartych w agonii ust śmiesznie

wystawał język w oprawie żółtych, zepsutych zębów. Mocarz w łachmanach chwilę się dziwił, jakby nie pojmując tego, skąd w jego dłoniach znalazła się ta koszmarna zdobycz, po czym z rozmachem cisnął łepetyną starego Alfreda. Jak piłka pofrunęła, trafiając w barierę przy zamkniętej bramie. Tam opadła i znieruchomiała.

Fruwające czerepy bywały raczej rzadkim widokiem, więc dwaj pracownicy, którzy wysiedli z furgonetki, by otworzyć bramę, znieruchomieli w niemym przerażeniu. To ich uratowało od niechybnej śmierci. Lukas nadszedł bowiem w chwilę później, jakby chcąc ocenić celność olimpijskiego rzutu. Bramę uznał za przeszkodę, jednakże nie ceregielił się z kłódką. Wyrwał ją z zawiasów, z werwą odrzucając na furgonetkę. Hałaśliwie się roześmiał, obrzucając wzrokiem nieruchomych jak słupy soli robotników, a potem bez pośpiechu skierował się w stronę centrum. Z jego gardła wydobywały się co rusz nieartykułowane, radosne dźwięki. Chyba śpiewał jakąś nieziemską niby- piosenkę.

Nie pojmował, dlaczego telefon wyrywa go ze snu. Nie powinien był go budzić. W apartamencie panował miły półmrok, gdyż przez ciężkie, obszyte frędzlami kotary przedostawało się niewiele światła. Gdzieś znad dalekich, zasnutyh mgłą jezior przybyła do niego nocą zmysłowa nimfa wodna, osłonięta jedynie przejrzystym, zwiewnym peniuarem, ledwo kryjącym ponętne kształty, a szum jej skrzydeł zastąpił mu rozkoszną kołysankę. Alice niewyraźnie coś mruknęła i nie otwierając oczu, przewróciła się na drugi bok, uwalniając go ze słodkich objęć. Sięgnął ręką, po omacku odnalazł komórkę i wcisnął przycisk, ale zamiast głosu rozmówcy usłyszał charakterystyczny, przerywany sygnał. Rozmowa była kodowana. Ciężka sprawa! Chcąc nie chcąc, musiał zwlec się z pokrytego wymiętym przez noc jedwabiem posłania i rozejrzeć

za hotelowym wideofonem, który krył się gdzieś między stylizowanymi sprzętami. Wargami delikatnie musnęła dziewczynę za uchem i czule pogładził jej włosy. Odpowiedziała cichym kocim pomrukiem, wyciągnęła się na wznak, rozrzucając jak dziecko ręce, ale nie uniosła powiek. Czuł nadal niepokojący zapach jej perfum.

Wideoaparat znalazł przy wejściu. Agent, którego ujrzał na dziewięciocalowym ekranie, łysa pała, obdarzył go na dzień dobiy zawstydzonym uśmiechem. Wydawało się, że chce go przeprosić za pochopne zerwanie z łóżka o tak wczesnej porze.

- Mamy kolejne sygnały, teraz już bardzo wyraźne. Ten przybysz z kosmosu wreszcie się zdekonspirował. Emituje go stary żebrak, dotąd koczujący w złomowisku samochodów. Opuścił już to zakazane miejsce i kamery go pokazały. Człapie ulicą. Wolno podąża w stronę śródmieścia.

Smith podrapał się po mocno owłosionym brzuchu i głośno ziewnął, zasłaniając sobie usta. Usiłował przegonić resztki snu. Ta elektryzująca wiadomość nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.

- Nie ma co - spokojnie odrzekł. - W porządeczku. Niech sobie idzie.

Włoch nadal mile się uśmiechał. Mimo wczesnych godzin rannych był elegancko ubrany i dokładnie ogolony. Starannie zawiązana apaszka pod szyją harmonizowała z kolorem koszuli. Stwarzał wrażenie zadowolonego z siebie faceta, jednak John się domyślał, że to tylko czcza poza. Tamten musiał trząść się ze strachu. Potwierdziło to zresztą jego kolejne pytanie:

- Czy ten kosmita jest... w środku, no, w tym żebraku?! - ostrożnie sondował.

John spojrział na ekran z zaskoczeniem, jakby tamten pytał o rzeczy oczywiste. Zmarszczył brwi.

- Skoro ten stary emituje, to rękę za to głową - odparł niefrasobliwie. - Musi w nim siedzieć.

To uspokoiło agenta, ale tylko na krótką chwilę.

– Pozwoliłem sobie na mały alarm – wyjawiał konspiracyjnie. Poderwałem kilku naszych chłopaków, niech się czymś wykażą. A na wszelki wypadek – dodał – poleciłem im, aby nie podchodzili za blisko.

Dopiero teraz dotarło do Johna, że nie ma nic na sobie. Był nagusieńki, jak go Pan Bóg stworzył. Na szczęście, kamera kierowała się na jego twarz.

– Mają wykrywacze? – zapytał. Nad czujnikami siedział blisko trzy dni, więc zależało mu na tym, by się sprawdziły.

Łysy delikatnie pogładził czaszkę. Wydawało się, że z przyzwyczajenia wyciągnie szczotkę lub grzebień, by przeczesać gładką skórę.

– Mają, jak najbardziej – potwierdził. – I wiedzą, jak się tym posługiwać.

Czekał jeszcze na jakieś pocrzepiające słowa, lecz Smith nie był skory do dalszych wynurzeń.

– No, to do zobaczenia!

Tamten wyraźnie nie chciał kończyć rozmowy.

– A jeśli coś się jeszcze wydarzy, to gdzie cię szukać, John? Zwłaszcza gdyby nam nie wypaliło... – biedak rozpaczliwie oczekiwał pociechy.

Technik łypnął w stronę sypialni, w której słodko spała Alice. Przy kolacji przebąkiwała coś o pokazie mody w podziemiach Luwru i uzmysłowił sobie, że pewnie się tam razem wybiorą. Na pewno dobrze wiedziała, jak zdobyć wejściówki.

– Niczego szczególnego nie planuję. Możesz się komunikować, kiedy zechcesz. Vivat personal- kod! – mrugnął do niego porozumiewawczo.

Łysy wreszcie się rozłączył i naturysta z bożej łaski pozostał sam. Nie dziwiło go, że agenci z północnych Włoch robią w gacie ze strachu. Stopniowo do nich docierało, że pojawiło się na Ziemi coś napastliwego z kosmosu – a to było zdecydowanie za mało, żeby mogli zachować spokój. Obojętnie wzruszył

ramionami. Współczuł im, ale nie był w stanie pomóc. Nie wolno mu było zdradzać szczegółów akcji.

- Nic wam się nie stanie - zachnął się, zniecierpliwiony. - Nie przez takie rzeczy się przechodzi...

Pobiegł myślami ku alfie, którą pieczołowicie ułożono w wypełnionym trocinami pojemniku z tworzywa sztucznego, a następnie ukryto w mającym liczne zabezpieczenia kontenerze, by w końcu załadować ją do ciężkiego boeinga i wyekspediować drogą powietrzną do USA. Samolot transportowy miały eskortować myśliwce bojowe. Była niezwykle wyrafinowanym urządzeniem z układem sterującym niewiadomej wrażliwości. Ktoś, zbliżając się do niej, swymi myślami mimowolnie mógł ją uruchomić. Kosmiczne zwierzaki nie były groźne, natomiast prawdziwe niebezpieczeństwo wiązało się z cudeńkiem techniki, którym się posługiwały. Przy jego pomocy dawało się wykreować mający szalone przyspieszenie i zdolny do poruszania się po całym Układzie Słonecznym niewielki - niby to wirtualny, jednak przy tym podejrzanie realny - stateczek kosmiczny. Z Księżycy na Ziemię piekielne maskary dotarły przecież w piorunującym tempie. Nie podzieliły się jednak z nimi instrukcją obsługi.

To wszystko już wiedział, a teraz zajmowało go coś innego.

- Jeśli jest skutek, jest też przyczyna - skonstatował z ponurą miną.

Wciągnięty w wir spraw, związanych z szybkim tempem przygotowań do szykującego się spotkania z poczwarami, nie miał czasu myśleć o tych, którzy je przypuszczalnie wyprawili w drogę, bądź też pozwolili im wyrwać się spod kontroli. Tamci na pewno istnieli i ta przerażająca hipoteza nie dawała się zepchnąć do podświadomości. Teraz przemknął mu przed oczyma strzęp jakiegoś niejasnego obrazu i również poczuł lęk. Ci, którzy posłużyli się kapuścianymi głowami, stanowili nieporównywalną z niczym potęgę - o niebo większą od wszystkiego, co sobie dotąd zdołał wyobrazić, medytując nad

zagrożeniami, mogącymi płynąć z mrocznych stron kosmosu.

Alice znowu zamruczała i przytuliła się do owłosionego mężczyzny. Trącił nosem jej pachnące ramię i przez chwilę próbował dociec, jakich środków do pielęgnacji ciała używa. Nie był to dziki, namiętny i bardzo zmysłowy, korzenny dezodorant, którym go owiały wieczorem dwie prostytutki. Wpływała na niego doskonałą kompozycją intensywnych kwiatowych nut zapachowych. Uzmysłował sobie, że perfumy najnowszej generacji syntetyzowano w taki sposób, by oddziaływały na psychikę, zaś jedna z popularnych teorii głosiła, iż najsilniej wpływają zapachy z okresu życia płodowego. Bazowano na zaawansowanych badaniach nad feromonami, ale brano też pod uwagę właściwości aromatyczne wielu afrodyzjaków. Oczywiście, nie obywało się bez zarzutów pod adresem firm kosmetycznych. Utrzymywano, że środki, które oferują, umożliwiają niedozwoloną manipulację partnerem. Dziewczyna nie pozwoliła mu jednak dojść do żadnego odkrywczego wniosku. Widząc, że nie przejawia inicjatywy, zarzuciła mu ramiona na szyję i przyciągnęła go do siebie. Jej oczy zdawały się emanować zielonym, kocim blaskiem.

– Jeszcze, mój wampirze – powtórzyła słowa, które usłyszał już w nocy. Pieszczotliwie ugryzła go w ucho. – Twój biedny kopciuszek wciąż cię pragnie.

Nie kazał na siebie długo czekać i dokazując jak młodzieniaszek, zanurzył się ze swą nimfą w morzu uciech. Jednak nim dotarł do finału, znowu odezwał się telefon. Zwlókł się wściekły, ale i zarazem rozbawiony. Alice z cicha chichotała. Nie miał tak podzielnej uwagi jak ponoć Napoleon Bonaparte i inni znani z podręczników historii wybitni mężowie stanu, a jeżeli na czymś się koncentrował, chciał to zrobić porządnie, od początku do końca, bez zbędnych przerw i nieprzewidzianych postojów.

Łysy był jeszcze bardziej uprzejmy. Prawie płaszczył się

przed amerykańskim agentem.

- Zapomniałem dodać, że ten żebrak jest obdarzony niezwykłą siłą. Jedną ręką wyrwał z zawiasów i rzucił na furgonetkę ciężką stalową bramę. Ważyła dobre... Sporo. Ho, ho!., - wychrypiał.

Smith chwilę medytował nad tym, co usłyszał. Dyrektywy były wyraźne: nie należało przypadkowych agentów wprowadzać w meritum sprawy. Ani pary z gęby.

- On jest teraz rodzajem cyborga, skrzyżowaniem człowieka i maszyny — wyjaśnił spokojnie. - Nie ma diabelskich mocy. Wierz mi, nic z tych rzeczy - uśmiechnął się szeroko, odsłaniając dwa rzędy białych zębów. - Zachowajcie więc spokój i rozwagę.

Miał ochotę poklepać łysego po plecach, by dodać mu kurażu, lecz nie było to możliwe. Tamten był za daleko.

Alice wstała, niczego na siebie nie zarzucając. Rozsunęła kotary w salonie. Pierwszy raz widział ją taką w świetle dnia i poczuł przypływ słodkiego podniecenia. Miała wąskie, prawie chłopięce biodra i zalotnie sterczące piersi. Podeszedł i uniósł ją w ramionach, obsypując pocałunkami. Roześmiała się i wyśli-znęła mu się z objęć.

- Wracamy do łóżka czy myślimy o śniadaniu? - zapytał.

Nie odpowiedziała. Zamiast zabierać się do śniadania, ukończyli na puszystym perskim dywanie to, z czym nie zdążyli się uporać w łóżku.

Leżeli przytuleni do siebie, szczęśliwi, zmęczeni, jednak mimo to umysł Johna nie spauzował. Gdzieś tam, daleko, w mroźnych przestworzach kosmosu czaił się apokaliptyczny smok o niepojętych rozmiarach i równie monstrualnym apetycie. Należało go odnaleźć, posługując się splotem złożonych równań matematycznych, a następnie unieszkodliwić. Agent instynktownie szukał przesłanek, w oparciu o które mógłby zbudować hipotezy pewniejsze od dotychczasowych. Miał wrażenie, że nieustannie grawituje przy

tym ku metropolii nad Sekwaną. Coś mu zdawało się szeptać do ucha, że to właśnie tu, w stolicy Francji – może w Quartier Latin lub w Saint Germain, a nie na Czerwonej Planecie czy na księżycach Jowisza – kryje się niespodziewane rozwiązanie. Czy to nie pachniało absurdem? Nie miał dotąd najmniejszego powodu, żeby ufać przeczuciom i niejasnym podejrzeniom. Z drugiej jednak strony musiał pamiętać o tym, że niecierpliwie poszukiwany klucz znajdował się często pod ręką, co między innymi wynikało z dziejów odkryć naukowych. Wystarczyło czasami tylko zajrzeć pod przysłowiową wycieraczkę lub wsadzić dłoń do stojącej przed drzwiami donicy z azalią.

– Co połykasz? – zainteresował się przy śniadaniu, które przyniósł do apartamentu wyfraczony kelner.

Zarumieniała się, gdyż nie spodziewała się, że zwróci uwagę na dwie małe różowe pastylki.

– To tylko morning- after – wyjaśniła.

Zrozumiał, że pytanie było nietaktowne. Również się zarumienił, ale zaraz popełnił następną gafę:

– Często bierzesz coś takiego?

Kokieteryjnie się roześmiała. Ręka jej zadrżała i omal nie strąciła talerzyka z konfiturami. Nie czuła się jednak urażona.

– Ostatni raz połykałam podobny środek, kiedy chodziłam do szkoły. Ale wtedy to było dla zabawy.

W głowie tliła mu się niejasna myśl, że popełnił niewybaczalny błąd, wyłamując swoim ciałem drzwiczki zielonego opla, z którego wysiadała pełna werwy babka w gustownej kremowej garsonce. Omal jej nie staranował. Na szczęście, zdążyła odskoczyć. Tej nie brakowało isticie południowego temperamentu. Nie przstraszyła się go i bluznęła za nim stekiem niewybrednych wyzwisk, ale był głuchy na jej krzyki i ani myślał przystawać, żeby się wytłumaczyć. Nawet się nie obejrzał. Wmieszany między ulicznych przechodniów, z uporem parł przed siebie, nie wiedząc jednak, dokąd zdąża. Apatyczny i otepiały, z mętnym, przymglonym wzrokiem, stwarzał wrażenie od dawna nieleczonego narkomana, który dziwnym trafem dotąd nie wpadł w sieci zapobiegliwej pomocy społecznej. Nie rzucał zwyczajowego *permesso* i nie zauważał żadnej przeszkody. Kolejny błąd popełnił, wyrywając metalowy słupek sygnalizacji świetlnej przy skrzyżowaniu. Z oszołomieniem dzierżył go w mocarnej dłoni, nie pojmując, po co to zrobił. Miejscowi nerwowo czmychali po każdym jego wyczynie, ustępując mu co rusz z drogi i nikt nie miał zamiaru mieszać mu szyków. Któż chciałby się mierzyć z takim widmowym siłaczem? Na to trzeba by supermana. Wprawdzie rzucały się w oczy jego obszarpane i obdarte odzienie oraz dziwaczny wyraz twarzy i nieco małpi chód, lecz nie było to jeszcze wystarczający powód, żeby darzyć go natarczywym zainteresowaniem. Tępy umysł pracował na pół gwizdka, myśląc wciąż obrazy z dwu różnych światów, które dokumentnie nie przystawały do siebie. Usiłował pojąć, dlaczego miast wystawiać pokrytą zmarszczkami twarz do słońca i leniwie wylegiwać się na trawie w cichym, zadbanym

parku nad połyskującym stawem, w którym brodziły białe pelikany i różowe flamingi, kroczy teraz główną arterią miasteczka, kierując się ku zabytkowemu rynkowi i niebezpiecznie się dekonspirując. Takich wariackich wypraw w przeszłości instynktownie unikał. Bał się ich jak diabli. Jakaś obca obmierzła moc, której obecność niejasno sobie uzmysłowił, nakazywała mu ślepe posłuszeństwo. Nieszczęśnik, urodził się wolny, ale mimo to tkwił w kajdanach.

- Kto to?... Czemu to?... - co rusz szeptały jego wargi, niby pod dyktando ledwo słyszalnego werbla.

Wadziła mu ta obca siła i pod wpływem nagłego impulsu postanowił wyrwać się spod jej natrętnej kontroli. Nieoczekiwanie się zatrzymał, pchnął najbliższe oszklone drzwi i ukrył się w zacisznym wnętrzu. Nie mógł wiedzieć, że nie ma wyjścia z tego labiryntu. To, co dygotało w jego przepoczwarzonym ciele, omal nie ścięło go z nóg. Musiał przytrzymać się ściany, żeby nie stracić wątej równowagi.

- *Buongiorno*. Ostrzyc pana? Ogolić?...

Znalazł się w zakładzie fryzjerskim, a sympatyczny chłopak z czarną czupryną wykonał zachęcający gest. Tego ranka jeszcze nie miał żadnego klienta. Lukas posłuchał go i z ulgą usiadł w fotelu przed ogromnym lustrem. Przywitała go ze ścian kolekcja modnych męskich fryzur. Gdy jednak wpatrzył się w swoje zmienione oblicze, poczuł, że ogarnia go straszliwe przerażenie. Niespokojnie złapał się za pozbawione siwawego zarostu policzki, sprawdzając, czy są na pewno częścią jego fizys. Nie był tym, za kogo się uważał. Nie takim urodziła go zapijaczona matka. Rozgarnięty właściciel, który właśnie wyjrzał z zaplecza, od razu zorientował się, w czym rzecz.

- *Fai attenzione. Non avvicinati!*⁷ - krzyknął ostrzegawczo.

Lukas usiłował coś powiedzieć, ale z jego gardła wydobył się tylko bełkot. Charkotał, kiwał się w fotelu, ścisnął rękami głowę i mocował się z nienawistnym przeciwnikiem, którego nie było widać. Oszołomiony Michele spoglądał to na dziwnego gościa,

to na swego mocodawcę, niczego nie pojmując. Gdyby był mądrzejszy i posłuchał szefa, czmychnąłby od razu, nie czekając na to, co może się jeszcze stać. Pochylił się troskliwie nad klientem, usiłując mu pomóc. Żebrak nieoczekiwanie wyrwał z jego dłoni ostrą brzytwę i ciął nią na oślep, raz, drugi i trzeci, mierząc gdzieś w próżnię. Rozległ się przeraźliwy krzyk zranionego chłopaka i na lustro trysnęła krew z przeciętej tętnicy. Potem z trzaskiem pękło szkło witryny z napisem „Parrucchiere” i Lukas znalazł się na trotuarze.

- Nie, nie! Neeee!...

Cwałował środkiem jezdni, nie zwracając uwagi na mijające go pojazdy. Ocknął się dopiero, gdy raptem zderzył się z karoserią wolno zakręcającego autobusu, odbił się i wylądował na asfalcie. Z okien wyglądali zdębieli pasażerowie. Pod wpływem nieopisanego bólu wróciło mu poczucie rzeczywistości. Uniósł głowę, z niemym przerażeniem oglądając wgniecenie. Kierowca natychmiast zahamował, wyskoczył przez otwarte drzwiczki i spieszenie podbiegł do niego. W jego głosie brzmiał nieopisany gniew.

- Co ty? Nie wiesz, po co są chodniki?! - wykrzyknął nerwowo. A potem widząc, w jak opłakanym stanie jest clochard, z odrobiną szczerego współczucia zapytał: - Nic ci się, palancie, nie stało?!

Rozległ się modulowany sygnał wozu policyjnego. Lukas nieporadnie dźwignął się z asfaltu, nie zauważając pomocnie wyciągniętej dłoni, i zamarł w bezruchu, kompletnie otumaniony i ogłupiały. Jakimś cudem miał całe kości i nie wyglądał na bardzo poturbowanego. Szukał w mrokach niepamięci czegoś, co by mu się skojarzyło z dobiegającymi go odstraszającymi tonami, które go dawniej tak niepokoiły i kazały mu lękliwie szukać kryjówki. Niestety, kaleki umysł znowu odmówił posłuszeństwa. Dwaj pewni siebie rośli policjanci spokojnie wysiedli i z zawodową flegmą podeszli do niego, każąc mu się odwrócić i oprzeć ręce o połyskujące

nadwozie. Za nimi sterczał zaniepokojony łyśawy cywil, z bezpiecznej odległości nadzorujący przebieg akcji. Pojawił się na szosie nie wiadomo skąd.

- Nie jest uzbrojony - stwierdził beznamiętnie gliniarz. - Wygląda na napranego. Zwijamy go. Robisz zadymę, pójdziesz z nami, *amico* - zwrócił się do clocharda. - No, śmiało!

Cywil potakująco kiwnął głową. Błysnęły w słońcu kajdanki. Trudno było dociec, czy żebrak zrozumiał te słowa. Pchnięty łagodnie, posłusznie pokuśtykał dookoła wozu. Nie dał się jednak wepchnąć do wnętrza i przelękłym wzrokiem wpatrywał się w migocącego na dachu koguta. Nie wsiadł, nie stać go było aż na taki heroizm, a cela aresztu wydawała mu się zawsze najgorszym miejscem na świecie.

- No, ładuj się! - ponaglał niecierpliwie stróż prawa. - Nie będziemy tu sterczeć do południa. Rusz się, kundlu zawszony! - nie wytrzymał.

- Ale smród... - ten drugi dorzucił swoje trzy grosze. - Facet się nie kąpał chyba ze sto lat. Nigdy nie wywietrzymy tej choleralnej gabloty.

Zelżało wewnętrzne napięcie i otępiały żebrak zmiarkował, że chcą go zabrać do komisariatu, a tam posadzić przed biurkiem, zadać mnóstwo kłopotliwych pytań i wreszcie z hukiem zatrzaskać za stalowymi kratami. Coś mu kazało zaprotestować. Usiłował krzyknąć i jego twarz stężała. Zabułgotał jak indor, a na zaschniętych wargach pojawiła się piana.

- Nie, nie!...

Histerycznie wyrwał się strażnikom porządku publicznego, jednego z nich omal nie przewracając. Bez krzty rozumu pognął przed siebie jak ostatni głupiec, na oślep, byle dalej, nie zastanawiając się nad tym, gdzie się chce schronić.

- Nigdzie nie uciekniesz, platfusie! - zawołali za nim. A w chwilę później: - Stój, stój, bo strzelam!

Miał to głęboko w nosie. Wiał jak ścigany przez myśliwskie

charty zastrachany zając. Nie zauważył, że wróciła mu siła i że zerwał kajdanki, jakby były z lichego sznurka. Padł strzał i nabój z ładunkiem obezwładniającym świsnął mu koło ucha. Serce waliło jak młot, coraz bardziej przyspieszając, aż wreszcie z nagłą ustało. Gdyby był podłączony do medycznego monitora, na ekranie pojawiłaby się zwiastująca zejście ciągła linia. Dobiegł właśnie do plant i runął jak długi w zieloną trawę. Niespokojna obca moc daremnie usiłowała utrzymać w ryzach wymykającą się jej świadomość. Przez moment clochard dziwił się bezgranicznie, że nie oddycha, a potem zatonął w uspokajającej, błogiej ciemności.

Zdyszani policjanci dotarli chwilę później.

– Tu, tu ktoś upadł! – rozdarł się wyrostek z rowerem, wskazując żebraka.

Lukas nie zdradzał objawów życia. Schowali broń, główkując nad tym, co dalej zrobić. Ostrożnie odwrócili go na wznak, sądząc, że stracił przytomność. Pochylili się nad nim, ale zaraz przezornie odskoczyli. Nadęty brzuch łachmaniarza ożył.

– Kra, kra, kra!

Pękła przepona i czarny, kulisty stwór wyrwał się z martwego ciała, ociekając krwią i ciągnąc za sobą sznury jelit. Wartko rzucił się w stronę pobliskich zarośli. Policjantów z wrażenia zamurowało i żaden z nich nie zdążył oddać strzału. To wystarczyło osamotnionej kosmicznej maszkarze, by zniknąć z oczu ziemskim ciemiężcom. Znalazła się poza zasięgiem ich wzroku.

Śledzący Lukasa niby cienie dwaj faceci w cywilu pojawili się w ślad za mundurowymi. Błysnął znaczek. Za nimi doszedł tamten trzeci.

– Macie kłopoty? No nie!... Do diabła, co właściwie się stało?

Otwarta jama brzuszna kojarzyła się z partacką robotą jakiegoś zachlanego zwyrodnialca, głupkowato zabawiającego się w prosekorium. Jednak nikogo takiego tutaj nie było.

– Chcieliśmy zabrać tego dupka, bo szalał jak wariat na

główniej ulicy. Niestety, niewypał – objaśnił łamiącym się głosem jeden ze stróżów porządku publicznego. – Zostały z niego resztki... To się w głowie nie mieści. Ekspłodował czy co?

– Ta dziwaczna poczwara wpadła gdzieś tam, między krzewy – w drugim z gliniarzy obudziła się wreszcie potrzeba działania.

– Wyskoczyła z ciała tego denata...

– Poczwara? Bez paniki, panowie!

Potworny krzyk podziałał na nich jak czerwona płachta na byka. Nieopodal rozdzierająco darła się jakaś kobieta, więc bez wahania skoczyli w tamtą stronę. Jeden z mundurowych z konieczności został przy trupie. Przedarli się przez kłujące gąszcze. Na wysypanej białymi kamykami alejce skręcała się z bólu blon- dyneczka z wysoko podwiniętą spódnicą i szeroko rozchylonymi udami. Można było odnieść wrażenie, że ktoś ją właśnie brutalnie zgwałcił, po czym w tajemniczy sposób rozpląnął się w powietrzu. Obok w wózku spacerowym bawił się malec.

– Na Boga, co się dzieje?

Kosmiczny stwór uwinął się w lot i właściwie było już po wszystkim. Miał już tamtą w garści. Gdy ujrzała stróżów prawa, jakoś się opanowała, powolutku się podniosła, łapiąc się za krzyże i otrzepując spódnicę. Jeden z cywilów wyciągnął w jej stronę trzymany w ręku czujnik. Zajarzył się rubinowo.

– Ostrożnie i bez pośpiechu! – zarządził.

Nie zdążyli jej osaczyć. Przez twarz kobiety przebiegły dziwne skurcze. Obrzuciła nadchodzących zimnym, odpychającym spojrzeniem, a potem rzuciła się do raptownej ucieczki, bez oporów pozostawiając dziecko w wózku. Bawiący się dotąd spokojnie brzdąc chyba wreszcie pojął, że jego matce naprawdę coś złego się stało, bo wypuścił kolorową grzechotkę, wyciągnął błagalnie rączki i rozplakał się na dobre.

Instynktownie, niemal po zwierzęcemu czuł, że jedna z długonogich anielic ze stajni okrzyczanego René Lemaître'a,

cenionego w Paryżu kreatora mody, ma coś wspólnego z ukrywającymi się kosmitami. To atawistyczne przeświadczenie było tyleż silne, co absurdalne i niemal podpadało pod zjawiska paranormalne. Z trudem panował nad sobą, a na jego ściągniętej aż do bólu twarzy malowało się rozdrażnienie. Poirytowany, miał ochotę zerwać się z miejsca, wskoczyć na podest, na oczach wszystkich wykręcić modelce ręce, brutalnie zaciągnąć ją w jakieś ustronne miejsce, a tam ze srogą miną ją przesłuchać, wywijając nad głową spluwą lub kajdankami. Doprowadzała go do szewskiej pasji. Nigdy wcześniej tak nim nie rzucało. Nie rozumiał, skąd ta złość i gniew.

– Co się ze mną dzieje – wyszeptał do rozbieganych myśli.

Przyszło mu w pewnej chwili do głowy, że powinni go czym prędzej zawieźć do szpitala dla czubków, a tam zatrzasnąć w izolatce. Siedział spięty jak diabli, a przyjmowany przez innych z zachwytem pokaz mody doprowadzał go do szału. Obłąd! Męczył się, mając idiotyczne wrażenie, że zorganizowali ten popis obłąkani wysłannicy kapuścianych łbów, maniakalnie manipulujący z oddali ludźmi.

Krocząca z wdziękiem siedemnastoletnia Diana pokazała się na wybiegu w kolejnej zmysłowej kreacji, przyjęto ją z aplauzem. To coś, co miała na sobie, wyglądało jak skąpy strój kąpielowy, ale na pewno nim nie było. Starał się opanować emocje i zachować dystans. Podejrzliwie taksował ją wzrokiem, ale nie wpadało mu w oczy absolutnie nic, do czego mógłby się przyczepić. Wizualnie była w porządku. Cieszyła wytwornością ruchów i kwintesencją dobrego smaku i elegancji. Bogiem a prawdą, nie wyglądała na przyslaną z kosmosu zaprogramowaną amazonkę. Zdziczał czy co? A może ta niezdrowa obsesja wynikała z nadmiaru wrażeń i dopiero teraz wychodziło z niego potworne zmęczenie?

Alice chyba wreszcie pojęła, że dzieje się z nim coś niedobrego. Ujęła delikatnie jego rękę, chcąc go po kobiecemu wesprzeć i dodać mu otuchy.

- Miśku, wyluzuj. Nie zadręczaj się, wszystko się ułoży, zobaczysz! - pocieszająco szepnęła mu do ucha.

- Jasne, nie ma sprawy - mruknął ironicznie, usiłując rozluźnić napięte mięśnie. Oparł się, szukając wygodniejszej pozycji. Potem zajął się oddechem. Wdech, wydech, wdech! Wyobraził sobie, że przyjął pozycję lotosu i że jak mnich buddyjski cierpliwie oddaje się medytacji.

A ciepły słoneczny dzień zapowiadał się tak obiecująco. Trafili na żółtą automatyczną taksówkę, ostatni krzyk mody, i pojechali w stronę Luwru. Pojazd nie miał w ogóle miejsca dla kierowcy. Co najmniej z pięćset takich kursowało już po ulicach Paryża. Komputer łagodnym, syntetycznym głosem poinformował ich, że muszą wybrać okreśną drogę ze względu na uliczną manifestację faszyzujących organizacji młodzieżowych. Po rozdmuchanym przez media samobójstwie młodego lunonauty rozhisteryzowani demonstranci domagali się, by zaprzestano inwestycji na naturalnym satelicie Ziemi. Pod tym względem nic się nie zmieniło od dziesięcioleci. Księżyc miał być taki, jaki był, i nie należało go zagospodarowywać. Tak przynajmniej przedstawiano to w telewizji.

Nie było to jedyne zmartwienie Smitha tego przedpołudnia. Kiedy po śniadaniu rozstał się z Alice i szczęśliwy jak diabli pod - rałował do swojego apartamentu, ze zgrozą odkrył, że pod jego nieobecność ktoś sprytnie się tam wdarł, by pogrzebać w jego bagażu. Włamanie było dziełem profesjonalisty. Zamknięte drzwi nie stanowiły dla intruza przeszkody - nie pozostawił na nich żadnych widocznych śladów - jakby przez nie przeniknął. John ze ściśniętym żołądkiem sterczał jakiś czas przy oknie, niewidzącym wzrokiem wpatrując się w poszarzały błękit nad miastem. Tego ruchu na rozłożonej szachownicy nie przewidział. Kto i po co? Torba z miękkiej skóry była szeroko otwarta i znikły z niej dwa błyszczące krążki z danymi z Piemontu. Nic innego nie przepadło. Sukinsyn, dobrze wiedział,

czego szukać. Musiał być z branży. Technik nieopatrznie pozostawił kopie dla siebie, choć zgodnie z regułami gry wywiadowczej nie powinien był tego czynić. Dla pewności rozejrzał się po numerze, z wprawą niuchając po wszystkich ich kątach łącznie z łazienką. O kradzieży powinien był natychmiast powiadomić Humberta Hilla, ale coś mu mówiło, żeby się do tego nie palić. Uznał, że może poczekać z tą wątpliwą rewelacją. Zamarł w fotelu, główkując nad tym, co się właściwie stało, lecz nie przebił się przez mur niewiedzy. Nie był jasnowidzem. Wreszcie wykoncypował, że najlepiej zrobi, zachowując tę przykrą wpadkę w tajemnicy. Dane były zbyt wycinkowe, żeby mogły się przydać komuś spoza firmy. Musiał jednak pamiętać, że porusza się po mocno niepewnym, grząskim gruncie i że w każdej chwili może go wciągnąć na samo dno. Znaków zapytania nagle przybyło. Należało zachować daleko posuniętą ostrożność.

Alice wyszykowała się na bóstwo, co połechtало jego męską próżność i poprawiło mu samopoczucie. Towarzystwo uroczej agentki, za którą rzucano dyskretne spojrzenia, oraz obecność wśród przybyłych na pokaz mody wielu znakomitości dodały mu skrzydeł. Młodziutka modelka pojawiła się na wybiegu jeszcze kilka razy, a on przyglądał się jej tak intensywnie, że wreszcie mimowolnie wyłuskała go wzrokiem z tłumu siedzących. W końcu dał sobie z nią spokój. Można było mniemać, że chce ją przeświecić na odległość, stosując wszystkie znane w jego służbach metody, emisyjną tomografię pozytonową, jądrowy rezonans magnetyczny i inne, nowsze, by później z sadyzmem porazić ją zabijającym z pewnego dystansu oscylatorem ultradźwięków. Była uosobieniem harmonii i wdzięku, a renesansowi mistrzowie dłuta na pewno by się nią zachwycali. Uspokoiwszy się wreszcie, John skupił się na męskich strojach – co miało dla niego o tyle znaczenie, że przy Alice wypadal zbyt szaro.

Lemaître znany był z tego, że umiej ętnie syntetyzował

popularną od wielu sezonów lunomodę ze stylami azjatyckimi i wzorami z dworu królewskiego XVII i XVIII wieku, tworząc wyrafinowane kompozycje, które bardzo dobrze się przyjmowały. Alice skrycie zezowała na niego, kiedy obsceniczny René pokazywał bieliznę damską. Technik pomyślał o przyjemnościach czekających ich po powrocie do hotelu przy Avenue de New York i zjedzeniu lunchu, o ile szef sekcji Humberto Hill nie odwoła go do pilniejszych zadań. Seria prezentowanych na wybiegu dessous à la transwestyta, wykonanych z przypominającego ludzką skórę elastycznego tworzywa, raczej go nie bawiła, jednakże zestawy obliczone na wysiłek partnera i tak założone na kobiece ciało, by w ich ściągnięcie musiał włożyć maksimum pomysłowości i wyobraźni, szukając jak w labiryncie zapieć, ukrytych guziczków i cienkich jak nić suwaków, wyraźnie mu się podobały. Stonowane światło nadawało wielu sekretom damskiej bielizny posmak niezwykłości, a biegły w swym fachu konferansjer subtelnie odsyłał oglądających kolejne kreacje klientów do całej gamy łagodnych niby- narkotyków, oficjalnie dopuszczonych na rynek i pobudzających tak mężczyznę, jak i kobietę. Ich działanie erotyczne było krótkotrwałe, a skutki uboczne prawie żadne, więc coraz chętniej sięgano po nie, by doznaniem miłosnym nadać większą głębię. Niestety, te skuteczne afrodyzjaki były dość drogie, choć jednocześnie zaczynano je stopniowo traktować jak słodyczne. Były łączone na przykład z gumą do żucia. Reklamujące je firmy obiecywały, że dzięki nim szczytowanie urośnie do doświadczenia nieomal mistycznego. Sprzedawano je w kompletach, obejmujących narkotyki i damską bieliznę oraz nagrania dźwiękowe, oddziałujące ponoć na podświadomość. Sexshopy już od dawna wciskały się skrycie do supermarketów i do różnych działów ekskluzywnych sklepów.

Środki pobudzające go nęciły i zwrócił się w pewnej chwili do Alice, żeby ją o nie zapytać. Już otworzył usta, by zaspokoić

ciekawość, jednak natychmiast ugryzł się w język. Nie chciał, by potraktowała go jak jakiegoś erotomana. Wydawało mu się, że dziewczyna oczekuje oświadczyn i oficjalnych zaręczyn, a potem ślubu w katedrze w śnieżnobiałej sukni z trenem, nie zaś szczeniackiego eksperymentowania i frywolnej pogoni za rozkoszą.

- Co? - zapytała zaciekawiona, widząc, że się zawahał. Wsłuchiwała się w słowa konferansjera. Bez trudu domyśliła się jednak, co miał na końcu języka i po chwili szepnęła obiecująco: - Mam coś ekstra w podręcznej apteczce. Właśnie w tym stylu. Jeżeli będziesz chciał...

Odetchnął, a potem objął ją czule. Mimo to pojawiły się na jego czole drobne kropelki potu. Po raz kolejny uprzytomnił sobie, że nie ma szans, by stać się zajebicie przystojnym Casanovą, na wiele uciesznych rzeczy jest już za późno.

Tuż po pokazie mody odebrał kolejny kodowany telefon, tym razem od samego Hilla, z którym skontaktował się agent z północnych Włoch. Podniecająca gra toczyła się dalej. Kosmicznego zwierzaka nie było już w słonecznej Italii. Pognał na północ, wykorzystując nowe, tym razem kobiece medium. Był w maglevie, szybkim pociągu, jadącym z Mediolanu do Wiednia przez tunel pod Alpami. Skurwiel, mimo braku inteligencji radził sobie znakomicie na Ziemi. Smithowi wrócił humor, jak zawsze, kiedy udawało mu się wcześniej przewidzieć zamiary przeciwnika. Domyślał się, że maskara ciągnie śladem uprowadzonego przez nich kompana z kosmosu, chcąc do niego dołączyć.

- W porządku? - zapytała agentka, gdy zakończył rozmowę.

- Jak najbardziej - potwierdził. - Jesteśmy do przodu.

Śladem niemrawo ciągnących gości przeszedł z nią do stylizowanego na epokę jaskiniową baru, w którym gibkie półnogie kelnerki w niby to zwierzęcych skórkach roznosiły drinki. Nie zabawili tam długo. Nudziły go takie miejsca. Niepokojącą go modelkę ujrzał jeszcze raz przed pałacem królewskim, ale nie

zajmował się nią więcej. Opędzając się od wielbicieli, wsiadała do małego citroena. Myślami był nad pięknym modrym Dunajem – w stolicy walca, w mieście, w którym tworzyli Mozart i Beethoven.

Agenci skorzystali z taksówki z autopilotem, która się akurat zwolniła. Alice zamierzała zabrać Johna do centrum handlowego na zakupy, ale kiedy odkryła, że szyby mają molekularne przyciemniacze, radośnie zachichotała i szybko zmieniła plany. John, upewniwszy się, że we wnętrzu nie ma kamer, pod jej dyktando zlecił komputerowi złożony kurs przez miasto – najpierw do Gare du Nord, a następnie do Jardin du Luxembourg, a poza tym kazał włączyć refleksyjną, nastrojową muzykę. Z niewinnym chichotem, odrobiną wstydu i pośpiechem nastolatki, lękającej się, że za chwilę ktoś niepowołany zajrzy do ciemnego kąta w szkolnej szatni, Alice przypięła się do jego koszuli i spodni, nieudolnie sobie radząc z guzikami i suwakiem. Widocznie chciała w iście sprinterskim tempie nadrobić kilkuletnie zaległości.

Była wdzięczna siwiejącemu René, który przed wymagającą publicznością w podziemiach Luwru pozował na obscenicznego satyra, w rzeczywistości będąc całkiem sympatycznym i przyzwoitym facetem. Ajeszcze bardziej miłemu i zawsze uśmiechniętemu Raffaello, który postarał się, aby otrzymała to ekscytujące zajęcie. Jechała citroenem w stronę Avenue des Champs-Élysées, po drodze lustrując wzrokiem zniszczenia, dokonane przez demonstrujących wyrostków. Kariera modelki, marzenie wielu dziewcząt w jej wieku, dawała jej niezwykle możliwości awansu, a lekko kulejący Montini był zdania, że jest do niej wprost stworzona. Ale staruszek był ponad niskimi, ludzkimi przywarami. Pojawił się w jej życiu dokładnie wtedy, kiedy powinien był się pojawić. I postawił ją na nogi. Pamiętała, co się stało, gdy ze skrytym lękiem pierwszy raz wybrała się do

ginekologa. Mimo siedemnastu lat nie miała miesiączki. Jednakże nie ta dolegliwość zaabsorbowała zdolnego lekarza, wytrwale wspinającego się po szczeblach specjalizacji. Facet był miły i delikatny, a nawet przystojny. Zajął się nią, zbadał ją z dużą uwagą, przeprowadził serię prób, korzystając z pomocy wyrafinowanej aparatury, a potem wyświetlił na ekranie symulowaną przez program medyczny ciążę Diany oraz jej domniemany poród. Stwierdził, że jest absolutnie zdrowa, a dziecko urodzi nieomal mimochodem, prawie bez bólu. Ze zdumieniem kręcił przy tym głową, uznając jej przypadek za ewenement. Takiej pacjentki jeszcze nie miał. To pewnie sprawiło, że zlecił jej dodatkowe badania genetyczne o szerokim spektrum, zastrzegając, że ich kosztów nie będzie musiała pokrywać z własnej kieszeni. Zgłosiła się na nie i znowu była świadkiem tego samego. Genetyk z uniesieniem machał wyciągami i rzucał przy niej fachowymi terminami medycznymi. Popisywał się prawie jak trapiiony gorączką złota traper na Dzikim Zachodzie, który przypadkiem natrafił na pokaźną żyłę tego kruszcu. Szalał z radości. Absurdalnie utrzymywał, że jej geny wyglądają tak, jakby były starannie, wręcz perfekcyjnie obrobione w wysokiej klasy laboratorium. Tego już było dla niej za wiele i zrezygnowała z dalszych wizyt.

Popłakała się, bo nie wydawało się jej to wcale zabawne. *Homo perfectus?! Genetyk* pozwolił sobie przy tym na – jej zdaniem – mało dowcipną uwagę. Zasugerował mianowicie, że jej zapłodnienie miało miejsce *in vitro*, ale gdzieś poza Ziemią albo w przyszłości, skąd przyślano jej zarodek w kapsule czasu, gdyż obecna nauka do takiej precyzji w obróbce DNA jeszcze nie doszła. Nie znosiła takich uszczypliwych żartów na swój temat. Niepokoiliła się o swoje zdrowie, a zrobiono z niej cudaka. Dzięki Montiniemu znalazła się w gronie młodych osób, które łączyły podobne sekrety i mogła to wszystko, co dotąd wiedziała o sobie, poukładać w głowie bez obaw o swój los.

– Raffaello, dzięki! – szepnęła do siebie, dziwiąc się rozbitym

witrynom sklepowym. Chłopcy nieźle poszaleli. Ale w Paryżu takie demonstracje nie szokowały. Powtarzały się regularnie co kilka lat.

Wróciła myślami do spotkań z promiennym staruszkiem z gmachu inicjacji. Raffaello był taki, że do rany przyłożył. Jeśli któregoś z zachodzących tam coś dręczyło, zwykle biegł do niego z prośbą o radę. Montini był młody duchem, więc nie czuło się różnicy wieku. Czasami sam wpadał na to, co kogo gryzie i taktownie się wtrącał, to i owo podpowiadając, nie chcąc jednak przy tym niczego nachalnie narzucać. Raczej sugerował, podszeptował, zachęcał lub obiecywał, zacierając przy tym z uśmiechem ręce. Był jak dziadek z reklamy karmelków.

- Raffaello, dzięki! - powtórzyła.

Było coś, co sprawiało, że gdy tylko o tym pomyślała, jej twarz niewinnie pąsowiała, a serce zaczynało gwałtownie bić, przepełniając rozkoszą falujące piersi. Montini kilka razy półgębkiem napomknął o jakoby specjalnie dla niej przeznaczonym, fantastycznym chłopaku, który miał się wkrótce pojawić we wspólnocie. Wydawało się, że sam z utęsknieniem na niego czeka. Przebąkiwał o nim późną jesienią, kiedy to suche liście, wirując w powietrzu, spadały z drzew, a po ulicach Paryża hulał porywisty wiatr. Minęła zima, wypełniona wytężoną pracą w stajni Lemaître'a. Otarła się o wiele zajmujących osób, od których sporo się nauczyła, ale nie na to liczyła. Ciepła wiosna już nadeszła i dziewczyna mocno wierzyła w to, że wkrótce ujrzy oczekiwanego długo supermana. Ponoć miał być w tym samym wieku co ona. Niecierpliwie go wyglądała, obrzucając spojrzeniem każdego nowo przybyłego, kręcącego się po gmachu, choćby tylko wiązały go z nestorem przelotne interesy. Zastanawiała się, czy będzie ją onieśmielał, czy też okaże się takim, że bez cienia wstydu i bez wahania rzuci się mu w ramiona.

Dojeżdżała do wyniosłego budynku, w którym mieścił się jej

naszpikowany elektroniką apartament i z ulgą wcisnęła przycisk z napisem „la maison”. Wóz był zaprogramowany na samodzielny zjazd do znajdującego się w podziemiach garażu. A stamtąd tylko kilka kroków miała do windy. Jej ciepłutkie mieszkanko kosztowało krocie, ale nie musiała starać się o kredyt w banku, żeby wejść w jego posiadanie. Wszystko za nią skwapliwie załatwiono, podsuwając jej do podpisania kilka dokumentów. Nie wydała ani centa.

Snujące się resztki ponurych deszczowych chmur odpłynęły w głąb kontynentu i popołudniem żółte słońce powróciło na niebo. Zasepionego i zniesmaczonego Pierre'a to jednak nie cieszyło. Był zde gustowany tym, co widział w centrum metropolii. Na paryskich ulicach ujawniały się zawsze najgorsze instynkty. Nie zachwyciła go potężna demonstracja organizacji ekologicznych, a wymierzone przeciw projektowi „Luna II” hasła, które wykrzykiwali pozujący na twardzieli zarozumiali chłopcy, wydały mu się mało przekonujące, jeśli nie wręcz odpychające. Czuł, że powinien czym prędzej rozejrzeć się za kimś mniej ordynarnym i prymitywnym. Nie odpowiadała mu rola kretyna, który wali kijem baseballowym po szybach witryn sklepowych. I pomyśleć, że jeszcze nie tak dawno ci wątpliwej maści herosi mu imponowali!

Wrócił z miasta i włączył komputer, chcąc pogadać z elektronicznym nauczycielem, ale uzmysłowił sobie, że nauczył się już wszystkiego, co mu w szkole zadano. Miał do przerobienia algorytmy szyfrujące o kluczach od stu do dwustu pięćdziesięciu stosowane w wielu centralach zarządzania, a także nietrudny rozdział z historii medycyny. Chodziło o początki terapii genowej, stanowiącej czwarty rewolucyjny krok w walce z chorobami, po kanalizacji, chirurgii z narkozą oraz antybiotykach i szczepionkach. Z informatyki miał zapamiętać, jak działał stworzony na przełomie wieków pierwszy satelitarny system telekomunikacyjny. Szeroko ziewnął, uprzytomniwszy sobie, że to wszystko ma już w głowie, i wyszedł z apartamentu, by wynieść śmieci. Cisnął je do utylizatora odpadów. Zaszumiało, a automatyczny segregator powiadomił go, że zyskał dwie premie. Syknął z

niezadowoleniem i omal nie zaklął brzydko. Wciąż popełniał ten sam błąd. Pojął, że znowu do plastikowego worka trafiły jakieś jego niewinne chłopięce skarby. Powinien był uważniej sprzątać. Program utylizatora wyławiał rzadkie metale.

Poczłapał w stronę uchylonych drzwi, ściągnął buty z nóg i rzucił się na sprężynujące łóżko. Włączył odtwarzacz, decydując się na ulubione „Bolero” Maurycego Ravela. Pierwszy raz ten utwór usłyszał w Wenecji. Był wówczas ośmioletnim chłopakiem. Uwielbiał dawnych mistrzów.

– Crescendo na orkiestrę, start! – zarządził z miną dyrygenta. Potem wygodnie się wyciągnął, kładąc ręce pod głowę, i zapatrzył się w sufit.

Wysłuchał się w jednostajny baskijski rytm, podany przez werbel. Flet rozpoczął solo. Temat był natarczywy, a orkiestra wielokrotnie go powtarzała, stopniując, bez żadnego rozwinięcia. Myśli krążyły wokół spraw bez znaczenia. W Paryżu był sam, rodzice bowiem mieszkali w Awinionie. Odwiedzał ich od czasu do czasu, a zimowe i letnie wakacje spędzali wspólnie. Ostatnio bawił z nimi dwa tygodnie na Madagaskarze, ale zaczynał się już nudzić w ich towarzystwie. Różnica wieku robiła swoje. Nie obchodziły go dyskusje nad nowymi metodami uprawy złocistej kukurydzy, co pociągało siwiejącego ojca, mającego udziały w kilku spółkach rolniczych, ani rozmowy o terapiach odmładzających, co z kolei podniecało aż do przesady dbającą o siebie matkę. Był inny niż jego koledzy, górował nad nimi inteligencją, łatwością zapamiętywania i tempem skojarzeń, co czuł od wczesnego dzieciństwa.

– Wchodzi następny – szepnął, śledząc uchem płynące dźwięki.

Dlaczego lubił ten utwór? Pewnie dlatego, że dziełko było apoteozą rytmu. A poza tym stanowiło wspaniałą rewie instrumentów. Te – po odegraniu solowej partii – kolejno wnikały w akompaniament. Umiał je bezbłędnie rozpoznawać.

Od kilku lat wieczorami, kiedy kładł się spać, powracała do

niego jak bumerang niepokojąca myśl, dotycząca jego związków z otaczającym go światem. Supozycja była na miarę jego młodzieńczego wieku. Ulegając ciągowi luźnych skojarzeń, oczyma wyobraźni wyławiał z mroku przedziwną ukrytą społeczność, jakby nieziemską rodzinę, która z bliżej nieokreślonego powodu zdawała się jednocześnie o nim pamiętać i nie pamiętać. W blasku dnia spychał tę dokuczliwą hipotezę do podświadomości, uważając, że jest absurdalna. Jednak teraz, kiedy zaczął regularnie otrzymywać czeki na pokaźną sumę, niby to comiesięczne stypendium, a wraz z nimi odbitkę sztychu z archaniołem walczącym ze smokiem, hipoteza przerodziła się w pewność. Rysunek bezsprzecznie symbolizował rozsianą po kuli ziemskiej osobliwą wspólnotę, która subtelnie dawała znać o sobie, nie zdradzając na razie swej tożsamości i nie wychylając się z cienia. Intuicyjnie to wyczuwał. Czyżby został wybrany? Naznaczony? Przez kogo i po co? Przez Internet szukał pierwowzoru wizerunku, sięgając do archiwów bibliotecznych na wszystkich kontynentach, ale bez skutku. Twórca sztychu nie był znany. Jak przez mgłę przypominał sobie, że gdzieś w Paryżu widział niemal identyczny motyw na portalu jakiegoś mijanego gmachu. Tylko gdzie to było? Mimo że od tygodnia ćwiczył się w odtwarzaniu swoich nie tak bardzo zawiłych tras po mieście, nie mógł rozmazanego wspomnienia skojarzyć z właściwym zakątkiem stolicy.

Przeciągnął się na łóżku, wahając się nad dzielnicą łacińską, w której symbol walczącego anioła mógł się wiązać z jakąś scholastyczną tradycją uniwersytecką. Tam wciąż natrafiał na objuczonych książkami studentów.

- Najboleśniej jest dramat wyobcowania - mruknął z żalem, zatrzymując się myślami przy pisarzach egzystencjalistach. W wolnych chwilach zagłębiał się w utwory Sartre'a i Camusa.

- Doświadczam głębokiej samotności... - ze smutkiem orzekł,

cedząc zgłoski. Niestety, nie miał z kim o tym pogadać, a mówienie do siebie nie rozwiązywało sprawy. Czytywał też inne dzieła, nie stroniąc od filozofów starożytnych i średniowiecznych.

Napięcie rosło i odzywały się kolejne instrumenty. Oglądał kiedyś to widowisko baletowe w operze i przed oczyma miał teraz skąpo oświetloną scenę. We wnętrzu hiszpańskiej gospody wzdłuż ścian siedzieli przy winie wieśniacy. Pośrodku na wielkim stole gibka dziewczyna rozpoczynała taniec. Najpierw nieśmiało, choć z godnością, miarowo. Rytm uporczywie wracał, raz po raz, a jej ruchy krzepły, nabierały pewności i śmiałości. Początkowo nie zwracający na dziewczkę uwagi zagadani goście zaczęli stopniowo nasłuchiwać, rozmowy cichły, wstawali i urzeczeni podchodzili do stołu. Jak zahipnotyzowani gromadzili się wokół tańczącego bóstwa.

- Zbiorowa magia - szepnął. - Działanie na wszystkie zmysły. I ta niebotyczna wirtuozeria ruchów. Nieziemska baletnica! Cudo!

Mimo swych siedemnastu lat nie miał dotąd dziewczyny i chyba to go najbardziej bolało. Skrycie marzył o takiej, cudownej wybrance losu. Ba, wiele razy wyobrażał sobie, że udało mu się wreszcie na taką natknąć i z nią się zaprzyjaźnić. Wyobrażał sobie, że trzymając się za ręce, włóczą się razem po wybrzeżu Sekwany, zaglądają do kafejek, muzeów i kin. Z rówieśniczek, które znał, żadna mu nie odpowiadała, chociaż chciały się z nim umawiać. On się im podobał, one jemu - nie.

- Najboleśniejszy jest dramat wyobcowania - półgębkiem powtórzył, sumując jałowe medytacje.

Muzyka płynęła, zwiastując finał, instrumentów w tle przybywało - i nagle, dosłownie w okamgnieniu, powiązały się strzępy wspomnień, przekształcając w obraz, który wykwitł w polu świadomości. To był przeblysłk geniuszu. Chłopak doznał olśnienia. Narastające crescendo zamknął obcy, mediantowo zastępczy akord.

- Ty ciężko kapująca mózgownico! - krzyknął, rozgorączkowany i przejęty. - Przecież to tak oczywiste jak dwa razy dwa!

Zerwał się z łóżka, wyłączył odtwarzacz, z powrotem założył miękkie buty, narzucił kurtkę i pędem wybiegł z mieszkania. Nie mógł doczekać się windy i na łeb na szyję zbiegł po schodach.

Miał przed oczyma ulotną scenę, która ułożyła mu się w głowie z rozsypanych niby- puzzli. Odniósł nieodparte wrażenie, że doskonale wie, na której stacji metra musi się znaleźć, żeby trafić do owego tajemniczego gmachu z baśniowej krainy Oz. Zachował w pamięci nie tylko portal z aniołem, walczącym ze smokiem. Było jeszcze coś innego. Jasnowłosa piękność należała do realnego świata, choć jej nieostry wizerunek uporczywie spychał do podświadomości, mylnie uznając, że jest utkany z marzeń sennych i niewinnych fantazji erotycznych.

- Do jasnej ciasnej - mruknął, wpatrując się w ciemniejące niebo za oknem ruszającego składu. Niecierpliwił się, dziwiąc się, że pociąg ciągnie tak ospale. Umknął myślami w nieodległą przeszłość.

Szarawe marcowe przedpołudnie nie różniło się od innych. Miał wolne i z nudów włączył się po mieście. Sterczał na przypadkowym przystanku, wahając się nad tym, jak spędzić resztę dnia. Przyhamował autobus, ona zaś lekko wyskoczyła, poprawiając długi wełniany szal. Rzuciła mu niepozbowione życzliwości kpiące spojrzenie i z wdziękiem przebiegła na drugą stronę ulicy, kierując się w nieszeroką przecznicę. Też pokonał jezdnię i niby przypadkiem ruszył za nią, nie zastanawiając się nad tym, po co to robi. Zwykle nie latał za ładnymi laskami, to było poniżej jego godności. Blondyneczka nie oglądała się za siebie, nie przypuszczała, że palant z przystanku depcze jej po piętach. Szła dość szybko i wkrótce znikła we wnętrzu dotkniętego przez czas budynku o nadwerężonych kamiennych schodach. Niby tajny agent dotarł tam za nią, z konieczności zwalniając kroku, i na tym się

skończyło. Zwierzyna umknęła myśliwemu.

Nie miał ochoty wystawać pod obcymi oknami, więc z rękami w kieszeniach leniwie zawrócił. Nadział się na dwóch turystów zza kanału La Manche, z przejęciem studiujących rozłożoną mapkę.

Nadstawił uszu, bo jeden z nich hałaśliwie się wymądrzał, perorując coś o oszustwie. – Ten obiekt, jak na to wskazuje jego architektura – kpił facet w żywe oczy – powstał w dziewiętnastym wieku. Tyle tylko, że nie ma go wcale na czarno – białej fotografii, wykonanej z tego miejsca w 1952 roku! – Pierre znał dobrze angielski. Uznał to, co usłyszał, za kiepski żart. Ale najpewniej właśnie wtedy wpadł mu w oczy motyw, którego potem długo nie mógł wygrzebać z zakamarków pamięci.

Z Montrouge do centrum było kawałek drogi. Głównkowoł, gdzie wyskoczyć, czy na stacji Odeon, czy na placu Świętego Michała. Poszukiwany budynek mieścił się nieopodal Rue de l'École de Médecine. Dotarł tam w dwa kwadransy. Smok wił się w splotach, a w jego ślepiach czaił się księżycowy mrok. Stał tam długo z zadartą głową, nie wierząc, że mu się udało. Wreszcie nabrał odwagi i wszedł po schodach, a potem z ciekawości pchnął ciężkie drzwi, które ku jego zaskoczeniu uchyliły się przed nim bez przeszkód. Dał się złapać na taką przynętę. Korytarz był słabo oświetlony, jednak ciche kroki, które stawiał, nie uśpiły czujności dozorczy. Zapaliło się słabe światełko nad kontuarem i usłyszał ostrzegawcze kasłanie.

Wiekowy starzec o z pozoru surowej twarzy miał rozbijający, wręcz dziecięcy uśmiech i wcale nie był zdziwiony obecnością chłopaka.

– Hej, czego szukasz, młodzieńcze? – zapytał na powitanie, niespiesznie do niego wychodząc. Mimo swego wieku poruszał się pewnie i żwawo, choć przy tym utykał. Miał na sobie lichą flanelową koszulę w kratkę i równie liche bawełniane spodnie. Można było odnieść wrażenie, że szczupła twarz Pierre'a nie

jest mu obca. Że dobrze zna nieletniego natręta, a co więcej – że na niego od dawna czeka. Przypominało to jakieś czary, ale młokos przecież nie wierzył w żadne magiczne sztuczki.

Zmieszał się, bo nie oczekiwał, że przyjdzie mu nagle wystąpić przed leciwym nestorem, a nie chciał się wykpić żadnym wykrętnym tłumaczeniem w stylu: „Chyba pomyliłem adres!” lub „Numer się zgadza, ale to pewnie nie ta ulica!” Czuł, że stary nie dałby się na to nabrać, i to bez wątpienia sprawiło, że postanowił zagrać w otwarte karty.

– *Bonsoir, monsieur!*⁸ – ukłonił się nieco stropiony, starając się przy tym nie stracić animuszu. A potem już śmieiej dodał: – Szedłem śladami archanioła, walczącego z apokaliptyczną bestią. Zauważyłem ten archaiczny motyw wyrzeźbiony na frontonie. A jest mi... dziwnym trafem... dosyć bliski! – to wyznanie z trudem przeszło mu przez gardło.

Starzec złożył ręce jak do modlitwy. Z podniesionymi brwiami przyglądał się uważnie jego pociągłej twarzy, jakby chcąc odnaleźć w niej znajome rysy. Potem z namysłem pokiwał głową. Wydawało się, że świetnie rozumie stojącego przed nim chłopaka i że doskonale wczuwa się w jego nastroje, wahania i niepokoje.

– Bardzo dobrze trafiłeś – stwierdził niczym owiana narkotycznymi oparami Pytia z Delf. – Strzał w dziesiątkę, bezbłędny – dorzucił z miną osoby, która się nie myli, gdyż wie znacznie więcej niż przypuszcza jego rozmówca. – Poradziłeś sobie z tym gordyjskim węzłem!

– Dzięki! – wydukał Pierre taktownie. Usiłował go sobie mimowolnie dopasować do czeków, które otrzymywał, ale nic mu z tego nie wyszło. Jego rozmówca nie wyglądał na typa z ogromnym szmałem. No, ale przecież pozory często mylą. Chociaż stwarzał wrażenie więcej niż skromnego kamerdynera, mógł cieszyć się posiadaniem konta z zawrotną ilością zer.

Chwilę tak stali, taksując się wzrokiem, a potem gospodarz zachęcającym gestem wskazał mu schody na piętro. Otoczone

pajęczyną zmarszczek oczy zabłysły raptem figlarnie.

- Ale przed tobą są następne zadania... - mruknął zagadkowo, lekko uśmiechając się pod nosem.

Pierre poszedł pierwszy, wspinając się stopień po stopniu. Chłodny marmur zdawały się przenikać dziwne wibracje, jakby budynek był tylko fasadą niezwykłego tworzywa, który żył tu własnym, niemal organicznym życiem. Pojął, że zbiegiem okoliczności trafił pod właściwy adres, więc na razie o nic więcej nie pytał. Nic mu nie groziło. Nie miał wrażenia, że ktoś mu będzie usiłował wbić nóż w plecy. Na porwanie też się nie zanosilo. Dotarli na piętro i figlarny starzec zatrzymał się przed szerokimi drzwiami. Bąknął do ukrytego gdzieś mikrofonu jakieś hasło, komputer wahał się sekundę, a potem wierzeje ustąpiły. Jednakże wyłożone wyciszającą dźwięki czarną okładziną pomieszczenie, do którego zajrzeli, wcale nie przypominało pełnego skarbów sezamu z baśni. Było właściwie puste, jeśli nie liczyć kilku stojących tam foteli. Ściany emanowały słabym blaskiem.

Starzec dostrzegł zdziwienie w oczach młodzieńca.

- To sala projekcyjna, rodzaj multikina, o ile można tak powiedzieć - wyjaśnił, zacierając ręce i jakby się wstydząc tego, że ma tak niewiele do zaoferowania. - Inna niż te, które już znasz - odchrząknął. - Chodzisz przecież na seanse holograficzne. - Przez chwilę się zastanawiał, jak to ująć. Wreszcie się zdecydował: - System jest tu nie tylko perfekcyjnie dopracowany, ale i poważnie wyprzedza epokę, więc nie bądź zaskoczony jakością obrazu... - niespokojnie zakasłał i poprawił się. - Nie tyle obrazu, co... kreowanych... hm... przestrzeni... To prawie jak w realu - dodał i z ulgą odetchnął.

Chłopak z zaciekawieniem wyciągnął się w jednym z nietypowych foteli, opierając dłonie na poręczach. Tworzywo było gładkie, również czarne i przypominające jakiś nieziemski kompozyt.

- Zgoda - rzekł bez entuzjazmu, bo w pierwszej kolejności

wolały raczej dłuższą pogawędkę rozwiewającą trapiące go wątpliwości. Chodziły mu po głowie setki pytań. Lubił wiedzieć, co w trawie piszczy. Jeżeli się wahał, to tylko króciutką chwilę.

– Obejrzę ten film! – zgodził się potulnie. – Domyślam się, że to coś edukacyjnego...

Starzec mu przyklasnął.

– Jeżeli coś nie będzie dla ciebie wystarczająco... klarowne, służyć objaśnieniami, jakżeby inaczej, po to tu jestem... – znowu zakasłał, jakby się obawiał, że nieopatrznie zrobi z siebie pośmiewisko lub że wyjdzie na pacana, który usiłuje coś ukryć.

– Jeśli czegoś nie... – wybąkał pod nosem, a później zmarszczył krzaczaste brwi. – Mało prawdopodobne – po cichu rozsądził, spuszczając głowę i zwracając się bardziej do swoich myśli niż do młodego gościa. – Wszystko dla ciebie, Pierre, będzie jasne... – wymamrotał z zaskakującym przekonaniem, odwracając się do drzwi.

Wiekowy niby- kamerdyner cicho wyszedł, pozostawiając go samego, a oświetlenie płynnie się zmieniło. Przygasło. Dopiero wtedy siedemnastolatka uderzyło, że tajemniczy staruszek zna jego imię, chociaż mu się przecież nie przedstawiał. Ogarnęła go ciemność. Przez kilka sekund nic się nie działo, a potem w jednej chwili światło eksplodowało, wypełniając ogromną przestrzeń aż po niedosięgly horyzont. Pierre instynktownie zacisnął kurczowo dłonie na oparciach fotela, lękając się, że polecą gdzieś w przepaść, wywijając w powietrzu koziółki. Ciarki mu przeszły po plecach, ale zaraz wziął się w garść. Znalazł się raptem w wysokich ośnieżonych górach – może gdzieś w Himalajach, a może w głębi innego potężnego masywu – na wąziutkiej półce skalnej o poszarpanych brzegach, tuż nad straszącą bezmiarem pionową rozpadliną. Czuł, jakby owiewał go ostry mroźny wiatr.

– Ależ technika! – wyszeptał. Zaczynało mu się to podobać.

Nie upadł na duchu i usadowił się wygodniej, nie chcąc jednak tracić fizycznego kontaktu z fotelem. Przytrzymał się lekko

porowatych poręczy. Rzeczywistość wirtualna zdawała się tutaj naprawdę nie ustępować realnemu światu, a nawet w pewien sposób nad nim górować.

- Technika... - zdawał się szeptać mu do ucha starzec, mimo że go nie było obok. - To tylko technika...

Pierre szybko o nim zapomniał, bo pochłonęły go zmieniające się widoki. Ośnieżone majestatyczne szczyty szybko uciekały w dół, bowiem niby w miniaturowym pojeździe kosmicznym chłopak wydawał się wspinać ku górnym warstwom atmosfery. Pod spodem faktycznie kurczyły się Himalaje.

- Ahoj, przygodo! - zawołał półgłosem.

Oglądana ze sporej wysokości planeta odsłaniała przed nim swą niezwykłą rzeźbę. Nigdy wcześniej nie miał przed oczyma czegoś tak urokliwego. Przestrzenie upajały. Leciał nad kontynentem azjatyckim, kierując się na południowy zachód. Słońce było w zenicie. Jak pilot wysokiej klasy myśliwca pruł na ogromnej wysokości, śledząc widoczne w dole, pokryte białymi obłokami połączenie lądu o zmieniającym się ukształtowaniu powierzchni, wreszcie błękitne wody Oceanu Indyjskiego. Daleko przed nim znaczyły się wybrzeża Afiryki. Ślizgał się w stratosferze, dziwiąc się krzywiźnie Ziemi.

Wieża Eiffla nieugięcie trwała w sercu Paryża i nic nie wskazywało na to, żeby ktoś ją miał ruszyć z posad i dźwignąć wzwyż. Nie można jej było wyrwać z korzeniami i przesadzić do innego ogródka. John Smith co rusz zerkał na nią przez okna Instytutu Historycznego, próbując wczuć się w rolę rozpychającego się łokciami przez życie bezczelnego i pyszałkowego multimilionera, któremu fuksem wychodzi taki numer. Z szumem ją nabywa i transportuje na drugą półkulę, by na mamucim ranczu, gdzieś w Teksasie, chełpić się nią przed podobnymi sobie palantami. Ciężko westchnął, bo nie miał horrendalnego szmalu, pozwalającego na takie elektryzujące

mass media idiotyczne numery. Nie mógł szastać pieniędzmi i lekką ręką wydawać ich na prawo i lewo. Wrócił myślami do sali, w której trwała narada, oglądając z uwagą swoje paznokcie. Nie dla niego były wystawione na sprzedaż pokryte palmami maleńkie wysepki na Pacyfiku. Nie stać go było nawet na prywatną awionetkę.

Szef sekcji Humberto Hill zmagał się z Hugonem Borosem, który wściekle oponował przeciw pozostawieniu zielonej maskary nad Sekwaną. Naukowiec chciał ją natychmiast porwać za ocean. Dwa podniecone koguty skakały sobie do oczu. Obaj byli nieustępliwi i zawzięci, choć jednocześnie pilnowali się, by nie przekroczyć pewnych granic. John miał wcześniej swoje pięć minut, więc podzielił się z zebranymi kilkoma hipotezami, dotyczącymi psychologicznej strony zachowań kosmicznych stworów. Poszło mu nawet gładko. Powiedział, co wiedział, a teraz usiłował trzymać język za zębami i nie angażować się w z pozoru uprzejmą, ale jednak kąśliwą wymianę zdań. Inni też przezornie milczeli. Nikt nie chciał pchać palca między drzwi.

Tyczkowaty profesor maniakalnie obstawał przy swoim, nie mając zamiaru ustąpić. Broda latała mu do góry i na dół. Fanatyk zapalił się do badań nad kosmicznym zwierzakiem, lecz z tej strony Atlantyku brakowało mu nieodzownego sprzętu. Wyniosły Hill zażarcie kontrargumentował. Wszystkich traktował jak podwładnych, nie mógł więc pogodzić się z myślą, iż ktoś ma czelność podważać jego nieomyślne decyzje. Czuł się w tym gmachu jak papież, orzekający ex cathedra. Nie znosił sprzeciwu.

Spacerował po gabinecie z założonymi do tyłu rękoma, nie przejmując się, że tamten zaciska ze złości pięści. Z arystokratyczną wyniosłością zbijał argumenty brodatego uczonego. Był większym cwaniakiem niż jego adwersarz z za Atlantyku, a poza tym technik mimowolnie wyciągnął mu z talii kartę nie do przebicia.

– Miał rację nasz kochany John, imputując, że pozostawiona

w Italii maskara będzie chciała odnaleźć swego kompana i do niego dołączyć – przedstawił swój punkt widzenia. – To dla niej sprawa przetrwania. – Niech się pan przyjrzy tej Marii Rossi, nieszczęśliwej idiotce, która wybrała się w nagłą podróż po Europie, szarpiąc się i nerwowo przenosząc koleją z miasta do miasta. Wyraźnie grawituje w naszą stronę, choć porusza się po omacku. Interesujący nas obiekt, który ją zniewolił, ewidentnie rwie się do Paryża i wcześniej czy później tutaj dotrze. To chyba jasne, ma się rozumieć, i oczywiście jak dwa razy dwa – kiedy to mówił, zacierał radośnie ręce. – Jeżeli więc zabierze pan teraz, profesorze, zwierzątko z terrarium do Nowego Jorku, skomplikuje pan to wszystko. Jak ten drugi typek z kosmosu – perorował, teatralnie udając smutek – odnajdzie tego pierwszego? No jak? Czy będzie w stanie sobie z tym poradzić? Skażemy biedaczynę na szukanie ryzykownej drogi przez Atlantyk? – zachłystywał się. – To dla nas zasadnicza kwestia. Tym bardziej że mamy już na koncie trzy trupy – weterynarza, żebraka i tego młodzieńczego fryzjera – wyciągnął przed siebie dłoń, licząc ofiary na palcach. – Niech pan pomyśli o kosztach! – usiłował przemówić mu do sumienia jak pastor na kazalnicy. – Nie ma pan serca. Czy nie lepiej poczekać na tego kapuścianego łba tu, nad Sekwaną? To idealne miejsce na pułapkę. Wpadnie w nią jak nic. I wtedy zgarnie pan obydwu stworzy. Będzie je pan miał w jednym worku...

Technikowi było naprawdę wszystko jedno, który z nich postawi na swoim. Szczwane lisy! Obaj mieli po trosze rację. Można było nie czekać, tylko zwinąć od razu tę rozkojarzoną babkę. Uczony widział to wszystko dużo prościej i oceniał sceptycznie tworzone na wyrost strategie Hilla. Znowu umknął myślami, nie chcąc słuchać jękliwego głosu amerykańskiego naukowca, który po raz kolejny zabrał się do wytaczania armat. Skupił uwagę na Alice, która go opuściła, odlatując już do USA. Skończyło się przesłodkie europejskie rendez- vous. Żegnał ją na lotnisku de Gaulle'a, skąd zabierał ją kursowy boeing do

Nowego Jorku. Miał wciąż przed oczyma łapiącą za serce scenę rozstania. Wykoncypował, że to dobry moment na oświadczenia, więc wręczył jej małe bukietki fiołków, który chował za plecami i nieśmiało spytał, czy nie zechciałaby wyjść za niego. Kiedy się uśmiechnęła, w jej policzkach pojawiły się śmieszne dołeczki. Zgodziła się zostać panią Smith, co było dla niego większym przeżyciem niż spotkanie z setką maszkar z kosmosu. Urósł we własnych oczach, doskonale wiedząc, że wszyscy mu będą zazdrościć młodziutkiej żoneczki z takim seksapilem. Zachowywał się potem jak wariujący ze szczęścia sztubak, co skończyło się niespodziewanym starciem z siłami porządkowymi lotniska. Kamery wyłowiły faceta, którego idiotyczne popisy odbiegały od normy. Nikt inny nie walił pięściami po automatach z napojami. Uratowała go przed zatrzymaniem służbowa legitymacja.

Tego dnia pojawił się u Hilla korpulentny Gustavo Calvez i czujący przed nim respekt Smith od czasu do czasu z zaciekawieniem spoglądał w jego stronę. W obliczu takiego autorytetu trudno było się nie mobilizować. Tamten jednak siedział z niezmaconym spokojem, przymknął oczy, filozoficznie przysłuchiwał się dyskusji, nie odzywał się i nie wtrącał, choć był znany z tego, że bezbłędnie trafiał w sedno, popisując się niby to mimochodem rzuconym i z pozoru błałym pytaniem. Teraz jednak stwarzał wrażenie, że nie ciekawi go nic, a myślami, podobnie jak John, był raczej gdzieś daleko. Twarz miał posępną. Wsławił się po tym, jak w deltę Amazonki uderzył niezbadanego pochodzenia meteor, będący podobno sztucznym tworem. Przyniesione zostały tą drogą z kosmosu przetrwalniki rzadkich pleśni. Te rozpleniły się błyskawicznie, zarastając całe kilometry linii brzegowej rzeki i wdzierając się w gęstą dżunglę. Calvez znalazł antidotum, pozwalające w bezpieczny sposób je zniszczyć. Od tamtej pory traktowano go nabożnie – nieomal jak supermana. Zwyciężyło bowiem przekonanie, że gdyby nie on, planeta zatonałaby w szarawo-

brunatnym błocie.

- A czy tej Marii Rosi przypadkiem nie zgubimy? - odezwał się wreszcie z roztargnieniem, sprowokowany, być może, przez Smitha. Zwrócił się z tym - o dziwo - nie do arystokratycznego Hilla, który na chwilę zamilkł, ale właśnie do Johna.

Technik z powagą skinął głową. - Baaa- czność! - szepnął mu w głowie figlarny głosik. Bawił się wyjętym z kieszeni marynarki błyszczącym scyzorykiem z kilkoma ostrzami. Błyszczące cacko należało do standardowego wyposażenia agentów sił specjalnych i kryło w sobie wiele elektronicznych sekretów, których nie powstydziliby się pewnie filmowy agent 007. Schował tę niebezpieczną zabawkę, nie chcąc, by go rozpraszała.

- Nie Rosi, tylko Rossi, nie ma co - ostrożnie go poprawił, skupiając uwagę na nierozgamiętej Włoszce, która niefortunnie weszła w drogę agresywnemu potworowi z gwiazd. Nie musiał wstawać i mówić na siedząco. - To nie tak, jak pan sądzi. Są przy niej nieodłączni jak cienie nasi chłopcy. Chodzili za nią po Mediolanie, Wiedniu i Monachium, a ostatnio po Moguncji. O ile się orientuję, towarzyszą jej w pociągu do...

- Amsterdamu - skwapliwie dopomógł mu Hill, widocznie zadowolony ze zmiany tematu rozmowy. - Chyba już zresztą tam dotarli...

- Dokładnie - wrócił do swego wątku technik. - Ona nie może nigdzie przepaść, to wykluczone. Równolegle prowadzona jest obserwacja satelitarna obiektu. To nie igła w stogu siana. Nawet gdyby ta Włoszka gdzieś się głęboko zaszyła razem z naszym kapuścianym łbem, ten typ emisji, który wcześniej wykryły nasze biostartery, pozwoli ją zawsze odszukać. I to dużo szybciej niż skradziony samochód. A tak na marginesie... - John zwrócił się do Borosa. Jakieś złe licho go podkusiło, by stanąć po stronie szefa i niemal dokładnie powtórzyć jego wcześniejsze słowa. - Przecież to pan nie wykluczył tego, że tych osobników może łączyć silna więź telepatyczna. Ten drugi będzie więc

krążyć tak długo, aż trafi tu, na Champ de Mars. Wystarczy zaczekać. A z Amsterdamu do Paryża to już dwa kroki. Jeśli się ta babka w mig uwinie – kalkulował – to będziemy ją tu mieć jutro rano, o ile jeszcze nie tej nocy...

Nieugięty Hugo Boros poczuł się pokonany. Miał wszystkich przeciw sobie. Spiorunował Smitha wzrokiem.

– Dzień lub dwa, dłużej nie będę czekał! – warknął z nutą zawodu w głosie. Wstał z naburmuszoną miną, dając do zrozumienia zebranym, że ma powyżej uszu ich towarzystwa i że zamierza ich opuścić. – Panowie wybaczą, moi asystenci będą właśnie dokarmiać naszego malucha – rzucił jeszcze i odwrócił się na pięcie. – Należy zadbać o jego menu...

Tym sposobem narada dobiegła końca i jej uczestnicy wstali z miejsc, wdając się w przyjacielskie pogawędki.

Zbliżał się znowu niż i spadało ciśnienie, więc wieczór zapowiadał się jakiś ociężały, senny i mało obiecujący. Smith się zawahał. Powinien był wspomnieć Hillowi o włamaniu do apartamentu hotelowego, ale Calvez zajął szefa, wciągając go w rozmowę, więc nie pozostało mu nic innego, jak wynieść się po angielsku. Wcisnął ręce do kieszeni, nie próbując się z nikim żegnać. Sala na piątym piętrze Instytutu Historycznego niebawem opustoszała. Wkrótce ulotnił się również Gustavo Calvez, a despotyczny Hill pozostał sam. Rozejrzał się i zatarł ręce w błogim zadowoleniu. Udało mu się przecież postawić na swoim. Zaraz jednak spochmumiał, jakby widok wieży Eiffla za oknem skojarzył mu się z czymś bardzo przykrym, a na jego wysokim, arystokratycznym czole pojawiły się dwie pionowe bruzdy.

– Jest gorzej niż źle – bąknął pod nosem, w chwilę później dorzucając przez zaciśnięte zęby kilka inwektyw pod nie wiadomo czyim adresem. Nikt nie mógł usłyszeć jego obelg, bo nikogo już przy nim nie było.

Nie spieszył się. Spokojnie uruchomił elektroniczną blokadę piętra, roztropnie pozamykał drzwi, a potem z posępną miną

wyjął ze skrytki w hebanowym blacie miniaturowy dekodery. Chwilę ważył go w dłoni. Podobnych było na całej kuli ziemskiej może około dwustu i pozwalały porozumiewać się wąskiej elicie wpływowych osobistości w sposób całkowicie bezpieczny i wykluczający możliwość podsłuchu. Rozsiadł się wygodnie za rozłożystym biurkiem i wystawił apatyczne oblicze do maleńkiej kamery. Zdecydował się na prywatną rozmowę wideofoniczną.

Przed sygnalizującym połączenie aparatem na luksusowym białym jachcie, zakotwiczonym u wybrzeży największej greckiej wyspy na Morzu Śródziemnym, Kreta, zasiadł Adam Marcel – multimilioner, spędzający latem w tamtej okolicy długie tygodnie. Z pokładu było widać światła Iraklio. Choć był mężczyzną niezwykle władczy, nie przypominał legendarnego króla Minosa, który przed przeszło trzema tysiącami lat miał ponoć panować na tej niezwyklej wyspie. Przyciągał bezpośredniością, swobodą bycia i poczuciem humoru. Był nieco podobny do Hilla i nie dziwiło nasuwające się mimowolnie przypuszczenie, że mimo różnicy charakterów są bliskimi krewnymi, a może nawet rodzonymi braćmi. Jego oczy otaczała sieć drobnych zmarszczek, a cera od ciągłego przebywania na słońcu nabrała odcienia głębokiego brązu.

– Co to? Jeszcze nie w łóżeczku mimo późnej pory? – uszczypliwie zażartował, widząc ponure oblicze Humberta na ekranie.

– Siusiu i głowa do poduszki! – doradził lekkim tonem. Sam należał do zwolenników nocnego, hulaszczego życia i nawet teraz w kapitańskim gabinecie, do którego musiał się pofatygować, było słychać dobiegające z pokładu dźwięki muzyki i głosy z lekka podpitych gości. Zaraz jednak osowiał. – No, tak, znam cię na wylot. Nie łączyłbyś się ze mną, gdyby cię coś nie gryzło...

Przy krezusie z Kreta Hill wypadał blado. Nie był opalony, a

na jego twarzy rysowało się zmęczenie. Uszło z niego powietrze niby z przebitej plastikowej piłki. Nie próbował grać roli wyniosłego arystokraty, jak to czynił w obecności podwładnych.

- Sprawy mają się źle, wręcz fatalnie - wyrzucił z siebie grobowym głosem. - Dobrze o tym wiesz. Na pewno jesteś na bieżąco informowany, więc nie mam zamiaru cię zanudzać.

Marcel roześmiał się i, gdyby nie odległość, pewnie poklepałby Hilla po plecach.

- Jasne, że wiem - potwierdził. - To dla mnie żadna tajemnica. Po naszej biednej Ziemi hasają bezpieczeństwa aprobudy. Jednakże nie obawiam się, do mnie na Kretę na pewno nie dotrą...

Humberto smętnie pokiwał głową.

- Nie ma powodu, żeby cię straszyć - cierpko odpowiedział.

- Ale wiadomo, jak to się może skończyć. Nie obejdzie się bez szukania, węszenia i przeczesywania. Będą uparcie dociekać. A kiedy odkryją, że te ograniczone zwierzaki są nosicielami ludzkich embrionów, zaczną się larum. Dopiero będzie krzyk...

- skrzywił się z niesmakiem. - Nie znoszę takich sytuacji. Lecz nie w tym rzecz. Chodzi mi o coś zupełnie innego. Dzwonię, Adamie, bo chciałbym, żebyś sprawdził... jednego z moich... eee... współpracowników, jeśli można tak powiedzieć.

Marcel zmarszczył brwi, przyglądając się agentowi z Paryża z odrobiną niedowierzania.

- Kogoś z twoich? - fuknął zdziwiony. Zaniepokoiła go ta prośba. - Człowieka czy angelosa? - zapytał.

- Nie uwierzysz, bracie, niestety, angelosa - wyjął z troską Hill, bębniąc palcami po hebanowym blacie. - Mam nieodparte wrażenie, że doszło do pomyłki i że ten... nie jest... tym, kim powinien być. Ewidentnie odstaje. Zachowuje się jak szaraczek, dziwnie podejrzanie, jest jakiś... ograniczony intelektualnie, jakby miał klapki na mózgu i wcale nie przypomina osób z naszego grona.

Magnat finansowy z Krety wpatrywał się z uwagą w oblicze

przyjaciela z Paryża. Pamięcią sięgnął w nieodległą przeszłość.

– A któż to taki? – ostrożnie sondował.

Humberto Hill chwilę się wahał, uzmysławiając sobie, że od jego odpowiedzi może zależeć czyjeś życie. Nie należało bez wyraźnej potrzeby ferować surowych wyroków.

– Numer trzysta sześćdziesiąty czwarty – to wyznanie z trudem przeszło mu przez gardło. – Nazywa się... Hans Whitehead. To mój asystent, taki nieopierzony młodzik.

Mężczyzna na luksusowym jachcie rozsiadł się wygodniej w obrotowym fotelu, zapominając na chwilę o bawiących się wesoło na pokładzie dżentelmenach z Grecji i Egiptu. Posługując się klawiaturą i wydając ciche słowne polecenia, manipulował przy komputerze, pragnąc dogrzebać się do bazy danych, zastrzeżonej dla wąskiego kręgu wtajemniczonych.

– Mam. Jasna sprawa. To chodzi o klinikę w Filadelfii – zasygnalizował po dobrej minucie. – Przywiezione przez aprobusy embriony z tymi numerami tam były implantowane – zerknął znowu na ekran wideofonu i wwiercił się wzrokiem w zmęczoną twarz Hilla. – A co się mogło stać, twoim zdaniem?

Humberto obojętnie wzruszył ramionami.

– Nie znoszę partactwa. A ktoś tam musiał coś spieprzyć. Może pomylił embriony i implantował ludzki? A prawdziwy angelos wymknął się nam spod kontroli? I przepadł bez śladu?

Multimilioner zatarł ręce.

– O, zgrozo! – rzucił. – Byłoby fatalnie, to fakt. Miało już kiedyś miejsce coś takiego, ale jakoś sobie z tym poradziliśmy – wyjawiał, lecz nie chciał się rozwodzić nad szczegółami. Skupił się i zaczął główkować. – Wiesz co?! Już wiem, jak to zręcznie rozegrać – błysnęły mu oczy. – Tego Hansa Whiteheada wyślesz pod byle pretekstem do Filadelfii, a tam go dyskretnie obejrzą, obadają i opukają. Ustalą, czy masz rację, czy nie. Bo jeśli nie, to...

Hill miał naturę zółwia, był przesadnie ostrożny, odrobinę podejrzliwy. Stąd teraz się nie kwapił, by podjąć w tak szybkim

tempie wiążącą decyzję.

– Wiesz, pośpiech jest złym doradcą. Wolałbym nie szarżować – zaczął się wycofywać. – Nie wiadomo, czy ktoś nazbyt domyślny za tym się nie kryje i czy po cichu nie depcze nam po piętach. Sądzę, że lepiej go na razie nie ruszać. Jestem zdania, że powinienesz najpierw sam dyskretnie powęszyć w tej paskudnej klinice. Może wpadniesz na jakiś ślad? Chyba że... – raptem coś mu przyszło do głowy.

– Co?

– Chyba że później podmieniono dziecko. Po porodzie.

Magnat finansowy chwilę milczał.

– Co ty? Nie sądzę, to mało prawdopodobne – odrzekł.

– Tak uważasz? – Hill odkaszlnął. – Lepiej się orientujesz w tych sprawach niż ja.

Krezus pozbierał myśli, z rozmysłem pokiwał głową i wyłączył komputer, maskując źródło, z którego korzystał. Żaden spec od wyławiania utajnionych informacji nie wpadłby na ten trop, a jeżeli by wpadł, nie poradziłby sobie z kodem i nie umiałby rozszyfrować zgromadzonych tam danych.

– Pierwszorzędnie, zajmę się tym – obiecał. Nagle sobie o czymś przypomniał. – A propos. A ile wie ten młokos? Czy wypaplałeś mu, jak wyglądają ci z Alfya Centauri?...

Humberto omal się nie zarumienił, ale śpiesznie zaprzeczył.

– Skądże, co ty? Nawet nie usiłowałem. On wciąż stwarza wrażenie, że nie dojrzał do takich rewelacji. Kilka razy próbowałem z nim poważniej pogadać, wiesz, prawie jak ojciec z dorastającym synem, ale robił takie miny, iż bałem się, że wypadłbym jak idiota. Gdybym mu ich drobiazgowo opisał, niechybnie odesłałby mnie do szpitala dla czubków. Trzyma się podejrzenie wąskiej wizji świata. I brakuje mu wyobraźni.

Magnat finansowy zachichotał, setnie ubawiony. Obaj zresztą zaczęli nagle rechotać. Powróciły im przed oczy sceny z młodości, z czasów, kiedy wspólnie spędzali letnie wakacje na zagubionym ranczu w Górach Skalistych, ćwicząc się w jeździe

konnej i ucząc się obcego, dźwięcznego i pełnego śpiewnych sylab języka wtajemniczonych. Och, niewiele osób go znało. Nie każdemu było dane mówić językami ludzi i obcych.

Rozległ się subtelny, modulowany sygnał i uchyliły się drzwi do gabinetu Marcela. Zajrzała tam śliczna laska o czarnych lśniących włosach z dumną miną Kleopatry, monarchini Egiptu. Nie miała niczego na sobie, nie licząc stylizowanej na staroegipską wążiuteńkiej spódniczki, atrapy królewskiego diademu na głowie i udrapowanej w kilku miejscach powłóczystej szarfy z lejącego się przejrzystego materiału. Rzucił się w oczy dobrze zrobiony makijaż. Unosiła w ręku kieliszek szampana i Hill pomyślał, że na pokładzie trwa pewnie jakiś zwariowany bal przebierańców.

– Och, najdroższy, rozmawiasz za moimi plecami z jakimś miłym kociakiem? Ja ci nie wystarczam? – zaszcebiotała zazdrośnie, a widząc posiwiąłego mężczyznę na ekranie wideofonu, zabawnie zatrzepotała rzęsami. – Hej ! – rzuciła mu na powitanie i mrugnęła do niego zachęcająco. – Przyłącz się tu do nas, niedźwiadku, jeżeli nie jesteś za daleko. Na pewno masz śmigłowiec na chodzie. Wiesz, jakie tu są gorące laski?

Jej niewielkie, ale kształtne piersi kusiły. Kokieteryjnie objęła Adama Marcela, uwodzicielsko tuląc się do niego.

– Innym razem – ciężko westchnął Hill, z żalem żegnając się z krezusem z Krety i przerywając kodowane połączenie.

Potem zamarł w bezruchu, wpatrując się w odległy punkt na ścianie. Zaczął bezmyślnie poprawiać krawat, wreszcie go rozluźnił. Czuł się niechciany i odepchnięty. – Kogóż on tam sprasza? – gorzko zapytał. – I co w tych ordynusach widzi? – strzepnął jakiś niewidoczny pyłek z rękawa marynarki. Skrzywił się z niesmakiem. – Zapite kurduple i te zdarte płyty – wściekle warknął, ironicznie podsumowując rozbawione towarzystwo. W końcu oklapł, blado się uśmiechnął i po chwili namysłu z rozwągą pokiwał głową. – Starzeję się, w tym rzecz, ani chybi... – mężnie wychrypiał, nad wyraz szczerze oceniając

siebie. Zamruczał jeszcze coś niewyraźnie, czego nikt by nie zrozumiał. Ukrył dekodek i ciężko podniósł się zza biurka.

Wydawało się jej, że stąpa po zawieszanej wysoko chybotałej linie cyrkowej, z najwyższym trudem utrzymując równowagę. Nie, to nie była chwiejna lina. Rozhuśtana do niemożliwych granic wyobraźnia odmawiała kobiecie posłuszeństwa. Obrazy były niejasne, wirowały, mieszały się, nakładały na siebie i niczego jej nie mówiły. Nie wywoływały żadnych pokrzepiających skojarzeń. Lękliwie wtulona w kąt, niemal zwinięta w kłębek jak zaszczute lub poranione zwierzę, kryła się w cichej poczekalni na półpiętrze, rozpaczliwie łudząc się, że otrzyma dodający jej otuchy znak z ciemnego nieba. Jednak było ono ponuro zasnute, a upragnione światło znikąd nie docierało. Nikt nie chciał podać jej ręki. Żadne poirytowane bóstwo nie zamierzało się jej objawiać i udzielać rad. A wystarczyłoby drobny gest, nieledwie skinienie, tylko pokazanie kierunku. Jeżeli gdzieś w pobliżu pojawiały się na krótko jakieś istoty wyższego rzędu, to na pewno miały gniewnie zasznurowane usta i nie kwapiły się, by pospieszyć jej z pomocą. Ogromny hol z podpierającymi strop kolumnami o tak późnej porze świecił już pustkami. Kto miał wybrać się w drogę, dawno to uczynił. Chyba że musiał jechać nocą. Co jakiś czas dobiegały ją melodyjne głosy z niewidocznych głośników. Te nieregularnie powtarzające się dźwięki były dla niej jedynym punktem odniesienia. W kilku językach zapowiadano przyjazdy i odjazdy pociągów. Pamięć wyciekała z niej jak z dziurawego naczynia i kontury kontynentu rozmywały się jej przed oczyma. Pozostawała tylko pogmatwana sieć biegnących donikąd torów i niejasnych połączeń kolejowych.

– Do Kopenhagi – szepnęła trwoźnie. – Nie, nie tam! – zdecydowała po chwili, bezradnie trzepocząc rękami.

Mimo że okrągłutki dzień strawiła na podróży, a teraz już zbliżała się północ, nie połakomiła się na dłuższą drzemkę, która by ją pokrzepiła. Nagła potrzebą schronienia się w przytulnym miejscu była silniejsza niż cokolwiek innego. Nie opuszczał jej strach. Tkwiła w jego mackach i w potwornym napięciu czekała na jakiś werdykt. A na co konkretnie? Tego nie wiedziała. Ogarnięta przerażeniem, z niepojętą determinacją wybierała na oślep kolejne międzynarodowe trasy i szybkie luksusowe składy, rzucając się po Europie jak ryba wyjęta z wody. Utraciła wreszcie siły i utknęła w Amsterdamie. Nie oddalała się jednak zbyt od łatwego do zapamiętania budynku Centraal Station. Coś sprawiło, że zdecydowała się na króciutką przejażdżkę tramwajem wodnym po najbliższej okolicy. W wodzie odbijały się ukiyte za koronami drzew doskonałe architektonicznie fasady patrycjuszowskich kamienic, kupieckich kantorów, spichlerzy i dawnych magazynów, lecz jej zmęczone oczy tego nie widziały. Uderzająca ornamentyka poszczególnych budowli z różnym kolorem cegły, w odcieniach różu, błękitu, fioletu i szarości, nie wywołała w niej żadnych estetycznych skojarzeń.

Niejasno pamiętała chwilę, w której spadł na nią ten straszny koszmar. Coś odpychającego i wstrętne zwaliło ją z nóg, pozbawiając na krótko przytomności i gasząc w niej radość życia. Otaczający ją jasny świat, w którym czuła się tak dobrze, niespodziewanie oddalił się i rozmył, zamieniając się w mylącą zmysły iluzję. Rozprysł się jak rzucone o ziemię zwierciadełko. Okazał się urojeniem i nie miał już nigdy powrócić. Opuściła zalany słońcem park, a w nim maleńką słodką istotkę, która tak ją cieszyła, ale jakiś uporczywy głos, który wciąż w sobie słyszała, uprzytamniał jej, że nie popełniła błędu. Ściągał jej myśli ku temu, co kryła w sobie. Szeptał, że prawdziwe dziecko, nie fałszywe, nosi dopiero w swoim łonie. Ledwo wyczuwalne ruchy, wyrrywające ją od czasu do czasu ze stanu stagnacji, unaoczniały jej, że faktycznie jest przy nadziei.

Poczuła raptem niby- szarpnięcie. Ocknęła się z lękliwego półsnu, pojmując, że dzieje się coś niedobrego, a narastające raptem wrażenie zagrożenia zmusiło ją do gorączkowego działania. Szybko się podniosła i bezradnie rozejrzała. Schludna holograficzna tablica informowała, że skład do Paryża przez Liège i Brukselę zgodnie z rozkładem jazdy ruszy za kilkanaście minut. Serce w niej płochliwie załomotało, podpowiadając dalszy kierunek ucieczki. Nie mogła zostać w poczekalni, tu nie było bezpiecznie.

- *Parigi, Parigi, tante grazie!*⁹ - szepnęła do siebie, przyciskając do piersi wymiętoszoną skórzaną torebkę z frędzlami, w której trzymała karty - identyfikacyjną i kredytową oraz zwitek banknotów. - Muszę dostać się do Paryża...

Z antresoli zeszła po schodach na dół, ostrożnie stąpając po posadzce. Wyglądająca na pięćdziesiątkę miła kasjerka podsunęła jej bilet, inkasując należność i wydając resztę. Przyjaźnie rzekła coś po niderlandzku, ale Włoszka o nieprzytomnych oczach jej nie zrozumiała. Dwaj postawni mężczyźni, z nudów przeglądający wystawione na sprzedaż czasopisma, obrzucili się wymownymi spojrzeniami, a potem dali dyskretnie znak innym, sterczącym dalej, obok niewielkiej ekspozycji z tulipanami. Tamci przestali sennie podpieierać kolumnę i raptownie się ożywili. Chętnych do podróży wybraną przez Włoszkę trasą w ostatniej chwili przybyło. Wymęczona do ostatka powoli przeszła korytarzami na zadaszony peron z wysokim półkolistym halowym sklepieniem, a tam poczuła na twarzy powiew nocnego wilgotnego powietrza. Skład czekał, a zapobiegliwy konduktor usłużnie podał jej dłoń, pomagając pokonać uciążliwy stopień. Przy okazji jednym okiem zerknął na bilet, który gmiotła w rękę, sprawdzając, dokąd się wybiera. Biegle mówił po francusku i solennie obiecał, że gdyby zasnęła, postawi ją na nogi przed końcem podróży. Zżyci z sobą faceci, którzy nabrali nagle ochoty do wojaży, trafili do tego samego wagonu, co ona. Deptali jej po piętach. Jeden z nich, niby to

rozkojarzony i lekko podpity, zagadał w przejściu do Marii, zwracając się do niej najpierw po niderlandzku, a potem po angielsku. Nie zareagowała na zaczepkę, zupełnie go ignorując. Pozostali chwilę jeszcze rozprawiali z konduktorem. Oświetlony pusty przedział wydawał się ją zapraszać i zatrzymała się w nim, zaraz po wejściu włączając telewizor. Drzwi były oszklone i otwierały się na fotokomórkę. Klimatyzacja sprawnie działała, mimo to czuła, że jest jej za gorąco. Skorzystała z regulatora i obniżyła gałką temperaturę.

Tamci byli pewni siebie, hałaśliwi i rozgadani, jakby pracowali w tej samej firmie. Zdecydowali się na następny czteroosobowy przedział, tuż za plecami Włoszki, ale kiedy zajęli w nim wreszcie miejsca, podejrzenie przycichli. Jeden z nich wyszedł zaraz na korytarz, warując przy oknie. W telewizji nadawano nieciekawą program. Maria przełączała stacje, zatrzymując się wreszcie przy transmisji z jakiegoś galowego koncertu w filharmonii. Muzyka poważna działała na nią uspokajająco, więc wyciągnęła się wygodnie, przygasiła światła i z ulgą przymknęła oczy.

Pociąg cicho ruszył. Młody kelner z wagonu restauracyjnego popychał wózek z kanapkami, słodyczami i napojami. Ani chybi był Turkiem. Zatrzymał się przy jej przedziale, unosząc dłoń i przesuwając ją przed okiem fotokomórki. Oszklone drzwi rozsunęły się do połowy.

- Podać coś? - zapytał.

Pomyślała, że powinna się czegoś napić. Od rana niczego nie miała w ustach.

- Butelkę soku pomarańczowego, poproszę - wyszeptała błagalnie. Głos z trudem przeszedł jej przez gardło. - Niech będzie chłodny.

Kelner w białym uniformie wyglądał dosyć poważnie, nie mógł mieć jednak więcej niż jakieś dwadzieścia pięć lat. Włożył butelkę na trzydzieści sekund do mikroelektrycznego termoforu. Kiedy ją wyjął, na szkle było widać kryształki lodu.

Otworzył ją i podał wraz z kubkiem. Przyjął banknot i w milczeniu wydał resztę. Chwilę zabawił przy następnym przedziale, serwując piwo, a potem rozpląnął się w głębi korytarza.

Ostrożnie skosztowała napoju, który przyjemnie ochłodził jej spieczone wargi. Napięcie nie ustawało i nareszcie pojęła, że z jej równowagą termiczną dzieje się coś złego. Zerknęła na przegub dłoni. Telefon miała wyłączony, więc nikt nie mógł się z nią skontaktować, zresztą tego nie oczekiwała. Przełączyła przytwierdzony do bransolety aparat na obsługę medyczną i w popłochu odkryła, że czerwone punkty automedu jarzą się pulsującym światłem, jakby była obłożnie chora. Wykoncypowała, że to skądinąd przydatne urządzenie musi być zepsute. Wychyliła duszkiem kubek soku i wtedy stało się coś strasznego. Nie mogąc złapać tchu, w panicznym lęku zerwała się na równe nogi. Żołądek stwarzał wrażenie zakorkowanego, a sok prysnął fontanną z ust na ściankę z telewizorem. Opuściła przedział i pobięła sprintem do toalety, czując, że łapią ją torsje. Przywidziało się jej, że w jej ciele skryła się dziwna obca istota, której napój pomarańczowy zupełnie nie podchodzi. Coś jej mówiło, że powinna była postarać się raczej o butelkę oliwy, ale to nie miało najmniejszego sensu. Pochylona nad białym sedesem przeżywała makabryczne chwile. Jednak nie zwymiotowała. Spokojny, oddalony głos zdawał się cierpliwie jej tłumaczyć, że takie sensacje nie są czymś niezwykłym w ciąży. Perswazja wydawała się całkiem na miejscu. Po kwadransie srodze wymęczona wyszła z ubikacji.

Ten sam młody Holender wystawał nieopodal toalety, przyglądając się jej z wielkim niepokojem. Nie wyglądał już na podchmielonego.

- *Lefa male qualcosa?*¹⁰ - zapytał zyczliwie. Okazało się, że zna włoski. - *Forse aiutarLa?*¹¹ - Obrzucił wzrokiem jej raczej szczupłą sylwetkę, wszelako wstydliwie omijając brzuch.

- Nie, dziękuję - odszepnęła z grymasem bólu na twarzy.

Wróciła do przedziału, wyłączyła telewizor, wtuliła się w miękkie siedzenia i znieruchomiała. Starła się zasnąć. W Brukseli wyjrzała sennie przez okno. Pociąg stał na prawie pustym peronie, chyba na Gare du Midi, a pracownicy dworca kierowali nielicznych nocnych pasażerów do innych wagonów. Ten, którym jechała Maria Rossi, stwarzał wrażenie zarezerwowanego. Potem znowu się zdrzemnęła, a gdy się wreszcie ocknęła, stał już nad nią konduktor.

- Za osiemnaście minut będziemy na Gare du Nord, madame!
- oznajmił, przyglądając się jej z odrobiną zdziwienia.

Nie odpowiedziała ani słowem. Spojrzała łakomie na opróżnioną do połowy butelkę z sokiem, ale nie odważyła się napić drugi raz. Przeplukała tylko usta.

Siąpnął deszcz, mimo to zdecydowała się wyjść przed dworzec. Nie zeszła do stacji metra. Nic sobie nie robiła z tego, że nie ma parasola. Krople dżdżu chłodziły jej czoło i policzki. Obejrzała stojące jedna za drugą miejskie taksówki, jednakże jakiś nieuchwytny impuls sprawił, że w dalszą drogę wybrała się piechotą. Zagłębiła się w nocny mrok. Dotrzymujący jej w pociągu towarzystwa agenci z Amsterdamu nadal deptali jej po piętach, hałaśliwie rozprawiając. Nie mieli zamiaru się od niej odczepić i nie kryli swojej obecności, ale tym się zupełnie nie przejmowała. Niczego od niej nie chcieli. Omijała kałuże. W pewnej chwili ruchy w brzuchu się nasiliły, a jej maleństwo zaczęło się wyraźnie z czegoś cieszyć. Uspokoila ją napływająca raptem myśl, że jest szczęśliwe i że już wkrótce będą oboje bezpieczni.

Przeszła ulicę i znieacka się zatrzymała. Tamci utknęli gdzieś z tyłu. Ukryta w mroku sporawa ciemna furgonetka miała znaki pralni chemicznej. Dziecię w jej łonie zdawało się wyciągać małe rączki do wehikułu, którego drzwiczki z tyłu zachęcająco się uchylały.

- Nie rób tego. Proszę nie wsiadać! - rozległo się

ostrzegawcze wołanie. Wlokący się za Włoszką faceci nagle uderzyli na alarm.

Było jednak za późno na jakąkolwiek interwencję. Maria Rossi ich nie posłuchała i szybko skryła się we wnętrzu, odczuwając niewymowną ulgę. Miała wrażenie, że jej cherubinek klaszcze z radości w maleńkie pulchniutkie dłonie. Na ułamek sekundy zabłysło słabe fioletowe światło, odsłaniając niewyraźne postacie w laboratoryjnych kombinezonach, które mocno ujęły ją pod ręce. Drzwiczki się zatrzasnęły, a w chwilę później, po uderzeniowej dawce środka nasennego, ogarnęła ją błoga ciemność.

Brutalnie ściągnięty z łóżka, wodził mętным wzrokiem za pyszałkowatym szefem sekcji, który z założonymi rękami kroczył tam i z powrotem, niecierpliwie czekając na maruderów. Czuło się niepokojące napięcie i agenci byli podminowani. Burza wisiała w powietrzu i aż się iskrzyło. A minęła dopiero siódma rano. Półprzytomny i zaspany John poziewywał w rękaw, kątem oka zezując w okno. Nie chciał ulec panice. O tak wczesnej porze wieża Eiffla mogła mu się kojarzyć tylko ze sterczącym pod kołdrą fallusem. Marzyła mu się filiżanka mocnej, parującej kawy. Zmuszono go do pośpiechu, wysyłając po niego służbowy wóz i przed wyjściem z hotelu przy Avenue de New York nie zdążył wypić codziennej małej czarnej. Po nocnym incydencie ogłoszono natychmiast stan gotowości i kogo się tylko dało, postawiono na nogi. Ryba sprytnie wyslizgnęła się z sieci i gdzieś przepadła dosłownie w ostatniej chwili. Przyszło mu do głowy, że najchętniej poszedłby na koniec korytarza, żeby tam przykleić się do kuchennego ekspresu, wiedział jednak, że taki manewr mógłby się okazać fatalny w skutkach. Nie chciał wkurzać szefa. Dla przyzwoitości trzymał na kolanach laptopa, ale to, co pojawiała się na ekranie, wydawało się nie robić na nim żadnego wrażenia.

- I co? - spiesznie rzucił Humberto do specja z pionu operacyjnego, który właśnie się wtoczył do sali odpraw. Wcześniej wpadł tu wysoki facet ze śmiesznym wąsikiem i zabawną apaszką na szyi, konspiracyjnie szepnął coś Hillowi do ucha i zaraz się zmył.

Tamten usiadł i usiłował opanować meczącą go zadyszkę.

- Zrobiłem, co się dało - zaczął. - Ta furgonetka mogła rzeczywiście mieć znaki pralni chemicznej z tej popularnej sieci w Paryżu, lecz właśnie ustaliliśmy, że wozu z takim numerem rejestracyjnym nie trzymają w garażach. Zresztą, nie zgłosili też kradzieży. Mają u siebie porządek i byli niezmiernie zdziwieni, że o to pytamy i że wyrywamy ich z łóżek.

Zapadło znowu złowróżbne milczenie.

- A co z obserwacją satelitarną? - zainteresował się brunet, który wszedł niemal równo z tamtym i przysiadł w drugim rzędzie krzeseł. Był chyba z departamentu policji. Alert sprawił, że grono osób wtajemniczonych w bieg rzeczy gwałtownie się poszerzyło.

Pytanie było skierowane do Johna i gdy wszyscy wlepili w niego gały, wreszcie to do niego dotarło.

- Niestety... Eeee... To znaczy... - poderwany do odpowiedzi Smith usiłował się połapać w wymykających mu się faktach. - Satelita utracił... kontakt z obiektem... dokładnie o... - nieporadnie utknął. Mignęło mu to przed chwilą przed oczyma, ale nie wbił sobie w pamięć. - Emisja urwała się zaraz po tym, jak Maria Rossi znalazła się w furgonie - objaśniał, cedząc słowa w ślimaczym tempie i wpatrując się w monitor. Nieskładnie improwizował. - Musieli tam mieć, kurczę blade, we wnętrzu, złożony system ekranowania obiektu - snuł domysły, prawie nie kontrolując tego, co mówi. - Ale kto sobie w tak piorunującym tempie z tym poradził? - raptem się zdziwił. Wydawało mu się, że był jedyną na tym globie osobą, mającą dostęp do wzoru emisji. Potem przeszło go jak błyskawica bolesne wspomnienie chwili, w której odkrył, że

zwędzono mu dyski z apartamentu. Sam wszystko spieprzył i nie powinien był mieć do nikogo o to pretensji. A poza tym teraz już było za późno, żeby się do tego przyznawać i ze skruchą bić w piersi. – A jeżeli tak, jeśli obiekt ekranowano, to może oznaczać jedynie – z żelazną konsekwencją kontynuował – że porwanie Marii Rossi nie było żadnym przypadkiem. Uczynił to ktoś albo od nas, albo z jakiejś innej firmy – na przykład... z ośrodka naukowego, w którym badania nad penetracją kosmosu są bardziej... eee... zaawansowane...

Hill wściekle się skrzywił, słysząc te ostatnie słowa. Łypnął złym okiem na technika. Nadał się, poczerwieniał i wydawało się, że za chwilę eksploduje.

– Czy ty masz równo pod dachem? – zabalgotał, mając nareszcie na kim wyładować swój gniew. – Żeby cię pogięło! Bierzesz nas za kretynów? Robisz idiotę z siebie czy z nas? – kipiał, rugając agenta. – Nie częstuj nas tanimi domysłami – ostrzegł ze złością.

– Przecież to wszystko wysrane z palca...

Smith się najeżył. Bronił swego, choć już z mniejszą werwą.

– Kto ją więc porwał? Krasnoludki, czy co? Jak dotąd, nie włóczą się nocami po ulicach Paryża...

Hill poprawił wzorzysty krawat przy czarnej koszuli. Wyprowadzony przez technika z równowagi, usiłował złapać oddech.

– Tylko spokojnie, koleś, tylko spokojnie – przywoływał go do porządku, równocześnie próbując zapanować nad sobą. – Nie wpieprzaj mnie dziennikarskimi sensacjami. Nie pracujemy w gazecie. Od tego tu, kurczę, jesteśmy, żeby dojść do tego, co się stało. Wszyściutko po kolei. Najpierw musimy ustalić, co jest stuprocentowo pewne, a dopiero później decydować się na ostrożne wnioski. Zero emocji...

Hans Whitehead, który dotąd przyglądał się technikowi z odrobiną pogardy w oczach, dorzucił swoje trzy grosze.

– Nigdy wcześniej – jak wiemy pudełek szczeknął za szefem.

Wbrew przypuszczeniom zebranych, John wcale się nie wku-

rzył. Bojaźliwie podkulił ogon i wycofał się z zajętego stanowiska. Nerwowo pogładził szybko ogoloną brodę, jakby chcąc się upewnić, że nie pozostawił gdzieś widocznego zarostu.

- Dobra, przeholowałem. Nie nawykłem do pracy o tak wcześniejszej porze - omal jawnie nie ziewnął. - A poza tym ta zmiana czasu... W Nowym Jorku jest teraz... - zerknął na przegub dłoni.

- Boże drogi, tam sobie smacznie śpią!

Pupilek szefa sekcji czuł rosnącą przewagę. Widział słabość Hilla, który dotąd wyraźnie faworyzował Johna, licząc się z jego sądami - i było mu to nie w smak.

- Nie masz za wiele do czynienia z działaniami operacyjnymi - odważył się wytknąć Smithowi. Gówniarz jak szef założył ostentacyjnie nogę na nogę. - Godzinami wysiadujesz w biurze, a to trzeba trochę poganiać po ulicach - próbował go dobić.

- No, no, opanuj się! - wtrącił się Hill, hamując jego zapędy.

- Nikt cię, chłopcze, nie prosił o pomoc.

Nie było się o co sprzeczać. Młoda Włoszka znikła z pola widzenia satelity i czujników chłopców z ochrony. Tyle na pewno John wiedział i chcąc nie chcąc, musiał się pogodzić z tym faktem. Zasznurował usta, przysłuchując się temu, co mieli inni do powiedzenia i ożywił się dopiero, gdy wniesiono kawę. Cholerny Humberto o tym pomyślał, wydając ciche polecenie, za co John był mu ogromnie wdzięczny. Wybrał dużą filiżankę, sypiąc dwie czubate łyżki cukru. Z mleczka zrezygnował. Pociągnął łyk i poczuł, że wraca mu energia.

- No i co? Lepiej?! - szef sekcji niemalże po ojcowsku do niego się uśmiechnął.

John nieoczekiwanie wyobraził go sobie stojącego przy ołtarzu w brązowym habicie zakonnym. Ten palant umiał być. przesympatyczny, o ile nachodziła go na to ochota. Niestety, zdarzało mu się to nader rzadko.

- Lepiej - odrzekł, sadowiąc się wygodniej.

- Co więc mogło się stać z tym kosmicznym draniem? - wrócił do porzuconego tematu Humberto, spoglądając łaskawie na

technika. – Zapadł się pod ziemię? Tak czy nie?

Smith zmieszał się nagle. Wróciła mu przed oczy scena z supermarketu na północy Włoch. Tam maskara faktycznie uciekła pod ziemię. Hipoteza szefa, zawarta w rzuconym mimochodem pytaniu, wydała mu się nagle nadzwyczaj przekonująca i westchnął, godząc się z tym, że Hillowi zdarza się być przenikliwym. Tamten jego waleta przebił asem. Powinno mu było od razu przyjść do głowy, że obcy znieścacka powtórzy wcześniejszy manewr i że ukryje się głęboko, robiąc w lochach Paryża za upiora Luwru lub strasząc w Bastylli. Mógł przebić się jeszcze głębiej i niczym kret węszyć za tłustymi pokładami ropy naftowej.

– Faktycznie, to możliwe – wydukał. – I prawdopodobne. – Bił się ze skruchą we własne piersi. – Jeżeli się zapadł, to wcześniej czy później wróci na powierzchnię, do światła i ludzi, nie ma co.

Hill ciągnął dalej z dumą swą odkrywczą myśl.

– Zapadł się, ale czy sam? A co z Marią Rossi?

Smith powolutku dopijał kawę, rozglądając się za następną wolną filiżanką. Wzruszył ramionami.

– Mógł przepaść razem z nią, a cóż to za kłopot. Przecież miał to figlarne narzędzie do transformacji materii – wyjawiał, marszcząc brwi. A potem dodał: – Należy wydać polecenie naszym chłopcom, żeby obstawili miejsce zniknięcia kamerami i czujnikami. No i trzeba wzmóc satelitarną obserwację Paryża i okolic, ze szczególnym uwzględnieniem tego dworca kolejowego. Mogą tam oboje gdzieś być, w pobliżu Gare du Nord. A poza tym niewykluczone, że wyczuwając kompana, ten kapuściany łeb wynurzy się już tutaj, w podziemiach Instytutu Historycznego – ostrożnie przewidywał.

– Może wyskoczyć z piwnic i narobić rabanu...

Odniósł nieodparte wrażenie, że zebrani przyglądają mu się z taką uwagą, jakby był przytarganą z buszu i reprezentującą bardzo rzadki gatunek barwną papugą. Nie przypominał jednak gadającego ptaka w złotej klatce. Znalazł wreszcie drugą

filiżankę kawy i ulegając podszeptom muz, które zdawały się frygać koło jego głowy, pomknął myślami ku Alice. Zapragnął ją znowu ujrzeć i zamknąć w ramionach. Był rozkojarzony, rozproszony i nieuważny. Zaczynało do niego docierać, że bardzo trudno pogodzić odpowiedzialną pracę w tajnych służbach z gwałtowną i niepohamowaną miłością. Obie były niesamowicie wymagające i nie znosiły konkurencji.

Hans starał się zachować spokój, ale z podniecenia waliło mu głośno serce. Coś arcyciekawego się kroilo. Nieomylnie odgadywał, że czeka go ekscytujące zajęcie, bowiem łysy typek z recepcji niespodzianie poderwał się na jego widok i zamasyście wyskoczył z kantorka, wołając za nim i energicznie zatrzymując go przy wyjściu. Kazał mu zawrócić i bez zwłoki zgłosić się u Hilla. Chłopak nie dał się prosić, nie pytał o szczegóły i w te pędy pognął do windy. Bomba poszła w górę, a nos go zwykle nie mylił. Taki alert zdarzał się nieczęsto. Szefa nie zastał już jednak na piątym piętrze i odesłano go do ponurych piwnic. Skwapliwie tam zjechał, zaintrygowany tym, co go czeka. W podziemiach Humberto rzadko kiedy bywał i młokos nie pojmował, dlaczego właśnie tam ma z nim się spotkać. No, ale takich rzeczy się nie dochodziło. W prawym skrzydle po renowacji mieściło się zakurzone archiwum, lewe natomiast służyło bliżej nieokreślonym celom i lepiej było nie domyślać się, jakim. Ugrzęznąć w nim nie było bezpiecznie.

- Co za szajs! Nie wiedziałem, że tu takie lochy - mruknął do siebie, kiedy tam się zagłębił.

Korytarze były wilgotne i ciemne, punkty świetlne osłonięte metalową siatką, a grube przewody elektryczne biegły wierzchem po chropowatej powierzchni poczerniałych murów. Powoli szedł, kierując się wymalowanymi białą farbą znakami. Tu czas jakby się zatrzymał. Surowe ściany nielicznych pootwieranych cel zdawały się posępnie kontemplować rozpaczliwe krzyki skazańców. Mimochodem zajrzał do jednej z nich i poczuł zimne mrowienie na plecach. Nie chciałby się

tam znaleźć w roli więźnia. Znalazł szefa w niby- bunkrze, odgradzonym od korytarza ciężkimi, żeliwnymi drzwiami. Centralną ścianę zdobił moduł przedpotopowej stacji łącznościowej, która dziwnym trafem jeszcze działała.

Przysiadł na chłodnej kamiennej ławie, przyglądając się bossowi, który w skupieniu majstrował przy łączach. Wyciągał szyję, próbując połapać się w tym zza jego pleców.

Hill się w końcu obejrzał. Czuł się jak u siebie w domu.

- Wyobraź sobie, odnieśliśmy sukces! - rzucił z dumą do młodego asystenta po krótkiej chwili milczenia. - I to nie było takie łatwe. Ujęliśmy drugiego aprobata.

Wiadomość była rzeczywiście podnosząca na duchu i Hans nie krył aplauzu.

- Należą ci się brawa, można było przewidzieć, że przeskoczysz tę poprzeczkę. Jesteś mistrzem w swoim fachu. Ale kto na nim położył łapę? - zapytał. - My, aniołki, czy oni, czyli siły specjalne?

Humberto głośno się roześmiał, odsłaniając białe zęby. Zostawił na chwilę w spokoju rozłączone przewody.

- Dobrze sobie! Gdyby go mieli nasi pojebani agenci, nie prosiłbym ciebie o pomoc.

Chłopak potrząsnął furą jasnych włosów i pobiegł myślami ku technikowi zza Atlantyku. Dzięki krasomówczym popisom szefa poszukiwania zostały skierowane na z gruntu fałszywy trop. Hill był doskonałym aktorem i potrafił sprytnie manipulować ludźmi. Siedział mocno w siodle i pociągał za sznurki.

Hans poczuł się raptem zobligowany do samodzielnej oceny sytuacji. Zmarszczył czoło w wysiłku, znamionującym wyteżoną pracę umysłu.

- Rozumiem, że skoro się z tym już uporałeś, jak przystało na orła, to do odfajkowania zostało tylko jedno. Coś należy z tą poczwarą zrobić. Tylko co? Zatłuc ją? Nie mam pojęcia.

- Uuu... Jak to, co? - impulsywnie zareagował szef, okazując swoje niezadowolenie. - Przecież po to cię tu wezwałem,

chłopie. Nie kojarzysz? To zadanie w sam raz dla ciebie. Sądziłem, że od razu na to wpadniesz... – odchrząknął. Na chwilę zamilkł, z uwagą wpatrując się w ścianę. Stracił sporawego pająka, który lał po przewodach, pochylił się i rozgniół go czubkiem półbuta. – Nieszkodliwy, ale wyglądał jak tarantula – mruknął usprawiedliwiająco. Potem zerknął na asystenta. – Aprobusa należy dyskretnie przetransportować do Filadelfii. I to bezzwłocznie – orzekł. – A ty, młody człowieku – wskazał na blondyna brudnym palcem – będziesz osobiście nadzorował tę operację. Nie zawalisz. Idealnie się do tego nadajesz.

Słowo „operacja” zrobiło na chłopaku wrażenie.

– Faktycznie, nie wpadłem na to – ożywił się natychmiast. – Przecież to oczywiste. Zważywszy na to, co targa w tej kangurzej niby- kieszeni. Bardzo chętnie pojedę. Ale kiedy?

Hill uporał się już z ostatnim przewodem i zaczął wycierać ręce w jakąś leżącą tu szmatę.

– Wychodzimy! – rzucił. – Nic tu po nas.

Wynieśli się obaj z bunkra, który szef zatrzaskał z hukiem. Szczęknął ukryty zamek. Ciężkie drzwi poruszały się lekko, bo ktoś zadbał, by były dobrze naoliwione.

– To kiedy? – Hans niecierpliwie domagał się wyjaśnień.

Humberto pokazał mu ręką drogę.

– Liczy się czas, jeszcze dzisiaj, za jakąś godzinę – powiedział z pogodną miną. – Musisz się szybko ogarnąć. Udasz się do kliniki świętej Katarzyny, a tam stawisz się u profesora Duquoca, którego zresztą świetnie znasz – instruował chłopaka. – Masz przygotowaną legendę i odpowiednie papiery. Oficjalnie będziesz odstawał organy do przeszczepu. Chodzi o bardzo rzadko spotykaną grupę krwi, oraz o nerkę i wątrobę dla kogoś, kto ma poważne kłopoty immunologiczne. Czegoś takiego nie mają akurat po drugiej stronie Atlantyku, mimo że z powodzeniem klonują narządy. Oczywiście, to priorytet. Na sygnale ambulans dotrze na lotnisko de Gaulle’a, a stamtąd

zabierze cię przygotowana już do lotu sanitarna maszyna, która natychmiast wystartuje, korzystając z uprzywilejowanego korytarza powietrznego. W drodze będzie ci towarzyszyć dwóch zaufanych sanitariuszy...

Przy tych ostatnich słowach stracił nagle równowagę i zabrakło mu tchu, więc na sekundę oparł się ramieniem o nagi mur.

Chłopak tego nie zauważył. Zaświeciły mu się oczy.

- Genialnie! - huknął i z zapalem zatarł dłonie. Szykowała się przygoda, o jakiej marzył. Podnieciła go perspektywa nagłej podróży i nią się upajał. Potem zerknął na Humberta, który zrobił się dziwnie blady. - Kławo, że mnie tak cenisz. I wyróżniasz. Wierz mi, na pewno cię nie zawiodę!

Tamten jednak nie widział szczególnego powodu do radości, a żywiołowa reakcja gówniarza wydała mu się odrobinę przesadzona. Cóż, był starszy o kilkadziesiąt lat. Spuszczał go właśnie z obroży jak wyprowadzonego na spacer rozsadanego energią czworonoga.

- Wiesz co? - rzekł po chwili pozorowanego namysłu. - Przyszło mi właśnie do głowy... Mógłbyś tam zostać ze dwa, trzy dni - wspaniałomyślnie zdecydował. - Bogiem a prawdą tu i tak nie czeka na ciebie nic pilnego. Jakoś się obejdem bez ciebie.

Hans nie krył szczęścia. Los uśmiechnął się do niego. To był szczyt jego marzeń. Wyprzedził Hilla o dwa kroki, ustępując drogi posepny i małomównym pracownikom z pierwszego piętra, którzy także zeszli na najniższą kondygnację Instytutu Historycznego, za czymś tam węsząc. Ich ponure gęby wymownie wskazywały na to, że są specami od mokrej roboty.

- Kapitalnie! - rzucił, kiedy ich minęli. - Nie sądziłem, że znowu będę na Wschodnim Wybrzeżu. Tyle boskich rzeczy jest do obejrzenia w Filadelfii... - nadawał jak najęty. Miał zamiar wyliczyć wszystkie po kolei, ale pojął, że Humberta to nie będzie zajmować. - Jeszcze raz: dzięki! - dorzucił.

W windzie był wyraźnie uskrzydłony. Wsiadł w holu i nie-

mal pofrunął do wyjścia, by bezzwłocznie zająć się zleconą mu pilną misją. Hill zaś dotarł na piąte piętro. Wtłoczył się za swoje biurko z brudnymi łapskami i znieruchomiał. Popadł w głęboką zadumę. Jakiś czas bębnił palcami po czarnym hebanowym blacie, a potem bezmyślnie bawił się arystokratycznym sygnetem. Następnie sprawdził, czy nie drżą mu ręce. Wreszcie wyjął ze skrytki miniaturowy dekodery, przysunął się do wideofonu i skwapliwie wybrał numer Adama Marcela. Ten – jak zwykle – nudził się na swoim jachcie u wybrzeży Krety.

Te kreatywne meble potrafiły zaskakiwać, ale czego nie robiono, by utrafić w gusta klientów i przyciągnąć ich do punktów sprzedaży. Omal nie zmuszano domowych sprzętów, żeby jak wierne psy łąsiły się do właścicieli. Przepastny fotel płynnie zmieniał kształty, posłusznie się uginając i dopasowując do tego, kto z niego korzystał. Pierre miał więc niezłą zabawę. Z łobuzerską miną figlował, przyjmując coraz to bardziej dziwaczne pozy i jakby chcąc się upewnić, że można się w nim uporać ze wszystkimi możliwymi technikami miłosnymi. Obok cieszył oczy drugi, taki sam.

– Wyposażenie cacy! – mruknął. – I te kolorki...

Salon był niczego sobie – niemały, nowoczesny, jasny i ładny. Diana włączyła mu wmontowany w ścianę i sięgający prawie do sufitu telewizor, po czym wymknęła się do kuchni, aby przygotować coś na ząb dla gościa.

Apartament, którego posiadaniem cieszyła się od kilku miesięcy, należał do generacji „inteligentnych” mieszkań. Zawiadujący nim elektroniczny dżin wykonywał polecenia słowne, zapalał i gasił światła, łączył rozmowy telefoniczne, sterował klimatyzacją i nie dopuszczał do osiadania kurzu na meblach. Zajmował się ponadto szeregiem innych rzeczy, o których Pierre nie miał zielonego pojęcia. Szczerze mówiąc, nie było do końca wiadomo, czy to komputer jest tu częścią mieszkania, czy mieszkanie częścią komputera. Ogromny monitor z pełnym efektem trójwymiarowym stanowił ostatni krzyk mody, więc określenie „domowe kino” nie było tu przenośnią. Chłopak jednym okiem śledził wiadomości, a drugim co rusz zerkał w stronę kuchni, gotowy w każdej chwili przenieść całą uwagę na poznaną rankiem piękność. Diana była

szczupłą, zgrabną dziewczyną o długich blond włosach, które w mieszkaniu zaczesywała w koński ogon. Kiedy wyglądała przez drzwi w króciutkim białym fartuszk i rzucała jakieś arcybanalne pytania, mógł się przyglądać jej boskim nogom. Jej chabrowe oczy nie umiały ukryć tego, że jej gość może liczyć na znacznie więcej niż to zwyczajowo wypada podczas pierwszej ni to wizyty, ni to randki. Gdy zbliżała się do niego, czuł narastające podniecenie i zachwyt.

Mówiono o lokalnym trzęsieniu ziemi w południowej Japonii i o suszy w Chinach w okolicach Pekinu. W niektórych stanach USA gaszono pożary. Potem wrócono do tego, co działo się w Paryżu. Na ekranie manifestanci wznosili hałaśliwe okrzyki przeciw kolonizacji Księżyca i zagospodarowywaniu jego bogactw naturalnych. We wszystkich wydaniach dzienników telewizyjnych puszczano mrozące krew w żyłach ujęcia z poprzedniego dnia. Tłum wyrostków falował, przebijając się przez blokady. Policja była bezradna, nie mogąc stosować bardziej drastycznych środków. Chłopak krzywił się, świadomy absurdalności tych protestów. Nie mógłby ich już zaakceptować. Wrócił myślami do minionego popołudnia. Widząc, do czego są zdolni jego prymitywni rówieśnicy, gniewnie zerwał z fałszywymi ideami, którym służyli. *Finita la com media!* Nie chciał być taki jak oni – zapatrzeni w siebie i zadufani, ślepo wierzący w wartość niszczycielskiej siły. I wtedy stało się coś niesamowitego, czego nie był w stanie przewidzieć. Dosięgło go olśnienie. Było ono niby rozjaśniająca mrok błyskawica w czasie szalejącej wiosennej burzy.

– Przewaliłem się przez ten labirynt – szepnął, uzmysławiając sobie, jak wiele w ciągu ostatnich godzin zmieniło się w jego życiu.

Pojechał metrem do centrum metropolii, odnalazł osobliwy gmach ze smokiem na portalu, a w nim wygrzane miejsce zarezerwowane dla siebie. Trafił na doskonale zakonspirowaną i owianą mgłą tajemnicy niewielką wspólnotę, niby

współczesną Atlantyde, która zdawała się wyprzedzać cywilizację ziemską o sto, dwieście lub trzysta lat, a może nawet więcej. Świat z jego wybujałej wyobraźni okazał się stuprocentowo realny.

Dziewczyna wniosła wreszcie parującą pizzę, z wdziękiem lokując się w sąsiednim fotelu. Była rozpromieniona i uśmiechnięta. Ślicznie wyglądała w miękkich dżinsowych szortach i obcisłym różowym topie z dużym dekoltem w kształcie serduszka. Ponieważ tego dnia przed południem Pierre nie miał zajęć w szkole, zaraz z rana pojawił się znowu u Raffaella. Cisnęło się mu na usta mnóstwo pytań, ale Montini nie pozwolił się nimi zarzucić. Miał swoje powody, by się nie śpieszyć. W milczeniu pociągnął go za rękaw i poprowadził do wyglądających jak kasyno w starym stylu pomieszczeń klubowych, gdzie zapoznał go najpierw z grającymi w bilard chłopakami, a potem z kilkoma laskami. Sophie, Barbara i Diana plotkowały akurat przy soku grejpfrutowym. Ta trzecia była ową pięknoscią, którą ujrzał na paryskiej ulicy w pamiętne szare marcowe przedpołudnie.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Umiesz liczyć, nie? – powiedziała Diana. – Mam numer trzysta sześćdziesiąty trzeci. A ty? Powinieneś mieć podobny, bo jesteś z tego samego miesiąca co ja. Mówiłeś, że urodziłeś się w styczniu...

Chłopak spróbował gorącej pizzy. Była z szynką, pomidorami i parmezanem, dokładnie taka, jaką lubił.

– Co ty? Nie odpowiedziałem, bo nie wiem. Za krótko jestem u was – wyrzucił z siebie z pełnymi ustami. – Szczerze mówiąc, eee... dopiero od wczoraj. A wasz dziadzio nie rwał się do żadnych wyjaśnień. Ma swoje lata, więc mu się nie spieszy. Boi się zadyszki. Nie miałem pojęcia, że wszyscy są ponumerowani. Bo skąd?

Roześmiała się, przyglądając mu się z bliska.

– Dobra, nie pali się. To nie takie ważne... Chociaż z drugiej strony patrząc...

Wydawało się, że chce każdy szczegół jego twarzy oddzielnie zbadać wzrokiem, lekko dotknąć jak ślepiec palcami czoła, brwi, policzków, ust, nosa i brody, by potem jego rysy zapamiętać i ukryć w sercu, zamykając je tam i pieczętując na całą wieczność na siedem pieczęci.

- Z drugiej strony, co? - zapytał ciekawie.

Musiała mu to jakoś wytłumaczyć, a nie była przecież upoważniona, by zastępować RafFaella.

- Jesteś... jakby to powiedzieć... — zaczęła, unosząc z namysłem brwi. - Między nami, angelosami, nie ma potocznie rozumianych więzów krwi. Co nie znaczy, że nie stanowimy niby- rodziny. To nieomal jak z uskrzydłonymi duchami u średniowiecznych myślicieli - starannie szukała porównań, przy okazji dzieląc się swoją znajomością historii filozofii. - Każdy anioł jest gatunkowo odrębny - tłumaczyła. - Zatem inny, chociaż może należeć do tego samego chóru. A u nas? - zapytała, zawieszając na chwilę głos. - Moim zdaniem, pomiędzy najbliższymi sobie numerami zachodzi swego rodzaju genetyczne... ni to powinowactwo, ni to pokrewieństwo.

Pizza utknęła mu w gardle i omal się nie zakrztusił. Myśl, że dziwnym trafem laska z takim seksapilem może okazać się jego biologiczną siostrą, była nie do zniesienia. Nie tego się spodziewał. Przestał jeść i spojrzał na nią z nieskrywanym przerażeniem.

- Coś ty? Sugerujesz, że jesteśmy rodzeństwem?! Chyba żartujesz!

Parsknęła śmiechem, a w jej policzkach pojawiły się śmieszne dołeczki. Usiadła po turecku na dywanie, rezygnując z fotela.

- Nie, zwariowałaś czy co? - zaprzeczyła, gdy tylko przestała chichotać. - Nic z tych rzeczy. Nie jesteś moim bratem i nie możesz nim być. To w ogóle nie wchodzi w rachubę. Po prostu... ci, z najbliższych sobie numerów, pasują do siebie - niezmaczenie wbijała mu do głowy, szukając odpowiednich

słów. – Są bezkolizyjni. Rozumieją się, dobrze się razem czują. A poza tym... – zająknęła się, nie kończąc zdania.

Pizza przestała mu już całkiem smakować. Raptem pojął, że tej tradycyjnej włoskiej potrawy nie lubi i nigdy nie lubił. Bezmyślnie przyglądał się storom przy ogromnym oknie. Nie wyrażała się wystarczająco jasno, więc poczuł się na spalonej pozycji.

– Siostra? Może kuzynka? Nie kumam – bąknął bez śladu entuzjazmu. – Nigdy nie chciałem mieć rodzeństwa – wycedził ze złością. – Jestem rozpieszczonym jedynakiem i nie nawykłem do obrazu licznej rodziny... – popisywał się buńczucznie. – Nie oddałbym nikomu moich zabawek.

Wyczuła natychmiast, że bezczelnie kłamie. Pochyliła głowę, kryjąc twarz pod furą włosów, które rozpuściła, ściągając gumkę. Czy chciała, czy nie, musiała pociągnąć ten temat.

– Ci... z bliskich sobie numerów – jej głos zadrżał – są dobrymi kochankami – wydusiła wreszcie z siebie, zdradzając, co miała na myśli i rumieniąc się aż po same uszy. – Wychodzi im seks... i wszystko im wychodzi... Są jakby... sobie przeznaczeni... – po tych ostatnich słowach nerwowo się poderwała, zdradzając bezradność, ale natychmiast się opanowała i znowu usiadła.

Chłopak spoważniał. Trafiła w dziesiątkę, a to niewinne wyznanie nie pozostawiło już ani cienia wątpliwości co do jej prawdziwych intencji. Przełamała tym ostatnie lody. Cicho zsunął się z fotela na dywan, uklęknął przy niej i ujął ją delikatnie za rękę. Zaczął pieszczotliwie bawić się jej palcami. Nie broniła mu tego.

– Dzięki, Diano, dzięki za szczerość – wypowiedział jej imię z nutką skargi w głosie. – Nawet nie wyobrażasz sobie, jaki byłem samotny – wyrzucił z siebie. – To takie okropne, mieć świadomość tego, że się jest kimś... z lekka zwichniętym. Żyje się jakby obok, w innym świecie. Ulicą pędzą ludzie, a ciebie dzieli od nich niewidoczny mur. Jak w getcie – zwierzał się

dziewczynie ze swych odczuć. – Straszliwie tęskniłem za bratnią duszą, za bliską sobie istotą, lecz nie mogłem jej znaleźć. Wydawało mi się, że nikt nie będzie w stanie wypełnić tej pustki. Dopiero kiedy dziwnym trafem ujrzałem cię w marcu na ulicy, dotarło do mnie, że jest ktoś taki...

Delikatnie odgarnęła kosmyk włosów z jego czoła. Jej dotknięcie było rozkosznie miłe i czułe. Kropka nad „i” została postawiona, a resztki dzielącego ich dystansu znikły. W jej oku też zakręciła się łezka. Siedzący przy niej chłopak nie zgrywał się na playboya. To, co mówił, było najszczerzą prawdą.

– Misiaczkule! – odwzajemniła mu się tym samym. – Ja też za tobą tęskniłam. Czekałam, kiedy się pojawisz...

Przysunął się i objął dziewczynę. Oparł głowę na jej ramieniu. Zamknął oczy, czując, że przenika go cudowne ciepło.

– Kocham cię, Diano! – cichutko, jak mógł najciszej, szepnął jej do ucha.

Przyjęła to za dobrą monetę. Przytulili się do siebie – jakby w obawie przed kimś obcym, bardzo złym i do szczętu zepsutym, kto z nienawiścią w oczach będzie marzyć o zdeptaniu ich związku.

– Będzie nam dobrze razem, zobaczysz! – obiecała mu, myśląc o przyszłości.

Bawił się jej złotymi włosami.

– Wiesz, to dziwne i jakieś niezwykłe – zdradził jej po pewnej chwili. – Życ na tej planecie, a równocześnie mieć świadomość tego, że się do niej nie należy... I że się jest po drugiej stronie lustra...

Też to czuła, ale w przeciwieństwie do Pierre’a znała już dziesiątki właściwych odpowiedzi. Odsunęła się lekko od niego i postanowiła otworzyć mu oczy na to, czego jeszcze nie wiedział.

– Pamiętasz, co średniowieczni myśliciele mówili o wiedzy wlanej? Angelosi ponoć dysponują nią na swój sposób. To, jak mamy żyć, zostało wpisane w nasze geny. Można rzec, że nasi stwórcy pozbawili nas możliwości wyboru i tym samym niejako

ograniczyli, lecz zarazem ukierunkowali nas ku rzeczom, które mają nam to zrekompensować – odsłaniała przed nim przedziwne sekrety. – Uwarunkowali nas na rzeczy cudowne. Wkrótce mamy pojąć, dlaczego stanowimy tak szczególną wspólnotę, co właściwie robimy w Paryżu i w ogóle na tej planecie, oraz dokąd się udamy. Bo wiemy, że nie pozostaniemy na Ziemi...

Błagalnie zajrzał jej w oczy i złożył na jej wargach pierwszy czuły pocałunek. Odwdzińczyła się równie czule. Chłopaka nie pociągały tak odległe sprawy. Nie myślał o przyszłości ani o długim życiu we dwoje. Przeszyła go z nagłą myśl, że skoro dziewczyna jest genetycznie uwarunkowana na niego, może zatem ją mieć kiedy zechce. Nie byłby mężczyzną, gdyby nie spróbował sięgnąć po zakazany owoc. Ogarnął ją ramionami i przyciągnął mocniej do siebie, usiłując wsunąć dłoń pod jej bluzkę, ale nic mu z tego nie wyszło.

– Ale z ciebie rajdowiec, i kto by pomyślał... – żartobliwie pogroziła mu paluszkami. – Nie bój się, przyjdzie czas i na ciąg dalszy... – zerknęła w stronę kuchni. – Czego się napijesz? – zapytała, wyglądając fartuszek. – Soku owocowego, kawy, wody mineralnej, a może wina?

Zawiedziony przeniósł się na fotel, niby to podporządkowując się regułom gry, którą mu nieoczekiwanie narzuciła.

– Siostrunia?! Raczej zołza, piekielnica i wiedźma – udawał złość, mrużąc do siebie. – Założę się, że w tej pizzy był lubczyk lub inny środek zniewalający.

Nie odpuścił lasce. Na palcach poszedł za nią do kuchni, łapiąc ją tam znienacka wpół.

– Zostaw mnie, uważaj, bo się poparzysz! – zachichotała.

Zamknął jej usta pocałunkiem, nie zważając na to, że omal nie zwałił na posadzkę ekspresu do kawy. Próbowwała się wyrwać, ale jej się nie udało. Ogarnął jej ramiona i plecy, pieścił ustami włosy i kark, sięgnął piersi.

– Idomeneusie! – rozpaczliwie krzyknęła do domowego kom-

putera. – Ratuj mnie, pomóż! Nagraj to... będzie dowodem... że próbował mnie... zgwałcić.

Dochodzący gdzieś ze ściany stonowany męski głos beznamiętnie potwierdził, że scena w kuchni jest filmowana. To poskutkowało i diabelnie zdziwiony Pierre przystopował. Udało jej się okręcić na pięcie i uwolnić z jego objęć.

– No, no! – znów pogroziła mu palcem. – Kuchnia to nie płonąący stos, a ja nie jestem złożoną ci na pożarcie dziewczyną, ty oślizgły potworze z Andromedy – poprawiła bluzkę i włosy. – Jestem niepoprawną romantyczką – ciągnęła – i mam swoje wymagania. Musisz się dostosować, czy chcesz, czy nie.

Nie wyniósł się stamtąd, bacznie rozglądając się za kamerą. Te miniaturowe świństwa mogły być dosłownie wszędzie. Idomeneus czuwał, więc nie chciał przeciągnąć struny. Nie miał pojęcia, do czego jest zdolny ten zaprogramowany na opiekę nad apartamentem i domownikami komputer. Prawdopodobnie byłby w stanie go nawet obezwładnić i pozbawić przytomności.

– Według jakiej książki kucharskiej przyrządzasz potrawy? – zmienił nagle temat. – Ktoś z taką klasą jak ty na pewno jest mistrzem w tym fachu.

Wyjęła owoce, układając je na salaterce.

– Według „Almanachu smakoszy” Alexandre’a Grimonda de la Reynière, „Fizjologii smaku” Jeana Brillat-Savarina i wierszowanej „Gastronomii” Josepha Berchoux – zażartowała, przypominając prace kulinarne z XIX wieku. – A jeżeli chcesz mieć to, czego tak bardzo pragniesz, musisz pofatygować się wieczorem, nie teraz – objaśniła, ucinając nurtujące go wątpliwości.

Spoważniał. Powiedziała to tak po prostu, zwyczajnie i bez owijania w bawełnę, nie bawiąc się w żadne ceregiele.

– Mówisz serio? Nawet dzisiaj?! – zapytał z wahaniem, delikatnie poprawiając jej włosy. Nie był pewny, czy nie żartuje. Czuł nagle bicie serca.

- Nawet dzisiaj - odrzekła z równą powagą. - Nie jesteśmy małymi dziećmi, prawda? Widzę, że to będziesz ty, nikt inny, więc po co mam robić z siebie idiotkę? Nie będę zabawiać się twoim kosztem i zmuszać cię do wyważania otwartych drzwi.

Poddał się. Ta otwarta deklaracja go uspokoiła. Musnął wargami jej ucho i wycofał się do salonu, przypinając się do wystygłej pizzy. Wsuwał trzeci kawałek i skrupulatnie liczył, ile godzin pozostało do zapadnięcia zmroku. A potem, ile minut. Czysta matematyka! Nigdy wcześniej nie spał z żadną dziewczyną.

Żegnał się z Paryżem. Nad Sekwaną nie miał już nic do roboty. Było nie było, pewne rzeczy spaprał, z innymi sobie poradził. Po spakowaniu skromnych bagaży wyniósł się z hotelu i przywołaną przez portiera taksówką udał się na lotnisko Charlesa de Gaulle'a. Tam utknął w ogromnym holu, nudząc się jak mops. Bez słodkiej Alice ten dworzec był smutnawy. Z racji ważkich działań operacyjnych miał prawo do korzystania z połączeń lotniczych na zawołanie i aż do końca, czyli do powrotu do Nowego Jorku zamierzał z tego cichego przywileju korzystać. Poinformowano go, że niewielki odrzutowiec już czeka, więc skwapliwie powlókł się za pracownikiem lotniska. Potem jednak okazało się, że elektrycy wykryli drobną usterkę, musiał więc zawrócić z płyty. Czekala go godzina nudy, jeśli nie dwie lub trzy. Po mechanikach wszystkiego można się było spodziewać. Chcąc nie chcąc przysiadł gdzieś w kącie i zadumał się nad tym, co robił od wczesnego ranka.

Czuł się dziwnie skołowany po słownej potyczce z Huberthem Hillem, który podał w wątpliwość wartość jego intuicji. Szef nieźle namieszał mu w głowie. John bawił się w myślach różnymi hipotezami, żonglował nimi jak kuglarz, ale wszystkie były mgliste i żadna z nich nie dawała się dopasować do tego, co

się stało. W okolicach Gare du Nord jakiś czas nadzorował pracę chłopaków z firmy. Zaczęli od Rue de Dunkerque.

- Dziesiąty dystrykt - mruknął pod nosem. Tylko co to miało do rzeczy?

Wtopieni w tło, bo odziani w jakieś robocze kombinezony, mocowali czujniki i kamery. Wcieliwszy się w rolę znudzonego przechodnia, kręcił się ze dwa kwadransy dookoła miejsca, z którego zniknęła zdezorientowana Maria Rossi z ukrytym w jej brzuchu przybyszem z kosmosu, ale nie natrafił na żaden zajmujący ślad.

Aż się nim w końcu zainteresował portier w liberii z pobliskiego hotelu. Gdy agenci uporali się ze swoją robotą, pożegnał się z nimi, złapał taksówkę i odjechał. Coś mu kazało szukać gdzie indziej i jak ostatni pajac błąkał się w okolicach placu Świętego Michała, a potem Rue de PEcole de Médecine. Zatelefonowała do niego Alice i to poprawiło mu humor. Pogruchali sobie słodko jak dwa gołąbki. Później połączył się z nim Gustavo Calvez, spragniony chwili towarzyskiej rozmowy. Nieszczerólnie mu odpowiadała atmosfera, panująca na piątym piętrze Instytutu Historycznego przy Champ de Mars. Winił za to szefa sekcji, który w jego odczuciu - co mu bez żenady zdradził - był zanadto apodyktyczny. Szybko się okazało, że pogromca pleśni z dorzecza Amazonki także się zatrzymał w hotelu przy Avenue de New York, więc zgodnie uznali, że muszą pogawędzić przy butelce dobrego francuskiego wina. Przed lunchem rozmawiał przez wideofon z Williamem Conem. Złapał go w klinice, którą właśnie opuszczał jego pomocnik. Ustalono tam, że nic mu nie dolega, więc kazano mu się wynieść z Mediolanu i wracać do Nowego Jorku. Cone był młody i Smith zastanawiał się, gładząc łysinę, ile powinien podjąć z konta bankowego, by ująć sobie lat i wyglądać tak, jak jego podwładny.

Zblazowany wstał, z pięć minut pospacerował, mętnym wzrokiem lustrując przygodnych pasażerów, a potem przysiadł znowu na ławeczce w innym miejscu.

Pogaduszkę z Calvezem uznał za owocną. Ten zachowywał się swobodnie, mało oficjalnie i bez tego dystansu, który cechował funkcjonariuszy z wyższych szczebli hierarchii służbowej. Wino rozwiązało im języki, więc rajcowali dość długo, sumując rezultaty akcji na kontynencie europejskim. Dobroduszny Gustavo był zdania, że Smith nie myli się w sprawie Marii Rossi. Młoda Włoszka została porwana – i wszystko przemawiało za tym z pozoru absurdalnym przypuszczeniem. Nie wierzył, że gad z kosmosu błąka się gdzieś gardzielami kolei podziemnej, dotrzymując towarzystwa szczurom. Co najważniejsze, grubas zgodził się z nim, że wypada skoncentrować się nie tyle na przygłupich maszkarach, co raczej na tych, którzy je skrycie wysłali na trzecią planetę od Słońca. Zawsze należało szukać tych, co pociągali za sznurki. Umysł miał trzeźwy i myślał konkretnie, co się Johnowi podobało. Gdy kończyli butelkę, Gustavo wspomniał o z pozoru mało ważnym odkryciu, którego dokonał dociekliwy Hugo Boros, badający zwierzaka z terrarium. Naukowiec nie znalazł żadnych bakterii i wirusów, które można by uznać za godne uwagi. Wszystkie ich mutacje znano już na Ziemi. Uzmysławiając to sobie, Smith westchnął z nieskrywanym bólem. Koszmarne wnioski same się nasuwały – tajemniczy obcy nieuchwytnie badali Ziemię i pewnie ją po cichu odwiedzali, a należało jedynie dociec, od jak dawna.

Kręcące się nieopodal dwie długonogie laski prowokująco zachichotały, dając do zrozumienia starszawemu facetowi, że nie jest im obojętny. Nie brakowało im wdzięku. Zalotnie przedefilowały mu przed nosem, ciągnąc za sobą zapach perfum i chcąc nie chcąc John musiał przywołać na swą twarz uśmiech. Powoli się podniósł, by z ulgą rozprostować kości. Delektował się wrażeniem, że ma znowu dwadzieścia lat i że kleją się do niego milutkie koleżanki z uczelni, spragnione męskiego towarzystwa.

Przystanąły, gotowe życzliwie zareagować na zaczepkę.

– Nie będziesz się, ośle, ośmieszał... – karcąco mruknął do

swoich myśli, które raptem rozbiegły się na wszystkie strony.

Nie usiłował do nich zagadywać. Zignorował je i oddalił się w stronę ekranu telewizyjnego, a tam założył słuchawki, ustawiając je na kanał angielski. Była pełna godzina i leciały wiadomości, więc ciekawie wyciągnął szyję. Mignęły kadry z Księżycy, ujrzał rozmawiającego z dziennikarzami ascetycznego komandora z bazy, a potem spiker przeczytał wiadomość o nowym odkryciu astronomicznym. Odkąd zajmował się maskarami z kosmosu, zwracał baczna uwagę na tego typu rewelacje. Chodziło o sporej wielkości ciało niebieskie, zbliżające się ponoć ku Układowi Słonecznemu. Według wstępnych obliczeń miała to być zagubiona planeta, jednakże wielokrotnie przewyższająca masą Jowisza i Saturna. Absurd do potęgi n-tej. Od dziesięcioleci w sezonie ogórkowym media bombardowały podobnymi ciekawostkami, dlatego też właściwie nikt nie zwracał na nie uwagi. Zmarszczył brwi, dziwiąc się, że nie znalazł w serwisie służbowym notatki o tej sensacji z nadrukiem „ściśle tajne”. Nie zdążył jednak dojść do żadnych odkrywczych wniosków.

Ktoś delikatnie trącił jego plecy, a zapach perfum zdradził, kto to. Odwrócił się i powoli zdjął słuchawki.

Kociaki ruszyły do ataku. Nie brały pod uwagę tego, że mogą się naprzykrzać. Blondynka w indiańskiej spódnicy okazała się śmielsza. Czarny, błyszczący materiał uwydatniał pełne piersi.

– Czy myśmy się już gdzieś nie spotkali? – zaświergotała milutko. – Na przykład w Luwrze?

Angielski miała nienaganny, ale akcent zdradzał, że nie była Amerykanką. Ta z ciemniejszymi włosami uśmiechała się niewinnie zza jej pleców. Ledwo widoczne piegi dodawały uroku jej twarzy.

Nie tylko one go zaczepiły. Prawie równocześnie – jak opiekuńczy duch – pojawił się przy nim pracownik lotniska. Zacierając ręce, skłonił się, chcąc okazać swój szacunek.

– Bardzo przepraszam, ale to jeszcze trochę potrwa... – obja-

śnił z wielce strapioną miną. – Niezmiernie mi przykro, ale musi pan – niestety – poczekać drugą godzinę. Po prostu brakuje jakiejś drobnej części, którą trzeba wymienić. Pan rozumie, mechanicy starają się jak mogą...

Omiał nie giął się w chińskich ukłonach, grzeczny i układny do przesady. Usilnie zależało mu na tym, żeby Amerykanina nie wyprowadzić z równowagi. Zazwyczaj funkcjonariusze tajnych służb nie byli tak lekceważąco traktowani. A poza tym nikt, kto miał choć odrobinę oleju w głowie, nie ważył się z nimi zadzierać.

Technik z lekka się skrzywił. Wymierzono mu policzek. Przyszło mu do głowy, że to rewanż za jego żenujące popisy tuż po odlocie Alice. Chyba utkwiał im w pamięci.

– Trudno, poczekam, a mam inne wyjście? – rzucił poirytowany, gestem ręki okazując, że rozmowę z giętym urzędasem uważa za skończoną. – Niewykluczone, że się znamy – ze sztucznym ożywieniem zwrócił się do nastolatek, ostentacyjnie pokazując tamtemu plecy. – Byłem ostatnio w Luwrze na pokazie mody. Wyobraźcie sobie, całkiem udana impreza. Ekskluzywna. I te eleganckie ciuchy...

Spojrzały wymownie po sobie i przekomicznie się roześmiały. Zachowywały się nieco teatralnie. Czuły respekt, no cóż... Górował nad nimi wiekiem. Nie rozumiał tylko, dlaczego akurat do niego się przypięły. Nie był żadną znaną osobistością, dziennikarzem, pisarzem ani aktorem.

– Tu obok jest zaciszne bistro – śmiało zaproponowała blondynka, ciągnąc zaczęłą rozmowę. – Nie miałbyś... ochoty usiąść przy coca-coli i pogadać z nami? – przeszła na ty, okazując szczerą i bezpośrednią.

Przez chwilę nie wiedział, co zrobić. Kątem oka pożegnał pracownika lotniska. Zlustrował raz jeszcze dziewczęta. – Schludnie odziane, nie jakieś czupiradła – skonstatował. To sprawiło, że się zgodził. Ruszyli. Po drodze się przedstawiły, więc i jemu wypadało zdradzić swoje imię. Odważniejsza z

dziewcząt miała na imię Arielle, a sekundująca jej – Sylvie. Zdążył się dowiedzieć, że studiują na paryskiej Sorbonie. Szumnie to zabrzmiało. Przed wejściem do lokalu jednak zawahały się. Wyraźnie coś chciały mu powiedzieć.

– Wiesz co, John? – sekretnie zagaiła Arielle. – Mamy kłopoty. A ty wyglądasz przyzwoicie. Od razu widać, że jesteś facetem z klasą i że można ci zaufać. Znamy się na ludziach...

Nie dał się wziąć pod włos. Z uniesionymi brwiami jeszcze raz obrzucił obie wzrokiem, lustrując je z uwagą od stóp do głów. Ta druga spuściła głowę, wyraźnie zawstydzona.

– Kłopoty?! – zapytał. – A któż ich nie ma? Taka już ludzka dola – dodał niby to filozoficznie, robiąc poważną minę, najpoważniejszą, na jaką go było stać.

Blondynka delikatnie dotknęła jego dłoni.

– Sprawy mają się tak, że musimy polecieć do Kairu – bajerowała, przewracając oczami. – Wiesz, takie tam interesiki z młodymi Arabami. A brakuje nam kasy. Zaś tu, w gmachu dworca, jest całkiem przytulny hotel – podpowiedziała kusząco, sądząc, że bez trudu wpadnie na to, o co im chodzi. Przecież wyglądał na przenikliwego typa.

Pozbierał jakoś rozbiegane myśli – tamten urzędas naprawdę go wkurzył, pojął też, że trafił na niezłe cwaniaczki – i pod jego nosem zagościł filuterny uśmiech. Też był szczwanym lisem. Przyszło mu do głowy, że gdyby go przypadkiem zaczepiły kilka dni wcześniej, odesłałby je z kwitkiem, z ponurą miną zamykając się w sobie. Alice obróciła w perzynę jakąś narosłą w nim przez lata tamę – i nagle się okazało, że nie może takim jak one okazać lekceważenia.

– Ma się rozumieć, interesy – rzucił, udając, że bierze to, co usłyszał, za dobrą monetę. – A ile potrzebujecie?! – strzelił bez namysłu, wcielając się w rolę dobrotliwego papy i udając, że sięga po kartę magnetyczną. – Tam obok jest bankomat – pokazał ruchem głowy. Dla zabicia czasu mógł się z nimi trochę podroczyć.

Brunetka zareagowała na to dość impulsywnie i omal nie tupnęła, spoglądając z gniewem na koleżankę. Z irytacją było jej nawet do twarzy.

- Arielle, ty idiotko, przestań! - jęknęła. - Przecież dobrze wiesz, że nie chodzi nam o ten denny szmal. Nie jesteśmy żebraczkami...

Ta pierwsza poczuła się zbita z tropu i zacisnęła usta. Była zdezorientowana. Poprawiła śliczne blond włosy, a potem sięgnęła do kieszeni długiej indiańskiej spódnicy jakby w obawie, że obcy mężczyzna zechce tam zapuścić żurawia, by sprawdzić, ile gotówki ma przy sobie.

- Czemu? O pieniądze chodzi nam również - broniła uparcie swojego stanowiska. - Sylvie, tak ustaliłyśmy - skarciła ją. - Teraz się nie wycofuj!

Pomachał im przed oczyma lśniącym kartonikiem. Wciągnął brzuch. Potem dyskretnie się rozejrzał, lustrując wprawnym okiem otoczenie. Chyba nikt postronny ich nie śledził i to go uspokoiło.

- Nie wyglądacie na kurewki ani na zabiedzone Azjatki. Mówcie jasno, o co wam chodzi, małe - warknął jak doświadczony glina z obyczajówki. I w takiej roli wypadął dobrze.

Nie miały zamiaru się go przestraszyć i było widać, że się nie odczepią. Szybko porozumiały się spojrzeniami.

- To taki nasz babski sekret, nie uwierzyłybyś - przymilnie rzekła Arielle, starając się nie zarumienić. - Dlatego głupio nam było o tym mówić, tak bez owijania w bawełnę - nadskakująco uśmiechnęła się do Smitha. - Chcemy po prostu, byś... eee... zechciał spędzić w pokoju hotelowym odrobinę czasu w naszym towarzystwie. Naprawdę, nie musisz nam płacić. Czy to takie trudne dla tak przystojnego supermana?! - na jej twarzy pojawił się pąs i zmieszana spuściła oczy.

- Babski sekret, powiadacie?

Skoczyła mu raptem adrenalina. Chyba nikt nigdy dotąd nie nazwał go w ten sposób. Dziwnie szybko się zgodził, ciekawy,

jak to się skończy. Nie odrzucało się wygranej na loterii, to fakt. Ale przecież nie rozdawano w ciemno nagród. Gdzie więc był hak? Wspięli się schodami na pierwsze piętro, kierując się następnie w stronę recepcji. Uważał, żeby nie dostać zadyszki i chodziło mu po głowie, że nieźle mu odbiło. Gówniary miały zrobioną rezerwację i poszło mu jak z płatka. O nic nie pytano, od ręki dostał klucz i zapłacił za pokój. Cierpliwie czekały i Sylvie pierwsza weszła do numeru. W drzwiach się zawahał, uzmysławiając sobie, że ośmiesza się we własnych oczach i że pewnie nigdy sobie tego kroku nie wybaczy.

Widząc jego niezdecydowanie, Arielle kurczowo ścisnęła go za rękę, nie pozwalając mu się wycofać.

– Zrozum, John, robimy to pierwszy raz... – nerwowo wyszeptała mu do ucha, tak aby nie słyszała jej Sylvie. – Długo nie mogliśmy się zdecydować...

Zrobił wielkie oczy. Tego się nie spodziewał. A może łąły jak najęte?

– Serio? – wymamrotał z niebotycznym zdziwieniem.

Puścił rozkoszną laskę przed siebie, dając jej lekkiego klapsa w kształtny pośladek. Wszedł do środka i z duszą na ramieniu przymknął drzwi. „Stary cap!” Nie chciało mu się wierzyć, że to dzieje się naprawdę. Miał zamiar znowu coś wybąkać, ale nie przyszło mu do głowy nic sensownego. Blondynka odwróciła się, zarzuciła mu ręce na szyję i gwałtownie wpiła się w jego usta, zamykając je namiętym pocałunkiem.

Zegary rozpędziły się w sennym Montrouge, popychając chłopaka do działania. Za oknami kładł się szary zmierzch.

- Co, już? - nerwowo szepnął, jednym okiem łypiąc na wskazówki. Poderwał się na równe nogi ze świadomością tego, że siedząc przy komputerze, stracił poczucie upływu czasu.

Musiał się spieszyć, więc gorączkowo zajął się przygotowaniami. W głowie szumiało mu, jakby był na leciutkim rauszu. Momentami miał wrażenie, że traci równowagę, nogi pod nim dziwnie miękły, a ręce dygotały, gdy przeglądał w ściennej szafie wiszące ubrania. Nie mógł się opanować. Nie wiedział, co wrzucić na grzbiet i dłuższą chwilę się męczył, nie umiając sobie z tym poradzić. Upragnione spełnienie, do którego za sprawą kapryśnego losu miało dojść już wkrótce, wydawało się mu tak mało prawdopodobne i tak mało realne, że w rezultacie tego jakaś część jego ja wymykała się spod jego władzy. Ostrożnie kalkulował. Cholera, że też musiał się zapomnieć przy tej idiotycznej teorii względności! Przewidywał, że Diana jako niepoprawna romantyczka może mieć nieprzepartą ochotę na nastrojową kolacyjkę przy płonących świecach i że w związku z tym powinien włożyć białą koszulę, garnitur i krawat. Później dopadła go myśl, że gdyby tak się wystroił, wyglądałby jak palant. Rzadko noszony garnitur odwiesił z powrotem do szafy. Strzepnął z rękawa niewidoczny pyłek. Pozostał przy sportowym uniformie i miękkich półbutach ze skóry.

- Hm, to mogę odfajkować - odsapnął z ulgą i przetarł lekko zroszone czoło.

Nie było taktownie pojawiać się z pustymi rękoma, więc wpatrzył się w okno i zaczął główkować nad upominkiem. Zamiast

siedzieć nad Albertem Einsteinem, powinien był zajrzeć do jakiegoś sieciowego savoir- vivre'u. Przewinęły mu się przed oczyma bukiet słodko pachnących kwiatów, a po nim butelka dobrego wina. Niewielka kwiaciarnia znajdowała się nieopodal pobliskiego supermarketu i miał do niej nieledwie kilka kroków, ale o tej porze pewnie była już zamknięta. Jednak szybko zniechęcił się do obu tych projektów. Zebrał rozbiegane myśli. Triumfalnie zdecydował, że podaruje dziewczynie przywieziony z Madagaskaru delikatny afrykański naszyjnik, do którego bardzo się przywiązał. W rezultacie braku konsekwencji i wahań zabrakło mu czasu. Przeraził się, że się spóźni, więc zrezygnował z jazdy metrem i złapał taksówkę. Na Polach Elizejskich poprawił mu się humor, a kiedy ujrzał na tle ciemniejącego nieba zarysy budynku, w którym mieszkała Diana, odzyskał rezon. Miał w zapasie przeszło dziesięć minut.

Ciekawiło go, czy Diana faktycznie wprowadziła jego dane do monitorującego obiekt komputera, jak mu obiecała. Z duszą na ramieniu przyłożył kciuk do kontrolki przed bramą. Poskutkowało. Cicho szcęknął zamek i oszklone drzwi uchyliły się niby wrota sezamu, co oznaczało, że wszytkowiedzący Idomeneus poznał już jego linie papilarne i je zapamiętał. Szczęśliwy jak diabli wjechał windą na górę. Odległość między pionem nośnym a apartamentem pokonał w kilku radosnych podskokach, których nie było słychać dzięki miękkiej wykładzinie, ale później nagle się zawahał. Warował przed jej numerem, a serce waliło mu jak młot, niczym alpiniście przed samym szczytem Mont Blanc. „Raz, dwa, trzy!...” – liczył w myślach, starając się spokojnie dociągnąć do dziesięciu.

Udał doskonałą obojętność i znieruchomiał, bo raptem otworzyły się drzwi sąsiedniego apartamentu i na oświetlony korytarz wyszła zadbaną szczupłą kobietą około trzydziestki z zarzuconym na ramiona lekkim futrem. Za nią pokazał się posiwiasty już mężczyzna w stroju wieczorowym. Ukłonili się chłopakowi jak dobremu znajomemu i udali się w stronę

windy.

- *Bonsoir, monsieur!*

- *Bonsoir!* — odpowiedział.

Odkłonił im się z chłodem, którego nauczył się od ojca i przez króciutką chwilę wydawało mu się, że dostojny papcio stoi obok. Dopiero gdy znikli mu z oczu, a winda ospale ruszyła, wykoncy- pował, że skoro wylądował w komputerze Diany jako jej gość, to z pewnością inni mieszkańcy zamożnej posesji z należytą dyskrecją zostali o tym fakcie poinformowani. To były działania rutynowe i pewnie tamci obejrzeli już e- fotkę, starając się wbić w pamięć jego twarz. Pobawił się naszyjnikiem, który niósł w kieszeni sportowej bluzy. Nie bez wzruszenia obejrzał go i schował.

- Wchodzimy! - zdecydował.

Z namaszczeniem przyłożył palec do identyfikatora zamka i prawie natychmiast obciążnięte kremową wykładziną drzwi bezszelestnie się uchyliły. Cudowna elektronika! Załomotało mu znowu w piersiach jak debiutującemu włamywaczowi w czasie pierwszej nocnej wyprawy. Zareagował automat i zapłonęło słabe światełko w przedpokoju. Wszedł tam i przystanął ogromnie zdziwiony tym, że w mieszkaniu jest zupełnie ciemno. Ledwo widział się w lustrze.

- Diano?! - zawołał, zaglądając najpierw do kuchni, w której panował wzorowy porządek, a potem dalej. Stawiał ostrożne kroki, a kolana znowu się pod nim uginały. Oświetlenie po kolei się włączało. Od kolegów w szkole sporo się nasłuchał o złośliwości elektronicznych zabezpieczeń w takich jak ta posesjach. Licho nie spało. Mógł niespodziewanie dostać po oczach wściekłą dawką piekącego gazu paraliżującego. To by wystarczyło, żeby go zwalić z nóg. Mógł wtargnąć za nim diablo rozkojarzony dozorca w asyście jednego lub dwóch roślących ochroniarzy i dać mu zdrowy wycisk, bo nieproszony wtaszczył się na cudze podwórko. Mógł... Co jeszcze? Och, wiele mogło się zdarzyć. - Jesteś tam?!... - rzucił półgłosem.

Niestety, nikt mu nie odpowiedział. Uroczej lokatorki z numerem trzysta sześćdziesiątym trzecim nie było ani w salonie, gdzie przed południem spędził przeszło godzinę, ani w niewielkiej sypialni, gdzie królowało wygodne łóże, ani w artystycznej pracowni, gdzie leżały chaotycznie porozrzucane kartony z projektami damskiej garderoby. Nie znalazł jej także w łazience, w której cieszyła oczy lśniąca nowością kabina regeneracyjna, będąca ostatnim krzykiem mody. Z uwagą przyjrzał się kolekcji kremów, żeli, toników, balsamów i maseczek, których właścicielka używała, nie mając zielonego pojęcia, czemu one w gruncie rzeczy służą, a potem leniwie skierował się do salonu. Był w jej apartamencie samiutki jak palec – nie do końca pewny tego, czy ma się czuć jak ciepło witany przyjaciel domu, czy jak ledwie tolerowany i zimno obserwowany przez kamery intruz.

– Idomeneusie! – ocknął się i zwrócił wreszcie do czuwającego komputera. – Gdzie jest Diana?

Elektroniczny rozmówca zdawał się wahać.

– Nie jestem upoważniony do udzielania takich informacji. Jest mi bardzo przykro... – rozległ się miły męski głos.

Chłopak wzgardliwie wzruszył ramionami i przeszedł się po salonie, wyglądając przez osłonięte storami ogromne okno na oświetloną smutnymi latarniami, pustą o tej porze dnia ulicę. Doznał wreszcie ulgi i pojął, że musi dojrzeć do roli pana sytuacji.

– Czy nie naruszyłem przypadkiem prawa własności? – chciał się jeszcze upewnić, znów zwracając się do maszyny.

Idomeneus ponownie się zawahał.

– Zechce pan podać czas i miejsce, mogę błyskawicznie sprawdzić w rejestrach policyjnych – odpowiedział. – Być może, jest pan notowany, monsieur.

Straszliwie go tym rozbawił. Jego e- nauczyciel działał na trochę innych zasadach. Z maszyną trzeba było umieć gadać. Albo nie potrafił przystosować się do programu, którego tu

użyto, albo Idomeneus nie był wystarczająco elastyczny, by reagować zgodnie z odmiennym dla różnych klas osobników poziomem irracjonalności.

- Teraz, ty wredna kupo złomu! - rzucił z odrobiną rozdrażnienia.

Idomeneus nic sobie nie robił z inwektyw. Diana musiała być bardziej zasadnicza od Pierre'a w rozmowach ze strzegącym jej mieszkania mózgiem elektronowym lub ograniczała się po prostu do najprostszyc pytań, zgodnie z instrukcją, którą jej dołączono.

- Teraz jest pan w apartamencie pańskiej przyjaciółki Diany Rey, korzystając ze statusu gościa - wyjaśnił cierpliwie nieulegający emocjom męski głos.

- Tak myślałem, ty źłobie - rzucił już absolutnie pewny siebie.

- Zatem nikt mnie stąd nie wyrzuci, nawet ty - skonstatował z gorzką satysfakcją, przechodząc do kuchni. Potem sobie uzmysłowił, że Diana może przesłuchać nagranie i zrezygnował z dalszych wyzwisk pod adresem durnej maszyny. Komputer nie zakwalifikował widocznie mimochodem rzuconej kwestii jako pytania do siebie, gdyż milczał. Chłopak wyjął z lodówki butelkę coca-coli, otworzył ją i przelał napój do wysokiej szklanki. W zamrażalniku znalazł lód. Następnie jak basza rozwalil się w fotelu w salonie i włączył telewizor.

- Dobry wieczór, najdroższa - mruknął do siebie z nutą ironii w głosie. - Boże wielki, cóż za wspaniała kolacja. A te świece. I jaki romantyczny nastrój!

Zmieniał kanały, szukając czegoś, co by go wciągnęło. Płaski studziwieńcdziesięciosześciocalowy telewizor był wyposażony w zmultiplikowany podgląd równoległy i wsteczny, więc przeglądał jednocześnie po kilka stacji. Tu wszystko było razem, Internet, telewizja i kilka innych przydatnych podsystemów. Wreszcie go olśniło. Przypomniał sobie, że poprzedniego wieczoru nie obejrzał kolejnego odcinka ulubionego serialu z

gatunku science fiction. Wcisnął przycisk „passé” i na podglądach pojawiły się czołówki programów z ubiegłej doby. Jednak odbiornik naraz odmówił mu posłuszeństwa, a całą ścianę salonu wypełnił obraz słodkiej Diany, z zaciekawieniem zagląającej do mieszkania.

– O, jesteś wreszcie. Rozgościłeś się?! – zapytała.

Dokumentnie zgłupiał i wybałuszył na nią gały. Przez pół-przeźroczystą haleczkę przezierały zachwycające piersi. Przywykł do małych, standardowych aparatów wideofonicznych, więc w pierwszej chwili sięgnął po pilota, nieudolnie usiłując pozbyć się jej z ekranu.

– Pardon – nerwowo mruknął, sądząc, że coś spieprzył. Może włączyło się jakieś stare nagranie wideo?

Była w garderobie, a za jej plecami niczym w uroczym haremie kręciły się inne roznegliżowane panienki.

– Widzę, że chcesz mnie przepędzić? – roześmiała się, poprawiając ramiączko. Dostrzegła, co wyczyniał z pilotem. – Nie wyganiaj mnie, to naprawdę ja.

– Ale jajca! – połapał się wreszcie. – Do diaska, nie spodziewałem się, że masz wideofon sprzężony z tą ścianą. No i że łączysz się tak po prostu, bez sygnału... – dotarło do niego, że zachowuje się jak pajac.

– To ja przepraszam – zaoponowała Diana. Brak kompletnego stroju chyba trochę ją krępował. – Jak widzisz, niestety, niespodziewanie musiałam stawić się w pracy. Za kilka dni prezentujemy nową kolekcję, więc wezwano mnie pilnie do paru przymiarek... – zaszczebiotała i zamilkła.

Pierre niezgrabnie odstawił szklankę, która wydała mu się nagle bardzo ciężka. Czuł się jak kiepski uczeń, przyłapany na ściąganiu w czasie testu i następnie ośmieszony przed tablicą. Rozkoszna perspektywa nocy poślubnej nagle się rozmyła. Nie tak sobie wyobrażał ten wieczór, który miał mu się przecież wryć w pamięć na zawsze.

– Nic nie szkodzi – z trudem wydusił z siebie. Zaczynał po-

ważnie żałować, że znalazł się w apartamencie Diany i że w ogóle poznał tę rozkapryszoną jędzę i cyniczną oszustkę. Wokół niego było tyle innych przystępnych lasek, które nie kryły tego, że są chętne.

Uśmiechnęła się, widząc, że nos mu opadł na kwintę. Chowała w zanadrzu miłą niespodziankę.

- O rety. Co ty? Nie załamuj się. Nie wycofałam się z tego, co obiecałam - usiłowała go pocieszyć. - Czekaj cierpliwie i pod żadnym pozorem nie wychodź z mieszkania - pogroziła mu żartobliwie paluszkami. - Za godzinę będę u ciebie - przesłała mu z ekranu czułego całuska. - Idomeneusie! - zabawnie zmarszczyła brwi, zwracając się do komputera. Ten musiał jej coś odpowiedzieć przez łącza. Chwileczkę z nim dialogowała, lecz o czym, tego - niestety - Pierre nie wiedział. Miał wizję, nie miał fonii. - No, to jeszcze raz, pa, rozkoszny misiaczku ! - rzuciła szybko do chłopaka. - Teraz, czy chcesz, czy nie chcesz - jesteś moim więźniem. Ten apartament jest jak kojec w zoo...

Obraz garderoby zniknął, a na ekranie pojawiła się wreszcie czołówka jego ulubionego serialu o dzielnych agentach z Bei. Mógł się już przenieść oczyma wyobraźni do kosmicznego imperium, obejmującego setki galaktyk i ogarniętego pożogą totalnej wojny. Nagle jednak stracił na to ochotę. Siedział chwilę nieruchomo, delektując się nieoczekiwanym sukcesem i widząc wciąż przed sobą kuszące do nieprzytomności piersi Diany, a potem z nagłą go poniosło. Zerwał się na równe nogi.

- Hura! Hura! - nie wytrzymał. Omal nie eksplodował jak granat. Odańczył ze szklanką w ręce wokół mebli niczym wokół palącego się ogniska indiański taniec zwycięstwa. Fetował wygraną, która przyszła bez walki.

Zziajany opadł z powrotem na fotel. Zaniepokoiła go mimowolna myśl, która mu raptem przeleciała przez głowę, więc zwrócił się do domowego stróża:

- Idomeneusie, Diana napomknęła, że jestem tutaj więźniem. O co jej chodzi?...

Tym razem komputer się nie wahał.

– Oznacza to, że zgodnie z jej życzeniem nie wolno mi pana pod żadnym pozorem wypuścić z apartamentu. Przykro mi, ale nie mogę inaczej...

Skrzywił się z niesmakiem.

– Bzdura! – rzucił wzburzony. – Wyrwę się stąd, kiedy będę chciał. Nie będzie mną pomiatać byle maszyna. A prawa obywatelskie?

Skierował się do drzwi wejściowych, próbując je uchylić i wyjrzeć na korytarz, lecz nie udało mu się ich ruszyć. Prawie wrosły we framugę. Podejrzliwie im się przyjrzał. Komu jak komu, ale tej idiotycznej maszynie należało wierzyć. Zbliżył się do balkonu, ale tamtędy również nie mógłby się wymknąć z przytulnego mieszkanka. Taras jak taras, drzwi były zamknięte, a okna chyba się w ogóle nie otwierały. Zresztą nie miał ochoty na to, by spuszczać się po rynnie jak nocny samuraj z jakuzi.

– Ależ wiedźma ma pomysły... Robię za papużkę w złotej klatce – mruknął oszołomiony. – Dobrze, że zostawiła karmę.

Nie miał wyboru, wyciągnął się w fotelu, każąc Idomeneusowi wyłączyć światła. Wcześniej przyniósł sobie z kuchni chrupki. W dziewięćdziesiątej drugiej galaktyce bohaterscy wysłannicy z Bei walczyli z oślizgłymi potworami, które zdobywały informacje, wysysając mózgi przeciwników. Stawka była wysoka. A gdy skończył się odcinek serialu, poszedł obejrzeć sypialnię.

Na stoliczku pod nocną lampką znalazł oprawiony w delikatną skórę pamiętnik Diany, który go zaciekał. Zastanawiał się, dlaczego go przed nim nie ukryła. Ważył go chwilę w dłoni. Włączył maleńki odtwarzacz. Preferowała rytmy reggae. Chyba nie prowadziła bloga w sieci. Połakomił się na tę przynętę, rzucił się na łożo, przykryte miękką, stylizowaną na skórę białego niedźwiedzia narzutą i relaksując się przy dźwiękach tumby i conga, oddał się lekturze.

Zastała go przy tym zajęciu, wchodząc cicho jak duch, ale na

otwarty kajet w jego rękach nie zwróciła uwagi. Miała na sobie obcisłe dzinsowe spodnie i równie obcisłą bluzkę. Przysiadła przy nim i obdarowała go słodkim całusem.

- Jestem już, mój ty królewiczu z bajki.

Próbował przyciągnąć ją do siebie, lecz zerwała się, przytrzymując mocno jego palce.

- Hola, hola, lubieżniku, nie przyszłam sama. Jest ze mną Sophie - wyjawiała konspiracyjnie. - Ale zaraz się wyniesie - znów go pocieszyła, widząc wyraz zawodu na jego twarzy.

Chcąc nie chcąc, musiał wciągnąć swoją koszulę w spodnie i pofatygować się do salonu. Powściągliwie przywitał się z modelką, która wydawała się nie ustępować Dianie urodą. Widział ją już wcześniej w budynku ze smokiem na portalu, więc jej obecność nie zaskoczyła go ani nie zdziwiła. Ta była łobuzerską brunetką, a w czarnym obcisłym kombinezonie przypominała kobietę- kota, zdolną do nieopisanych nocnych awantur, a nawet szwendania się po pochyłych dachach. O dziwo, podniosła się z fotela i podała mu szczupłą dłoń, choć wcale nie musiała tego zrobić.

- Niezły numer z ciebie - rzuciła z aplauzem, oglądając go z bliska i nie kryjąc babskiej fascynacji. - Numer - powtórzyła z nutą nostalgii w głosie, kiedy już z powrotem usiadła. - Tylko który?!

Diana nieco chaotycznie i z pewnym pośpiechem grzebała w podłużnym pojemniku z dyskami, przytarganym z pracowni.

- Och, nie musi od razu wiedzieć wszystkiego... - niecierpliwie zasłoniła się jego wcześniejszymi wyjaśnieniami.

Pierre przysiadł naprzeciw ciemnowłosej piękności, ciekawie zaglądając w jej tajemnicze brązowe oczy. Była ognistą laską i coś mu mówiło, że chętnie zamieniłaby się przy nim miejscami z przyjaciółką.

- A ty? Który? - zapytał, lustrując ją z uznaniem.

Sophie ze wzgardą wzruszyła ramionami, odwracając głowę.

- Nie wysilaj się, donżuanie. Diana obstawiała cię jak konia

na torze wyścigowym, więc jestem bez szans. Mam trzysta osiemdziesiąty drugi.

- A twój facet? - ciągnął raz podjętą myśl.

- Wyobraź sobie - odrzekła, sztyletując go wzrokiem - że nie mam chłopaka.

- Nie przesadzaj, a Artur? - dorzuciła trzy grosze Diana.

- Artur? Chyba żartujesz. To tylko dobry kolega.

Przypomniał sobie, co wcześniej mówiła wybranka jego serca.

- Trzysta osiemdziesiąty drugi? Ho, ho, to dzieli nas kupa numerów. Nie możemy zatem być dobrymi kochankami - wypalił z głupia frant. Ugryzł się w język, ale było już za późno. To nie należało do dobrego tonu.

Roześmiała się, setnie ubawiona. Pokazała białe zęby.

- Na Boga, kto ci wcisnął taki kit?

Na twarzy Diany pojawił się wyraz zmieszania i szybko prze-, rwała te popisy, które późnym wieczorem mogły się okazać niebezpieczne. Nie po to przyciągnęła przyjaciółkę, żeby jej pozwolić podrywać chłopaka.

- Dość już tego! - rozstrzygnęła. Potrzebny krążek znalazł się wreszcie w jej rękach i śpiesznie podała go Sophie, która natychmiast poderwała się z miejsca. Obie były bardzo poważne, ale kiedy sobie wreszcie mimochodem zajrzały w oczy, nie wytrzymały i parsknęły śmiechem. Cóż, miały swoje dziewczęce sekrety.

W drzwiach modelka się zatrzymała. Nie miała wcale ochoty opuszczać Diany i czuło się, że chętnie posiedziałyby u niej dłużej. Pierre był naprawdę interesującym typkiem.

- To co? Zostajesz? - cwaniak czekał na ten moment. — Trzeba posprzątać w kuchni - palnął z premedytacją.

Spłynęło to po niej jak woda po kaczce. Nie poczuła się urażona tym kiepskim żartem i życzliwie kiwnęła mu ręką na pożegnanie.

- Dobranoc, demonie rozkoszy - rzuciła z odrobiną ironii,

cicho zamykając za sobą drzwi. Odniósł wrażenie, że wychodząc pozostawiła na jego ustach niewidoczny pocałunek.

Zostali wreszcie sam na sam i Pierre'owi zabrakło nagle tchu. Diana cicho stała obok niego jakąś chwilę, jakby czegoś wyczekując, a potem przerwała milczenie, ufnie zarzucając mu ramiona na szyję.

– Kocham cię! – szepnęła czule. – Teraz możemy już to zrobić. Tak jak chcesz.

Karmił się jej bliskością. Rozkoszował się jej pachnącymi złotymi włosami, gładząc je tkliwie. Delikatnie dotykał jej twarzy. Nie liczyły się już tamte drobne porażki.

– Cudownie – odpowiedział. – Chodź! – pociągnął ją za sobą do sypialni. Poszła za nim bez oporów.

Tak silnej burzy magnetycznej nie odnotowano na Księżycu już od kilku lat. Nawet wyrafinowane techniki wzmacniania sygnałów radiowych tego dnia nic nie dawały i przez blisko trzy godziny baza księżycowa była odcięta od świata. Kosmiczny wiatr wył, potęgując się w czasie silnych perturbacji słonecznych. Wiemy satelita Ziemi nie miał atmosfery ani własnego pola magnetycznego, więc Venzeno Pacelli w przypływie dobrego humoru zwykł mawiać do podwładnych, że przyszło im żyć i pracować w wiecznym przeciągu. Teraz jednak opuściła go ochota do żartów.

Rozmieszczone wokół stacji obcych sondy wydawały się na okrągło mylić i częstowały eter sprzecznymi ze sobą, urywanymi danymi. Na ekranach nie było w ogóle widać bezcennego znaleziska, jakby ktoś je złośliwie ekranował, by po cichu zwędzić i sprytnie przenieść w nieznane miejsce. Rozmyślało się w niby to mgłę i bladło.

Komandor stał jak na szpilkach, pocił się i z nadzieją na poprawę łączności wlepił gały w migające monitory.

– Co za szajs! – mruknął w pewnej chwili. Miał już tego dość.

Cywilów wolał nie wołać, bo na nich takie zakłócenia nie robiły wrażenia.

Gdyby przyczółek obcych nieoczekiwanie zmiotło z powierzchni Księżyca, ośmieszyliby się nie na żarty i wolał sobie tego nawet nie wyobrażać. Nie zniósłby takiej kompromitacji. Pluł sobie w brodę, bo powinien był zadbać o dokumentację whitego w grunt tajemniczego monumentu, nie czekając, aż wzniesie się słońce. Niepotrzebnie z tym zwlekał. Ścisnął w rękę asa i rozkoszował się myślą, że ze swoim włoskim nazwiskiem trafi do podręczników historii. Na tak szczęśliwe rozdanie kart nie mógł nigdy więcej w życiu liczyć, a wydawało się ono graniczyć z cudem. Iście szatańska wirtuozeria! Przypadkowe odkrycie dowodziło, że trzecia planeta była w przeszłości odwiedzana przez wysłanników obcej cywilizacji. Nie chodziło o okrzyczane szczątki dinozaurów czy o sławetne ślady po ludzkim praprzodku, którymi fascynowali się archeolodzy. Odkopanymi resztkami zachłystywano się w XX wieku, ale zdecydowanie przegrywały one w konfrontacji z obecną oszałamiającą rewelacją. Pacelli ofiarował Ziemi coś naprawdę wielkiego.

Po obiedzie komandor skrył się w swoim apartamencie i po raz kolejny z rzędu zabrał się do przeglądania cennych zdjęć, wykonanych przy użyciu specjalnych filtrów.

- Fenomenalne - mrucał przejęty. - Niewiarygodne!

Wysłał je na Ziemię, gdzie uwijano się jak w ukropie. Trwały tam pośpieszne i nieco gorączkowe przygotowania. Stawka była wysoka. Już za dwa tygodnie mieli przylecieć wahadłowcem na Księżyc starannie wybrani wybitni specjaliści z różnych ważkich branż, by z uwagą zająć się odkryciem. Same najtęższe mózgi, fachowcy nie od parady. A wszystko w największym sekrecie. Na razie dźwigał się księżycowy dzień, który odpowiadał mniej więcej trzynastu ziemskim, a temperatura gruntu systematycznie się podnosiła. Wkrótce też miała osiągnąć poziom odpowiadający wrzeniu wody, aby potem go

przekroczyć. To był Księżyc, raz piekielnie zimno, a raz bardzo gorąco.

Alice zanosila się perlistym śmiechem. Radośnie chichocząc, rzuciła w Johna poduszką, a potem schroniła się w łazience. Dopadł ją pod prysznicem, skąd już nie mogła się wyslizgnąć. Szarpnęła połyskującą dźwignię i nagle zmoczył ich strumień ciepłego deszczu.

– Ty wariatko, co robisz, mam w kieszeni ważne papiery!

Teraz ona go przytrzymała. Nie widzieli się dwa dni, lecz w niczym nie osłabiło to siły jej uczuć.

– To zdejmij spodnie! – zaproponowała, krztusząc się ze śmiechu.

Przekomicznie wyglądał w mokrej koszuli, która lepila się do ciała. Woda ściekała mu po twarzy. Rzuciła mu suchy ręcznik, przewieszony przez szklaną ściankę kabiny. Zaczął się wycierać, śledząc kątem oka jej dalsze śmiałe poczynania. Pewna siebie zrzuciła spódniczkę i bluzkę, a potem rozpięła biustonosz. Pofrunął w jego stronę i wylądował na białym blacie pralki ozonowej. Ujął go delikatnie w palce, unosząc jak zdobyczne trofeum.

– Zero punktów za celność – zażartował. – Pif, paf! Już jesteś martwa!

Wreszcie przestał się śmiać. Figi Alice wystrzeliły w górę i spadły u jego stóp. Ujrzał zabawny czarny trójkącik włosów i obudził się w nim młody lew. Rozebrał się do końca i wskoczył do niej pod tusz.

Potem zmęczeni leżeli w jej sypialni, oglądając telewizję. Na ekranie trwał mecz, kibice szaleli, lecz jego przebieg nie zajmował Smitha. Myślami był najpierw przy zgrabnych pannicach, pożegnanych na dworcu lotniczym imienia de Gaulle'a, obiecujących, że nigdy o nim nie zapomną; następnie pomyślał

o Hillu, arystokratycznym szefie sekcji, niezaprzeczenie ukrywającym przed Johnem i innymi agentami śmierzące gierki i śliskie machinacje. Maszkara gdzieś przepadła, więc nie był zaskoczony lakonicznym meldunkiem, który odebrał rankiem w swym nowojorskim mieszkaniu. Ani widu, ani słychu. Zajrzał po południu do gmachu, w którym pracował, ale zamiast zająć się sprawami, które spiętrzyły się pod jego nieobecność, wypełnił czas poszukiwaniem agenta, który pomógłby mu zebrać informacje o dwóch studentkach Sorbony, Arielle Ayer i Sylvie Jedin. Obiecano mu wreszcie standardowe dossier na popołudnie następnego dnia. Dopiero gdy wychodził, przemiła i uczynna Carré, znakomita w roli sekretarki, zapytała go, czy już wyjął z sejfu szefa przesyłkę, która do niego nadeszła, kiedy buszował po Europie. Ponoć było to coś ściśle tajnego, a Dickinson kazał mu o tym przypomnieć. Niestety, po siedemnastej szefa już nie było w biurze i John miał odcięty dostęp do sejfu. Wahał się teraz, tuląc do siebie Alice i gładząc jej pachnące włosy, czy przypadkiem nie popełnia błędów, za które przyjdzie mu zapłacić w przyszłości. Sprawy osobiste brały górę. Przez kilka lat był oddanym pracy i niemal żyjącym w celibacie samotnikiem, lecz oto nagle wypuszczono go z klasztornych murów, lekkomyślnie zwalnając z obowiązku zachowania reguły. Puściły więzy, a sumienny i solidny John przedzierzgnął się w rozkoja- rzonego erotomana, który ślini się na widok krótkich spódniczek i skwapliwie korzysta z każdej nadarzającej się okazji. Czym się to miało skończyć, jeszcze nie wiedział, ale przypominały mu się wciąż liczne ostrzeżenia, związane z jego wiekiem. Około pięćdziesiątki ponoć niejednemu facetowi zdrowo odbijało, a nie chciał, żeby i jemu takie nieszczęście się przytrafiło.

- Co z alfą?! - zapytał Alice, która słysząc jego głos, otworzyła oczy, zamruczała jak kotka i rozkosznie się przeciągnęła.

Potem zerknęła na wiszący na ścianie zegar w kształcie Statui Wolności, zapewne ściągnięty z jakiegoś antykwariatu.

Dochodziła dwudziesta pierwsza.

- Dlaczego cię to zajmuje? I to o tej porze? - ziewnęła, całując jego ramię.

Z roztkliwieniem przyglądał się jej zachwycającej twarzy o delikatnych, regularnych rysach. O gustach nie należało dyskutować, ale wydawała mu się sympatyczniejsza i ładniejsza od tamtych zbzikowanych paryskich studentek, którym udało się go złowić przed odlotem z Europy. Ta przygoda przechodziła najśmielsze wyobrażenia faceta w jego wieku i nie chciało mu się wprost wierzyć, że do owej orgii naprawdę doszło. W zaciszu pokoju hotelowego przeleciał najpierw jedną, a potem drugą, za nic mając to, że koleś z jego branży nie powinien tracić z oczu troski o reputację. Dlaczego tak atrakcyjne dziewczyny właśnie na niego się połakomiły? Uległ, bo polechtały jego ambicję. Bądź co bądź należał do grona siwiejących i łysiejących dinozaurów, a one potrafiłyby owinąć sobie wokół palca niejednego przystojnego młokosa. A może to była upiorna forma babskiego sportu ekstremalnego? Wynaturzony *bungee jumping*?

Arielle okazała się bajecznie napalona, już w drzwiach rzuciła się na Johna, a wpijając się nieprzytomnie w jego usta, zmusiła go, by wcielił się w rolę porywającego kochanka. I chyba podołał temu zadaniu. W chwilę później ich ciała wirowały w opętanym tańcu rozkoszy. Wahał się teraz, czy ta gorąca laska nie była przypadkiem pod wpływem środków odurzających. Nie spotkał się nigdy z taką eksplozją namiętności. Niby z oczu patrzyło jej normalnie, jednak w numerze hotelowym pokazała, że jest pozbawioną wszelkiej kontroli tygrysią. Od pierwszej chwili miała ognisty orgazm. Rzeka musiała już od dawna wzbierać i raptem pękła tama, z trudem powstrzymująca napór wody. Nieco markotna Sylvie grała w białiznie rolę drugich skrzypiec. Biernie asystowała ich zwierzęcej kopulacji i nie dawała poznać, czy ma zamiar pójść na całość, jak jej przyjaciółeczka z oszalamiającym

temperamentem. Nie ściągnęła przykrótkiej haleczki, ani tego, co miała pod spodem. Dopiero gdy czujący się jak prawdziwy zdobywca, zmęczony John zaczął zakładać poplamioną szminką koszulę z naderwanym rękawem, a jej zwariowana koleżanka wymknęła się do łazienki, aby się ogarnąć, odważyła się i przytrzymała Smitha za rękę, uległe kładąc się na pościeli. Nie pojmował, jak mu się udało w tak krótkim czasie powtórzyć ten sam numer, bowiem z żoną dwa razy pod rząd zwykle mu nie wychodziło. Miał wątpliwości, czy chciałby znowu znaleźć się w podobnej sytuacji i ostrożnie wywnioskował, że w przyszłości powinien omijać duże porty lotnicze. I uważać na takie niewinne młode latorośle. Rozkoszne studentki nie próbowały go zatrzymać, a ich twarze zaczęły się mu już rozmywać przed oczami. Ginęęły w ciepłym paryskim deszczu. Obawiał się, że po pewnym czasie zacznie się zastanawiać, czy do owego popisu w ogóle doszło i czy mu się to wszystko nie przyśniło.

– Dlaczego mnie to zajmuje? – ocknął się z zamyślenia. – Przecież nad tym pracuję – podkreślił.

Oparła głowę na jego owłosionym torsie. Znajdowała szczęście w przystani jego silnych, męskich ramion.

– Alfę zabrali do mieszczącego się gdzieś w Górach Skalistych tajnego laboratorium. Chyba w stanie Montana – wyjawiała. – Boją się. Chcą się najpierw upewnić, że to urządzenie nie wyrządzi nikomu krzywdy. Jest mało prawdopodobne, aby odkryli, jak ono działa, ale przynajmniej określą jego potencjał energetyczny. Teoretycznie biorąc, przy nieumiejętnych próbach obsługi może przecież eksplodować i zamienić Manhattan w kupę ruin i ogromne pogorzelnisko. Ale jak już przestaną robić w portki ze strachu, to ściągną to maleństwo do Nowego Jorku.

Ściszył pilotem telewizor. Mecz rugby zresztą już się skończył i teraz leciały reklamy.

– Długo to potrwa? – indagował nadal dziewczynę.

Westchnęła, przytuliła się i lekko ugryzła go w ucho.

- Dwa lub trzy dni - zdradziła. - Ale to nie wszystko - ożywiła się. - Zaczęła się nowa afera. Tym razem z Księżycem...
- Z Księżycem?! - nie pojmował, o co jej chodzi.

Nie miała ochoty wyjaśniać. W gmachu sił specjalnych przy Czterdziestej Drugiej Ulicy wiele razy debatowała z nim na tematy służbowe i pamiętała, że John stwarzał w takich chwilach irytujący ją dystans.

- Na pewno jutro lub pojutrze wbiją ci to do głowy - rzekła wymijająco. Podniosła się z łóżka, pokazując dziewczęce gładkie plecy, ale przyciągnął ją z powrotem. - Puść mnie - mruknęła, całując go w czoło i głaszcząc pieśczośliwie po łysinie. - Muszę wrzucić do suszarki twoje mokre rzeczy, no i upichcić. Lubisz pizzę?

Wcześniej myślał o spacerze po Broadwayu i o kolacji na Times Square. Jednak odeszło go jakoś pragnienie, by włączyć się po mieście w towarzystwie przyciągającej uwagę ślicznej młodej kobiety i sycić się zazdrośnymi spojrzeniami mijanych mężczyzn. Wpadł w sidła błęgiego lenistwa i nie chciało mu się ruszać z jej wygodnego apartamentu. Czuł się w nim niemal jak u siebie, a w mimowolnych przebłyskach powracały mu przed oczy sceny z czasów, kiedy jeszcze żyła jego żona.

- Chętnie coś zjem, nie ma co - ziewnął i przeciągnął się, a potem zwlókł się z łóżka, owijając tors białym prześcieradłem.

Wyobraził sobie, że wcieliła się w rolę dumnego rzymskiego patrycjusza. Niestety, wieniec z wawrzynu nie wieńczył jego czoła, a to, co miał na sobie, nie zasługiwało na miano togi. - Chciałbym, żebyś mi opowiedziała o tym Księżycu, może to jest ważne... - zawiesił głos. Przeszedł się do saloniku i rzucił okiem na książki w biblioteczce. Gwizdnął ze zdumienia, widząc pełną kolekcję dzieł starożytnych i średniowiecznych filozofów. Przejechał palcem po skórzanych grzbietach. - Sokrates, Platon, Arystoteles, Tomasz z Akwinu - mruknął. Wyjął tom i, przytrzymując opadające prześcieradło, zaczął z zacięciem przewracać strony.

Dossier było gotowe już z samego rana i Smith pobieżnie je przejrzał, z rozczuleniem zatrzymując się przy kolorowych fotkach obu dziewcząt. Pozowały w skąpych ciuszkach i nieźle się prezentowały. Czulo się rękę fachowca, więc ani chybi załapały się na sesję u rzutkiego artysty fotografa. Jednak jego inicjały nic mu nie mówiły. Następnie połączył się z agentem w Waszyngtonie, który tak szybko uporał się z niewdzięcznym zadaniem – należały się mu podziękowania. Tamten niemrawo poruszał szczękami. Żuł gumę, rozwalił się przy biurku i nogi miał niemal na blacie, ale gdy ujrzał twarz Johna na ekranie, spuścił je i zerwał się z miejsca, okazując niezwykle podniecenie. Potem omal nie rozgniół swojego nosa na obiektywie kamery.

– Chłopie, dobrze, że się ze mną skontaktowałeś – był niewiarygodnie przejęty, a jeżeli tylko udawał, że się przejął, to naprawdę dobrze grał. – Czekałem na tę rozmowę. Sam chyba nie wiesz, w co się pakujesz. To jedno wielkie... bagno... – wygarnął.

Smith nie rozumiał, o co chodzi staremu kumpłowi z lat szkolnych, z którym w Chicago biegał po boisku. Nie dał się wyprowadzić z równowagi.

– Bagno?! Dlaczego?

Agent uspokajał się powoli. Wypluł gumę i poprawił krawat, a potem rozejrzał się niespokojnie, jakby w obawie, że ktoś postronny może ich usłyszeć.

– Fatalna sprawa, wyobraź sobie, że to dossier było już gotowe... – podzielił się elektryzującym odkryciem. – Ktoś cię cwanie ubiegł, zamawiając dane o tych dziewczynach przed tobą. Desmet nie musiał stawać na głowie, sporządził dla ciebie tylko kopię – wyjawiał konspiracyjnie, omal zwijając dłoń w trąbkę. Sięgnął po następne opakowanie gumy do żucia. Triumfował i miał po temu powody. Wyświadczył Johnowi niejedną, lecz dwie przysługi i teraz stary przyjaciel musiał pamiętać o podwójnym rewanżu. W przyszłości mógł uderzyć

do niego, o ile sam miałby podobne kłopoty.

Smith zrobił wielkie oczy. Tego się nie spodziewał.

- Ale komu na tym zależało? - zirytował się, nie pojmując, co dzieje się wokół niego. Przypomniał sobie nagle o kradzieży dysków. - Ten Desmet tego nie wie? - Ktoś jak cień, maskując się znakomicie, posuwał się jego śladami, sprawdzając niemalże każdy krok.

- Niestety, nie - kumpel pokręcił przecząco głową. - Ma swój kodowany kanał służbowy i tą linią nadchodzą zlecenia. Różne, z Waszyngtonu, Nowego Jorku, Toronto, Londynu, nawet z Białego Domu. Nie interesuje go, kto zamawia, o ile jest do tego uprawniony. Bogiem a prawdą, sam nawet nie chce wiedzieć, kto i po co...

Technik wzruszył ramionami. Minę miał niewyraźną, ale szybko się opanował.

- Uczestniczyłem ostatnio w spektakularnej akcji w Europie, nie ma co. Właśnie wróciłem - usprawiedliwił się przed kolegą.

- Może to jej pokłosie?

Agent z Waszyngtonu nie przejmował się tym tłumaczeniem.

- Twoja sprawa, nie moja - prychnął, oganiając się od niego jak od muchy. - Nie jestem księdzem, nie musisz się spowiadać. W każdym razie pamiętaj, John, ostrzegłem cię. Oglądaj się, cholera, uważnie za siebie, bo ani się spostrzeżesz, a ktoś ci znienacka wbije nóż w plecy - doradził mu po przyjacielsku. - A jeżeli będziesz czegoś znowu potrzebował, to znajdziesz mnie, stary, tam gdzie zwykle. Wal śmiało. I do diaska, rób to co ja - rzucił z naciskiem. - Czyli po prostu się nie wychylaj...

Smith nie zdążył się zastanowić nad treścią tej rozmowy. Stała już nad nim uśmiechnięta Carré, trzymająca w ręku jakieś papiery.

- John, przesyłka czeka - przypomniała mu. - U Dickinsona.

Zajrzał do gabinetu szefa wydziału, a ten niedbałym gestem wskazał mu otwarty sejf. Był zajęty, prowadził akurat jakąś rozmowę przez vt. Dyskietkę umieszczono w niepokażnej

kopercie z jego numerem służbowym. Smith zaniósł ją do siebie, rozkodował i rzucił jej zawartość na ekran. Popłynęły rzędy liczb, schematy i wykresy.

Chwilę się w to wpatrywał, a potem zmartwił.

– O rany! – wyrwało mu się z ust. – Co to jest?

Siedział jak skamieniały, oglądając nieoczekiwane rezultaty kilkudniowej pracy. Odkrycie było tak zdumiewające i szokujące, a przy tym tak niewiarygodne, że w jednej chwili zapomniał i o rozmowie z agentem z Waszyngtonu, i o dossier figlarnych dziewcząt z Paryża. Poczł się tak, jakby ktoś z całym Manhattanem obrócił go nagle z rozmachem o całe sto osiemdziesiąt stopni. Bezradnie rozejrzał się wokół siebie, instynktownie szukając w kimś oparcia, ale w zasięgu wzroku nie znalazł nikogo, z kim mógłby się podzielić tą rewelacją. Nigdy w życiu z czymś tak groteskowym nie miał do czynienia. Był w kropce.

Wyszedł tuż po południu z Philadelphia Museum of Art i zorientował się, że ktoś obcy go śledzi. Mężczyzna mógł mieć około sześćdziesiątki i krył twarz pod kapeluszem, lecz jego chód zdradzał, że fizycznie jest bardzo sprawny, wysportowany i szybki. Zbagatelizował to odkrycie. Był podwójnie chroniony – i jako młody agent sił specjalnych, i jako angelos, reprezentant dobrze zakonspirowanej nieziemskiej społeczności, więc nie miał powodu, by obawiać się czegokolwiek. Utrzymywała się słoneczna pogoda. Poprzedniego dnia wybrał się aż do Cape May, chłonąc na cyplu ogrom Atlantyku i wystawiając twarz na łagodne podmuchy wiatru. Planował jeszcze podróż do Nowego Jorku i z powrotem, ale konieczność codziennego stawiania się w klinice uniemożliwiała mu dalsze wypady turystyczne. Bruno Moltmann, którego znał już wcześniej, odebrał od niego trefną przesyłkę, by potem przypiąć się do jego stanu zdrowia. Młody agent nie miał pojęcia, o co mu naprawdę chodzi. Czuł się

zdrowy jak ryba i nigdy na nic się nie skarżył, wyjąwszy nieczęste bóle głowy. Domyślał się z pewną dozą zrozumiałości, że ten znany specjalista, prawdziwa sława medyczna, chce się popisać przed osobistym zaufanym Hilla oszalałym wyposażeniem medycznym kliniki. Zainstalowano tu naprawdę nowoczesne urządzenia, a rudy lekarz wielkodusznie zaproponował Hansowi, by ten asystował przy operacji mózgu. Chłopak skwapliwie się zgodził, bo nigdy czegoś takiego z bliska nie widział. W nieomal sakralnej ciszy wykonywały ją od początku do końca sterylne aparaty medyczne pod nadzorem centralnego komputera i kontrolą grona specjalistów, skupionych przy monitorach. Pełna automatyzacja. Medycyna przyszłości!

- *Identification please*¹² - postawny strażnik przy wejściu dla personelu był uśmiechnięty i pytał właściwie tylko dla formalności.

Hans Whitehead leniwie wydobył kartę, na którą tamten nawet nie spojrział. Przed szpitalem szeregowi Armii Zbawienia śpiewali psalmy. Zajrzał do gabinetu Moltmanna, lecz tam go nie zastał, a jedna z sekretarek wyjaśniła mu, że profesor właśnie wyjechał do Trenton, skąd wróci dopiero późnym wieczorem. Za godzinę czekała chłopaka ostatnia faza nudnych badań, więc póki co zdecydował się pozostać w holu i zając lekturą amerykańskich gazet. Wybrał wygodny fotel. Zaintrygowały go szpalty z działu międzynarodowego. Kiedy zabrał się do reportażu z Chin, przywołała go dziewczyna z recepcji. Zgrabna Murzynka miała śmiejące się oczy i ujmujący uśmiech. Odebrała telefon i przypomniała mu, że na siódmym piętrze ktoś na niego czeka. Wezwali go kwadrans przed czasem. Złożył gazetę i poziewując, podreptał do windy.

Korytarz na górze był zupełnie pusty, co Hansa ogromnie zdziwiło, gdyż zazwyczaj panował tu ruch i kręciło się sporo osób, głównie personelu, korzystającego z pracowni analitycznych i z działu immunologii. Tym razem wszystkich

wymiotło, jakby przypadł dzień wolny od pracy, a w kalendarzu było oznaczone jakieś lokalne amerykańskie święto. Trafiał do pomieszczenia, w którym zwykle go przyjmowano. Laborant z błyszczącą łysiną z tyłu głowy był odwrócony, więc śmiało wchodzący chłopak nie zorientował się, że pracującego tam Iwana zastąpił ktoś inny, tylko do niego podobny. Kątem oka odnotował jakiś podejrzany ruch, lecz kiedy spostrzegł, że wpadł w pułapkę, było już za późno na jakąkolwiek obronę. Suchy strzał z paralizatora powalił go na posadzkę. Ukryty dotąd za drzwiami mężczyzna złapał go za ramię i podał mu zastrzyk ze zgnięzioną ciecżą.

– *Good night, boy!*¹³

Ogarnęła go błoga ciemność. Zabełkotał, próbując bronić się po omacku, ale zaraz osłabł. Poczuł, że jest znowu w Cape May i że łagodnie wypływa w morze, poddając się ruchowi fal.

Napastnicy porozumiewali się bez słów. Zapakowali chłopaka do zasuwanego na długi zamek czarnego wora z grubej folii, a potem wprawnie przełożyli go na nosze. Wytoczyli wózek na korytarz, kierując się ku windzie towarowej. Jechała wolniej niż osobowa, za to nie zatrzymywała się na poziomie, na którym znajdowały się prosektorium i wyposażony w system elektronicznej kontroli magazyn narzędzi do przeszczepów, a opadała aż do ciemnych garaży. Mężczyźni pozbyli się szpitalnych kitlów, wpychając je do kartonowego pudła w kącie windy. Pod spodem mieli całkiem gustowne uniformy, dokładnie takie, jakie zwykle nosili pracownicy obsługi hoteli. Wytoczyli nosze wprost przy szeroko otwartej z tyłu furgonetce. Trzasnęły drzwiczki i warknął silnik. Wóz ruszył z garaży podjazdem, prowadzącym na ruchliwą ulicę.

Sygnał wozu policyjnego wyprowadził z równowagi siedzącego za kierownicą młodzika.

– Cholera! Co u licha?

Drugi był spokojniejszy. Wzruszył ramionami.

– Co się rzucasz? Furgon został zwędzony przed godziną.

Mało prawdopodobne, by zaginięcie już zgłoszono. Jeśli to zrobią, to na pewno nie dzisiaj.

Kierowca zwolnił, a potem przyspieszył. Wziął głębszy oddech i zdecydował się skręcić w wąską przecznicę.

– Ma się rozumieć. Aleja swoje wiem. Tędy będzie krócej – skwapliwie tłumaczył swoją decyzję.

W kilka minut później lawirująca między wozami dostawczymi furgonetka zajechała na ciche zaplecze hotelu, w którym Hans Whitehead wynajmował apartament. Starszy mężczyzna czuł się tu nad podziw swobodnie. Otworzył kluczem kłódkę, założoną na rzadko używaną metalową bramkę.

– Szlag by to trafił! Jest ciężki jak diabli. Nie znoszę zleceń z transportem przez miasto – nerwowo wysapał młodszy, uginający się pod ciężarem.

Wcisnęli się z osobliwym bagażem do wąskiej windy, która wyniosła ich na górę. Na dziewiątym piętrze czekała na nich schludna pokojówka z wózkiem do składania brudnej bielizny. Worek z lokatorem został tam umieszczony i przykryty dla niepoznaki ręcznikami kąpielowymi i czystymi prześcieradłami.

– Faza pierwsza z głowy – mruknął szpakowaty mężczyzna.

Szli teraz obaj za miłą dziewczyną w czepku i fartuszkę, cichutko z nią żartując. Starszy miał minę majordomusa, który kontroluje podległą sobie służbę. Zerkali na kolejne numery pokoi, by znaleźć się wreszcie przed drzwiami, których szukali.

W apartamencie Hans został brutalnie wyrzucony na miękką wykładzinę. Miła pokojówka wyniosła się, wracając do swej pracy, a młodszy z porywaczy zajął się ukrytą w przedpokoju instalacją elektroniczną. Usunął blokadę okien, wydlubując z oprawy miniaturowy bezpiecznik.

– Gotowe! – rzucił. – Możemy go brać.

Sapnęła klimatyzacja, a przez szeroko otwarte okienko wdarł się szarpiący firanki wiatr. Wychylony Hans wisiał przez chwilę

na framudze, jakby sprawdzał, co jest w dole, a potem wypadł na zewnątrz. Bezceremonialnie go wypchnęli. Ciało koziółkowało, spadając, aż wreszcie wbiło się z rozmachem w dach białego mercedesa, znacząc swą obecność czerwonymi stróżkami krwi. Stojąca obok wozu szykowna damulka z pudlem krzyczała w ataku hysterii.

Tamci w apartamencie chyba jednak tego nie słyszeli. Bezpiecznik z odcisniętym śladem kciuka samobójcy pozostał na łóżku.

Obrzucili wzrokiem pomieszczenie, sprawdzając, czy nie pozostawili śladów po sobie, a potem najspokojniej w świetle wyszli, starannie zamykając za sobą drzwi. Starszy wytarł klamkę chusteczką. Kroczyli ku windzie, dość głośno się zastanawiając, czy dziczyzna przewidziana na kolację w hotelowej restauracji będzie tego wieczoru należycie przygotowana, czy też nie. Jeden z biegłych w swym fachu kucharzy, ponoć Sycylijczyk, poważnie się rozchorował. Szarmancko przepuścili dystyngowaną starszą panią, która również chciała skorzystać z windy. Z gracją zatrzymali się, pozwalając jej pierwszej zjechać, a sami cierpliwie poczekali na sąsiednią, która akurat pięła się ku wyższym piętrům. Nie musieli się spieszyć i mogli pozwolić sobie na taką beztroskę. Tego dnia byli już po pracy.

Komandor Pacelli zacierał ręce, bowiem jego akcje z godziny na godzinę szły w górę. Czuł, jak rośnie w oczach pyszałkowatych urzędasów na Ziemi, i to mu sprawiało ogromną przyjemność. Dwaj specjaliści od gruntu księżycowego stanęli na wysokości zadania, błyskawicznie przekwalifikowując się i ostro przystępując do pracy. Pokazali, co potrafią. Kiedy żartowali, wtedy żartowali, a kiedy brali się do roboty, dawali z siebie wszystko. Mimo że nie poradzili sobie dotąd z włazem, który nie został jeszcze otwarty, udało im się

orientacyjnie zgłębić korpus znaleziska i z grubsza określić jego zawartość. To był duży sukces. Z prawdziwą wirtuozerią prześwietlili zbudowany z krzemu obiekt, z uwagą badając jego poszczególne segmenty. David Griffith nie miał już ani cienia wątpliwości. Wryty w spękany księżycowy grunt monument był nieznanym statkiem kosmicznym. Dlaczego jednak tkwił tu zapomniany przez ponad trzy tysiące lat? Skąd przybył? Czy był uszkodzony? Jaki miał napęd? I co się stało z tymi, którzy nim przylecieli? Na te i inne pytania, które cisnęły się im na usta, nie nasuwały się na razie żadne przekonujące odpowiedzi.

Operowali mglistymi hipotezami i co najwyżej mogli sobie trochę pofantazjować.

Na Ziemi zainteresowanie widmowym znaleziskiem nie gasło, a płynące ze Srebrnego Globu doniesienia natychmiast docierały na najwyższy szczebel. Elektryzujące wiadomości rozchodziły się lotem błyskawicy. I choć były nadal objęte klauzulą tajności, to i owo przeciekało na zewnątrz z ośrodka komputerowego w Górach Skalistych, skąd przez całe lata nadzorowano program budowy stacji księżycowej. Tak musiało być, skoro do komandora niby to przypadkiem i właściwie półprywatnie zatelefonowała Rita Blake z BBC, próbująca go bardzo ostrożnie wy badać, co dzieje się wokół bazy. Nie niuchałaby, gdyby coś nie otarło się jej o uszy. Domyślała się, że natrafiono na cenne wykopalisko i była niezmiernie ciekawa, co to może być. Dziennikarka wyglądała ponętnie i świeżo, a pogawędka z nią sprawiała komandorowi widoczną przyjemność. Nie odrywał wzroku od ekranu. Włosy miała zaczesane do tyłu i upięte w kok, a przed kamerą usiadła pewnie w najkrótszej ze swych markowych sukienek – i to w taki sposób, żeby w całej okazałości było widać jej zgrabne, opalone nogi. Żałował, że jej nie spotkał, kiedy przed kilkoma laty gościł w Londynie. Wił się jak piskorz, wykręcając się od odpowiedzi, mimo to nie miał ochoty na przerwanie połączenia z Ziemią. Wspomniał więc najpierw coś o rzadkich minerałach,

które kryje grunt księżycowy, a potem zaczął bajdurzyć o stacji. Z dumą opisywał system równowagi termicznej bazy. Popisywał się jak głupek, bowiem te niby- rewelacje można było bez trudu wyłuskać z Internetu. Zasilana przez baterie słoneczne aparatura działała zamiennie, ogrzewając misję w czasie księżycowych nocy, a po wschodzie słońca chłodząc jej korpus. Gdyby zawiodła, lunonaucci byłiby bez szans, chyba że poruszałiby się wyłącznie w niewygodnych klimatyzowanych kombinezonach, w których wypuszczali się na powierzchnię Srebrnego Globu.

Rita Blake nie kryła, że jest zadowolona z pogawędki, co zresztą zdradzały jej śliczne oczy, które zdawały się pytać, czy na Księżycu można uprawiać seks. Nie usiłowała mu wpadać w słowo, co uwielbiali dziennikarze pod każdą szerokością geograficzną, a była zasłuchana, jakby te wątpliwe rewelacje słyszała po raz pierwszy w życiu. A pod koniec połączenia ostrożnie go zapytała, czy nie byłby zainteresowany jej przybyciem na Księżyc. Chciała koniecznie obejrzeć sobie z bliska pierwszą eksperymentalną ludzką sadybę poza macierzystą planetą i z kamerą w dłoni przygotować cykl reportaży telewizyjnych. Co jak co, ale Srebrny Glob znajdował się niemal w zasięgu ręki, czego nie można było powiedzieć o Marsie, na którym również wyrosła zamieszkała stacja. Wyszła z propozycją w taki sposób, jakby marzyła tylko o tym, żeby z dziką rozkoszą paść mu w ramiona – no, ale należała do przekonujących kobiet. Zresztą, w tej branży po cenne informacje należało czasami iść po trupach. Alternatywą było łóżko, o ile posiadało się takie jak ona ciało. Solennie obiecał, że poprze ten projekt, kierując ją jednocześnie do rzecznika prasowego Instytutu Badań Kosmosu, który rezydował w Waszyngtonie. To on decydował o takich sprawach.

Po ujmującym tête-à-tête z czarującą anielicą z BBC samopoczucie komandora tak dalece się poprawiło, że przewyciężając lęk o własny stołek, zdobył się zuchwale na desperacki krok. Za-

żądał mianowicie od Ziemi, by przekazano mu kompletne dossier dotyczące intruzów, którzy wtargnęli do sektora C i uszkodzili zewnętrzny korpus bazy. Zaszyfrowany radiogram wysłano na planetę-matkę, on zaś posiedział jakiś czas w obserwatorium astronomicznym, a potem wybrał się na dół w poszukiwaniu Griffitha i Donlona. Był rozmarzony i myślami nieobecny, co zdziwiło zjeżdżającego z nim w dół rosłego chłopaka w roboczym mundurze, z krótko przystrzyżonymi włosami. Ich czujny dowódca zwykle żywo reagował na to, co się wokół niego działo. Komandor znalazł obu cywili w mesie, gdzie siedzieli przy dobrze zaparzonej aromatycznej kawie, dyskutując o rzeczach, o których on sam miał raczej mgliste pojęcie. Niemniej chętnie przysiadł przy nich i jak pilny uczeń ulegle zamienił się w słuch.

W Paryżu padało, a niebo aż po horyzont było zasnuwane kłębiącymi się chmurami. Podobne do nich posępne myśli kłębiły się również w umyśle półżywego ze zmęczenia Humberta Hilla. Fatalna, dżdżysta pogoda, jaka miała się utrzymać przez kilka dni, wpływała depresyjnie na szefa Instytutu Historycznego. Siedział za swoim biurkiem z miną cierpiętnika, łokciami wsparty o blat i obsesyjnie dłubał wykałaczką w zębach. W nocy nie mógł zmrużyć oka. Niestety, nic mu się ostatnio nie układało, a wszystko, do czego by się nie zabrał, obracało się wniwecz.

– To ci los, gorzej być nie mogło! – westchnął ciężko, nie pojmując, dlaczego fortuna przestała mu sprzyjać.

Zakończył jałowe medytacje, wnioskuje, że powinien połączyć się z Adamem Marcelem, aby poważnie z nim się rozmówić. Jednak multimilioner ubiegł go, jakby wyczuwając jego intencje. Sygnał na listwie wideofonu przypomniawszy Hillowi o tym, że musi sięgnąć do tajemnej skrytki i wydobyć dekodery. Niebo nad Krętą było również zachmurzone, co w tamtym regionie geograficznym nie zdarzało się zbyt często, niemniej właściciel luksusowego jachtu wyraźnie przesadził, wkładając na siebie gruby sweter z włochatej szetlandzkiej wełny. Raczej nie pasował do roli kapitana kutra rybackiego, który na Morzu Północnym dzielnie walczy ze sztormową falą przy sile wiatru dziesięć w skali Beauforta.

Złym okiem łypnął na stateczne odbicie Adama, nie kryjąc niechęci.

– I jak tam? Przestałeś, palancie, wystawiać dupsko do słońca? – rzucił zjadliwie na powitanie, wyraźnie szukając zaczepki.

Chociaż tobie nawet deszcz nie wejdzie w paradę...

Tamten szeroko się uśmiechnął. Nie robił sobie nic ze złościwości Hilla.

- Nie unos się, nie ma powodu - odbił piłeczkę ze stoickim spokojem. - Złość piękności szkodzi... - dodał ze śmiechem.

- Diabła tam - warknął wściekle szef sekcji. - Nie jestem pedałem, nie wstawiaj więc takich idiotycznych tekstów...

Krezus domyślał się, co tamtego gryzie. Rzeczywiście, brzemię nie było lekkie.

- Za młodego Hansa przepraszam - wydusił z siebie, uciekając gdzieś oczami. - Musiałem to zrobić. Zrozum, bracie, nie było innego wyjścia, ten smarkacz za dużo o nas wiedział i był bombą z opóźnionym zapłonem - cierpliwie tłumaczył Hillowi jak upartemu dzieciakowi. - Zresztą, bez twojego udziału do tego sukcesu by nie doszło, a to, że go odnieśliśmy, jest głównie twoją zasługą, nie moją. Jakimś cudem wpadłeś na to, że ten gówniarz do nas nie należy, więc wspólnota będzie ci dozgonnie wdzięczna. Doskonale się orientujesz, że w tej sytuacji postąpiłbyś tak samo jak ja...

Hill załośnie się skrzywił. Nie mógł nie uznać racji Adama. Wyrzucili zgniłe jabłko ze skrzyni, aby zachować zdrowe owoce. Ale w grę wchodziły jeszcze nieuchwytne uczucia, na które szef sekcji zupełnie nie miał wpływu. Przywiązał się do sympatycznego siedemnastolatka - i tyle. Traktował go po ojcowsku, nieomal jak własnego syna i za to ciężko zapłacił.

- Co chciałeś ode mnie? - zapytał multimilionera, z konieczności uznając tamtą sprawę za zamkniętą. W dżdżystą pogodę właściciel mógłby przenieść się do Iraklio lub do Chanii. Cieszył się tam posiadaniem kilku luksusowych hoteli. Jeżeli kurczowo trzymał się pokładu, miał po temu widocznie jakieś powody.

- No, nie jest całkiem wesoło... - odrzekł Adam, kończąc z żartami i przystępując do sedna. - Chłopak chłopakiem, ale co dalej? Nie pytasz o to? A przecież powinienes. Nie interesują cię kulisy tego szwindlu?

Tamtemu wreszcie zaczęło coś świtać w głowie.

– Właśnie! – z lekka się ożywił. – Mów!

Krezus pociągnął ten temat.

– Wygląda na to, że w Filadelfii schrzanił coś nasz dobrotliwy Raffaello Montini. Z ramienia organizacji nadzorował przed laty akcję implantacji embrionów. Lekarz, który się tym zajmował, nie miał pojęcia, z jakiego źródła pochodzą. Nie został wtajemniczony i sądził, że są normalne, ludzkie. Potem podobno popełnił samobójstwo. Jednak nie wyjaśniono, dlaczego w sile wieku zdecydował rozstać się z życiem. Dobrze mu się wiodło. A nikt od nas mu w tym nie dopomógł – stwierdził cynicznie. – Przynajmniej oficjalnie. Wypłynął pontonem na pełne morze i już nie wrócił. Ostatni raz żywego widziano go w Atlantic City...

Hill bawił się leżącą na biurku popielniczką. Miała ciężką, masywną podstawę i wmontowaną z boku zapalniczkę. Słuchał, ale bez większego przekonania.

– Montini?! – zapytał. – Jego też chcecie sprzątnąć?

Właściciel jachtu jawnie się oburzył na swego paryskiego kolegę.

– Zgłupiałeś, czy co? Nie przesadzaj! Raffaello jest przecież anglosem, a nie człowiekiem. I to z którym numerem? Z czwartym! – dobitnie podkreślił. – To w ogóle nie wchodzi w rachubę – bezapelacyjnie wykluczył takie rozwiązanie. – Musimy się jednak dowiedzieć, dlaczego poważył się na tak świętokradczy krok, to znaczy: dlaczego podłożył zwykły ludzki embrion w miejsce naszego. No i co zrobił z prawdziwym numerem trzysta sześćdziesiątym czwartym. Nie wiemy nawet, czy to był chłopczyk, czy dziewczynka. A także tego, czy żyje, czy nie. Tli się we mnie nadzieja, że ten zarodek nie został zniszczony.

Humberto Hill ważył w myślach te słowa. Wydawało się, że jego niechęć do Marcela powoli ustępuje, przenosząc się teraz na zasuszonego staruszka, zajmującego się nastolatkami przy bocznej Rue de l'Ecole de Médecine. Tego ostatniego zresztą

miął tu, w Paryżu, pod ręką.

- Co proponujesz?! - zapytał zimno.

Marcel poruszał się w labiryntach życia politycznego na Ziemi z równą swobodą jak dawni dworzanie po kreteńskim pałacu królewskim.

- Zwołamy Radę Dwudziestu Pięciu - wyjął, przyciszając głos. - Nie widzę innego wyjścia - dodał, zauważając nieskrywane przerażenie w oczach Hilla. - Przed tak szacownym gremium Montini będzie musiał szczerze wyznać swoje grzechy. Bez kłamstw i wykrętów. Sami go nie prześwietlimy. A jeżeli nas zdradził, to tylko to grono będzie w stanie wydać na niego wyrok...

Myślami odbiegł do Iraklio, do starych bazarowych uliczek, do Platia Eleftherias, do tryskających wodą fontann, by wreszcie zatrzymać się przy masywnym forcie weneckim, strzegącym miasta na wysokiej skale tuż nad morzem. Hill z niedowierzaniem kręcił głową. Najbardziej utajniona rada wspólnoty nie zbierała się częściej niż raz na dziesięć lat. Nie sejmikowano bez wyraźnego powodu.

- Chyba grasz za ostro, Adamie. A przy tym zachowujesz się jak istny inkwizytor. Żebyś przy tym sam nie spłonął na stosie. Możesz ściągnąć nieszczęście na swoją głowę, a przy okazji i na moją! - Humberto nie krył swoich obaw.

Tamten się nimi nie przejął.

- Jesteś starym, stetryczalym histerykiem - łagodnie go podsumował. - Też nie lubię ryzyka. A poza tym nie wiesz o najważniejszym. Nie zdecydowałbym się pewnie na tak szalony krok, gdybym nie miał też innych, bardziej spektakularnych powodów.

Hill poczuł, że brakuje mu tchu, rozluźnił więc kołnierzyk i poprawił krawat.

- Nie wiem o najważniejszym? - niepomiernie się zdziwił.

Multimilioner sypał z rękawa kolejne karty.

- Chodzi o aprobusa, którego za pośrednictwem Hansa White

- heada wyekspediowałeś do kliniki w Filadelfii. Bruno Moltmann go zbadał, a potem próbował wyjąć z niego zarodek. I co się okazało? Ta maskara nie była nosicielem.

Kołnierzyk przy koszuli nadal przeszkadzał Hillowi.

- Nie znalazł embriona?

Właściciel jachtu pokiwał posępnie głową, jakby chciał wyrazić swój niewypowiedziany żal i smutek.

- Niestety, to fakt, nie było kolejnego zarodka. Nie możemy więc liczyć na to, że uda się powołać do życia jubileuszowego, pięćsetnego angelosa. I kłapa. Co więcej, jest wysoce prawdopodobne, że ten drugi aprobos, którego zabrał do USA Hugo Boros, także nie był nosicielem. Oczywiście - dodał śpiesznie - to wszystko ma swoje dobre strony. Jeżeli bowiem moje przypuszczenie jest trafne, nikt z sił specjalnych nie skojarzy sobie z nami tych zielonych zwierzączków.

Szef sekcji wstał od hebanowego biurka i zaczął krążyć po gabinecie, pojawiając się i znikając z ekranu.

- Cholera jasna, niesłychane, zdumiewające! - wystękał wreszcie i usiadł z powrotem.

Mężczyzna na jachcie przytaknął.

- Istotnie - westchnął. - Można to uznać za widomy znak z Alfy Centauri. Być może, jakaś faza ich operacji już się skończyła i trzeba się przygotować na coś zupełnie nowego, czego dotąd nie było...

Humberto Hill powoli się poddawał, godząc się z argumentacją przyjaciela.

- Masz rację, Adamie. To jest wystarczający powód, by zwołać Radę Dwudziestu Pięciu - powiedział. Nagle oczy mu się zaświeciły, jak zawsze, gdy wpadał mu do głowy zaskakujący pomysł. - A może by tak poprosić ich o bezpośredni kontakt, tych z Alfy?!...

Krezus zatarł ręce, setnie ubawiony.

- Chłopie, wpadasz w skrajności! Najpierw nie chcesz się zgodzić, by zwoływać radę, a potem pochopnie się domagasz,

by ktoś od nich niezwłocznie tu się pojawił. Tylko spokojnie, wszystko po kolei, przecież oni wiedzą, co robią. Zresztą, gdyby nawet któryś tu się pofatygował, to i tak niewiele byś się dowiedział. Oni wprost przepadają za metaforami. A zdajesz sobie sprawę z tego, co oznacza kontakt. Życzyłbyś sobie takiego głębokiego wstrząsu psychicznego, z którego nie mógłbyś ochłonąć przez kilka lat? – podniósł rękę, ucinając wątpliwości. – Niech Rada Dwudziestu Pięciu zbierze się i zadecyduje sama. Tyle mam ci do powiedzenia, przyjacielu.

Szef sekcji stulił uszy.

– *Efcharisto*¹⁴ – szepnął. – Niech tak będzie – dorzucił, sadowiąc się wygodnie w fotelu i popadając znowu w zadumę.

Tamten widząc, że Humberto musi przetrwać to wszystko w spokoju, kiwnął mu ręką na pożegnanie i przerwał połączenie.

Szef sekcji pozostał sam. Przymknął oczy i dobrą chwilę trwał nieruchomo za biurkiem, jakby zasnął. Wreszcie sięgnął po wydruk wydawanej w Filadelfii popołudniówki, po raz kolejny zabierając się za lekturę tekstu o samobójstwie siedemnastolatka z Paryża, który wypadł z okna dziewiątego piętra hotelu „Prince Rouge”.

Gustavo Calvez zdradził mu przez telefon, dokąd ma się udać. Trochę był zaskoczony tym, że zlekceważono elementarne zasady konspiracji przy wyborze miejsca spotkania, ale nie usiłował kaprysić. Nie miał innego wyjścia i musiał czym prędzej przerzucić na kogoś ciężące mu brzemię – zbyt przytłaczające, by mógł je sam dźwigać. Wkroczył do Central Parku od ulubionej strony, to znaczy od Grande Army Plaza. Za plecami miał drapacze chmur, a przed oczyma cud- stawek zTcaczkami. Minął rysowników portretów, docierając do Bethesda Terrace i zatrzymując się przy fontannie Anioła Wód. Dochodziła dziesiąta. Tu miał cierpliwie czekać na kogoś, kto do niego podejdzie, wysłucha go i prawdopodobnie zrozumie.

Przemysłny Calvez nie wyjawiał mu, kto to będzie, niemniej dał słowo, że – zgodnie z życzeniem Smitha – na pogwarke z nim uda się ktoś z najwyższego szczebla. Bosonogi chłopak z plemienia Flathead brzdąkał na gitarze, a nieco dalej zbierał się zespół smyczkowy.

Specjalista od pleśni z dorzecza Amazonki bardzo szybko zareagował, a John miał dostateczny powód, by zwrócić się właśnie do niego, a nie do bezpośredniego zwierzchnika. Nie znał absolutnie nikogo innego, komu mógłby zaufać w tak niezwyklej i zarazem bardzo nietypowej sprawie. Wrócił myślami do tego, co się działo w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Nierozgarnięte zwierzaki wszędzie pozostawiały mniej lub bardziej widoczne ślady – i na Marsie, i na Księżycu. Parę nocy przesiedział nad ściągniętymi z kosmosu plikami, intensywnie nad nimi główkując. Udało mu się określić widma intruzów, a zestawy danych przesłał do ośrodka badań satelitarnych. No i ten elektroniczny siew przyniósł mu nad wyraz obfity plon. Krążące wokół Ziemi „szperacze” bezbłędnie wskazały miejsce lądowania obcych. A przy okazji wyłowiły całą gromadę rozsianych po globie pojedynczych osobników, mających zbliżone charakterystyki emisyjne. To niespodziewane odkrycie przyprawiło go o zgrozę.

Mężczyzna, który niby to przypadkiem zbliżył się do Smitha, nie musiał się przedstawiać i nie miał wcale zamiaru tego czynić. Technik bardzo dobrze znał budzącą respekt, pokrytą zmarszczkami twarz Ericha Greimasa. Zmieszany podniósł się z miejsca. To nie były żarty i nie umiał ukryć tego, że jest potwornie zaskoczony. Przeszło mu przez myśl, że Calvez jest istnym geniuszem. Nad wyraz pomysłowy Gustavo zaaranżował mu bowiem spotkanie z osobą, stojącą najwyżej w hierarchii służbowej i przy tym najbardziej kompetentną. Dyrektor generalny był odrobinę wyższy od Smitha, no i starszy o dobrych dziesięć lat. Nie rzucał się w oczy w sztruksowych brudnozielonych spodniach, jakiejś szarawej wymiętej

koszulinie i dżinsowej kurteczce też niewiadomego koloru. W takim stroju rozmywał się w ulicznym tłumie i mógł uchodzić za zmęczonego życiem emeiyta, cierpiącego na nadmiar wolnego czasu.

Z ulgą przysiadł obok technika na brzegu fontanny, a następnie powoli zaczął rozwijać przyniesionego hamburgera.

– Witam! Co u Alice? – zapytał mimochodem i nie czekając na odpowiedź, dorzucił, widząc osłupienie Smitha: – Jeszcze gorący. Z plasterkami cebuli, krążkami papryki i sałatą. Lubię takie – odchrząknął. – Jasny gwint, jakoś nie pomyślałem, żeby wziąć też dla ciebie – uzmysłowił sobie, marszcząc brwi. – A chyba powinienem był – skonstatował. – To wszystko przez ten nadmiar zajęć – usprawiedliwił się.

Zachowywał się zupełnie naturalnie i swobodnie – co najmniej tak, jakby spotykali się przy tej fontannie prawie codziennie, tu sobie leniwie gawędzili, grywali nieopodal w warcaby, a znali się przy tym już kopę lat.

– Co u Alice? Pracuje – odrzekł wymijająco Smith. Lekko się zarumienił jak sztubak, który właśnie wrócił z pierwszej w życiu randki i wpadł w krzyżowy ogień pytań zaciekawionych rodziców. Greimas nawiązał do niej w takim tonie, jakby była jego żoną, a nie kochanką. Za hamburgerami z ulicy raczej nie przepadał. Był już dawno po śniadaniu i chętnie wrzuciłby coś na ruszt, ale jakoś nie miał ochoty na fast fooda. Wolał włoską lub chińską restaurację.

Tamten pokiwał głową, smutnawo uśmiechając się do swoich myśli. Kto wie, może miał dobrze wychowaną córkę na wydaniu i mimowolnie rozglądał się za odpowiednią partią? Niestety, technik z raptem ujawnioną skłonnością do rozwiązości zupełnie nie nadawał się na jego zięcia.

– Mów zatem, co dla mnie masz – ponaglająco rzucił między jednym a drugim kęsem. Zespół smyczkowy nieopodal fontanny Anioła Wód zabierał się do pracy. Muzycy stroili instrumenty. Nie było sensu siedzieć w milczeniu i gapić się na

dyrygenta.

- Rzecz w tym - zaczął John - że za dziwacznymi przybyszami z kosmosu, którzy narobili nam kłopotów, kryje się jakiś osobliwy kolektyw na Ziemi, a do tego głęboko zakonspirowany, nie ma co. Ta z pozoru nieprawdopodobna hipoteza nasunęła mi się już w Europie, jednak tam nie miałem na to żadnych dowodów. Tutaj wpadły mi one same w ręce, gdy zapoznawałem się z wynikami badań satelitarnych...

Greimas odruchowo przytaknął, nie okazując jednak śladu żywszego zainteresowania. Przyjął słowa Smitha jak należało, to znaczy życzliwie, ale nie skoczyła mu adrenalina. Można było odnieść wrażenie, że tępak nie widzi żadnej różnicy między podsuwanymi mu rewelacjami a banałami, serwowanymi w telewizji przez kiepskiego komentatora wydarzeń politycznych.

- Tak?! - dyrektor łagodnie zachęcił Johna do dalszych wynurzeń, widząc, że ten przerwał relację. Całą uwagę skupił jednak nie na rozmówcy, ale na wystającym z hamburgera liściu sałaty.

Technik snuł ten wątek dalej, przymykając powieki i wystawiając twarz do majowego słońca. Wydawało mu się jednak, że wali głową o mur, i że to spotkanie jest ewidentną stratą czasu.

- No więc, powziąłem następujące kroki. Przede wszystkim zleciłem obserwację tamtych z kosmosu, przekazując do ośrodka satelitarnego ich widmowe charakterystyki. Ponadto wykorzystałem tę okazję w inny sposób. Wyodrębniłem składowe widma, numerując je liczbami od 001 do 009. Ten specjalny dodatkowy program też oddałem do ośrodka. I co się okazało? - tym razem technik był przekonany, że poruszy Ericha Greimasa. Przecież dyrektor nie mógł być skutym wieczną zmarzliną arktycznym lądem. - Bez trudu wykryto miejsce lądowania obcych i było to równie łatwe, jak odnalezienie skradzionego samochodu. Ale na tym się nie skończyło. Satelity nieoczekiwanie wzięły pod lupę około

pięciuset osobników, rozsianych po różnych kontynentach i emitujących w zakresach 001 i 005. Właśnie z tego powodu poprosiłem Calveza o umożliwienie mi rozmowy...

Znowu zapadło milczenie. Muzycy ruszyli do dzieła, rozpoczynając koncert od niespokojnego utworu z repertuaru klasycznego. Taras Bethesda nagle ożył. Dyrektor znowu przytaknął. Przysłuchiwał się muzyce, a gdy już skończył hamburgera, odezwał się:

- Wiem o tym wszystkim, wiem o tym, John. Doskonale znam wyniki twoich badań - i to z najdrobniejszymi szczegółami. Każdy detal z osobna...

Smitha na moment zamurowało. Zrobił wielkie oczy i omal nie podniósł się z obrzeża fontanny. Doznał raptem olśnienia i w jednej chwili pojął, kto ukradł mu dyski z apartamentu hotelu przy Avenue de New York w Paryżu i kto zlecił sporządzenie dossier, w którym znalazły się dane o spragnionych erotycznych doznań dzierlatkach z dworca lotniczego de Gaulle'a. Pojedyncze puzzle same z wdziękiem powskakiwały na swoje miejsca i mógł podziwiać gotową już układankę. W siłach specjalnych, o czym powinien był pamiętać, działał cichy system permanentnej kontroli wewnętrznej. Wziął głębszy oddech i prawie natychmiast opadł przygarbiony. Właściwie ze swym odkryciem nie musiał się do nikogo zwracać. Tracił tylko cenny czas.

- A więc pan dobrze się orientuje, co zaszło?!

Greimas przytaknął. Był ukontentowany, widocznie usłyszał od technika dokładnie tyle, ile chciał usłyszeć. Papierowe opakowanie po hamburgerze zwinął i włożył do kieszeni. Potem z drugiej wydobył jakieś cukierki, podsuwając otwartą torebkę Johnowi.

- Widzisz, to ciągnie się już od blisko dwudziestu lat niby wąż morski - zaczął objaśniać. - Jak się zaczęło? Ano w latach trzydziestych doszło do oszustw w dwu liczących się klinikach medycznych: w Filadelfii i w Sydney. Wiązały się z wyhodowa-

nymi in vitro embrionami ludzkimi, które wszczepiano następnie kobietom, mającym trudności z zajściem w ciążę. Ukrywano fakt, że jaja i plemniki pochodzą od podejrzanych dawców – tu Greimas niemal ostentacyjnie ziewnął. A John kątem oka dostrzegł siedzących nieopodal na ławce dwóch mężczyzn, którzy mimowolnie zareagowali na ten gest. – Z pozoru była to sprawa kryminalna – kontynuował dyrektor – i tak zakwalifikowano ją pierwotnie. Jednakże dość szybko okazało się, że to tylko wierzchołek góry lodowej. Nie wszczęto przeciw nikomu postępowania sądowego, ponieważ nie można było niczego udowodnić. Świadkowie ginęli w podejrzanych okolicznościach. Ktoś zacierał ślady i wikłał śledztwo. Kilku wpływowych polityków i biznesmenów postarało się o to, by ostatecznie odstąpiono od poszukiwań. A kilka lat temu podobny scenariusz się powtórzył. Natrafiono znowu na machinacje z embrionami, ale natychmiast poznikały dowody, a potencjalni świadkowie w błyskawicznym tempie pożegnali się z życiem...

– Interesujące – mruknął Smith, uznając, że należy okazać zaniepokojenie. Nie dostrzegając jednak na razie żadnego związku między opisywanymi przez Greimasa aferami a odkryciami, których sam dokonał. Dyskretnie zerkał na „cienie” z obstawy dyrektora. Jeden z nich miał na kolanach otwartą walizeczkę, której kształty z czymś znajomym mu się kojarzyły. Jeśli się nie mylił, urządzenie czyniło bezużytecznymi mikrofony kierunkowe.

Tamten mówił dalej.

– Było również kilka innych śmierzących spraw, głównie finansowych, podobnie wyciszanych, z którymi nie poradzili sobie nasi fachowcy. Odziedziczyłem je w spadku po moim poprzedniku, który odszedł na emeryturę. Podejrzewaliśmy kilkadziesiąt wpływowych osobistości, szacownych przedstawicieli banków, kół biznesu, a nawet armii. I dopiero twoje wydruki, Johnie – Greimas poklepał go kordialnie po plecach – pozwoliły

nam się utwierdzić w tym, że coś ich faktycznie łączy. Mogę ci tutaj zdradzić w sekrecie, że to Gustavo Calvez szperał w twoich wynikach, gdy przebywałeś w Europie, i że to on pierwszy wpadł na tę całą mafię...

- Coś podobnego?! - Smith z niedowierzaniem kręcił głową. Trudno mu było wyobrazić sobie korpulentnego specja od pleśni z dorzecza Amazonki w roli włamywacza, grzebiącego w jego neseserze w apartamencie hotelowym i wykradającego dyski, a potem detektywa, dokładnie sprawdzającego nastolatki, które z nim przypadkiem poszły do łóżka. A może to nie był żaden przypadek, a dziewczyny były podstawione? Odetchnął z ulgą, wracając myślami do wyводу Greimasa. Calvez nie był groźny i Smith czuł, że stoi na pewnym gruncie.

- Ciekawy jest skład wiekowy tej szemranej społeczności - ciągnął dyrektor. - Jej spora część - to dzieci. No, i nastolatki. Maluchy wszelako nie stanowią dla nas żadnego zagrożenia. Ze wstępnej analizy wynika jednak, że wszystkie są efektem manipulacji genetycznej. Urodziły się ze związków, w których ciąża rozwijała się w wyniku implantacji obcego embriona. Tak więc nicy tej niezwyklej wspólnoty prowadzą jakoś do wspomnianych klinik w Sydney i w Filadelfii. W tych ośrodkach próbowano kreować jakby nową rasę...

- Ale co to ma wspólnego ze zwierzakami z kosmosu?! - zapytał Smith.

- Właśnie. Nie wiem - przyznał się bez żenady Greimas. - Niewykluczone, że aby do końca rozszyfrować tych mutantów, trzeba - niestety - w poszukiwaniu dalszych śladów wyprawić się gdzieś poza Ziemię. Tylko dokąd?! Nie mamy takich możliwości...

Milczeli, wspólnie trawiając te niezwykle wieści. Wysoko na niebie znaczyły się postrzępione obłoki, lecz spoza nich nie wyściubiali nosa żadni kosmici. Nic nie wskazywało na to, aby w najbliższym czasie jacyś obcy mieli pojawić się w Nowym Jorku, wcielić się w rolę turystów i szwendać po Manhattanie.

- Co dalej? - zagadnął John.

Greimas podniósł się, proponując mu mały spacer wokół fontanny.

- Najbardziej interesujemy się najstarszymi, wpływowymi seniorami, ale zwracamy również uwagę na tych po czterdzieście. Wiesz, ile ci dranie mają na kontach bankowych i w nieruchomościach, w akcjach i udziałach? - pytanie było retoryczne.

- Najgorsze jest wszakże to, że członkiem tej niepokojącej grupy pozostaje sekretarz generalny ONZ, człowiek - jak się orientujesz - niezwykle ustosunkowany i pociągający za sznurki na całym globie.

Technik pochylił się, by podnieść przypadkowy kamyczek. Oczy mu błyszczały.

- Niebawem, nie ma co! - wyszeptał z przejęciem. - Czyżby im chodziło o przejęcie władzy nad planetą?!

Dyrektor włożył ręce do kieszeni dżinsowej kurtki. Uśmiechnął się pod nosem.

- Całkiem możliwe, całkiem możliwe - mruknął. - Ale nie chciałbym wyciągać przedwczesnych wniosków. Mogą okazać się błędne. Obserwujemy również agentów służb specjalnych i urzędników od nas, dbając o to, by żadnej z inwigilowanych osób nie spłoszyć. Całość sprawy ogarnia tylko czterech wtajemniczonych - dobrnął do końca wywodu. - A ty, John, ma się rozumieć, będziesz piąty. Calvez bezapelacyjnie uznał, że należy cię włączyć do naszego supertajnego zespołu.

- Jasna cholera! - wyrwało się technikowi. - Tego naprawdę się nie spodziewałem.

Doskonale wiedział, że nie może odmówić. Nie miał innego wyjścia. Chcąc nie chcąc, zdążył już ubabrać się w tym gnoju po łokcie. Mruknął coś niewyraźnie, z ulgą dotykając guzika przy bluzie, w którym był ukryty przemyślny czujnik, reagujący na emisję w oznaczonych przez niego zakresach 001 i 005. Widmo Ericha było poza wszelkimi podejrzeniami.

- My też nie - skwitował Greimas.

Usiedli znowu na brzegu fontanny.

– A nie lepiej sprzątnąć ich wszystkich od razu?! – wypalił John pod wpływem emocji, sugerując bardzo skuteczne i szybkie rozwiązanie, które ubawiło dyrektora.

– Cwany jesteś, nie da się ukryć. Ma się rozumieć, bierzemy pod uwagę tę ewentualność, ale to smutna ostateczność. Rodzaj niezbędnej asekuracji. Zadbalem o to, by przygotowano specjalny program.

Ma nazwę „Skorpion 306”. Na podany sygnał, o ile taki padnie, w ciągu kilkunastu godzin wszyscy mutanci zostaną po cichu zlikwidowani i zrobią to nasi specje od mokrej roboty. Ty, John, też będziesz trzymał rękę na pulsie. Zagwarantuję ci dostęp do tego programu. To na wypadek, gdyby ktoś od nich był szybszy, rozszyfrował nas i sprzątnął. Ostatni pozostały przy życiu zawsze może wcisnąć przysłowiowy atomowy guzik. Mam wszakże nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Smith skinął głową, przytakując w milczeniu. Zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji.

– A czy w moim otoczeniu jest któryś z tych... pięciuset? – zapytał.

Dyrektor łypnął groźnie okiem.

– O ile się orientuję, bo aż tak dobrze nie znam twojego otoczenia, to tylko Humberto Hill, szef paryskiej sekcji, do której zostałeś włączony po pierwszych niepokojących sygnałach z Marsa...

– Tak przypuszczałem – chłodno wyjawiał Smith. – Coś ostatnio za bardzo kręcił.

Greimas klepnął go w ramię. Uznał, że powiedział wszystko, co miał powiedzieć.

– To znikam – rzekł na pożegnanie. – Gustavo zadba o szczegóły. Bądź z nim w kontakcie. *Good luck, boy!*¹⁵

Wydostał się spod prysznic i stanął bosy przed dużym owalnym lustrem, wycierając się włóchatym ręcznikiem. Gdy się już z tym uporał, dłuższą chwilę pełnym zachwytu wzrokiem wpatrywał się w swoją może nieco szczupłą, ale dobrze umięśnioną sylwetkę. Ramiona miał silne, wyrobione, a brzuch wklęsły, pod pępkiem lekko obsypany ciemnym puszkciem, włosy na głowie króciutko przystrzyżone. Łagodna opalenizna okrywała całe ciało, bo z solarium korzystał bez slipów. W lutym ukończył siedemnaście lat. Niby niewiele, ale czuł, że jest już mężczyzną w każdym calu – a to głównie za sprawą słodkiej Diany i porywających chwil, spędzonych w jej przytulnej sypialni. Napiął bicepsy i obejrzał je z odrobiną dezaprobaty.

– Jeszcze daleko ci do supermana, koleś! – skarcił swoje odbicie. Nie posądzał się o narcystyczne skłonności ani o zaślepiającą miłość własną, ale i nie popadał w kompleksy. Po prostu był dobrze zbudowany i tyle. Niemniej mógł więcej trenować. Przejechał ręką po znaczącym się na brodzie delikatnym meszku, niedomagającym się jeszcze maszynki do golenia, po czym wciągnął szorty. Opuścił łazienkę i z werwą zabrał się do porannych ćwiczeń gimnastycznych – skłonów i przysiadów, a kiedy skończył – włączył jakieś nagranie i zabrał się do pichcenia śniadania.

Myślami przeniósł się do gmachu, w którym gospodarzył Raffaello Montini, przesympatyczny staruszek, idealnie pasujący do roli dziadka z telewizyjnej reklamy karmelków. Wirtualne seanse wciągały go i podniecały, wywołując wypieki na twarzy, jednak w czasie ich trwania miał odczucie, że nie udało mu się dotąd wykorzystać wszystkich możliwości, drzemających w niezziemskiej aparaturze. Coś ważkiego ciągle

mu umykało. Odbył dwie pasjonujące wycieczki i dokładnie obejrzał sobie planetę. Od najmłodszych lat marzył, żeby wybrać się na południową półkulę i przyjrzeć się z bliska kangurom na wolności. Odwiedził więc Australię i Nową Zelandię. Był też na dnie Oceanu Spokojnego. Pod koniec drugiej wyprawy połapał się, że może siłą woli kierować seansem i wybierać trasy podróży oraz miejsca, w których chce się zatrzymać. Było to niezmiernie frapujące i oznaczało, że w banku danych tego unikalnego e- kina, gdzieś w zagrzebanej w podziemiach filmotece, jest skatalogowana nieomal cała przyrodnicza wiedza o Ziemi. Ale nie był pewien, czy owa hipoteza jest trafna. Mogło być przecież zupełnie inaczej.

Wydawało się, że w cichej sali na piętrze, między chaotycznie rozstawionymi czarnymi fotelami przebiega ledwo uchwytna linia, oddzielająca zadziwiającą technologię z nieprawdopodobnie obcego wymiaru od tego, co dotąd udało się wymyślić ludziom na tej planecie. Rosły mu skrzydła na samą myśl o tym, że mógłby tę niewyraźną granicę przekroczyć. Zajadając tosty posmarowane masłem orzechowym podniecał się nadzieją, że właśnie jemu może się to udać. Po śniadaniu znowu stanął przed lustrem. Ponownie obejrzał swoje bicepsy, krzywiąc się, że nie są jeszcze takie, jakie sobie wymarzył, a później z rozanieleniem na twarzy wyobraził sobie, że dumnie przenosi przez próg nowego domu odzianą w suknię ślubną Dianę.

Ubrał się szybko, planując wyprawę do centrum. Miał cały czas wrażenie, że ktoś – ledwo wyczuwalny i stojący jak telepatyczne medium tuż obok niego – wierci mu w mózgu niby – wiertłem laserowym, chcąc zaktywizować mu płyty czołowe i wywołać nowe połączenia neuronowe. Gdyby nadal rozumował jak malec, jak to było przed laty w Awinionie, uznałby, że seanse wirtualne w sali na piętrze są najprawdziwszymi pod słońcem wyprawami geograficznymi, a nie projekcjami kontrolowanymi przez wysokiej klasy komputer.

Udał się do linii metra, biorąc ze sobą naszyjnik z Madagaskaru, którego pamiętnego wieczoru nie wręczył Dianie, gdyż z przejęcia wyleciało mu to z głowy. Poszukał sobie miejsca w wagonie, usiadł i oddał się rozmyślaniom. Wykpił się ostatecznie bukiecikiem fiołków, które przyniósł jej następnego dnia. Kolejnym razem jej nie zastał, a ku swemu zaskoczeniu natknął się w jej mieszkaniu na inną wyczekującą osobę. Niestety, właścicielka znowu się spóźniała, co zdaje się wchodziło jej już w krew. Nie wierzył własnym oczom. Wpuszczona przez Idomeneusa modelka z numerem trzysta osiemdziesiątym drugim siedziała w salonie, również korzystając ze statusu gościa. Wyraźnie się nudziła przy szklance mleka i nawet nie włączyła sobie gigantycznego telewizora. Ożywiła się dopiero, gdy się tam pojawił, a w jej ciemnych oczach migotały tygrysie błyski. Słodki bukiecik w jego ręku obrzuciła łakomym spojrzeniem. Szkoda, nie był dla niej.

Zerwała się na równe nogi i nie miała ochoty już usiąść. Miotła się jak dzikie zwierzę po klatce. Zdradziła mu, że w związku z najbliższym pokazem mody w Luwrze muszą przećwiczyć z Dianą kilka układów tanecznych. Dla zabicia czasu, ale również by popisać się przed chłopakiem, włączyła muzykę, przyćmiła światła i z wdziękiem – na początku leniwie, apatycznie i sennie, później coraz zwawiej – zaczęła wykonywać ruchy taneczne. Była gibka jak kobra, zwinna jak pantera i miała wściekłe wyczucie rytmu, co odkrył, gdy muzyka nabrała tempa. Pojął, że ruch jest jej żywiołem. Okazała się doskonała w tej ognistej roli i wtedy przyszła mu na myśl tamta solistka z „Bolera” Ravela. Taniec był namiętny, jej biodra zwodniczo kusily i nieruchome pozostawały tylko ciemne, hipnotycznie błyszczące oczy, których starała się nie spuszczać z Pierre’a. Zdawały się szeptem obiecywać: „Weź mnie, jestem twoja!”.

Gdy utwór się urwał, dziewczyna z rozpędu wylądowała na jego kolanach i z wdziękiem zarzuciła mu ręce na szyję. Istna

wariatka, ale z ikrą. Rozochociona chichotała, a jego dłoń niby to przypadkiem dostała się pod rozpiętą bluzkę, nieomylnie wyłuskując piersi. Podnieciła się tym tańcem, a jej sutki niepokojąco nabrzmiały. Mignęła mu myśl, że powinien być wiemy Dianie, nagle spoważniał i lekko ją odepchnął. Przestała się uśmiechać i w jej oczach pojawiły się gniewne błyski, ale tylko na moment. Umizgów bogini się nie lekceważyło. Nie dała mu odruchowo po buzi, nie odważyłaby się na to. Z energią klasnęła w dłonie i bez chwili wahania zaoferowała mu jeszcze jeden diaboliczny popis. Włączyła muzykę. Kompletnie oszalała – był to najprawdziwszy striptiz. W dwie różne strony pofrunęły bluzka i spódnica. Miała na sobie seksowną czarną bieliznę, skąpy, niekryjący sutek, ledwie wąskim paseczkiem podtrzymujący piersi koronkowy biustonosz i równie skąpe stringi, a także pas z zaczepami do czarnych pończoch. Tych resztek nie zdążyła z siebie zrzucić, gdyż przeszkodził jej Idomeneus. Był diablo rzeczowy i zarazem drańsko ślepy na to, co wyczyniała. Beznamiętnym do bólu głosem powiadomił gości, że właścicielka apartamentu wjeżdża właśnie swym citroenem do garażu. Cóż było czynić? Siła wyższa! Sophie bezradnie rozłożyła ręce, w piomnującym tempie pozbierała swoje ciuchy i momentalnie zaszyła się z nimi w łazience.

Po lekcjach, a właściwie po kilku konsultacjach i jednym nieco dłuższym wykładzie, obejrzał kwiaty doniczkowe, wystawione w mieszczącej się nieopodal szkoły kwiaciarni. Lubił podziwiać ich kształty i barwy z nosem przyklepionym do szyby oraz powtarzać sobie półgłosem ich wyrafinowane łacińskie nazwy. Następnie pojechał do Raffaella, gdyż miał ochotę znowu poeksperymentować z niezwykłą aparaturą. Budynek świecił pustkami, więc nie natknął się na nikogo w drodze na piętro. Obejrzał fotele w sali projekcyjnej, odwracając je nogami do góry i sprawdzając, co mają pod

spodem. Na wykonanej z twardego kompozytu, litej powierzchni rysował się na wszystkich ledwo widoczny wizerunek anioła walczącego ze smokiem, firmowy znak niezemskiej wspólnoty. Zgasło światło i z głupia frant postanowił, że wybierze się w kosmos. Jak się zaraz okazało, i taka wyprawa mieściła się w programach kina przy bocznej Rue de l'Ecole de Médecine, bez kłopotów więc poszybował w górę. Wywindował się w pół minuty na wysokość, z której Ziemia przypominała swym rozmiarem tarczę oglądanego w pogodną noc Księżyca. Nie wierzył własnym oczom, a wrażenie było niesamowite. Znalazł się w absolutnie doskonałym planetarium i mógł udać się w dowolną stronę kosmosu. Wszechświat jaśniał miliardami gwiazd i Pierre, tkwiąc nieruchomo nad rodzinną planetą, usiłował połapać się w mapie nieboskłonu. Ustawił się w ekliptyce Drogi Mlecznej. W wirtualnym świecie, który się przed nim rozciągał, fizyczna prędkość wydawała się nie odgrywać żadnej roli. W rzeczywistości żaden zbudowany przez ludzi statek kosmiczny nie byłby w stanie oderwać się w takim tempie od planety i równie swobodnie unieść w przestworza. Nie chodziło tylko o bariery technologiczne, rysowały się bowiem także przeszkody innego rodzaju. Organizm ludzki nie zniósłby tak dużego przeciążenia. Idąc w ślady pierwszych zdobywców kosmosu z XX wieku, zdecydował się na Księżyc, siłą woli kierując kapsułę w stronę Srebrnego Globu. Nie wylądował jednak między rzucającymi cienie kraterami, lecz nagle, ogarnięty euforią jak żrebak wypuszczony ze stajni, pofrunął ku Słońcu.

Miał niebywale szczęście, udało mu się bowiem trafić na Merkurego. Delikatnie osiadł na gorącym podłożu, decydując się na pas terminatora na styku dnia z nocą, gdzie temperatura powinna się była utrzymywać, przynajmniej przez jakiś czas, na poziomie zera stopni Celsjusza. Teren był górzysty, najeżony rzucającymi długie cienie bajecznymi kraterami, pokryty skrzeplą, silnie popękaną lawą i raczej odpychający. Chłopaka

otaczały pozbawione życia pustkowia, a nieopodal wznosiła się wysoko w górę chmura pyłu, zapewne po uderzeniu meteorytu. Ten nie opadał, tworząc dziwne konfiguracje, gdyż przyciąganie grawitacyjne Merkurego było za słabe, aby poderwane cząsteczki ściągnąć w dół. Popłynął łagodnie nad porytą powierzchnią planety, przyglądając się czarnemu niebu. Fascynowała go olbrzymia i bardzo jasna tarcza Słońca z czerwonym wieńcem chromosfery i przebijającymi się przez nią językami protuberancji. Gwiazdę stroiła rozległa korona słoneczna, a z planet najsilniejszy blask miała Wenus.

Ponownie łagodnie osiadł na pylistym gruncie i – wbrew zaleceniom Raffaella – podniósł się z fotela, czyniąc ostrożny i wyważony krok do przodu. Nic się nie stało, a cichutki, ledwo słyszalny, figlarny głosik zdawał się go zachęcać do kontynuowania eksperymentu. Zaryzykował i uczynił drugi, ale natychmiast rzucił się do tyłu, łapiąc się poręczy fotela. Serce waliło mu jak oszalałe, natrafił bowiem na przeszkodę, której przed nim być nie powinno. Uderzył głową w coś twardego.

– Psiakość! – mruknął z przejęciem, masując stłuczone czoło.

– Cóż to było, do diaska?!

Przez króciutką chwilę wydawało mu się, że jest nierozsądnym malcem, usiłującym wyskoczyć z kręcącego się w cyrku diabelskiego młyna. Spróbował jeszcze raz, ostrożnie wyciągając przed siebie ręce, by wymacać przeszkodę. Odkrył coś, co skojarzyło mu się z polem siłowym. Znajdował się wewnątrz doskonale przejrzystego kokonu, którego promień nie miał więcej niż półtora metra. Znikał on pewnie dopiero po zakończeniu seansu. Przy odrobinie fantazji mógłby przyjąć, że to miniaturowy statek kosmiczny o rewelacyjnej budowie, ale za bardzo był przestraszony, żeby wyciągać jakiegokolwiek wnioski.

Wracał na Ziemię, tnąc zakolami bezkresne próżnie i dziwiąc się tajemniczym programom, kierującym projekcją filmową. Ominął Wenus z bardzo gęstą atmosferą planety. Ominął także

Marsa z nieodłącznymi księżycami. I choć w mitologii był bogiem wojny, to jednak Mars nie przerażał Pierre'a. Prawdziwy respekt budził Jowisz – największa planeta Układu Słonecznego. Mimo że w wirtualnym kinie poruszał się z prędkością dużo większą od drugiej kosmicznej, nie zdecydował się na rendez- vous z tym ogromem masy, straszącym bezwzględnością siłą grawitacji. Licho nie spało, a w świecie, w którym iluzja nieodparcie stawała się rzeczywistością, skutecznie z nią konkurując, ryzyko katastrofy mogło być znacznie większe niż przypuszczał.

Jowisz był niezwykłą planetą i skupiał w sobie dwie trzecie materii całego Układu Słonecznego, naturalnie pomijając nieporównywalnie większe Słońce. Otaczały go liczne satelity. Olbrzymia kula gazowa, składająca się z wodoru i helu, w zawrotnym tempie wirowała wokół swej osi, w ciągu dziesięciu ziemskich godzin wykonując pełny obrót, a zewnętrznymi warstwami atmosfery targały huragany, z których największy, znany pod nazwą Wielkiej Czerwonej Plamy, utrzymywał się od przeszło stu pięćdziesięciu lat. Pod tymi warstwami kryła się niezbadana głębia, w której panowały bardzo wysokie temperatury i ciśnienia. Tam wodór zamieniał się w ciecz, a następnie uzyskiwał postać metaliczną.

Eksperyment miał swoje granice i wreszcie Pierre skierował swój bolid ku domowi. Ziemia przed nim powolutku rosła, a płynąc ku niej, wyobrażał sobie, że jest pilotem uzbrojonego wahadłowca i że rozprawia się z obcymi z Bei, bez pardonu waląc do każdego ruchomego celu. Był tajnym agentem z dziewięćdziesiątej drugiej galaktyki i walczył z krwiożerczymi potworami, które wysysały mózgi przeciwników. Światło zgasło, a za chwilę znowu rozbłysło. Powtórnie znalazł się w sali na piętrze. Obejrzał subtelne ornamenty na sklepieniu, wsłuchując się w głęboką ciszę. Mimo iż nie dobiegały go żadne hałasy, odniósł zadziwiające wrażenie, że z dołu, od głębokich fundamentów dociera do niego cichy pomruk pracującego na

jałowym biegu reaktora. Jeszcze raz odwrócił fotel, w którym odbył wycieczkę po Układzie Słonecznym, ze skupieniem obstukał różne miejsca, ale nie znalazł nic szczególnego, co mogłoby przykuć jego uwagę.

Na jego widok krótko przystrzyżony dozorca poderwał się zza rozłożonej gazety, nie kryjąc zaaferowania. Z charakterystycznym dla południowca podnieceniem zaczął go przywoływać, świadomy, że ma dla niego ogromnie ważną wiadomość. Gbur, bo gbur, ale serce złote! Agent niechętnie zawrócił i zatrzymał się przy odnowionym ostatnio kontuarze, przy okazji mimowolnie zezując na nagłówki leżących tam czasopism. Nie lubił, jak ktoś go łapał za poły marynarki.

- Czy coś się stało? - zapytał z niechęcią, starając się jednak, by wypadło to uprzejmie.

- Atak, szczęściarz z pana, ma pan gościa, i to jakiego... Co za fart! - obwieścił tamten triumfalnie, podnosząc się z krzesła.

- Niestety, ta zachwycająca młoda dama - rozłożył bezradnie ręce w geście, który wyrażał żal - nie dała się zaprosić do mojego saloniku, uparła się, że zaczeka na pana u góry. I to gdzie? Na schodach, pan to sobie wyobraża? Jak jakaś łajza... - nadawał jak najęty. - Czy to wypada takiej eleganckiej dziewczynie? Waruje tam już dobre dwie godziny i niczego ode mnie nie chce. Zajrzałem do niej ze dwa razy. Około siedemnastej namawiałem ją na kawę z rogalikami, myślałem, że zejdzie i coś przekąsi, ale odmówiła.

Na twarzy technika malowało się niedowierzanie. Jego brwi powędrowały wysoko.

- Serio? Młoda dama? - chciał się upewnić.

Z nikim się nie umawiał i na nikogo nie czekał. W pierwszej chwili przyszła mu na myśl słodka Alice, ale ona przecież nie pojawiłaby się u niego bez uprzedzenia, a poza tym nie robiłaby takich idiotycznych numerów. Na schodach? To musiał być ktoś

inny. Ale kto? Ruszył do windy, wciskając w kabinie przycisk piątego piętra. Odruchowo sprawdził, czy ma broń, wyjął ją i odbezpieczył, a potem zaczął nerwowo główkować nad tym, jak wygląda jego mieszkanie. Zazwyczaj zostawiał je w opłakanym stanie. Stara Portorykanka zaglądała do niego w poniedziałki i czwartki, kiedy był poza domem. Gdy wychodziła, rzeczy były pochowane, pomieszczenia posprzątane, a lodówka pełna.

Szczupła dziewczyna w dużych ciemnych okularach i długim, luźnym, jasnopopielatym płaszczu stała tuż przy drzwiach. Obok spoczywała granatowa torba podróżna. Jasne włosy miała zaczesane do tyłu w koński ogon. Przyjrzał się jej mocno umalowanym ustom.

– Pani do mnie?! – zapytał zaniepokojony. Gorączkowo sytuował ją w myślach między agentkami wywiadu, które mu w pracy wpadały w oczy. W gruncie rzeczy nie miał innych znajomych.

– Jak to, nie poznajesz mnie, John?! – w cichym głosie zabrzmiał wyrzut.

Dopiero gdy zdjęła zasłaniające pół twarzy okulary i ujrzał jej ocienione długimi rzęsami jasnobrązowe oczy, opuściły go wątpliwości.

– Niemożliwe, to ty, Arielle, nie ma co, w życiu bym się nie spodziewał. Jak mnie tu znalazłaś?

Przypadkowo poznane na dworcu lotniczym de Gaulle'a dziewczę – czątko ku jego zaskoczeniu znalazło się w Nowym Jorku, znakomicie sobie radząc w labiryncie ulic i bezbłędnie trafiając do mieszkania faceta, z którym spędziło w hotelowym pokoju niespełna godzinę. No tak, paryska studentka miała przecież jego „cywilną” wizytówkę. Jak mógł o tym zapomnieć?

– Tak, to ja. Nie cieszysz się?

Był zbyt zaszokowany, by okazać radość. A poza tym nie miał talentu aktorskiego i pewnie wyrzuciliby go z każdego amatorskiego zespołu artystycznego. Sztywniał na deskach sceny i nie nadawał się nawet do trzecioplanowych ról. Oglądała więc jego

niepewną minę. Usiłował okazać entuzjazm, ale mu to nie wyszło. Po prostu się pogubił. Pośpiesznie grzebał w myślach, by sobie uprzytomnić, co było w zdobytym dossier ważnego o mademoiselle Ayer i nie pomylić jej danych z danymi panny Jedin, a przede wszystkim poprawnie skleić imiona i nazwiska. Szybko, szybko, szybko! Boże drogi, oto była cena za seksowne trio! Po co mu były te wygłupy? Jak pamiętał, obie studentki Sorbony pochodziły z raczej zamożnych rodzin.

- Jesteś sama, bez Sylvie? - dopytywał dociekliwie. - Przecież miałyście lecieć do Kairu... - powolutku odzyskiwał nad sobą kontrolę.

Wzruszyła ramionami. Była bardzo spokojna. Położyła mu dłoń na ramieniu, delikatnie muskając ustami jego policzek.

- Nie zaprosisz mnie do środka?

- Gdzie? Aaaa... do środka? Ależ proszę.

Z zaciekawieniem obejrzała typowe wnętrze, z uwagą przyglądając się modnym ostatnio przezroczystym ściankom działowym. Wniósł jej torbę podróżną. Na szczęście wszędzie było czysto i schludnie, uszczęśliwiony pomyślał więc, że przy najbliższej okazji wsunie do torebki kochanej staruszce dodatkowy banknot tytułem gratyfikacji.

- Zatrzymasz się u mnie? - upewniał się, odbierając od niej płaszczyk. Przez krótką chwilę miał wrażenie, że rozmawia z własną córką. Niestety, nie miał dzieci.

Z oddaniem zarzuciła mu ręce na ramiona.

- Jeżeli pozwolisz...

Był w kłopotliwej sytuacji i pomyślał, że Alice nie powinna się dowiedzieć o tej niespodziewanej wizycie. Niemrawo odwzajemnił pocałunek. Zabawnie się roześmiała.

- Pomalowałam cię szminką. Ale zaraz zetrę...

- Zrobię coś do jedzenia - zaproponował. - Bo dozorca wspominał, że...

Dziewiętnastolatka była delikatna, układna i cicha. Różniła się od tamtej Arielle, którą poznał na lotnisku w Paryżu,

energicznej i żywej, błyskawicznie przejmującej inicjatywę i zdecydowanie sięgającej po owoc zakazany. Tu, w Nowym Jorku, przedsiębiorcza Francuzka zamieniła się w małego, niezaradnego dzieciaka, wymagającego troskliwej opieki.

Skorzystała z łazienki, John zaś włączył radio i zabrał się w kuchni do przygotowywania kolacji. Ręce mu latały i nie radził sobie z wykonywaniem najprostszych czynności.

– Jestem już, kochany!

Dziewczyna stanęła we wdzięcznej pozie w cieniutkiej, skąpej haleczce. Rozczesane włosy rozsypały się wokół twarzy. Oniemiał, oglądając jej szczupłą, zgrabną sylwetkę. Już właściwie zdążył zapomnieć, jak naprawdę wyglądała. Przecież to było tak krótko. Pojęła, że zrobiła na nim wrażenie, lekko się uśmiechnęła, podeszła i wyjęła mu nóż kuchenny z dłoni.

– Pozwól, kochany, że ja dokończę.

Cmoknął ją w gładki kark i wyniósł się z kuchni. Przysiadł na otomane, czując, że cały dygocze. Boże, cóż to było za wariactwo! Usiłował opanować drzenie. Włączył telewizor, a potem zaczął dumać nad tym, czy przypadkiem nie pozostawił na wierzchu czegoś, co inteligentnej nastolatce pozwoliłoby wpaść szybko na to, iż jest agentem, zatrudnionym w siłach specjalnych. Chwileczkę pogrzebał przy komputerze, zgarnął kilka dyskietek wraz z bronią i legitymacją służbową, a następnie schował to wszystko w zamykanym ściennym sejfie. Kiedy ktoś go pytał, gdzie pracuje, odpowiadał, że w firmie handlującej drukarkami. Wyjął kilka przygotowanych na taką okoliczność folderów i położył je w widocznym miejscu.

Arielle po kobiecemu poradziła sobie w kuchni i wkrótce rozeszły się po mieszkaniu smakowite zapachy. Pociągnął nosem, przypominając sobie, że niczego nie miał w ustach od południa. Kiszki grały mu marsza. Przez kilka ostatnich lat w jego niby to kawalerskim mieszkaniu nikt nie przyrządzał mu posiłków. Mimo podróży przez Atlantyk dziewczyna wcale nie wyglądała na zmęczoną. Wniosła jedną tacę, a po niej drugą.

Wspaniale prezentowałyby się jako kelnerka w niejednym wykwintnym nocnym klubie na Broadwayu.

- Powinieneś postarać się o nastrój - podpowiedziała mu słodziutko, obdarowując go uśmiechem godnym Miss Ameryki.

- Może masz świece?

- Słusznie! - przyklasnął, podnosząc się z miejsca. Nagle pojął, dlaczego był taki spięty i ogarnęło go zażenowanie. Trapiło go poczucie winy. Nie dość, że uwiódł dziewczynę, której wcześniej nie widział na oczy, to jeszcze postawił ją przed koniecznością szukania go po całym świecie. Zapadał zmrok i wygrzebał z szuflady coś, co się nadawało do umieszczenia przed gościem. Zapalił czerwoną świeczkę, lokując ją na ławie.

- Co to za koktajl? - zapytał, próbując zielonego drinka, w którym mieszały się smaki kiwi i toniku.

- To moja specjalność - odrzekła, siadając tuż przy nim i krzyżując na otomanie zgrabne nogi. - Znakomite na apetyt. Dodałam trochę wódki, którą miałeś w lodówce. Wypij wszystko, potem jeszcze przyniosę. Trochę zostało w kuchni. - Bez wahania opróżniła swoją szklanicę, więc poszedł w jej ślady.

To, co znajdowało się na tacach, wyglądało apetycznie. Sama nałożyła sobie jednak tyle, co kot napłakał.

- Smacznego! - rzucił, biorąc do rąk nóż i widelec.

Nagle poczuł, że dzieje się z nim coś niepokojącego. Poraził go grom z jasnego nieba. Utracił raptem koordynację ruchów jak po dłuższym tankowaniu w knajpie i przez chwilę wydawało mu się, że nie trafi z talerza do ust. Przerażonym spojrzeniem obrzucił Arielle, lecz niczego nie wyczytał w jej badawczo lustrujących go oczach. Przez krótką chwilę widział wszystko podwójnie, a potem jego umysł ogarnęła zdumiewająca anielska jasność. Zmysły niebywale się wyostrzyły, by zaraz skierować jego myśli i pragnienia na jeden jedyny cel. Obudziło się w nim nienasycone drapieżne zwierzę. Podniecająca

szczeniara zdawała sobie sprawę z tego, co się biedakowi stało. Pieszczotliwie przytuliła się do niego, świadomie prowokując nieobliczalną w skutkach katastrofę.

Zdarł z niej gwałtownie halkę, bezwstydnie porwał ją w ramiona, by następnie namiętym pocałunkiem zgnieść jej usta. Nie próbowała się wyswobodzić z jego objęć. Była uległa, a w jej kocich oczach dostrzegł błysk obłędu. Jęknęła, przechylając do tyłu głowę, a jego niepohamowane pieszczoty dostarczały jej szalonej rozkoszy. Widział to, ulegając huraganowi pożądania. Torował sobie drogę, zrzucając z siebie w pośpiechu ubranie. Padli oboje na miękką wykładzinę, potrącając ławę z nakryciami. Wbił się w nią jak szalenciec, omal nie rozrywając jej na strzępy.

Później prawie nieprzytomny leżał obok niej, ciężko dysząc. Z trudem łapał powietrze.

– Co to było?! – wybełkotał, gdy się pozbierał.

Podniosła powieki. Twarz miała zaczerwienioną.

– Przepraszam... John... – z trudem wyjąkała. – Nie chciałam...

– próbowała z tego jakoś wybrnąć. – Podałam ci w koktajlu... stymo... – sepleniała. – Coś musiałam... pomylić. Potrójna dawka... albo... poczwórna.

Nie miał sił, żeby się złościć. Od samego początku chodziło mu po głowie, że coś niepokojącego się święci. Dał się podejść jak nieopierzony małolat.

– Chryste, mogłaś mnie zabić! – zachnął się, wyobrażając sobie, że w takim niepokojącym stanie ładują go na noszach do ambulansu. Obecność we krwi końskiej dawki z pozoru łagodnego narkotyku mogła oznaczać poważne kłopoty w pracy. Serce miał mocne, a poza tym chodził na siłownię, choć ostatnio niezbyt regularnie.

– Przepraszam, naprawdę! – powtórzyła, delikatnie gładząc go po skroni. – Sama wzięłam połowę tego, co ty. Nie wiedziałam, że będą takie straszne skutki. Kocham cię, John. Po prostu

chciałam, żebyś zawsze był mój, tylko mój, na wieki... – wyznała z rozbrajającą szczerością. W jej oczach pojawiły się łzy.

Z trudem wsparł się na łokciu. Piekła go zdarta skóra.

– Boże drogi – mruknął, robiąc dobrą minę do złej gry. – Jak ty wyglądasz?

Wargi miała spuchnięte, a na jej gładkich ramionach znaczyły się ślady zębów. To, co wcześniej miała na sobie, nie nadawało się już do noszenia. Jedwabna haleczka i pończochy były w strzępach.

– Omal nie odgryzłeś mi ucha – uśmiechnęła się blado, z sykiem podnosząc się z wykładziny. Była obolała, ale dziwnie szybko wracała do formy. – Matko święta, co ja zrobiłam z twoimi plecami! – obejrzała jego kark, a potem swoje połamane paznokcie.

– Trzeba ci będzie nakleić kilka plastrów.

Zgięty w pół pokuśtykał do łazienki, potykając się o przewrócony puf. Wzrok miał mętny i nijaki. Obejrzał się w lustrze, z uwagą obmacując policzki i brodę. Na szczęście dziewczyna podrapała go tylko z tyłu. Czerwone, krwawe pręgi na ramionach i pod łopatkami niejasno kojarzyły mu się z perwersyjnymi seansami, podczas których skąpo odziana prostytutka chłostała pejcem zboczonego klienta. Skrzywił się z odrazą i wrócił do Arielle. Zapaliła światła, więc lekko się zachwiał i zmrużył oczy, przysłaniając je ręką.

– Ależ z ciebie diablica! – jęknął, kręcąc głową z niedowierzaniem i podziwem.

Wyglądała tak, jakby ją przepuszczono przez wyżymaczkę, mimo to zabierała się już do robienia porządków. Usiłował sobie przypomnieć, co w otrzymanym dossier było o stanie zdrowia panny Ayer. Chodziła naga i patrząc na nią, poczuł wzbierającą falę podniecenia. Zacisnął pięści, nie chcąc poddać się działaniu środka pobudzającego. Podtrzymała go, pomagając usiąść na otomanie. Kolana przykryła mu pledem.

- Wszystko naprawię, John, nic się nie martw - nie była zbyt pewna siebie, bo przecież nie wszystko poszło po jej myśli. - Jestem bardzo samodzielna i zaradna, zobaczysz! - obiecała mu, pociągając nosem.

Wzięła tacę, zbierając na nią to, co spadło z ławy. Potem wyniosła się do kuchni, by znowu zrobić coś na ząb, a Smith popadł w odrętwienie. Ostrożnie przesunął się, nie chcąc urazić piekących pleców.

- Boże ty mój, na kogóż ja trafiłem, ta mała ma nierówno pod sufitem - szepnęła, zbierając myśli. - - W czerwcu będzie parada homoseksualistów, lesbijek i innych dziwolągów na Piątej Alei - zamruczał z nutą niezadowolenia w głosie. - Powinniśmy oboje do nich dołączyć.

Uznał, że nigdy dotąd nie przydarzyło mu się nic aż tak szalonego, a przy tym tak ekscytującego. Nie mógł usiedzieć w miejscu i kuśtykając, wybrał się z powrotem do kuchni.

- Co to był za specyfik? - zapytał z ponurą miną.

Pokazała mu opróżnioną do połowy buteleczkę z jasno brązowego szkła. Obejrzał ją pod światło. Szybko otworzył i z obrzydzeniem powąchał. Nie miała żadnej etykiety. Przyszło mu do głowy, że wydebiła ten diabelski środek z jakiegoś podejrzanego sex shopu.

- Gdzie dostałaś to wredne świństwo?

- W chińskiej drogerii w Chinatown - przyznała się bez bicia.

- To od kiedy jesteś w Nowym Jorku? - zdziwił się.

- Od wczoraj! - wyznała szczerze.

Wylał zawartość do zlewu, a butelkę wyrzucił do śmieci.

- Pokaż, co tam jeszcze masz! - dobrał się do pozostawionej w rogu torby podróźnej, pochylając się z trudem.

Nie protestowała. Była już przecież po „rewizji osobistej”.

Przekopał się przez jej ciuchy, ale niczego podejrzanego nie znalazł.

W bazie panowała nocna cisza, zgodnie z wewnętrznym regulaminem obowiązująca zdyscyplinowaną załogę między dwudziestą drugą a szóstą czasu Greenwich. Mimo to Donlon i Griffith nie spali, tkwiąc przy największym czynnym komputerze. Ten, mrużąc bez przerwy dźwięki, przypominające przelot roju pszczoł, niby wysiadujący przy instrumencie kompozytor wytrwale szukał właściwego wariantu.

- Szczerze mówiąc, nigdy bym na to nie wpadł - ziewnął w pewnej chwili Donlon, przecierając zmęczone powieki - gdyby nie te...

Griffith przestał go słuchać. W podnieceniu uniósł rękę.

- Nareszcie! - zawołał niecierpliwie, nie odrywając wzroku od ekranu.

Rozbiegane linie ułożyły się w wyraźną pulsującą epicykloidę, a szum przelotu pszczoł zamienił się w rytmiczny, powracający sygnał wywoławczy.

Donlon również się ożywił. Z zaciekawieniem spojrzął na swego kompana. Nie spodziewali się, że tak szybko ujrzą rezultat.

- No, to co? Próbujemy?! - zapytał ostrożnie.

David w milczeniu skinął głową. Był poruszony do głębi. Rzadko kiedy można było tego żartownisia oglądać tak poważnym.

- Jak się teraz nie uda, to się powieszę...

Tamten zachichotał.

- Na Księżycu to raczej trudne.

Wyemitowany z bazy kod wywoławczy trafił tam, gdzie powinien był trafić, a obcy melodyjny motyw, który usłyszeli, był niezbitym dowodem, że ich sygnał został odebrany przez ukryte systemy goliata. Zakłęty rycerz usłyszał monit, pospiesznie ocknął się z wielowiekowego snu i natychmiast odpowiedział istotom z Ziemi.

- Straszne jaja, mamy wreszcie sprzężenie! - uradowany

David podniósł się zza ekranu. Cieszył się jak dziecko. – Teraz wypada rozpracować według tego kodu cały system porozumiewania się z tą kosmiczną fregatą. Mniemam, że do rana nasz komputer sobie z tym poradzi.

Obaj byli rozgorączkowani i przejęci niezwykłością chwili.

– Gdyby nie te sygnały – powtórzył Donlon, kontynuując porzuconą wcześniej myśl – nigdy bym nie wpadł na to, że wzorzec ich języka elektronicznego może być jakoś powiązany z Ziemią.

Chcąc uczcić sukces, wydobyl z zakamarków pracowni schowaną na szczególne okazje pękata butelkę koniaku.

– Będziemy o tym musieli napisać w relacji z naszych badań, nie?

Jego kompan nieuważnie przytaknął. Sięgnął po wydruki. Chris ostrożnie rozlewał koniak do prowizorycznych kieliszków.

– Kto by przypuszczał, że ten statek kosmiczny może cyklicznie wysyłać krótkie sygnały w kierunku Węgi w gwiazdozbiore Lutni. I to jak krótkie, rzędu dwóch tysięcznych sekundy. A tym bardziej, że te impulsy mogą być najzwyczajniej w świecie odwzorowaniem wołania królowej roju. To prawie jak w tym filmie z dwudziestego wieku. Pamiętasz? Oglądaliśmy go kiedyś...

Griffith rozsiadł się wygodnie jak basza, trzymając w dłoni wykresy, które przed chwilą analizował.

– Oni musieli wiedzieć, trzy tysiące lat temu, gdy pozostawiali swój statek na Księżycu, że wcześniej czy później te małpiszony z Ziemi do niego się dobiorą. Taki ciekawski gatunek, wszędzie musi wetknąć nos. Szukając sposobu porozumienia się z nami, sięgnęli więc do tego, co zdawało im się najbardziej trwałe, a mianowicie do dźwięków, wydawanych przez owady. Te małństwa najwolniej się zmieniają w procesie ewolucji.

– A może bardzo podobne pszczoły mają u siebie? Co?!

Donlon uniósł kieliszek i spojrzał pytająco na Griffitha.

– Za zdrowie obcych z Wegi! – wzniósł toast.

Zadźwięczało szkło.

– Owszem, za ich zdrowie!

Siedzieli, w milczeniu trawiąc sukces, który dziwnym trafem stał się ich udziałem. To było niezwykle. Komputer cały czas pracował, szukając kolejnych segmentów kodu.

– Wiesz, o czym myślę, Chris? – David Griffith zmienił nagle temat rozmowy. – O tej niby to planecie, która ponoć zbliża się do Ziemi. Zastanawiałem się nad informacjami z serwisu prasowego. W moim odczuciu ktoś tam coś sknocił przy interpretacji danych.

Kumpel rozlewał znowu koniak do kieliszków.

– Co mianowicie?

– To nie może być żadna zagubiona planeta – cichym głosem wyjaśnił Griffith. – Nie ma takich obiektów w pobliżu Układu Słonecznego, a gdyby były, to wścibscy astronomowie dawno wpadliby na nie – zawyrokował. – To po pierwsze. A po drugie – dość dziwnie zachowywały się lecące w tamtym kierunku sondy „Voyager 202” i „Wega 1000”. Nim kolejno zamilkły, zmieniły prędkość i tor lotu – przedstawił swój punkt widzenia.

Chrisowi nagle drgnęła ręka i kilka kropel koniaku wylało się na jego spodnie.

– Do diaska, wiążesz ze sobą te dwa różne zjawiska? – jego oczy wyrażały bezdenne zdumienie.

– To co to, do cholery, jest w takim razie?

Griffith przyjął podany mu kieliszek.

– Moim zdaniem, do Układu Słonecznego zbliża się dużo większa, a zarazem nieemitująca światła masa – zwierzył się szczerze. – Może czarna dziura?

Wychylili jeszcze raz za zdrowie obcych z gwiazdozbioru Lutni.

– Dość! – zawołał David, gdy Chris zabrał się do rozlewania trzeciej kolejki. – Bo wylądujemy na cmentarzu dla bogatych, po drugiej stronie krateru Kopernika. Tam, gdzie złożono

szczętki naszego nieodżałowanego kolegi, Brunona Sollego...

Donlon zakręcił butelkę.

- Jeżeli to jest czarna dziura, jak mówisz, to i tak tam wylądujemy, i to bezapelacyjnie - zawyrokował.

Griffith wstał i leniwie się przeciągnął. Wskazał głową na aparaturę, która bez przerwy pracowała.

- Chyba że uda się nam uruchomić silnik tego statku kosmicznego i wyrwać się nim w przestrzeń, zanim się to stanie. Oczywiście, o ile jest on zdolny do rozwijania wystarczających prędkości.

Chris zamarł z butelką w ręku. Można było odnieść wrażenie, że właśnie zamienił się w sopel lodu. Przetarł ręką zroszone potem czoło.

- Przewidujesz, że tak się stanie?! Serio?

Tamten kiwnął głową. Na Ziemi dochodziła druga w nocy i w strefie południka 0° pewnie wszyscy już spali, można więc było od biedy uznać, że David dla odprężenia gada coś bez sensu. Chris jednak wiedział, że tak nie jest. Griffith był powszechnie znany z umiejętności dokonywania szybkich i trafnych skojarzeń. A co więcej - ten chłopak z Kalifornii rzadko się mylił.

Drobne fale marszczyły powierzchnię morza, co rusz napływały, wdzierając się na łagodny brzeg i przemywając żółty piasek, a następnie cofały się leniwie. Uważnie lustrowała kolejne połacie dobrze utrzymanej plaży przed położoną wyżej, śpiącą jeszcze o tej porze, rozległą piętrową willą, pozwalając, by woda opływała jej boscie stopy. Miała na sobie wygodne, zsuwające się na biodra bermudy koloru granatowego i skąpy top w barwne kwiaty, w którym z trudem mieścił się jej obfity biust. Długie jasne włosy opadały jej na twarz, więc co rusz je poprawiała, nie odrywając wzroku od mokrego piasku. W jej ręku chybotąło się czerwone plastikowe wiaderko. Od czasu do czasu zatrzymywała się i wsłuchiwała w poranne okrzyki mew. Potem szła dalej. W jej zajęciu nie było niczego niezwykłego. Doglądała brzegu aż do rysującej się dalej falez nie tylko dlatego, że pragnęła, aby plaża przed hotelem była schludna, czysta i zadbana, ale również dlatego, że polowała na rzadkie muszle, którymi ustawicznie wzbogacała swą wyjątkową kolekcję. I tym razem natknęła się na nietuzinkowy okaz. Wygrzebała muszlę z piasku, obstukując paznokciem i z przejęciem studiując chitynowe kształty, po czym ostrożnie złożyła ją w wiaderku na stercie zebranych wcześniej skorup.

- To pancerz raka pustelnika - stwierdziła z przekonaniem, unosząc brwi. - Tak dobrze zachowanego jeszcze nie miałam.

Słońce dopiero co wzeszło, oświetlając malownicze wzgórza zagubionej na Morzu Egejskim wysepki, pokrytej gajami cyprysowymi i palmowymi oraz dzikimi winnicami. Poranna mgła snuła się jeszcze po zboczach, spływając w dół. Wyspa nie była duża i samochodem lub skuterem można ją było objechać w pół dnia. Kiedy opływało się ją dookoła, wzrok ślizgał się po

żółtych, błyszczących w słońcu skałach i ciekawie wdzierał się do zatok. Pogoda była jak wymaluj, od kilku dni nie padało, a nocami nie słyszała świstów wiatru, kojarzących się jej z jękami przykutego do skały Prometeusza.

Do śniadania miała jeszcze sporo czasu, więc nie musiała się spieszyć. Zresztą sezon się dopiero zbliżał i na nalot gości nie mogła jeszcze liczyć. W lipcu i sierpniu przeważali kuracjusze z Aten. Była sobota, a w ten weekend cały hotel okupowali ekscentryczni ornitolodzy. Zapłacili jej sowicie za pobyt, i to z góry – zastrzegli sobie jednak, by w tym czasie po hotelu nikt postronny się nie kręcił. Cenili sobie ciszę i spokój. Pomyślała, że kiedy ma się szmal, dyktuje się takie warunki, jakie się tylko chce. Spiesznie odwołała więc kilka rezerwacji, zasłaniając się awarią generatora, i dała urlop młodym Greczynkom z miasteczka, pozostawiając tylko te, które były naprawdę niezbędne.

Założyła pantofle przed wejściem na zwirowaną ścieżkę, obrzucając wzrokiem znajdującą się tuż za maleńkim cyplem prywatną przystań. Przycumowało tam wieczorem kilka eleganckich jachtów, które w tym zakątku ledwo co się mieściły. Rzadko kiedy było tam tak ciasno. Potem na krótką chwilę zajęła się skalną ścianą, porośniętą kolorowymi kwiatami. Dalej, wzdłuż alei, cieszyły oczy rabaty, o które pieczołowicie dbał Augustis, jej wiemy ogrodnik, związany z tym miejscem od lat. Poniżej ściany lasu w otoczeniu zieleni przycupnął jej ukochany pensjonat.

Dotarła do wyłożonego marmurem holu i zajrzała do jadalni. Posiwiwały mistrz ceremonii już czuwał, sokolim okiem doglądając przygotowań do porannego spotkania z gronem wymagających gości. Menu zostało ustalone telefonicznie. Godnie się prezentował w swoim nowym czarnym uniformie, który mu ostatnio sprawiła na miejsce starego, mocno już wytartego. Uderzał ją zawsze jego olimpijski spokój.

– Dzień dobry, Francisco. Co nowego? Wszystko gra? –

chciała się upewnić.

- Jak najbardziej, proszę pani! - potwierdził.

- Spał pan dobrze?

- Jak zwykle, proszę pani, jak zwykle... - przytaknął z powagą, lekko się pochylając.

Potem rzuciła okiem na salę konferencyjną. Tam również panował wzorowy porządek. Kolorowe plansze z egzotycznymi ptakami z Ameryki Południowej wisiały na jednej ze ścian, a duży mahoniowy stół równiutko otaczały wyściełane krzesła.

- Papugi - wyszeptała. W dzieciństwie miała jedną taką w wijszącej złotej klatce, ale jej rozkoszna ulubienica nie potrafiła mówić. Biedactwo nie miało szczęścia, bo złamało sobie skrzydło, a potem już długo nie pożyło.

Na błyszczącym blacie zamiast wizytówek z nazwiskami i funkcją leżały plastikowe plakietki z kolejnymi liczbami - od jedynki do dwudziestki piątki. Trochę ją dziwiła ta zabawa w konspirację, ale starała się tego nie okazywać. Również w księdze gości w recepcji nie pojawiły się żadne nazwiska. Pseudoomitolodzy przybyli nie tylko drogą morską. Para ciężkich masywnych śmigłowców wylądowała tuż przed zmiernikiem na prostokacie pokrytego gładkim asfaltem parkingu, „wypluwając” pasażerów. Niektórych dżentelmenów rozpoznała. Było wśród nich kilku znanych aktorów filmowych starszej generacji i wprost korciło ją, by podbiec z notatnikiem i poprosić o autograf. W tej branży obowiązywały jednak niepisane reguły gry, zatem żeby nie wypaść z roli, należało taktownie pozostać przy profesjonalnie kiepskim wzroku i należycie krótkiej pamięci. Musiała udawać, że nie wie, kto zacz.

Zadbane otoczenie doskonale przystawało do dwukondygnacyjnego budynku z tarasami i oknami na morze. Oleandry z białymi i czerwonymi kwiatami, wysokie agawy i pękate kaktusy, rozłożyste krzewy opuncji, smukłe fikusy i gaje oliwkowe ze swą żywą zielenią tworzyły oprawę, której żaden z

przyjeżdżających tutaj gości potem nie zapominał. Wielu z nich regularnie wracało. Sama też była uczuciowo związana z zatoką, spędzała tutaj większą część roku i tylko na zimę przenosiła się do Londynu, metropolii, w której się urodziła i wychowała. Miała tu jak w rajach i w wolnych chwilach pisywała wiersze, myślami przenosząc się na nie tak odległą wyspę Lesbos, na której przed wiekami tworzyła sławna Safona. Wczytywała się również z wypiekami na twarzy w dzieła, poświęcone dawnym dziejom Hellady, a ostatnio utknęła przy wojnach perskich. Mimo że owiewała ją poezja, nie czuła się wynurzającą się z morza nereidą. Była rzeczowa i konkretna.

Pomieszczenie wypełniał szmer rozmów. W prześwietlonej słońcem sali konferencyjnej królowały stateczne, posiwiałe głowy, lecz dla nikogo z zebranych nie było tajemnicą, że tylko jeden z przybyłych jest naprawdę ornitologiem, obytym z ptasimi zwyczajami i mającym w małym palcu wiedzę na ich temat. Pozostali reprezentowali inne branże. Łatwy do zapamiętania dzięki charakterystycznej, przyciętej w szpic bródce profesor Richard Shaul z Amsterdamu miał w swym naukowym dorobku wiele krytycznych rozpraw, poświęconych skrzydlatym i dziobatym, nie mówiąc o licznych pracach popularyzatorskich. Polecono mu, ' by zadbał o alibi. Przygotował półgodzinny wykład o upierzonej faunie z dorzecza Amazonki. Solennie postarał się, by posiedzenie rady złożonej z najstarszych angelosów przypominało – na dzień dobry – autentyczną debatę specjalistów od skrzydlatych stworzeń.

Zaklaskał teraz w dłonie, przywołując zebranych do porządku.

– Zaczynamy, panowie! – rzucił.

Miał przed sobą komputerowy wydruk wykładu, napisanego z myślą o mniej zorientowanych słuchaczach, jednakże dosko-

nale wiedział, że i tak nie wywoła on żadnego oddźwięku. Głos miał zresztą zachrypły i przemawiał raczej monotonna. Zaczął mówić, a na sali zapadła cisza. Scharakteryzował na wstępie szatę roślinną Brazylii. Popłynęły niewiele mówiące fachowe nazwy. Potem przeszedł do sedna. W Amazonii żyło ponad dwa tysiące gatunków ptaków. Jednak to, co się naprawdę działo w mrocznych koronach drzew dżungli brazylijskiej, nikogo tu nie obchodziło, a w mimochodem toczących się rozmowach powracały raczej tematy giełdy, kursów bankowych i cen akcji. Nie forsował więc obecnych i skończył dokładnie po dwudziestu dziewięciu minutach. Nagrodzono go kurtuazyjnymi oklaskami. Podziękował, uklonił się i usiadł ze świadomością tego, że przyciągnął uwagę zebranych jedynie ciekawostkami z życia kolibrów. W Brazylii występowało około trzystu gatunków tych maleńkich ptaków. Najmniejsze z nich przypominały wielkością owady. Najlżejsze ważyły zaledwie około dwóch gramów.

Po jego wykładzie drzwi na korytarz starannie zamknięto. Właściwa debata miała toczyć się aż do lunchu, a następnie po sjeście. Drinki i chłodne napoje wolno było serwować tylko jednemu z zaufanych agentów ochrony.

Szybko uporano się z kilkoma pierwszymi punktami programu, kilku mówców zdało zwięzłe relacje, a zatrzymano się dłużej przy elektryzującej sprawie zaginięcia jednego z angelosów. Na ten temat najwięcej miał do powiedzenia krezus z Krety, Adam Marcel, on też niecierpliwie czekał na swoją kolejkę. Był przygotowany do obszerniejszego wywodu, ale starał się streszczać. Kłopoty z aprobusami, które wyrwały się spod kontroli, a do tego nie były nosicielami embrionów, zostały wcześniej omówione, zatem już do nich nie nawiązywał. Zatrzymał się natomiast dłużej przy incydencie w Filadelfii, przedstawiając powody fizycznej likwidacji siedemnastolatka, Hansa White-heada. Będący tylko z pozoru numerem trzysta sześćdziesiątym czwartym chłopak został bezprawnie

dopuszczony do sekretów wspólnoty. To był niemający precedensu katastrofalny błąd. Marcel nie umiał rozwikłać tej zagadki i zdradzić, co się za nią kryło, wskazał jednak osobę, odpowiedzialną z ramienia rady za implantacje embrionów. Był nią numer czwarty, Raffaello Montini. Mówił powoli i spokojnie, nie starając się wywołać wrażenia, że dąży do wywołania skandalu. Nie należał do tych, którzy rzucali pochopne oskarżenia. Nie zmieniało to jednak faktu, że kiedy multimilioner skończył, spojrzenia wszystkich ciekawskich przeniosły się na guru z Paryża. Ten, czując ich ciężar, cicho zakasłał, a nawet z lekka się zarumienił. Został wywołany do odpowiedzi przez najwyższe tajne gremium na tej planecie.

Ciszy, która zapadła, kiedy multimilioner z Krety usiadł, Montini długo nie przerywał. Co tu dużo mówić, wszystkich obchodziły mgliste motywy, kierujące jednym z najstarszych angelosów, który zdecydował się na zatajenie przed resztą rady samowładnie podjętych kroków. Nie wydawało się jednak, aby staruszek był głęboko przejęty kłopotliwą sytuacją, w której się znalazł. Nie spuścił wzroku i nie czekał na wyrok, a co więcej: na pewno nie czuł się winny. Niezwykle przenikliwie zlustrował oblicza siedzących za mahoniowym stołem, przenosząc spojrzenie z jednej twarzy na drugą, poczynawszy od numeru dwudziestego piątego, a skończywszy na pierwszym. Potem wrócił wzrokiem do Marcela i do Hilla. Tych badał najdłużej.

Zebrani nie okazywali zniecierpliwienia, a niektórzy zaczęli się nawet uśmiechać pod nosem, przewidując, że cwany Raffaello zgrabnie się wywinie, zaganiając przy okazji w kozie róg obu szukających dziury w całym mężczyzn. Najstarsi, choć na to nie wyglądali, dobiegali osiemdziesiątki, więc sporo o sobie wiedzieli. Montini był reprezentantem okrytej mgłą tajemnicy pierwszej siódemki i należał do tych, którzy urodzili się w Tel Awiwie. A pochodząc stamtąd, lepiej od innych był obznajomiony z zagadkowymi początkami wspólnoty, która

błyskawicznie przerodziła się we wpływową społeczność o światowym zasięgu. Młodszy, jak Adam i Humberto, nie byli w takim stopniu wtajemniczeni.

Plakietka znalazła się na stole. Raffaello prawie niedostrzegalnym ruchem ręki wydobył ją z kieszeni, kładąc przed sobą z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Jego oblicze mówiło jedynie, że prezentuje obecnym niepodważalny dowód rzeczowy. Salę wypełnił cichy szmer głosów. Materiału, z którego wykonano opalizujące cacko, na pewno nie należało szukać na Ziemi. Tworzywo stanowiło rodzaj ultrakompozytu, było lekkie, przezroczyste i prawie niemożliwe do zniszczenia.

- *Ecce corpus delicti!*¹⁶ - zaczął z uroczystą powagą, tym niemniej w jego starczym głosie dało się wyczuć silne emocje.

- Sądzę, że dzięki temu maleństwu, które dopiero co dzierżyłem w dłoni, wszystko stanie się jasne. - Spoglądał teraz na zgromadzonych w sali konferencyjnej inaczej niż przed chwilą - z dumą i pewnością siebie, oczyma kogoś, kto posiada ogromną, nieomal sakralną władzę. - Jak mniemam - ciągnął dalej - każdy z tutaj obecnych doskonale wie, co to jest. Ten błyszczący w słońcu mały przedmiot, który pod wpływem fal mózgowych aktywizuje się i odsłania ukrytą w sobie informację, jest numerem identyfikacyjnym angelosa, a ściślej biorąc - embriona. Dokładnie takie znajdowały się przy wszystkich kolejnych aprobusach, przesyłanych ze znanej nam bazy na odległym Plutonie, na obrzeżach Układu Słonecznego, począwszy od numeru trzydziestego, a skończywszy na czterysta dziewięćdziesiątym dziewięćdziesiątym...

Siedzący tuż przy Montinim okazały dzentelmen, w którym można było rozpoznać sekretarza generalnego Organizacji Narodów Ziemi, sięgnął ostrożnie po plakietkę i z rozwagą ją obejrzał. Opalizujące cacko zareagowało - gra światła nagle się zmieniła, jego powierzchnia zmatowiała i pojawił się na niej napis. Obok wrytego arabskimi cyframi numeru mieścił się tam wizerunek anioła, walczącego ze smokiem.

- Trzysta sześćdziesiąty czwarty - rzekł z uznaniem ten powszechnie znany jegomość.

Raffaello pokiwał głową, spoglądając na Humberta Hilla, a w jego oczach pojawiły się figlarne iskierki.

- Faktycznie, to właśnie ten numer - potwierdził, akcentując każdą zgłoskę. - Naturalnie, nasi młodszy koledzy, dziewiętnasty i dwudziesty piąty, odwalili kawał dobrej roboty, ustalając, że chłopiec, którego przypisałem do tego numeru, nie jest angelosem. I należy ich za to pochwalić. Nie popełnili błędu. Nie doszli jednak do tego, dlaczego to uczyniłem, ostrożnie imputując, że w grę mogą wchodzić jakieś matactwa - powtórnie wziął do ręki plakietkę, którą zdążyło już obejrzeć kilku członków rady. - Wszelako odpowiedź na interesujące was pytania - objaśnił z namaszczeniem - znajduje się nie na awersie, który wszyscy z przyzwyczajenia aktywizują, lecz wyjątkowo... na rewersie.

Odwrócił numer identyfikacyjny, dowód osobisty angelosa, podając powtórnie plakietkę sekretarzowi generalnemu.

Była to rewelacyjna wiadomość i kilku siedzących przy drugim końcu mahoniowego stołu podniosło się z krzeseł. Uczynił to również piastujący najwyższą godność w radzie numer pierwszy, Giacomo Austin, który dotąd nie zabierał głosu. Żadna ze znanych plakietek, znaków rozpoznawczych embrionów, nie miała bowiem napisów na rewersie.

- Osobnik, oznaczony tym numerem - przesylabizował głośno Issak Maury, prezenter z Waszyngtonu - wymaga szczególnej ochrony ze względu na wybitne cechy przywódcze!...

Teraz już wszyscy powstali ze swych miejsc, a gwar rozmów mógł wywołać wrażenie, że posiedzenie przerwano. Obecni chcieli obejrzeć z bliska tę plakietkę i naocznie się przekonać, że odczytany przez Maury'ego napis w rzeczywistości na niej się znajduje. Jednakże wpływowy kardynał szybko przywołał zebranych do porządku. Sam wziął do ręki plakietkę, rzucając

na nią okiem. Dwujęzyczny napis, złożony z liter alfabetu łacińskiego i liter przypominających nieco pismo hebrajskie, jeszcze oksydował, dzieląc się z patrzącym swą treścią. Eminencja odchrząknął, spoglądając surowo na Adama Marcela i Humberta Hilla, a potem na Montiniego, który starał się zachować powagę, jednak w głębi ducha chichotał jak ubawiony sztubak, szczęśliwy, że udało mu się splatać figla.

Zapadła cisza. Uwaga zgromadzonych skupiła się znowu na staruszku z Paryża, przed którym widniała wizytówka z numerem czwartym. Oczekiwano od Raffaella szczegółowych wyjaśnień, a w centrum zainteresowania znalazł się nagle nastolatek, którego obcy z Alfy Centauri niespodziewanie wyróżnili, bezapelacyjnie wyznaczając na przyszłego przywódcę wspólnoty.

Adam Marcel krzywił się przez chwilę, a następnie pochylił się do uszu sąsiada.

- No cóż, tak bywa. Miał być sąd kapturowy, a jest konklawe
 - pozwolił sobie na złośliwą uwagę, niepozbawioną jednak nuty samokrytycyzmu. Umiał się pogodzić z przegraną.
- Siedzący obok tylko wzruszył ramionami.

Wbrew wcześniejszym obawom, zamarły w bezruchu kosmiczny goliat zdecydował się okazać pewne zainteresowanie kruchutkim istotom, raczkującym poza swoją planetą. Wydawało się, że łypnął na nie łaskawie okiem, choć nie był przecież tworem organicznym. Dwaj śmiałkowie warowali przy wbitym w księżycowy grunt cygarze, gotowi zmierzyć się z nieznaną sobie potęgą. Przypominali łatwe do rozdeptania nieporadne mrówki, które nieopatrznie znalazły się na ruchliwym trotuarze, po którym przewalał się tłum przechodniów.

- Zaczynamy - niepewnie wychrypiał David, wydając przez mikrofon cichą komendę.

- Inicjuję polecenie otwarcia - usłyszał w odpowiedzi.

Przez chwilę wydawało mu się, że upiorny czas się zatrzymał.

Popłynął sygnał radiowy z bazy. Gdzieś tam we wnętrzu uśpionego kolosa czekający na polecenia sprawny komputer błyskawicznie przeanalizował przesłany komunikat, rozszyfrował kod, a pokrywy nieczynnej przez trzy i pół tysiąclecia śluzы raptem drgnęły, majestatycznie się rozsuwając i odsłaniając wypełnione kłębiącą się parą owalne zejście.

– Udało się! – zapał radośnie David. – Nie chce się wierzyć, ale to działa. Stało się jutro, jak Bożę kocham...

– Sezam otwarty, jacy gościnni... – z uznaniem zawtórował mu Chris. – Witają nas z otwartymi ramionami, powinniśmy odtańczyć taniec zwycięstwa.

– Dobra, nie truj! – David przywołał go do porządku. – Zaraz się przekonamy, co nas tam czeka. Może to szczęki rekina ludojada? Gdzie delegacja z kwiatami? Widzisz jakieś schody? A wyłożyli je czerwonym dywanem?

Ustalili w centrum, że jeśli poradzą sobie z ryglami, nie przestraszą się ryzyka i w ciemno wejdą do środka. Oślepiający blask słońca i szybko rosnące temperatury sprawiały, że w tej pośpiesznej ekspedycji było coś graniczącego z absurdem. Włóczenie się nocą po spękanej i pokrytej pyłem powierzchni Luny wydawało się mniej stresujące. Przy spoczywających półkolem księżycowych łazikach sekundowało im kilku spragnionych przygód kowbojów z bazy. Wyszli ze stacji na ochotnika. Kto mógł, ten śledził na monitorach ich wyczyny.

– Mamy godzinę osiemnastą czasu Greenwich, minut piętnaście... – usłyszeli w słuchawkach pełen patosu głos komandora. Stary demagog nie próżnował. – Mniemam, że dzisiejszy dzień przejdzie do historii i jestem głęboko przekonany, że o tym, co się tutaj dzieje, będzie się uczyć dziatwa szkolna.

Pacelli nie byłby sobą, gdyby się nie popisał. To było od niego silniejsze. Wypalił na wiwat, nikt bowiem nie mógł przewidzieć, co dwójkę straceńców czeka w brzuchu cyclopa. Chris Donlon miał zamiar coś odwarknąć, ale przygryzł wargi. Nie wzruszały

go teatralne gesty i słowa. Może nie było im dane wrócić na powierzchnię? Może mieli zostać w głębi na zawsze?

- Będzie to historyczny moment - pozwolił sobie na cierpką uwagę - jeżeli uda nam się uruchomić fregatę i wyrwać ją z tej dziury. A potem pognać nią w próżnię...

Z należyтым namaszczeniem uniósł sondę w górę, by po zarejestrowaniu tego ujęcia przez wścibskie kamery wrzucić wyposażony w czujniki miernik do otwartego włazu.

- Płyn po morzach i oceanach! - dopowiedział za niego David Griffith, któremu nigdy nie brakowało wisielczego poczucia humoru. Nikogo jednak tym nie rozbawił.

Wnętrze jarzyło się mglistym światłem. Sonda dziwnie powoli spływała w dół, jakby była wyposażona w hamulce aerodynamiczne. Już wcześniej przewidywali, że należy się spodziewać hec z grawitacją. Z głębi wydawało się odzywać echem pole, skutecznie blokujące szybkie spadanie.

- Co jest, do diaska?! - w słuchawkach usłyszeli zdziwiony głos komandora. - To jakieś kosmiczne jaja! Ktoś robi numery czy co? Temperatura około plus dwudziestu stopni Celsjusza, wilgotność... ciśnienie... prawie jak na naszej ukochanej Ziemi. A żaden gaz się nie ulatnia...

Śmiałkowie znacząco spojrzeli po sobie. Bogiem a prawdą, spodziewali się, że tamci ułatwią im robotę. I tak pewnie było. Dotknęli się dłońmi, dając sobie umówiony znak.

- Skaczemy! - krzyknęli prawie jednocześnie.

Obaj znikli z pola widzenia rozstawionych wokół obiektu kamer. Przekroczyli rampę, za którą witał ich inny świat. Zanurzyli się w czymś, czego w ogóle nie było widać, a co wydawało się przypominać utajone niby- grzęzawisko. Jakies trzy metry niżej ich obute stopy raptem zetknęły się z twardym podłożem, dostarczając im oparcia.

- Sztuczna grawitacja, ani chybi, psiakość, ważę dużo więcej - sapnął David.

- Jest łączność, panowie? - zapytał z odrobiną niepokoju

Donlon.

– Nie ma – odpowiedział Griffith i przyjrzał się sondzie, która spoczywała już na dnie śluzy, a potem przełączył się na inny kanał.

– Jak tam? Wszystko w porządku? – usłyszeli lekko zaniepokojony głos komandora. – Hej, słyszycie mnie, dranie?

Chris potwierdził. Pomieszczenie nie było duże, zmieściłoby się w nim z pięciu lunonautów, a blad różowe ściany zdawały się nieco parować. Leciutka, postrzępiona mgła wypełniała spód zbiornika. Zaczęli niepewnie macać wokół siebie, szukając dalszej drogi.

– Wiesz co? Ostatnia wola skazańca, posłuchałbym teraz techno.

– Cicho! – uspokoił go tamten. I zaraz dorzucił z podnieceniem: – Znalazłem, do diabła, tu coś jest!

Odziana w rękawicę dłoń Davida przeniknęła przez miękką, świetlistą przegrodę. Stawiła mu ledwo wyczuwalny opór, jakby była tylko gęstą cieczą. Cofnął rękę i z uwagą ją obejrzał, poruszając palcami. Na rękawicy nic nie zostało. Niby- ciecz nie była lepka.

Donlon podał mu podniesioną sondę.

– Spróbuj tam to wrzucić – zaproponował.

Griffith skrzywił się z niesmakiem.

– E, tam, raz kozie śmierć, dość srania w gacie, wchodzę – oznajmił. – Ujarzmimy tego wierzchowca!

Chris patrzył ze zgrozą, jak jego towarzysz wtapia się w jasno-różową ścianę. Płynna przesłona wchłonęła go i zakryła, nierówno falując i jak tafla wody w mig odzyskując pierwotną gładkość. Został sam jak palec po tej stronie.

– Niby to kompozyt z pamięcią... – wykoncypował ze zdziwieniem, podejrzliwie filując na zagadkową przegrodę. – Hej, słyszysz mnie? – zawołał z duszą na ramieniu. Nie chciał stracić szarżującego kompana.

– Słyszę, bardzo dobrze... – dotarł do niego uspokajający głos.

- Jestem obok. Dwa metry od ciebie. Za tą przegrodą.
- I jak? Mówże coś!
- Po co się rzucasz, włącz tu, nie bój się, palancie... - zachęcił go przez radio. - Przejdiesz gładko jak przez lustro, pomyśl, że jesteś Alicją z krainy czarów.

Chris dłużej nie zwlekał.

- Ufff! Pcham się dalej - powiadomił centralę. - Ta gródź w śluzie jest przenikalna.

Wziął głęboki oddech i mężnie uczynił najpierw jeden krok do przodu, a potem drugi, napierając ciałem na ścianę. Oblepiła go galaretowata ciemność, zaraz jednak wypuściła ze swoich objęć i raptem znalazł się tuż obok kompana. Zalało go jasne światło dnia.

Ciśnienie leciało na łeb, na szyję i John miał niezły mętlik w głowie. Zgodził się na spotkanie w ogrodzie zoologicznym, chociaż nie miał na nie najmniejszej ochoty. Gdybyż to było zaproszenie na safari! Nie bawiła go żenująca ceremonia karmienia wieprzowiną rozleniwionego pytona ani nie pociągały wywołujące salwy śmiechu idiotyczne grymasy małp. Sam czuł się niekiedy jak stary, wyliniały szympan, więc na co mu było jeszcze zoo? Wystarczyło, że od czasu do czasu zerknął w lustro. Zabujana w nim Francuzka nagłym przyjazdem wytrąciła go z równowagi, więc teraz marzył, żeby odespać jej pobyt i jakoś się pozbierać. Zegar biologiczny zabraniał mu nocnych szaleństw. Na szczęście ognista panna nie zabawiła długo w Nowym Jorku. Musiała wracać do Paryża, bo na Sorbonie czekały ją egzaminy letnie. Pożegnała go z żalem, a jej odlot przyjął ze skrywaną ulgą. Pozbył się jej po dwóch upojnych nocach, spędzonych w jej ramionach. Głupio mu było stanąć oko w oko z nad wyraz przenikliwym Gustavem Calvezem. Nie mógł się uwolnić od niepokojącego przekonania, że to, co z nią wyczyniał, ma jako żywo wymalowane na twarzy. Bronx odwiedzał rzadko i prawie nie znał tej dzielnicy, nie mówiąc o topografii zoo, kluczył więc długo i w efekcie spóźnił się na umówione miejsce o dobrych piętnaście minut.

Korpulentny Calvez cierpliwie czekał, a jedno domyślne spojrzenie na maskującego wstyd Johna wystarczyło mu, by pojąć, co tamtego gnębi. Stary wyga wiedział, jak uwolnić agenta od poczucia winy i od razu ruszył do frontalnego natarcia.

– I kto by pomyślał, he, he, he... – ironicznie roześmiał się na powitanie, poufale klepiąc Smitha po ramieniu. – Ależ ci dała popalić ta mała z Paryża! – rzucił z błyskiem w oku. – Nie

powiniennem się wtrącać, to fakt – dodał bez skrępowania – tym niemniej, moim skromnym zdaniem, powinienes wdepnąć do lekarza na malutkie badania kontrolne. Z tymi podłymi narkotykami różnie bywa – bezlitośnie wierceł mu dziurę w brzuchu. – A poza tym licho wie, gdzie ona je zdobyła... – z sadystyczną rozkoszą wbił mu sztylet aż po samą rękojęść.

Agent zachnął się. Jak można było mu coś takiego wypominać? Przeszło mu gorzko przez myśl, że jak w polskim dowcipie o góralach, są trzy rodzaje prawdy: prawda, święta prawda i gówno prawda. Był też czwarty jej wredny rodzaj – to Calvez. Stali przy ogrodzeniu z pelikanami, ale odniósł wrażenie, że trafił do klatki podstarzałego i złośliwego goryla, bardziej upierdliwego niż on sam.

– No, wiesz? – obruszył się. – To świństwo, tak się nie robi – instynktownie zaczął się bronić. – To życie osobiste. Czyżby moje mieszkanie było na podsłuchu? – zapytał podejrzliwie.

Calvez bezceremonialnie pokazał zęby.

– Coś ty? – odparował, pewny siebie. – Twoje mieszkanie? W życiu! Któż by śmiał? W firmie nie narusza się pewnych zasad

– rozstrzygnął w sposób niebudzący wątpliwości. – Podsłuch był założony w Paryżu u tej pannicy, Sylvie Jedin – zdradził.

– Rozumiem – niepewnie przytaknął John. Jednak nadal niczego nie pojmował. – A co to ma do rzeczy? – zrobił wielkie oczy.

– Nic ci nie świta w głowie? Laski to urodzone plotkary. Twoja napalona Arielle musiała przez wideofon pochwalić się swojej kumpelce, to było od niej silniejsze. Dobrą godzinę kłapały jak najęte na twój rachunek. Dzielila się z nią najdrobniejszymi szczegółami. Boże ty mój, jak ona umie nadawać, cóż to był za popis! Widocznie wtedy wyskoczyłeś z mieszkania. Już wiem! – olśniło go. – Zrobiła ci listę zakupów i wygoniła do supermarketu, bo zamierzała ugotować ci obiad. – Nagle uprzytomnił sobie, że coś ważnego przeoczył. – O rany, przepraszam! – wyjąkał z przesadnie udawanym

współczuciem. – Mam nadzieję, że nie uraziłem twoich poranionych pleców, uciekło mi z głowy, że nie wolno cię poklepywać... – z wprawą dźgnął go jeszcze raz.

Bezceremonialność Calveza wywołała zamierzony skutek. Spięty jak diabli John najpierw poczerwieniał, a potem zabalgotał jak rozszłoszczony indor.

– Jaka wredna suka... – wyjąkał oszołomiony. Nie krył piramidalnego zaskoczenia. – Nie przypuszczałem, że ma taki długi jęzor. Między nami wszystko skończone! – wyrzucił wściekle z siebie, zgrzytając zębami. Przez krótką chwilę całą siłą woli pragnął, by świat obrócił się przeciw niej, by wdeptano ją w ziemię i starto w pył. Nikt nigdy go tak nie poniżył. – Ktoś powinien zdrowo przetrzepać jej tyłek, pojęłaby, wariatka, gdzie są granice...

Gustavo nie zgodził się z zaperzonym agentem.

– Dobra, nie pękaj – nieoczekiwanie zaprotestował, biorąc Arielle w obronę. – Ma szczenięce odruchy, to prawda, kto ich nie miał w jej wieku, ale to bystre dziewczę i nad wyraz inteligentne. Poza tym na zabój kocha się w tobie. Szaleje za tobą. Wyślę ci zapis tej rozmowy telefonicznej, to sam się przekonasz, albo lepiej plik z oryginalnym nagraniem. Nie miała złych intencji.

– Mam nadzieję, że to nie trafi do moich akt? – zapytał John podejrzliwie.

– Nie obawiaj się, nie – skwapliwie zapewnił go Calvez. – Przecież nie jest prowadzone żadne formalne dochodzenie...

Zbliżyli się do prześwitującego zza gęstych krzewów skromnego baraku, przy którym nie było żadnych tablic informacyjnych. Zwiedzający tu nie zaglądali. Agent jeszcze chwilę szarpał się z sobą, usiłując odzyskać spokój i wrócić do formy. Nie spodziewał się, że francuska studentka czymś takim go zaskoczy. „Głęboko oddychaj!” – zdawał się mu podpowiadać cichutki głos. Specjalista od pleśni z dorzecza Amazonki odnalazł ledwo zauważalny przycisk dzwonka, a potem

wystawił do prawie niewidocznej kamery zaokrągloną twarz. John rozejrzał się – nikt się w pobliżu nie kręcił, lecz nos mu mówił, że teren jest monitorowany. Po chwili oczekiwania wpuszczono ich do nagrzanego wilgotnego wnętrza, w którym królowały tropikalne rośliny. Drzwi otworzył im uzbrojony ponurak.

– No, nareszcie są moi przyjaciele, pofatygowali się... – profesor Boros stał na wysokim podeście w roboczym szarym chałacie. Był zadowolony z przybycia gości. – Czekałem na was... – skwapliwie zacierał ręce. – Proszę, chodźcie, chodźcie! I nie połamcie sobie nóg. Tędy, po tych stromych schodach!

Ostrożnie wspięli się na rusztowanie, krocząc za gospodarzem po wąskiej kładce, która okazała się – na szczęście – stabilna i nie chybotąca się pod nimi. W chwilę później pod ich nogami wyrosło przedziwne terrarium. Z zaciekawieniem patrzyli na nie z góry.

– No i co? – zapytał profesor, dumny z siebie jak paw. – Gustowne mieszkanie ma ta maskara, co? Cymes, sam je zaprojektowałem. Wygląda jak prowizorka, ale wszystko tu jest dograne.

Spory cementowy wybieg sklepiła przezroczysta plastikowa kopuła, a podłoże – wyłożone gęstą murawą, poprzetykaną odłamkami głazów – zdobiły drobne krzewy oraz paprocie. Cicho posapujący agregat tłoczył do środka powietrze. Kapuściany łeb czuł się dosyć pewnie w tej- enklawie i nie krył się lękliwie po kątach. Niespiesznie turlał się po wybiegu, zatrzymując się to tu, to tam. Pochłaniało go coś bliżej nieokreślonego, co można by od biedy nazwać łapaniem much.

– Wiecie, kochani? – profesor podjął interesujący go wątek, gdy już się napatrzyli. Zabawnie szarpał bródkę. – Nie chcę was zanudzać, ale ten cudak znakomicie pasuje do przerwanego przed milionami lat ogniwa ewolucji. Jest z nim... eee... jak z fauną i florą w Australii. Prawdopodobnie należy do gatunku, który dawno temu stąd wyrwano, przenosząc na inną planetę.

Zaadoptował się do obcego środowiska, z czasem osiągając obecne kształty. No, no, pączuszk... – filuternie pogroził palcem maszkarze, która łypnęła okiem do góry. – Inteligencją to bydlątko góruje nad naszą małą, zatem nasuwa się nieodparte przypuszczenie, że ktoś usiłował stymulować procesy rozwojowe.

Smith z niesłychaną uwagą śledził manewry zwierzaka, usiłującego znaleźć najlepszy punkt obserwacyjny. Kosmicznego przybysza wyraźnie zaintrygowały sterzące na podeście dwunożne istoty.

– Coś niesłychanego, trudno uwierzyć. Zatem ten typek ma coś wspólnego z Ziemią? – zapytał zdębiały. Nie spodziewał się, że naukowiec dojdzie do tak zaskakujących wniosków.

Hugo Boros pokiwał głową, przez moment uśmiechając się do swoich myśli.

– Nie inaczej, młodzieńcze – ożywił się. – Nie ma co się bać takich odkryć, fakty są faktami, pochodzi z tego właśnie globu... – z patosem oznajmił, akcentując ostatnie słowa.

Calvez podniósł ostrzegawczo rękę.

– No, no, nie zagalopuj się, doktrynerze i nie przewróć mu w głowie! To tylko twoja nazbyt śmiała hipoteza. Byłbym ostrożniejszy na twoim miejscu.

John nie chciał być świadkiem sprzeczki, na którą właśnie się zanosilo. Nic gorszego niż dwaj popędliwi naukowcy o biegunowo odmiennych poglądach. A profesor potrafił być krewki, o czym przekonał się w Paryżu.

– Mogę zapytać? Co tam jest tłoczone? – pokazał szybko palcem agregat, pragnąc zwrócić uwagę rozsierzonego Borosa na inny temat. – Czy to jakaś specjalna mieszanina gazów?

Profesor obejrzał trzymaną w rękę komórkę, a potem schował ją do kieszeni fartucha.

– To jest, młody człowieku, dokładnie takie powietrze, jakim oddychało się na naszej planecie przed milionami lat. W czasach, w których panowały się tu dinozaury. Żadnych

szkodliwych dodatków. Temperatura trzydziestu siedmiu stopni, wilgotność rzędu stu procent oraz wyższa niż obecnie zawartość tlenu, bo wynosząca trzydzieści dwa procent...

Odpowiedział jeszcze na kilka innych pytań, gotów każdy temat zamienić w dłuższy wywód, ale za każdym razem, gdy się podniecał, Calvez ostentacyjnie ziewał lub niegrzecznie zerkał na zegarek. Posiedzieli tam około dwudziestu minut, a potem pożegnali Borosa i opuścili budynek, zasłaniając się ważnymi sprawami, które ich ponoć jeszcze czekały.

Wiatr przeganiał chmury i prześwitywało słońce. Gustavo krył jeszcze coś w zanadrzu i John zaczął podejrzewać, że wizyta u Borosa stanowiła jedynie pretekst, by odciągnąć go gdzieś daleko i pogadać z nim na osobności. Grubas wybierał drogę, chcąc znaleźć jakiś cichy zakątek, a John posłusznie za nim podążał. Błądzili alejkami, aż wreszcie dotarli do wybiegu dla lwów, gdzie się zatrzymali.

Calvez dostał lekkiej zadyszki i oparł się o murek, zwieńczony balustradą. Nie miał ochoty iść dalej.

- Jak widzisz, nie zasypiamy gruszek w popiele - sapiąc, pochwalił się przed agentem. - Trzymamy rękę na pulsie. Zwierzak z kosmosu cieszy się tu należyłą opieką. Odebrana mu przez ciebie zabaweczka do transformacji materii znalazła się wreszcie w Nowym Jorku. Przez te dwa dni wypadłeś z rytmu, więc zdradzę ci, że twoja Alice ostro zabrała się do pracy ze swym zespołem. Udało nam się zajrzeć do wnętrza tego cacka, nie uszkadzając go, choć fachowcy od laserów mieli twarde orzechy do zgryzienia. Jakoś sobie z tym jednak poradzili. Ale nie w tym rzecz - Calvez przetarł zroszone czoło chusteczką. - Mamy kłopoty z Księżycem i na pewno wiesz, o co chodzi. Jest tam ten statek kosmiczny obcych, odkryty przez naszych wścibskich ekspertów.

- To statek kosmiczny? - zdziwił się Smith. - Sądziłem, że to jakaś stara nieczynna baza, wryta w grunt księżycowy.

Calvez wzgardliwie machnął ręką.

- Nie jesteś na bieżąco - wyjął. - Siedzi tam spec, któremu udało się nawiązać łączność z systemem sterowniczym tego obiektu. Zaczął gadać z komputerem obcych. Otworzył właz i z drugim lunonautą dostał się do środka. Oczywiście, za wcześnie tam wsadził nos. Zakazałem mu dalszych wyczynów. Jeszcze nie czas, by w tym grzebać. Jednak dobrze go znam, więc wiem, że nic go nie powstrzyma.

Technik wyczuł, że Calvez zechce go pewnie włączyć w ten nowy program badawczy.

- A co będę mieć z tym wspólnego? - zapytał domyślnie.

Usłyszeli ryk lwa. Zwierzę niespokojnie kręciło się w pobliżu, jakby miało ochotę na przekąskę z dwu agentów, którzy się wyżej skrycie naradzali.

Gustavo nie umiał ukryć swego przejęcia.

- Widzisz, tak się składa, że mam dostęp do ogromnego komputera z gigantyczną bazą danych. Pracuje na specjalnych, nietypowych programach, wykorzystywanych w obrębie wielu dyscyplin naukowych - od socjologii i historii po archeologię i paleontologię. Mówiąc najprościej, co nie znaczy, że akurat zrozumiałe, ta maszyna służy potrzebom hermeneutyki naukowej. Znakomicie sobie radzi w świecie złożonych symboli zarówno naturalnych, więc związanych z przyrodą, jak i sztucznych, to znaczy stworzonych przez człowieka. Mamy z Księżyca dane o tworzywie, z którego wykonano ściany tego statku kosmicznego, a także jego schemat ideowy. Porównaliśmy je z danymi o alfie. i co się okazało? - Gustavo zamilkł na chwilę, by potem samemu niecierpliwie dopowiedzieć. - Oba te produkty - przyrząd do transformacji materii i krążownik kosmiczny - są dziełem dwóch zupełnie różnych obcych cywilizacji. Prawdopodobieństwo wynosi aż dziewięćdziesiąt siedem procent... - głos mu się załamał z wrażenia.

John wsunął ręce do kieszeni. Pokiwał z namysłem głową.

- Wcale się nie dziwię, bowiem taki wniosek nasuwa się sam

- skomentował nieco zarozumiale jego odkrycie, jakby był wyrocznią w każdej dziedzinie naukowej. - Kto dysponuje technologią tak zaawansowaną, że może siłą woli wykreować z materii, co tylko zechce, nie musi budować w orbitalnych stocznicach wielkich statków kosmicznych - przedstawił swój punkt widzenia. - Zresztą, to samo sugerował Hugo Boros, przecież słyszałeś - przypomniał rozmowę w cieplarni. - Jego zdaniem, już przed milionami lat Ziemia była terenem, na którym przenikały się wpływy dwóch kosmicznych supermocarstw. Trudno czuć się zaskoczonym - wzruszył ramionami. - Przebąkiwano o tym od dawna, choć nikt nie miał odwagi powiedzieć tego głośno. Brakowało dowodów...

Calvez w milczeniu wysłuchał uwag Johna. Wydawało się, że posiada umiejętności telepatyczne i że przeszedł specjalne szkolenie z zakresu Archiwum X, gdyż lew, na którego przez chwilę spoglądał z góry, uspokoił się i oddalił od wysokiej balustrady.

- No, właśnie... - przyznał. - I mamy obecnie wspaniałą okazję, by ostatecznie zweryfikować tę tezę.

Smith znów zmarszczył brwi.

- A to w jaki sposób?

Calvez nadal był w swoim żywiole.

- Chodzi o retrozator. Jeżeli ten statek kosmiczny tkwi tam od ponad trzech tysięcy lat i przez ten długi czas nikt do niego nie zaglądał, to przy pomocy tego eksperymentalnego urządzenia przypuszczalnie uda się odtworzyć sylwetki obcych, którzy nim przylecieli.

Skrzywił się z powątpiewaniem. Znalazł zeszłorocznego kasztana, podniósł go i przez chwilę obracał w palcach.

- Uważam, że to niemożliwe - stwierdził, podnosząc głos i zwracając na siebie uwagę układnych Japończyków, którzy również przyszli w pobliże wybiegu dla lwów. Obiektów wysokiej klasy kamery mimowolnie powędrowały w jego stronę, co nie uszło jego uwadze. - Retrozator wydobywa szczegóły sprzed dwóch, trzech dni. No, może sprzed tygodnia.

Calvez okazał się lepiej zorientowany.

– Sprawdzalem w zakładach Cobba – wychrypiął konspiracyjnie. Kiedy się czymś przejmował, zaczynało brakować mu powietrza. – Potwierdzili, że da się to zrobić. A przynajmniej, że należy tego spróbować.

Johnowi opadły ramiona. Przez krótką chwilę czuł się jak po przegranym meczu rugby, lecz zaraz wstąpiły w niego nowe siły.

– Trzydzieści wieków – wymamrotał. – Nie ma co...

Gustavo wykorzystał ten moment.

– Trzydzieści pięć — poprawił go. – Polecisz na Księżyc – poinformował agenta. – Razem z tym sprzętem. I zabierzesz ze sobą Alice – dorzucił nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Nie wyprawicie się wprawdzie wahadłowcem, który jutro startuje, bo nie zdążycie, ale już za tydzień będzie następny.

Japończycy odeszli i zastąpiła ich grupa rozkrzyczanych maluchów z jakiegoś przedszkola. Calvez zerknął na zegarek. Do Johna dotarło, że dowiedział się od niego dokładnie tyle, ile miał się dowiedzieć.

– W porządku – skwitował. – Możemy lecieć, nie ma co. Musimy przejść kilkudniowy trening.

Potem usiłował sobie przypomnieć, gdzie zostawił swój samochód.

Nie miała zielonego pojęcia o żenujących wyczynach dwóch figlarnych studentek Sorbony, bowiem Gustavo Calvez umiał trzymać język za zębami, a Smith nie zamierzał wtajemniczać jej w swoje samcze sekrety, których bardzo się wstydził. Przywitała więc pożałowania godnego Casanovę jak niewinne i czyste jak łza dziecko. Milczenie jest złotem, szczególnie gdy w grę wchodzi śliskie sprawy męsko-damskie. Ochocho wybiegła do niego na korytarz, by potwierdzić na formularzu u warującego tam strażnika, że łysawy agent może znaleźć się w

tajnym laboratorium, do którego prawie nikt nie miał wstępu. Ujęła go swym oddaniem.

- Zapraszam cię, miśku, do mojego królestwa! - radośnie zaszczębiotała, opiekuńczo ujmując go pod ramię i z szerokim uśmiechem wciągając do środka.

Wysokie przemysłowe wnętrze hali było skąpo oświetlone, a przez to nieefektywne i nieco ponure. Ci, którzy jeszcze się tu niemrawo kręcili, zapewne w myślach już się z nim żegnali, jak przystało na nudnawe piątkowe popołudnie. Wyobraźnię elektryzował nadchodzący weekend, obiecujący rozliczne rozkosze i przyjemności, których brakowało w pracy, nawet jeśli ta cieszyła się opinią arcyciekawej i zajmującej. Alice, lawirując między boksami, powiodła go pod przeciwległą ścianę, gdzie mieściły się zamknięte pracownie. Weszli do jednej z nich.

- Wysiadasz sama w tym kantorku? - zapytał, gdy się rozjeździł i nasycił wzrok otoczeniem.

Kiwnęła głową.

- Anthony, Adolf, Hillary i Pamela już się wynieśli. Możesz zobaczyć, jak wyglądają - wskazała palcem duże zdjęcie w przeszklonych ramkach. - Kiedyś musicie się spotkać. Są naprawdę mili.

Z zainteresowaniem przyjrzał się sympatycznym młodym twarzom jej współpracowników. Żadna z osób na kolorowej fotce nie wyglądała na więcej niż na trzydziestkę.

- Same noworodki, jaka heca, kwiat młodości. W porównaniu z nimi jestem sypiącym się wapnem, nie ma co - powiedział z żalem i odrobiną zazdrości.

Czule pogłaskała go po nieogolonym policzku.

- No i dobrze, tatuśku - odpowiedziała tkliwie. - Jesteś za stary, za łysy i za mało mobilny - zgodziła się - ale mimo to Alice szaleje na twoim punkcie. Twoje lata nie mają tu nic do rzeczy - podkreśliła, wpatrując się w niego zakochanymi oczyma. - Zresztą nie zapraszałam cię na party, ale na pokaz czarnej magii - zmieniła temat. - Mamy weekend, lecz nikt nie

będzie zmuszał cię do tego, żebyś z samozaparciem wlewał w siebie kolejne drinki i jak sztubak tracił energię na parkiecie. Mam w planie coś znacznie mniej wyczerpującego, tym niemniej spektakularnego – poinformowała go pół żartem, pół serio. – Wystarczy, że potulnie usiądziesz, zamienisz się w słuch i w skupieniu obejrzysz to, co chcę ci pokazać!

Posłusznie skinął głową. Tu ona rządziła, więc nie miał nic do gadania. Trzymaną w ręku fotografię z powrotem umieścił nad biurkiem, wieszając ją na wbitym gwoździu. Potem zajął się leżącymi tam książkami. Magiczny pokaz obiecała mu przez wideofon. Trudno mu jednak było wyobrazić ją sobie w przyziemnej scenerii na udrapowanym czarnym suknie podium w opończy i meloniku oraz z laseczką w dłoni. Wiedział zresztą, że nie o to chodziło.

– Arthur Schopenhauer? – zdziwił się, oglądając obwoluty.

Zrzuciła służbowy chałat, który ukrywał przykrótką spódniczkę i rozpinaną, dopasowaną bluzeczkę. Zabłyły mu oczy, gdy ujrzał, co miała pod spodem.

– Owszem. Utrzymywał, że cały świat fenomenalny jest przejawem woli. Miał obsesję na tym punkcie – wyjaśniła.

– Aha – mruknął domyślnie, a następnie odłożył wolumeny. Nie zamierzał zagłębiać się w tak trudne tematy. Nie był przecież specem od filozofii.

Ujęła go za ramię, tajemniczo przykładając palec do ust.

– Jestem gotowa, sezamie, otwórz się – szepnęła. – Bądź grzeczny, wchodzimy.

W wyłożonym ochronną substancją pomieszczeniu leżało na niewielkim stole narzędzie, którego kształty Johnowi dobrze utkwily w pamięci. Sam przecież we włoskim supermarkecie odebrał ten niezwykle przyrząd nierozgamiętemu zwierzakowi z kosmosu.

– Oto alfa, najprawdziwsza w świecie. Możesz ją sobie obejrzeć, a nawet otworzyć – rzekła cicho.

Nabożnie podniósł cacko, z uwagą przyglądając się czarnej

powłóce. Subtelna linia wskazywała miejsce laserowego cięcia.

Pociągnął obudowę delikatnie z jednej strony, wysuwając zagadkową płytkę sterującą. Emanowała słabym światłem.

- Atu masz jej powierzchnię, tyle tylko że sfotografowaną pod mikroskopem - dodała, podając mu czarno- białą planszę.

- Ależ to skomplikowane! - złapał się za głowę. - Jak podołać tak zaawansowanej miniaturyzacji? Ile nam trzeba, żeby ich dogonić? Pewnie z tysiąc lat.

Rozbawił ją swymi wątpliwościami. Była znacznie lepsza w te gierki niż przypuszczał.

- Przesadzasz. Wyobraź sobie, John, że to jest bardzo proste urządzenie. Trzeba było tylko troszkę nad nim... pomedytować. A właściwie po filozofować - wyjaśniła z odrobiną dumy w głosie, wyprowadzając go z błędu. - Twardy orzech do zgryzienia? Nic z tych rzeczy. Chcesz wiedzieć, o co chodzi? Proszę bardzo! - nabrała tchu. - Pojawia się jedynie pytanie, czy będziesz miał odwagę przyjąć, szukając założeń badawczych, wyśmianą w dziewiętnastym i dwudziestym wieku teorię fizyczną... - rzuciła mu ostrożne wyzwanie. - Taką tam sobie...

Delikatnie odłożył alfę na pokryty filcem blat stołu.

- Teorię? Jaką znowu teorię? - zapytał z zainteresowaniem.

Pociągnęła go za rękę.

- Chodź dalej - wskazała mu następne drzwi. - Teorię eteru kosmicznego - wyjaśniła mu po drodze, dobitnie wypowiadając każde słowo.

Następne wnętrze miało ściany gęsto zabudowane segmentami układów elektronicznych. Oświetlenie było równie słabe. Z rozwągą się rozglądał, próbując dociec, czemu ma służyć przygotowana tu karuzela. Na niewielkim podeście stał fotel z mentalnym kaskiem sterowniczym, żywcem wyjęty z eksperymentalnego wahadłowca.

- Bredzisz! - zaoponował. Pomyślał, że dziewczyna bierze go pod włos. - Eter? To fikcja, rozprawił się z nią Albert Einstein, trudno to nawet nazwać hipotezą - cierpko podsumował,

pamiętając, czego uczono go w szkole.

Krokiem modelki weszła na podwyższenie i usiadła. Wiedziała swoje. Górowała nad nim wiedzą i nie próbowała spierać się z nim ani go przekonywać. Fotel przechylił się jak u dentysty, pozwalając jej przyjąć pozycję półleżącą, dzięki czemu w całej okazałości mógł podziwiać jej zgrabne nogi.

- To też jest alfa, tyle tylko, że już przez nas zbudowana - wyjawiała z niezmałym spokojem, bawiąc się pilotem, który sterował położeniem ciała. - I właśnie tu przygotowałam dla ciebie krótki seans spirytystyczny - zrobiła na koniec przekomiczną minę, ciekawa jego reakcji.

Zaniemówił, jeszcze raz obrzucając wzrokiem całą tę maszynę.

- Zaraz, zaraz, to niemożliwe - uparcie trwał przy swoim.

- Uporaliście się z tym tak szybko? Ty i twój zespół? Tak sobie? Ot, po prostu?

Nie dowierzał jej, ale ona wcale się tym nie przejmowała. Niepodzielnie władała tym królestwem. Podniosła się i kazała mu usiąść na ustawionym z boku metalowym szeslongu.

Stonowane światła jeszcze bardziej przygasły, następnie nieoczekiwanie rozbłysły na czerwono i rozpoczął się wymyślny pokaz.

- Zaczynamy! - oznajmiła.

Kryjąca czoło pod przyłbicą dzielna Alice utkwiała wzrok w czymś, co wydawało się mieścić gdzieś pod podwieszonym niskim stropem. Smith poszedł za jej spojrzeniem, ale nie dostrzegł tam niczego godnego uwagi. Wzruszył ramionami i ziewnął. Jednak po chwili zorientował się, że coś dziwnego tu się dzieje.

- Jednak?! - szepnął.

Tuż przed stanowiskiem dziewczyny pojawiło się na posadzce osobliwe srebrzystoszare wybrzuszenie, które stopniowo się powiększało. Rosło, wznosząc się w górę. Wykwitły sopel wnet osiągnął wysokość dorosłego człowieka, zaś dziwnie

inteligentna ruchliwa masa nabrała znajomych technikowi kształtów. Wyłoniła się ludzka głowa i uformowały się kończyny. Potem przyszedł czas na szczegóły anatomii. Wywołany wołaniem Alice mężczyzna był nagi i nie miał nawet listka figowego – a kiedy odwrócił się w stronę Johna, ten zadrżał z wrażenia, uderzony podobieństwem. Stał przed nim jego brat bliźniak. Coś mu zaczynało świtać: siła woli i niemające jeszcze właściwości fizycznych pierwotne tworzywo kosmiczne. Jeśli to był ten eter, to znajdował się wszędzie.

– Tego mogłem się spodziewać, dorobiłem się sobowtóra... – zamruczał wstydliwie pod nosem. Cichutko się podniósł i niepostrzeżenie podszedł do zjawy, by sprawdzić, czy dziewczyna nie kpi sobie z niego, aranżując unikatowy pokaz holograficzny. Dotknął palcem ramienia, wyczuwając opór ludzkiej skóry. Nie, to nie była projekcja świetlna. Niby – facet był prawdziwy. John cofnął się pokonany i ulegle przysiadł z powrotem.

Ukształtowany z nieorganicznej materii John Smith zaczął niepostrzeżenie krzątać się po pomieszczeniu, zaglądając to tu, to tam, jakby miał zamiar zająć się kontrolą zespołów elektronicznych. Stąpał dosyć pewnie, zdradzając w krokach i gestach, że nie różni się od oryginału. Kilka razy jednak się zachwiał, tracąc koordynację ruchów.

– Nie ma co – wyszeptał agent. – Te kapuściane głowy potrafiły to samo...

Sobowtór zatrzymał się wreszcie przy Johnie, a technik w obliczu tej konfrontacji mimo woli zeszywniał. Zażenowanie nie było czymś niezwykłym. Przełamał w sobie opór i badawczo zerknął w stronę skupionej Alice. Nie patrzyła na niego, a z opuszczonymi powiekami sprawiała wrażenie uśpionej. Tymczasem robot znudził się oglądaniem nagromadzonych w pracowni elektronicznych śmieci. Jeszcze raz zbliżył się do technika i z odrobiną nonszalancji przyjrzał się oryginałowi, jakby ten był jego odbiciem w lustrze. Z powagą pogładził swoją łysinę. Johnowi przeszło przez myśl, że Alice powinna była

wykreować go nieco młodszego. Kopia widocznie doszła do podobnego wniosku, bowiem manekin skrzywił się z odrazą – a potem zajął się już wyłącznie piękną władczynią. Zwrócił się do niej i zachęcająco wyciągnął męską dłoń.

Niby w jakimś hipnotycznym transie dziewczyna podniosła się z fotela, uwalniając się od kasku, za którym ciągnęło się mnóstwo kolorowych przewodów. Z przymkniętymi oczyma podeszła do postaci z zaświatów, ginąc w jej objęciach. Pozwoliła się pocałować. Potem manekin z zadziwiającą wprawą zabrał się do jej bluzki. Poradził sobie z guzikami i lekko nad nią pochylony, wsunął dłoń, usiłując wyłuskać piersi. Jego penis niebezpiecznie powędrował do góry.

Tego technik już nie mógł zdzierżyć. Skoczyła mu adrenalina.

– O, wielkie nieba, chyba tego nie zrobisz z tym podłym Frankensteinem! – wtrącił nerwowo, nie panując nad sobą i gwałtownie przerywając seans. – Nie ma co!...

Alice otworzyła oczy i figlarnie uśmiechnęła się, uwalniając się z rozkosznych objęć niedoszłego kochanka. Golem zachwiał się jak uderzony, więc podtrzymała go spojrzeniem, biorąc do ręki końcówkę sterowniczą. Wydała mu myślą jakieś magiczne polecenie, a posłuszny jej twór odwrócił się i oddalił. Usiadł na szeslongu i znieruchomiał.

Dopiero wtedy Alice odpowiedziała oryginałowi.

– Co ty? Uspokój się, nic z tych rzeczy – tłumaczyła się nieporadnie. – Wykreowałam go pierwszy raz w życiu. Tak – w ramach relaksu. W naszych badaniach głównie koncentrujemy się na sprzęcie, który byłby przydatny w komunikacji, zwłaszcza lotniczej i międzyplanetarnej. Przecież nie pracujemy dla show- biznesu...

Technikowi zrobiło się naprawdę głupio. Chcąc odwrócić uwagę od siebie, zaczął obmacywać twarz i ramiona manekina. Ciało było dokładnie takie, jakie powinno być. Wyczuwał ukryte kości.

– Niezłe – wymamrotał z uznaniem. Nie mógł ukryć podziwu

dla technologicznych możliwości, jakimi dysponowali obcy.

- Jeżeli chcesz, możesz sam coś zbudować - odpowiedziała mu dziewczyna. Z jej oczu wyczytał, że chętnie ujrzałaby siebie.

Z odrobiną sceptycyzmu przyjrzał się fotelowi, z którego kierowała kreacją. Przyszedł mu na myśl obraz nagiej Arielle, a następnie Alice w neglizju. Nie pociągała go jednak podniecająca zabawa w szósty dzień stworzenia.

- Mam ciebie taką, jaka jesteś i to mi wystarcza - odpowiedział stłumionym głosem, przyciągając ją do siebie. Stawiała mu opór, ale tylko przez chwilę. Poszukał jej ust, zsuwając się dłońmi na jej biodra i pośladki. Co tu dużo mówić, wytrąciła go z równowagi tym pokazem i podnieciła nie na żarty. - Chodź, poradzimy sobie bez jego pomocy... - ledwo panując nad sobą, szepnął jej do ucha.

Zapach jej włosów skojarzył mu się nagle z pewnym ulubionym zakątkiem Central Parku. Zdarł bluzkę z ramion Alice, odsłaniając prowokująco sterczące piersi. Nie protestowała. Podciągnęła wysoko spódniczkę, zrzucając figi i szeroko rozwarła uda. Wbił się w nią gwałtownie, aż stęknęła. Wcześniej Arielle wyzwoliła w nim zwierzęcą agresywność i teraz omal nie zgniótł wątłej dziewczyny w swych objęciach. Jęczała coraz głośniej, by potem wydawać co rusz chrapliwe, ostre krzyki.

Okazało się, że ktoś jeszcze oprócz Johna je słyszał.

- Sorry?!

Zdumiony strażnik zajrzał do pomieszczenia z odbezpieczoną bronią w ręku. Akurat obchodził halę. To, na co się raptem natknął, nie przypominało w niczym pracy badawczej i nie miało nic wspólnego z wyrefinowanymi eksperymentami naukowymi.

Alice bezradnie usiłowała ukryć twarz w ramionach Smitha. Cała była w pąsach.

- Zaraz wychodzimy - wydusiła z siebie z trudem, nie patrząc na młodego mężczyznę w mundurze.

Ten miał zamiar odejść, ale się jeszcze zatrzymał.

– A tamto?! – wskazał za siebie na alfę. – Czy nie powinno być w sejfie?

Spuściła nogi i skryła się za plecami technika.

– Schowamy!...

Strażnik zmył się wreszcie, jej jednak przeszła już ochota na figle.

– Boże, dobrze, że tego nie widział! – wskazała głową siedzącego w zupełnym bezruchu manekina, którego dokumentnie nie zajmowało to, co się wokół niego działo. Nie usłyszałyby nawet ciężkiej artylerii.

Anulowała polecenia i wykreowany przez nią sobowtór Johna rozplynał się jak podgrzana stearyna, zamieniając się w srebrzysto-szarą kałużę, która natychmiast stopiła się z podłożem. Ceremonia przenoszenia alfy do kasy pancерnej zajęła dziewczynie około minuty. Włączyła system alarmowy i zgasiła światła. Zapinała bluzkę, trzymając w ręku figi.

– To wszystko. Możemy się wynosić.

Dopadł ją w ciemności od tyłu, tuż obok drzwi. Poddała się mu bez sprzeciwu, wypinając zgrabne pośladki i prężąc ciało jak kotka.

Obok przeszklonej pakamery strażnika agentka przeszła pierwsza, pozując na niewinną uczennicę, która jeszcze nie wie, co to jest seks. Przesłodka się uśmiechnęła, mówiąc „Do widzenia!” Ponuro naburmuszony siedział na krześle, ostentacyjnie nie patrząc w ich stronę. Stroili poważne miny, jak przystało na sumiennych funkcjonariuszy, wyznaczonych do bardzo odpowiedzialnych zadań państwowych. Kiedy jednak zasunęły się za nimi drzwi windy, nie wytrzymali i jak rozochoceni gówniarze, którym udało się wywinąć niezgorszy numer, parsknęli śmiechem, wpadając sobie w objęcia.

Trwał dzielnie na stanowisku jak nawigator kosmicznej korywety, przybyłej z bardzo odległego gwiazdozbioru. Imponowała mu prędkość, z jaką pokonywał mroźne przestrzenie, oddalając się od błękitnej planety. Lecąc, oddawał się rozmyśleniom. Od pradawnych czasów z zazdrością śledzono ptaki, z łatwością unoszące się w powietrzu. Wydawało się, że ludzie nigdy nie zdołają im dorównać. Cóż, natura poskąpiła im skrzydeł! Mityczny Dedal przypiął je co prawda Ikarowi, a Leonardo da Vinci usiłował konstruować prymitywne maszyny latające, jednak dopiero XX wiek zaowocował prawdziwym podbojem powietrznych przestworzy, a następnie przyniósł pierwsze udane loty w kosmos. Turystyczna wyprawa na orbitę okołozemską stała się całkiem realnym, lecz wciąż bardzo kosztownym przedsięwzięciem. Dla wielu miłośników sportów ekstremalnych taka przygoda była szczytem marzeń.

Żółta gwiazda malowała, stając się jednym z niezliczonych jasnych punktów na otaczającym go nieboskłonie. Miała nieco silniejszy blask, więc wiedział, że nie straci jej z oczu. Nieogarniony kosmos bardziej go pociągał niż rozrzedzone warstwy atmosfery nad ośnieżonymi szczytami Mount Everestu i K2. Przerazał i fascynował swą głębią, urzekał i wabił, łudzając tajemniczymi doznaniem. Niczym uskrzydłony elf lub Piotruś Pan – jak kiedyś nazywała go matka – chłopak w bolidzie oddalał się od Ziemi po hiperbolicznie załamanej torze, za nic mając przepotężne siły grawitacji. Za Jowiszem wszedł na orbitę okołosłoneczną. Prędkość była zawrotna i w pewnej chwili odniósł wrażenie, że jego pojazd rozpadnie się jak źle skonstruowany bojowy myśliwiec, pokonujący barierę dźwięku. Osiągnął aphelium, by potem, uzyskując

przyspieszenie, którego nie powstydziliby się żaden natchniony scenarzysta filmów z gatunku science fiction, znaleźć się po drugiej stronie gwiazdy w przysłonecznym punkcie toru. Całkowity obieg nie zajął mu nawet kwadransa.

Było w tym coś podejrzanego, a może nawet nieuczciwego, nie należało kpić sobie z praw fizyki. Zdenerwowany otarł rękawem pot z czoła, pojmując, że za bardzo się angażuje i spina. Żeby sprawnie kierować bolidem, nie musi się wyteżać jak stara szkapa ciągnąca furę siana. Wciąż balansował między dwiema hipotezami: pierwszą – optymistyczną, zgodnie z którą dziwnym trafem odbywa prawdziwą wyprawę kosmiczną, i drugą – pesymistyczną, która mówiła mu, że igra sobie z komputerem o niespotykanych możliwościach wirtualnych. Ten wysoce edukacyjny program wydawał się nie nakładać żadnych ograniczeń na tego, kto się nim posługiwał i można się było domyślać, że jest w stanie ułatwić penetrację nie tylko Układu Słonecznego, lecz także otoczenia innych gwiazd. Postanowił, że po powrocie posłuży się prostym kalkulatorem i w spokoju obliczy, z jakimi prędkościami się porusza. Zmienił ekliptykę i jak żeglarz, poganiany przez galaktyczny wiatr międzygwiazdny, popłynął majestatycznie przez mroźne przestworza, nie wybierając właściwie żadnego kierunku. Zwrócił się ku Saturnowi, a potem zaintrygował go pas planetoid. Od najbliższej Słońcu gwiazdy, Proximy Centauri, dzieliło go około czterech lat świetlnych. Jego statek kosmiczny miał niezwykły ciąg – i jeszcze raz wyteżył pamięć, usiłując poradzić sobie z obliczeniami. Światło biegło ze Słońca do Plutona i Neptuna około pięciu godzin. Skrzywił się, widząc, do jakiej konkluzji to prowadzi. Jeżeli zatem dokonał rekordowego w czasie obiegu wokół gwiazdy po tak odległej elipsie, musiał znacznie przekroczyć prędkość graniczną rozchodzenia się energii. Wynik był zatrważający. Pierre roześmiał się sarkastycznie. Tak szybko mógł podróżować tylko wymyślony bohater gier komputerowych.

Znalazł się w pasie asteroidów. Przyspieszył, zmuszając swoją

kosmiczną tratwę do omijania rosnących przed nim mniejszych i większych ułamków skalnych. Siedział skupiony w fotelu – czuł, że kapsuła poddaje się najslabszym drgnieniom jego myśli. Poruszał się nią coraz swobodniej. Opłynął raz jeszcze łagodnie Saturna, podziwiając jego fascynujące pierścienie, by wreszcie rażno skierować się do domu. Jakiś cichy głosik zdawał się mu sugerować, że nie tam daleko, pośród gwiazd, które wypełniały jak diamenty czarne niebo, ale na trzeciej planecie od Słońca znajdzie odpowiedzi na nurtujące go pytania i rozwieje trapiące go wątpliwości.

Bliskość okrytej białym płaszczem chmur Ziemi sprawiła, że jego myśli pobiegły ku Dianie i jej przyjaciółkom, które dzięki Montiniemu poznał w budynku pod walczącym aniołem. Przypomniał sobie upartą Sophie, która nieoczekiwanie dopięła swego. Po pokazie mody w podziemiach Luwru Diana pod pretekstem bólu głowy opuściła zebranych i sama wróciła do swego apartamentu na Polach Elizejskich. Pierre zaś, zachwycony wyjątkową atmosferą, pozostał na raucie, nie stroniąc od drinków. Sophie zapobiegliwie kręciła się przy nim, a późnym wieczorem wstawionego odwiozła swoim wozem do Montrouge. Asystowała mu opiekuńczo do samego mieszkania, przeciw czemu nie protestował, bo ledwie trzymał się na nogach. Niespodziewanie zdecydowała, że zostanie przy nim, on tymczasem jak długi zwałił się na łóżko. W ciągu kilku sekund dziewczyna pozbyła się eleganckiej wieczorowej kreacji, pozostając jedynie w czarnych pończochach. Rozpięła mu spodnie. Jej dotyk był rozkoszny. Gdy wreszcie z jękiem eksplodował, troskliwie poprawiła mu poduszkę pod głową i przykryła go pledem. Po czym ubrała się i czule cmoknąwszy go na dobranoc, wymknęła się, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Skierował się bolidem nad majestatyczny Ocean Spokojny. Utrzymując wysoki pułap lotu, sunął jak pilot myśliwca bojowego, a płynące pod nim chmury wydawały się układać w śniegowe szczyty. Szukał wzrokiem małej urokliwej tropikalnej

wysepki, na której mógłby pobyc w samotności jak Robinson Crusoe. Przesunęło się pod nim kilka archipelagów, aż wreszcie dostrzegł przed sobą oblane morzem, znaczące się jak drobna plamka malownicze ustronie, które mimowolnie z czymś bliskim mu się skojarzyło. Nie, nie znał tej wyspy! Obniżył lot. Wzgórza porastała dżungla, a pod płytką i pomarszczoną przez drobne fale powierzchnią turkusowego morza krył się widoczny z góry fascynujący świat rafy koralowej. Osiadł w spokojnej zatoczce, pozwalając, by bolid unosił się na wodzie, lecz ku swemu zdziwieniu nie czuł kołysania fal. Trwał tak dłuższą chwilę, kontemplując niezwykle widok, który miał przed sobą. Potem ruszył jak motorówką do brzegu, zatrzymując się dopiero nieopodal daktylowego zagajnika na złotym piasku plaży. Tu chciał pozostać.

– Musi być z tego pudła jakieś wyjście! – prychnął ze złością.

Dopadło go raptem wrażenie, że prześwietlona słońcem uskrzydłona obca istota igra sobie z nim jak z maleńką zagubioną mrówką. Musiał być jakiś sposób na uwolnienie się z kapsuły, to nie ulegało wątpliwości. Dumal nad tą łamigłówką, odrzucał niepokojącą go hipotezę i uporczywie do niej wracał.

– Jeżeli tym pojazdem, durny chłopie – szeptem strofował siebie – steruje się przy pomocy siły woli, to z pewnością opuszcza się go podobnie. Jasne jak słońce! Tylko jak?! – zniecierpliwil się, nie kryjąc narastającej irytacji. Poczul się jak kanarek w złotej klatce, który nie może dzióbkiem złapać maleńkiej zasuw. W końcu rozdrażniony krzyknął: – Sezamie, do cholery, rusz tyłek i otwórz się!

Jak się należało spodziewać, uparty sezam nawet nie drgnął, zaś Pierre'a ogarnęło zniechęcenie. Opadły mu ramiona. Przegrywał z tym diabelnie złożonym systemem. Docierało do niego, że mierzy się z zabezpieczeniami, chroniącymi pasażera, i że bolid nie mógłby go uwolnić w próżni, bo skończyłoby się to jego śmiercią.

Rozerwałoby go na strzępy, o ile wcześniej by nie zamarzał. W

tak niskiej temperaturze i przy zerowym ciśnieniu biedny twór białkowy nie miał żadnych szans. Jednak w tropikalnym klimacie Oceanu Spokojnego młody kosmonauta z Paryża był stuprocentowo bezpieczny. Nic złego mu nie groziło. Dlaczego więc drzwi celi nie chciały się uchylić? Zacięły się czy co?

Wziął głębszy oddech, usadowił się wygodniej i zaczął medytować nad uporem boskiej maszyny. Siła nic tu nie dawała, należało ruszyć głową. Wreszcie wpadł na z pozoru nonsensowny pomysł. Wyobraził sobie, że właśnie ukończył podróż i że znalazł się w sali na piętrze w budynku pod walczącym aniołem. Pożegnał w duchu program wirtualny, który go prowadził z nadświatelnymi szybkościami i z ulgą się przeciągnął, niby to szykując się do opuszczenia multikina. Zdębiał, gdyż to odniosło skutek. Reagująca na ludzkie myśli osobliwa aparatura nareszcie odczytała poprawnie jego intencje. Z cicha syknęła i chłopiec poczuł na skórze delikatne podmuchy gorącego powietrza. Żar tropików wdarł się do kapsuły. Łagodny szum morza mieszał się z krzykami krążących mew.

– *Eppur si muove!*¹⁷ – wyszeptał, dumny z siebie jak paw. Przyszło mu raptem do głowy to znane powiedzenie Galileusza.

– Trzeba umieć postawić na swoim!

Powolutku podniósł się z czarnego fotela i z zaciekawieniem wyciągnął dłonie. Palcami namacał brzeg otworu. Pomyślał, że ten powinien być większy, jeżeli ma pełnić rolę drzwi, jak lustro, prowadzące z krainy czarów do realnego świata. Ściana bolidu posłusznie ustąpiła pod jego dłońmi. Ujarzmił tego rumaka. Czuł z nim teraz jakiś rodzaj psychicznej więzi. Zrobił rozważny krok do przodu, pokonując niewidoczny łukowaty próg i stawiając stopę na miłkim piasku plaży. Był jak pisklę, które wykluło się z jaja.

Z nabożeństwem oglądał tę tajemniczą kapsułę. Była przezroczysta, jednak przez jej ściany nie można było dostrzec pozostawionego we wnętrzu fotela. Ten widoczny był tylko wtedy,

kiedy Pierre stał na wprost wejścia. Powietrze zdawało się lekko wibrować na kulistej powierzchni, zdradzając wprawnemu oku obecność ukrytego sporego obiektu i to był jej jedyny znak rozpoznawczy.

– Matko naturo, co za czary! – zapiał z zachwytem. – Zatem to prawda, nie jestem zwyczajnym człowiekiem, jestem... angelosem.

Chyba wreszcie zaczął zdawać sobie sprawę z tego, co to znaczy. Choć zdumiewająco podobny do innych z gatunku *Homo sapiens*, był genetycznie związany z rasą, która pochodziła spoza Ziemi, gdzieś z odległych stron kosmosu. To ona dała mu życie.

Poszedł skrajem dżungli, natrafiając na mnóstwo drobnych jaszczurek. Z głębi wypływał strumień ze słodką wodą. Tu teren opadał, przechodząc w kamienne koryto, a potem w żółtą plażę, lecz dalej dostrzegł skalne płaszczyzny o ostrych grzbietach i równomiernie nakładających się na siebie raz jasnych, raz ciemnych warstwach geologicznych. Wspiął się w górę strumyka, ostrożnie stawiając stopy. Strome brzegi były porośnięte gąszczem roślinności. Dalej roilo się od pszczoł i os. Słodki zapach kwiatów odurzał. Wszedł w zwężenie, w którym rosły stare drzewa. Posłyszał syk – z grubej gałęzi zwisało coś żywego. Gad szeroko rozwarł pysk, pokazując czarny język i zęby niczym haczyki.

– To pyton – wymamrotał.

Odruchowo się cofnął, tracąc ochotę na dalszą penetrację skraju dżungli. Gad również się wycofał, chroniąc się w dziupli drzewa, którego mokry pień, omal nie tkwiący w strumieniu, pokrywała śluzowata błonka glonów. Chłopak nie był w ogrodzie Eden, a wąż nie miał zamiaru nakłaniać go do zrywania owoców z drzewa poznania dobra i zła. Przyszło mu do głowy to biblijne skojarzenie i pomyślał, że powinien powrócić na tę wyspę w towarzystwie Diany.

Zawrócił na plażę. Stał, z niekłamanym podziwem wpatrując

się w leżącą na piasku kulę, przy pomocy której mógł się przenieść – zważywszy osiągnięte prędkości – nawet na drugi koniec Galaktyki. To było niepojęte! Obszedł miniaturowy statek kosmiczny, pieszcząc dłonią jego dobrze wyczuwalną powierzchnię.

Jego kosmiczny mustang był bezkonkurencyjny. Ziemiański przemysł lotniczy oferował superlekkie materiały na kadłuby i części samolotów – to jednak, czym dysponowali kreujący ich wspólnie obcy, przechodziło wszelkie wyobrażenia o tej branży. Miał pewne wątpliwości, czy jego kapsuła jest materialna, bo wyglądała raczej jak zamknięte pole siłowe. Odtwarzający się na zawołanie płaszcz wokół tajemniczego fotela przypominał subtelną strukturę subkwantową i wcale nie musiał mieć budowy cząsteczkowej.

Rozejrzał się po plaży. Był sam na lagunie. Krzyknął głośno i szybko się rozebrał. Pobiegł nago ku morzu na spotkanie marszczącym powierzchnię falom. Odpłynął od brzegu i zanurkował. Dalej uderzały o cypel białe grzywy, nadchodzące od otwartego oceanu. Powrócił na ląd. Zmęczony wysiłkiem, rzucił się na rozgrzany piasek. Tropikalne słońce nie pozwalało na dłuższe leżakowanie. Ubrał się i schronił w bolidzie. Tu był późny ranek, a w Europie zapadał zmrok.

– *Rue de l'École de Médecine, s'il vous plaît!*¹⁸ – z przyklejonym do ust uśmiechem zarządził, jakby zwracał się do kierowcy paryskiej taksówki.

Kapsuła się zasklepiała, a temperatura natychmiast spadała. Ruszył w górę, decydując się na powrót do domu. Pomyślał, że Diana będzie niesamowicie zaskoczona, kiedy jej opowie o tym, co odkrył. Jego kosmiczna łódź mogła z powodzeniem konkurować z inteligentnym apartamentem, jaki posiadała młoda modelka. Było czym się chwalić! O numerze, który wywinęła mu Sophie, postanowił jej nie wspominać.

U wybrzeży Afryki ciągnęły się całymi kilometrami farmy wodne, znaczące się regularnymi prostokątami na powierzchni

morza. Na południu Europy, sunąc bardzo nisko, otarł się o hektary, pokryte tanimi elektrowniami słonecznymi. Potem wpadł na autostradę. Elektroniczne pacholki, wyposażone w kolektory danych, rozmieszczone po obu stronach, umożliwiały wyposażonemu w autopilota mobilom rozwijanie dużych prędkości. Pierre był jednak szybszy od jadących pojazdów. Dotarł do przedmieść stolicy, a następnie do wieży Eiffla. Jakiś psotliwy głos namawiał go, by popłynął kapsułą na Pola Elizejskie, odszukał apartament Diany i zajrzał do jej okien. Jednak zbyt był przejęty tym, co odkrył, by po sztubacku w coś takiego się bawić.

Na jacht Adama Marcela niby do bram rajów przewiozła go z Iraklio prująca fale warkoczująca motorówka. Kiedy wspinał się po chybotącej sznurowej drabince, by przywitać się z opalonym i tryskającym energią przyjacielem, wciąż jeszcze miał przed oczyma obraz weneckiego fortu, osadzonego tuż nad morzem na wysokiej skale. Fale z hukiem rozbijały się o grube mury. Iraklio znał, gdyż w przeszłości wiele razy odwiedzał Kretę, spędzając tam wolne dni i tygodnie. Miał swoje ulubione trasy. Snuł się po starym mieście, po bazarowej uliczce, biegnącej od głównej 25 Avgoustou do Platia Eleftherias, medytował przy fontannach i wpatrywał się w marmurowe figury, plujące strugami orzeźwiającej wody. Bywał też w nowym mieście i dalej – w głębi wyspy. Zaglądał do Knossos, najbardziej okrzychanego miejsca na Krecie, gdzie witały turystów zrekonstruowane resztki przypominającego labirynt dawnego pałacu królewskiego. Później jednak opuściła go ciekawość świata i stracił ochotę na beztroską włóczęgę po wyspie. Krezus go ostrzegł, że jak na angelosa bardzo źle wygląda. Ta blada twarz i te podkrążone oczy, nie mówiąc o opadających kącikach ust! Podobno – jeśli chodzi o aparycję – najgorzej wypadł spośród wszystkich członków Rady Dwudziestu Pięciu.

Kuracja, którą zalecił mu Adam, nie była kłopotliwa i wymagająca, a zamykała się w jednym prostym słowie: urlop. Miał byczyć się na słońcu, korzystać z dostępnych na jachcie uciech – i na jakiś czas wybić sobie z głowy myśli o obowiązkach. Rozrywek zaś tam nie brakowało. Słońce przygrzewało, a po pokładzie snuły się dziewczyny jak marzenie. Oczywiście, nie zapomniano o interesach; te zwykle załatwiano wieczorami.

Długonoga Alberta nie wyglądała na więcej niż szesnaście lat, ale z pewnością była starsza. Zresztą, co to miało do rzeczy? Nie trzeba było długo jej się przyglądać, żeby odkryć, iż olśniewającą słowiańską urodę łączy z istic południowym temperamentem. Hillowi chodziło po głowie, że ta dziewczyna pochodzi z Polski, choć nie był pewny, czy się nie pomylił. Adam przedstawił mu przecież za jednym zamachem kilka nudzących się tu panienek, tęskniących za tym, żeby ktoś frywolny wepchał się z łapskami na ich pole karne. Aż się o to prosiły.

– *Vous êtes de Varsovie?* ¹⁹ – zapytał ją, kiedy z wdziękiem przyniosła i postawiła na tacy otwartą butelkę szampana.

– *Non, de Rome* ²⁰ – zaprzeczyła. – *Mais je suis née en Pologne.* ²¹

Jej długie złote włosy wydawały się rzucać iskry, gdy potrząsała głową. Smukła dziewczęca sylwetka idealnie pasowała do okładek ilustrowanych magazynów mody. Takie ciacha chrupało się z przyjemnością.

Dziewczyna przekomicznie zachichotała, gdy Humberto nieudolnie usiłował przyciągnąć ją do siebie. Szampan z kieliszka wylał mu się na owłosiony tors. Niestety, nie był urodzonym żigolakiem i ewidentnie brakowało mu wyczucia. Nieczęsto obracał się wśród takich panienek jak ona.

– Psiakość, stary niezdara ze mnie – mruknął speszony. Nie chciał się kompromitować.

– Spoko! – pocieszyła go, widząc niepokój w jego oczach. –

Jest super – w szerokim uśmiechu pokazała białe zęby.

– Tak uważasz? – zapytał, jakby jej nie dowierzając.

– A jak!

Pomogła mu się pozbierać. Wytarła go włóchatym ręcznikiem kąpielowym.

– Masz ochotę na coś więcej?

Przyjemnie było objąć ją w talii. Nie pojmował, jak one to robiły, że były takie szczupłe. I że miały taką gładką cerę.

– Teraz? A bo ja wiem?

Czuł podniecające bicie serca.

– A co proponujesz?

– Może masaż? Jestem w tym dobra.

Zgodził się i dziewczyna bezzwłocznie się do tego zabrała. Już jako malec uwielbiał, kiedy ktoś delikatnie wodził palcami po jego plecach. Wyciągnął się na płasko rozłożonym materacu i poddał się jej dłoniom, inne uciechy odkładając na później. Wiedział, że po zapowiadany na wieczór raucie ona i tak trafi do jego kajuty. Gra wstępna rozpoczęła się i przyjemnie było poczekać, aż na niebie pojawi się księżyc.

W pół godziny później nagrany słońcem zszedł pod pokład, kierując się do kabiny Marcela. Ciągnął za sobą zapach olejku eukaliptusowego. Czuł się odrobinę rozleniwiony, ale zarazem pokrzepiony i podniesiony na duchu.

Krezus przypiął się do komputera, mocując się ze szczyrzącym kły niewidocznym przeciwnikiem. Nie miał trudności z szybkim poruszaniem się w sieci i sprawnym pokonywaniem elektronicznych zapór. Tym niemniej system, do którego usiłował się zalogować, bronił się jak lew, uodporniony na wyrafinowane obejścia zabezpieczeń.

Humberto gorzko się roześmiał, widząc, jak jego przyjaciel się męczy. Z założonymi rękoma sterczał chwilę za jego plecami, śledząc hakerskie popisy Marcela.

– Nie ma lekko, opór inteligentnej maszyny, teraz coraz lepiej się chronią. Ostatnio sam miałem podobne kłopoty. Odniosłem

wrażenie, że ktoś mnie złośliwie oznaczył, pokątnie ostrzegając przede mną kogo się tylko da.

Wzrok multimilionera był przenikliwy. Adam z uwagą przyjrzał się twarzy Hilla, zdając się nie przejmować jego sarkazmem. A jednak coś mu wpadło w ucho.

- Uważasz, że poddano nas inwigilacji? - zapytał go obcesowo, podejmując ten z lekka niepokojący wątek. Wyłączył komputer, ze wstrętem przyglądając się deszyfratorowi blokad. Dawał do zrozumienia kosztownej maszynie, że jest kupą złomu. - Zapie- przam od rana i aż mnie cholera bierze, zero efektów! - warknął z żalem. - Faktycznie, to zmusza do myślenia...

Humberto wygodnie się rozsiadł, biorąc do rąk plik fotek z uroczymi panienkami w skąpej bieliźnie. Żadnej z oglądanych gładkich twarzy nie widział dotąd na jachcie.

- Dopiero teraz, kiedy wyleguję się na pokładzie i wystawiam plecy do słońca, mimowolnie wiązę ze sobą pewne fakty - zdecydował się wyjawic. - Wyobraź sobie - ożywił się, nie wypuszczając z rąk fotografii - że już po spotkaniu ornitologów na Morzu Egejskim, mam tu na myśli, naturalnie, obrady Dwudziestu Pięciu, pojawił się nagle w Atenach, bez zapowiedzi, mój wicedyrektor. Próbowiałem potem dyskretnie się dowiedzieć, za czym tam niuchał, przecież nie wyjechał na urlop, ale wszyscy nabrali wody w usta. Jest tak samo jak przed laty - Hilla wzięło na wspominki. - Działają podobne mechanizmy. Wyczuwa się na odległość, czyje akcje idą w górę, a czyje spadają. Mogę przysięgnąć, na co chcesz, że moje lecą w dół. Kochany, coś złego się dzieje. Nie wykluczyłbym tego, że jak osławiony „Titanic” wpadliśmy na ośnieżoną górę lodową. Nasz transatlantyk zaczął tonąć, tyle tylko, że jeszcze do nas jako pasażerów to nie dotarło. Od pewnego czasu oni o angelosach za dużo wiedzą. Tylko skąd? Był gdzieś przeciek?

Adama Marcela także zaintrygowały barwne fotki. Przejrzał je, w skupieniu badając rysy twarzy dziewcząt. Zatrzymał

zdjęcia dwóch platynowych blondynek o wydatnych biustach i odłożył je na bok.

- Obiektywnie biorąc - przedstawił swój punkt widzenia - nie mamy szczególnych powodów do niepokoju. Abstrahując od kilku przypadków, kiedy to należało kogoś skutecznie wyeliminować, nie robimy niczego, co byłoby sprzeczne z prawem - cierpliwie tłumaczył Hillowi. - A w ogóle, to trudno udowodnić, że istniejemy. Nie jesteśmy organizacją mafijną i nie rzucamy się w oczy. Ponieważ zakończyła się, jak na razie, przesyłka embrionów, nie musimy martwić się o kliniki w USA i w Australii. Zatarliśmy wszystkie ślady. Hawajskiej bazy przejmującej z kosmosu aprobusy też już nie ma na naszej mapie. Jeśli ktoś chciałby wpaść na trop któregoś z angelosów, musiałby się oprzeć na gruntownych badaniach genetycznych. Ale nawet dla najbardziej ciekawskich to też jest tylko droga donikąd. Bo cóż z tego, że ktoś ma elegancki, bez uszkodzeń, garnitur genetyczny? Czy za to można kogoś winić lub skazać? - roześmiał się sarkastycznie, ubawiony własnym poczuciem humoru. - Pozostaje nam zatem myśleć tylko o przyszłości, o tym, co ma nieuchronnie nadejść, a co przez analogię z Biblią ktoś od nas szumnie nazwał paruzją.

Humberto zmarszczył brwi.

- Bawisz się w Pana Boga? Ostrożnie z symbolami, one są zawsze wieloznaczne. - Nagle zmienił temat. - A co sądzisz o tym chłopaku z Paryża, numerze trzysta sześćdziesiątym czwartym? Czy to, co mówił Raffaello, może mieć jakiś sens? Do diabła, w moim odczuciu nie trzyma się to kupy...

Marcel wrócił do fotek, odkładając na bok jeszcze trzecią. Tym razem wybrał zdjęcie dobrze zbudowanej Mulatki z wyjątkowym seksapilem. Humberto ciekawie zerknął mu przez ramię. Ta mu się najbardziej podobała.

- Ten chłopak? Widziałem go, to szczeniak. Może niewątpliwie przejawiać cechy przywódcze, lecz jest jeszcze za młody, żeby kierować naszym interesem. Na to musi poczekać. Mon

Dieu, siedemnaście lat!

– Siedemnaście lat... – powtórzył w zadumie Humberto. – Też nie wierzę w młodych geniuszy!

Krezus podniósł się i zabrał ze sobą wybrane fotografie. Wyszli na korytarz, a gdy spotkali brodatego Greka w podkoszulce w paski, Marcel podał mu zdjęcia, rzucając po grecku polecenie. Dane figlarnych kociaków miały trafić do agenta w Atenach. Poprowadził Humberta do wyłożonego boazerią wygodnego saloniku z kanapą i miękkimi fotelami. Kolor ich obicia skojarzył się Hillowi z intensywnie czerwonymi kolumnami pałacu królewskiego w Knossos. Przez iluminatoiy ujrzał prom, kursujący z Iraklio ku brzegom Grecji.

– A wy tu czego?! – na widok roznegliżowanych pań w oczach Adama pojawiły się z pozoru groźne błyski. Dziewczyny mierzyły w drugiej części salonu koktajlowe ciuchy. Żartobliwie uszczypnął jedną z nich w pośladek. – Idźcie na górę, nie przeszkadzajcie, chcemy pogadać.

Wyniosły się ze śmiechem, skrzętnie zabierając ze sobą porozrzucone części damskiej garderoby.

Gospodarz zajął się przygotowaniem drinków.

– Ryba psuje się od głowy – oględnie zaczął Hill. – Uważam, że gdzieś na najwyższym szczeblu ktoś zdobył cenne informacje na nasz temat, i to prawdopodobnie przypadkowo. To się czuje – dla potwierdzenia wymownie pociągnął nosem.

Multimilioner przyjrzał mu się z niesmakiem. Prom „Rethimnon” tkwił nadal nieopodal jachtu i dawał znaki syreną.

– Kogo masz na myśli? – zapytał surowo, potrząsając pojemnikiem z lodem. Pytanie brzmiało zdawkowo, jednak Humberto był pewny tego, że jego przyjaciel nie zignoruje ostrzeżeń.

– Dyrektora Ericha Greimasa względnie któregoś z jego zastępców.

Do saloniku ostrożnie zajrzała seksowna Alberta. Było widać, że szuka Hilla i ten zachęcająco skinął głową, zgadzając się, by weszła. Przysiadła przy nim figlarnie na kanapie, ochoczo wsu-

wając się w jego objęcia, co najmniej tak, jakby znali się od lat.

- Dobrze, pomyślę o tym - rzucił Adam, zadowolony z tego, że dziewczyna nie marnuje cennego czasu. - Jeżeli będzie trzeba, zrobię porządek i tam, nie czekając na żadne dyrektywy! - postawił kropkę nad „i”.

Alberta roześmiała się, słysząc ostatnie słowa wyniosłego multimilionera. Jak przystało na osobkę z jej branży, starała się nie rozstawać z rolą nierozgamiętej blondynki.

- Sami będziecie sprzątać pod pokładem? - zdziwiła się naiwnie. - Nie robi tego nikt z załogi?

Ma się rozumieć, nie oczekiwała żadnej odpowiedzi. Humberto pieszczotliwie poklepał ją po udzie, a potem położył rękę na jej kolanie.

- To trzymam cię za słowo! — rzucił do swego kompana, kończąc rozmowę i skupiając uwagę na siedzącej przy nim dziewczynie.

Ujął jej szczupłą dłoń, z ciekawością oglądając dobrze zrobiony manicure i śliczny pierścionek z turkusem na serdecznym palcu. Nie mógł wiedzieć, że ukryto w nim miniaturowy mikrofon.

Ocknął się z rozkosznego pólśnu, nie uchylając oczu. Dłonią miętosił jedwabne prześcieradło, którym Diana go przykryła, i leniwie się wsłuchiwał w przytłumiony głos spikera, dochodzący z salonu. Leżał na boku, wtulając policzek w poduszkę. Za oknami kładł się zmierzch. Zniekształcone słowa komunikatu wpadały mu jednym uchem, a drugim równie szybko wypadały. Powinien był sprężyć się zerwać się z łóżka i wrzucić coś na grzbiet, ale powieki mu ciążyły i nie miał ochoty się podnosić. Zezował na tkwiącą we framudze miniaturową kamerę, docieklive oko Idomeneusa. Był ciekawy, czy komputer nagrał ich miłosne igraszki. Pomyślał o ekstazie, widocznej na twarzy dziewczyny, i zamruczał z zadowoleniem, przeciągając się jak długi. Popisywał się jak młody lew. Uroczą modelkę ulotniła się do kuchni, by przygotować coś do picia, a po drodze włączyła telewizor. Ziewnął z ulgą i wpatrzył się w sufit.

– Lecą wiadomości? Co tam nadają? – mruknął sennie, gdy wróciła i podała mu szklanekę gorącego mleka.

Usiadła przy nim, poprawiając zabawnie sterczący mu kosmyk włosów. Włożyła kuse bokserki i przykrótki obcisły top, uwydatniający jej piękne piersi. Jej przyjaciółka z numerem trzysta osiemdziesiątym drugim nie miała takiej klasy jak ona. Ciemnowłosa Sophie o krok ustępowała Dianie i nawet na wybiegu nie pojawiała się pierwsza.

– Podobno wykryto unikatową czarną dziurę w pobliżu naszego Układu Słonecznego – oświeciła go jak nauczyciel w szkole. Była bliżej ściennego odbiornika, więc lepiej słyszała.

Uniósł się na łokciu i wziął szklanekę.

– Serio? Czarną dziurę? – nie chciało mu się wierzyć. – Cał-

kiem czarną? – zażartował trywialnie. Zaczął pić, nie spuszczać z niej wzroku.

– Coś takiego... – nieco się zawahała. Nie należała do tych, którzy przejmowali się takimi rewelacjami. Założyła gumkę na włosy, ściągając je w koński ogon. – Dziennikarze lubią robić wiele hałasu o nic. Pewno jutro lub pojutrze to zdementują.

Odstawił pustą szklankę na stolik nocny. Zostały mu pod nosem śmieszne białe wąsy.

– Faktycznie! Może to jakieś ptaszysko narobiło astronomom na teleskop?

Pochyliła się nad nim i batystową chusteczką troskliwie wytarła mu usta. Próbował ją przyciągnąć z powrotem do siebie, ale zdążyła się zręcznie wywinąć.

– Nie wysilaj się, trzeci raz nie dasz rady, donżuanie... – podsumowała jego zapędy, zatrzymując się w bezpiecznej odległości od tapczanu. Ogarniała ją potrzeba działania i nie zamierzała sterczeć przy wyczerpanym Casanovie.

– Wiesz co, boska? Mogę ci coś w sekrecie zdradzić... – kusił ją, nie chcąc, by odeszła do kuchni. – Jak sądzisz, czy jest możliwe poruszanie się w próżni z prędkościami większymi od prędkości światła?

Nie dała się na to nabrać i kpiąco się uśmiechnęła. Przecież uczyła się fizyki. Poprawiła sobie włosy, zerkając w lustro na drzwiach ściennej szafy. Wreszcie rzuciła w niego poduszką w kształcie serduszka. Pamiętała, że uwielbiał filmy fantastyczno-naukowe.

– A co? Zamierzasz wybrać się do sąsiedniej galaktyki? Masz tam pewnie ukochaną?

Zeskoczył nagi z łóżka i sięgnął po szorty.

– Jasne, w każdej galaktyce inną... – odbił zręcznie piłeczkę. – Nie, nie, mówię serio – szybko dorzucił, tańcząc na jednej nodze.

– To... poważna... sprawa. Udało mi się wreszcie rozszyfrować sekrety naszego kina na piętrze. Nie uwierzysz,

nie wszystko jest tam takie wirtualne, jak to wmawia nam Raffaello... – odsłonił przed nią rąbek tajemnicy.

Znieruchomiała, trzymając przed sobą wyciągniętą na moment sukienkę z szafy, którą obejrzała z obu stron.

– Mówisz serio?! – jej niebieskie oczy wyrażały bezgraniczne zdumienie. Wyglądała przy tym tak, jakby była lekko przestraszona.

Zabił jej ćwieka tym wyznaniem, więc zatarł ręce, usatysfakcjonowany.

– Wrzucimy coś na ruszt? Jestem strasznie głodny. Przy kolacji ze szczegółami ci o wszystkim opowiem – obiecał skwapliwie.

– Albo nie – wpadł na inny pomysł, do którego natychmiast się zapalił. – Do naszego gmachu moglibyśmy wpaść jeszcze dzisiaj, a na miejscu pokazałbym ci, jak to hula. Słowa słowami, a to trzeba ujrzeć na własne oczy. To prawdziwa rewelacja!

Zamyślona poszła do kuchni, ale wróciła zaraz z powrotem.

– Czy Raffaello nie wspomniał ci o Alfie Centauri? – zapytała zaciekawiona. – Nie zdradził ci nic konkretnego?

Przecząco potrząsnął głową.

– A mogłoby to mieć jakieś znaczenie? – zdziwił się. Po chwili zastanowienia błysnęły mu oczy. – Należy ona do układu potrójnego – zaczął dukać jak uczeń, z nienacka wezwany do odpowiedzi, jednak niedający się zaskoczyć belfrowi – złożonego z następujących gwiazd: Proximy Centauri, Tolimana A i Tolimana B. Alfa Centauri jest w rzeczywistości parą bliźniaczych słońc, z których jedno jest żółtym karłem, a drugie – pomarańczowym. Kiedy teleskopy były jeszcze słabe, uważano, że Alfa jest pojedynczą gwiazdą.

Prychnęła wzgardliwie.

– Co ty mi wciskasz, to nie buda, tu nie przepytują, przecież nie o to mi chodzi...

Wzruszył ramionami w geście, który wyrażał bezradność.

– Wierz mi, Raffaello nigdy nie gadał ze mną o tym skupisku

gwiazd – zamilkł. Po chwili znowu się ożywił. – Więc zrobmy tak: najpierw pokażę ci, co odkryłem, a przekonasz się, że to superhit, a potem ty mnie łaskawie oświecisz. Zgoda?!

Przytaknęła bez słowa, zaintrygowana szykującą się niespodzianką, ale myślami była nadal gdzieś daleko.

– Skorzystaj z kabiny bioregeneracyjnej, jeśli chcesz się odświeżyć – zaproponowała. – Włącz sobie program czwarty. Jest bardzo dobry.

Poszedł za nią do kuchni i złapał ją od tyłu, delikatnie gryząc zębami jej kark. Zabawnie się przekrzywiła, godząc się na jego figle.

– Słuchaj, czy twój komputer tego wszystkiego nie sfilmował?
– zapytał z odrobiną zaniepokojenia w głosie.

– A coś ty myślał, kanibalu? – swawolnie się roześmiała, uwalniając się z jego objęć i odwracając się do niego. – Jasne, że tak – nie traciła poczucia humoru. – I puścił to gratis wszystkim mieszkańcom tego budynku...

Kręcąca się po holu hotelu „Imperial” starsza zadbana dama w finezyjnym filcowym kapelusiku na głowie co rusz obrzucała łakomym wzrokiem siedzącego w miękkim fotelu agenta. Ten cierpliwie czekał na Ericha Greimasa i starał się nie zwracać na siebie niczyjej uwagi, a z nudów nieśpiesznie kartkował kolorowe magazyny. Usiłował ją zignorować, ale bez skutku, bowiem nie zamierzała się od niego odczepić. Miłość od pierwszego wejrzenia czy co? Zbywał wyzywające spojrzenia, strasząc ją ostentacyjnym chłodem i z wystudiowaną obojętnością omijając wzrokiem. „Babciu, spływaj, nie z tobą się umówiłem!”. Wpadał w popłoch za każdym razem, kiedy go mijala, ciągnąc za sobą przesadnie silną woń egzotycznych kwiatów, bo obawiał się, że wiedźma przystanie i zwróci się do niego z jakąś błahostką, podrywając go na nogi i zmuszając do rozmowy. Czyżby była przy dużym szmalu i szukała kandydata

na męża? Jeśli tak, to źle wybrała. Niezbyt atrakcyjny John nie wyglądał na playboya. A poza tym miał już w planie ślub z agentką Alice. Wreszcie ostentacyjnie skrył się za rozłożoną płachtą popołudniówki, sprawdzając, czy nie drżą mu z emocji dłonie. Nie drżały. Sufit holu był wysoko sklepiony i wsparty na marmurowych kolumnach. Szeroka galeria ze szpalerem tropikalnych roślin prowadziła do luksusowej restauracji i dalej – na pierwsze piętro. Przy oszklonych drzwiach wejściowych kłaniał się portier w liberii. To wszystko zdążył zauważyć i zapamiętać.

Staruszka krążyła uparcie jak osa. Jej zaloty nadal trwały, a nawet zdawały się przybierać na sile – teraz defilowała mu prawie przed nosem, omal nie trącając gazety, i niedoszły narzeczony wreszcie się zniecierpliwił. Siedział jak na szpilkach, czując, że wpadł po same uszy. Pomyślał, że musi się przenieść na inny fotel, ale wszystkie w pobliżu były zajęte. Cóż to za przyjemność, flirtować z dobrze zakonserwowaną damulką po sześćdziesiątce, popisującą się jak postrzelona małolata? No, gdybyż naprawdę była urzekającą pannicą, jak te z paryskiego dworca lotniczego, to pewnie co innego! Odruchowo zerknął na zegarek i zadumał się nad zabujaną w nim Arielle, która zapewne słodko spała, zważywszy, że o tej porze niebo nad Sekwaną było we władaniu nocy. A może śleczła przy zapalanej lampie, przecierała zmęczone oczy i wkuwała do egzaminu? Chodziło mu po głowie, że zaczyna martwić się o nią jak ojciec o córkę. W Nowym Jorku minęła szesnasta, zaś dyrektor miał się zjawić przed dobrym kwadransem.

– Kurza morda – mruknął niecierpliwie. – Co się stało? Przecież drań jest znany z punktualności.

Wreszcie coś go tknęło. Dobrze było mieć chwilę olśnienia. Chwileczkę się wahał, nie chcąc się ośmieszyć, a potem z godnością złożył gazetę, z flegmą wstał i niby to przypadkiem pociągnął za emerytowaną primabaleriną. Ta widząc, że udało jej się ruszyć Smitha z posad, z radośnie podniesioną głową,

stawiając szybkie drobne kroczki, pospieszyła w stronę windy, tam zachęcająco się zatrzymując.

- Jesteś, Johnie, zdumiewająco odporny na niewieście wdzięki - zachrypiała basem, gdy przystanął obok niej, z marsową miną wpatrując się w zmieniające się światła pięter. - Apartament 1416.

Oczy z wrażenia omal nie wyszły mu z orbit. Nigdy nie poznałby Ericha Greimasa. Charakteryzacja była bez zarzutu.

- To pan? - wydukał przeprasząco.

Tamten jednak przyłożył wymownie palec do wyszminkowanych ust. Miał zrobiony manicure.

Znaleźli się w sunącej kabinie. Szef nie zamierzał rozstawać się ze swoją karykaturalną rolą i z dobrze odegranym kobiecym wdziękiem wysiadł z windy na jedenastym piętrze, opuszczając oszołomionego technika. Ten nabrał odwagi, wychylił się i z zaciekawieniem za nim łypnął, z niedowierzaniem wpatrując się w zgrabne łydki, dziwnie niepasujące do postury Greimasa. A potem niepewną ręką wcisnął czternaste piętro.

Drzwi do apartamentu otworzył szczupły i wysportowany brunet w jego wieku, zdradzający w całym swoim zachowaniu i gestach ten sam fach. Ludzi z branży John wyczuwał na odległość, chociaż z pozoru wtapiali się w tłum. Cóż, stosował podobne techniki kamuflażu. Tamten bez słowa przepuścił go do salonu, zamknął za nim i najspokojniej w świetle przysiadł na szerokim oparciu fotela, sięgając po porzuconą kostkę Rubika. Zaczął się nią bawić. John przeczesał wzrokiem pomieszczenie, potem zatrzymał się przy małym barku, spod spuszczonej powiek filując na tamtego. Bez pośpiechu nalał sobie pół szklanki soku pomarańczowego. Poza małą metalizowaną walizeczką, której przeznaczenia od razu się domyślił, nic szczególnego nie wpadło mu w oczy. Dyplomatka kryła aparaturę do eliminowania podsłuchu.

„Starsza pani” nadeszła w kilka minut później, dzięki czemu mógł wreszcie zamienić kilka zdań z milczącym dotąd agentem.

Jak się okazało, David Feenay należał do wąskiego grona wtajemniczonych w sprawy zagadkowych przybyszy z kosmosu. Pracował w ośrodku lotów kosmicznych, miał więc ułatwiony dostęp do utajnionych przekazów z systemów satelitarnych Ziemi, Księżyca i Marsa.

Erich Greimas nie czuł się zażenowany i nie przeszkadzało mu to, że ma na sobie babskie ciuchy. Bez wątpienia równie dobrze wypadął w szatach księdza, białym fartuchu oblepionego mąką piekarza, kostiumie wyfraczonego kelnera lub kombinezonie montera z metalową skrzyńką narzędziową – i Smithowi przyszło na myśl, że łąchy, które dyrektor miał na sobie przy sadzawce na tarasie Bethesda, pozując w nich na zmęczonego życiem emeryta, przypuszczalnie były również elementem kamuflażu. Pokrzepił się ufnym przeświadczeniem, że Greimas nie kryje w damskiej torebce gorącego hamburgera ani żadnej innej podobnej zakąski. Nie miał ochoty na frytki z wyperfimowanej kosmetyczki.

– Mamy szczęście w nieszczęściu – zaczął dyrektor, zakładając nogę na nogę, obciągając spódnice w kratę i wystawiając na widok publiczny nieskazitelnie białe damskie rajstopy i zgrabne wiśniowe czółenka. – Wiemy już o nich prawie wszystko.

David Feenay przysiadł pod ścianą na wyściełanym krześle, włączywszy wcześniej pracującą cicho aparaturę elektroniczną.

– Wszystko? – odezwał się Smith. Nie spodziewał się, że Greimas tak szybko sobie z tym poradzi.

– Niewątpliwie są klonami, pochodzącymi z najbliższego Słońcu układu gwiazdnego – objaśniał spokojnym głosem szef. – To cztery lata świetlne stąd. W grę wchodzi wyrafinowana inżynieria genetyczna, o jakiej nam się tu na Ziemi jeszcze nie śniło – dzielił się mrocznymi sekretami obcych. – Ludzkie zarodki, a może plemniki i jaja, są stąd zabierane i odsyłane do obcych, tam zaś starannie obrabiane, zaś po obróbce – zwracane na naszą planetę. Punktem przerzutowym jest ich zakamuflowana baza, mieszcząca się na obrzeżach Układu

Słonecznego, prawdopodobnie na Plutonie. Tu, na Ziemi, wspomniane embriony – niby to w pełni ludzkie – w kilku renomowanych klinikach trafiają do macic kobiet, cierpiących na bezpłodność. Dzieciaki, które w ten sposób przychodzą na świat, są ani chybi genetycznie przystosowane do niejasnej strategii, jaką sobie obcy założyli wobec naszej rasy.

Zapadła irytująca cisza. Nie były to radosne wieści i czuło się wiszące w powietrzu przygnębienie. Feenay, który dotąd stwarzał wrażenie mumii egipskiej, wreszcie się ożywił, zwracając się do Smitha i nie kryjąc nurtującego go niepokoju. Wydawało się, że szuka w nim oparcia.

– Tak więc przyszłość globu stoi pod znakiem zapytania. Czyż to nie koszmarne? Ani chybi staniemy się bezwolnymi sługusami obcych. Ciekawe, czy mamy jakieś szanse...

Technikowi spędzała sen z powiek pewna myśl i postanowił nią się podzielić.

– Wiele o tym myślałem i przyszło mi do głowy – rzucił z rozważą – że ci... eee... kosmici w przeszłości wielokrotnie odwiedzali Ziemię. Tyle tylko, że czynili to w sposób całkowicie niezauważalny. Byli i są nieuchwytni. Jak dalece trzeba sięgnąć w dzieje – zapytał – aby uchwycić początek tego procesu? Może do głębokiej starożytności?

Dyrektor z namysłem pokiwał głową.

– Pod tym względem nie postąpiliśmy naprzód – przyznał szczerze. – Sam koncentrowałem się raczej na ostatnich dekadach. A do czegoś szczególnego musiało dojść na Ziemi około sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu lat temu. I nie chodzi ani o okrzyczany Trójkąt Bermudzki, ani o UFO. To był burzliwy, pełen wstrząsów i zawirowań dwudziesty wiek – z żalem podsumowałem, jakby godząc się z myślą, że upływu czasu nie da się zatrzymać. – Zresztą, zostawmy te dywagacje na później. Teraz mamy coś znacznie ważniejszego na głowie. W czym rzecz? Już wyjaśniam. Kilka dni temu dwudziestu pięciu najstarszych i najbardziej wpływowych mutantów zebrało się

na niewielkiej wysepce u wybrzeży Grecji, żeby sejmikować. Zdaje się, że przewidują kolejną fazę operacji obcych – ta bowiem, połączona z wszczepianiem embrionów, podobno dobiegła końca. – Chwilę milczał, bacznie lustrując obu podwładnych. – I dlatego właśnie już dzisiaj musimy ostatecznie podzielić kompetencje na wypadek, gdyby doszło do tragedii – konkludował. – Wszystko się może zdarzyć i musimy liczyć się z najgorszym. Gdybym przypadkiem zginął, a niewykluczone, że to się wkrótce stanie, gdyż w razie otwartej konfrontacji zaatakują przede wszystkim nasz zarząd, wy dwaj z ukrycia będziecie pociągać za sznurki – wyjął z damskiej torebki i podał im płyty kompaktowe. – To, co tu macie, w zupełności wystarczy, aby zmieścić ich z powierzchni Ziemi. Należy uruchomić główny program. Ma niewiele mówiącą nazwę „Skorpion 306”, o czym wam obu już wspominałem. Jest złowieszczy, jednak komuś postronnemu może się wydawać, że to tylko niewinna gra komputerowa...

Z nieco pobladył obliczem John schował w zanadrze mały, cenny krążek. Jego sąsiad uczynił to samo. Przez krótką chwilę wydawało się Smithowi, że zrzędzeniem losu staje się mitycznym herosem, który ma ferować wyroki w imieniu całej cywilizacji, ale zaraz zepchnął do podświadomości te skojarzenia. Nie cierpiał na megalomanię, a poza tym nie miał zadatków na psychopatę. Nie był też Prometeuszem i nie niósł śmiertelnikom światła.

– A co z tą drugą cywilizacją, witającą nas z Księżycyca? – przypomniał sobie rozmowę, którą odbył z Calvezem.

Greimas zdjął z głowy damską perukę razem z kapelusikiem i zaczął się nią od niechcienia wachlować. Łypnął złym okiem na technika, który zadał to pytanie.

– To martwa cywilizacja, nikogo tam nie ma – wycedził z niechęcią. – Owszem, nasi chłopcy znaleźli statek kosmiczny, i to niezmiernie interesujący, ale pusty. Groźni są żywi.

David Feenay również miał pytanie. Podniósł nawet dwa

palce jak chłopiec w szkole.

- A co z tym ciałem niebieskim, niby- planetoidą lub kometą? Czy to jest naprawdę silnie skondensowana masa - czarna dziura?

Dyrektor wydawał się go jednak nie słyszeć, zajęty swoimi myślami, które rysowały na jego czole wyraźną bruzdę. Zwrócił się znowu do Johna.

- Mniej więcej za kilka dni odleciecie na Księżyc, ty i Alice. Mam nadzieję, że zabraliście się do tego ostro?

Smith przytaknął.

- Badania lekarskie nie okazały się skomplikowane. Jeszcze kilka sprawdzianów i przejdę przez to sito. Alice także sobie z tym radzi - akurat na tym polu mógł się pochwalić sukcesami. - Zaaplikowano nam niezbędne środki i prawdopodobnie niezgorzej zniesiemy start.

- To dobrze - Greimas poczuł się pokrzepiony tą informacją.

- Stamtąd też będziesz mógł uruchomić ten zabójczy program.

- Usiłował życzliwie się uśmiechnąć, ale wyszło mu to błado. Miał taki wyraz twarzy, jakby wysyłał własne dzieci na letnie* wakacje i troszczył się o to, żeby przed wyjazdem o niczym nie zapomniały. - Twój zgrabnie zapakowany retrozator, fabrycznie nowy egzemplarz, będzie w ładowni wahadłowca. A Gustavo mówił czym się masz zająć, gdy go uruchomisz? Tam, na Srebrnym Globie, w naszej bazie koło krateru Kopernika, trzymaj się blisko Griffitha i Donlona. Oni tobą właściwie pokierują. Są zresztą ze mną w stałym kontakcie - zamilkł.

- Czarna dziura?! - przypomniał sobie, o co go zapytał Feenay. - Jutro odlatuję do Arizony. Koło Tucson mamy stację badawczą. Sądzę, że wysuwane jeszcze przez naukowców ostatnie wątpliwości tam zostaną rozwiane. Zabieram ze sobą sztab młodych i zdolnych ludzi - pochwalił się przed obu technikami. Spojrzał w sufit, jakby szukał tam natchnienia. Niestety, nie znalazł. Założył więc perukę, wstał i udał się do łazienki, aby

poprawić makijaż. – Hej, John! – zawołał w drzwiach. – Twoja Alice i inni, którzy z nią pracują – Pamela, Hillary, Adolf i Anthony – także lecą ze mną. Lecz się nie obawiaj, ona pojutrze wróci.

Tajne posiedzenie na czternastym piętrze hotelu „Imperial” dobiegło końca. Feenay wyłączył aparaturę, zwinął przewody i dokładnie zaniknął walizeczkę. A potem schował ją do pokrowca. Smith stał niezdecydowany, nie wiedząc, co począć, by wreszcie pojąć, że w tym apartamencie nie ma już czego szukać. Karty zostały rozdane, a w razie ostrego kryzysu politycznego na Ziemi każdy wiedział, co ma robić. Podał więc na pożegnanie dłoń Davidowi i bez słowa wyniósł się na korytarz. Minę miał taką, jakby za chwilę miał się rozpłakać. Winda była pusta i zjechał nią na dół, myślami krążąc wokół tego, co go czekało na Srebrnym Globie. Miał cichą nadzieję, że dobrze zniesie podróż, a zwłaszcza przeciążenia grawitacyjne przy starcie z Florydy. Postanowił, że zatelefonuje do Arielle, by ją uprzedzić, że przez trzy miesiące będzie nieosiągalny. Zanosilo się bowiem na to, że po sesji egzaminacyjnej na Sorbonie będzie chciała znowu spędzić z nim kilka dni. Przebąkiwała o tym przed odlotem z Nowego Jorku, z nadzieją zaglądając mu w oczy.

Był na środku holu, gdy odezwał się cichy brzęczyk. Zaalarmował go umieszczony w uchu miniaturowy sygnalizator i Smith poczuł gwałtowne bicie serca. Wiedział, co to znaczy. Umocowany w guziku bluzy czujnik wykrył obcego. Zdezorientowany zawrócił i utonął w głębokim fotelu, który wcześniej zajmował. Gazeta leżała obok, więc szybko ją rozłożył, zasłaniając twarz i usiłując pozbierać rozbiegane myśli.

– Nie ma co!.. – szepnął, przejęty do głębi niezwykłością chwili. Nie liczył na to, że uda mu się kiedykolwiek spotkać osobiście kogoś z tego ezoterycznego grona. Naturalnie, poza Humbertem Hillem, ale jego znał od dawna.

Elektroniczna maskotka nie wprowadziła go w błąd. Emitowała stojąca właśnie przy kontuarze i rozprawiająca z recepcjonistą zadbana babeczka, mająca na oko około trzydziestki. Nie spoczywały przy niej żadne bagaże. Widział ją od tyłu, potem szczęściem dla niego obróciła się w inną stronę i mógł obejrzeć jej profil. Była wymuskana, świetnie ubrana i uderzała dużą pewnością siebie, więc nasunęło się mu, że pochodzi z wyższych sfer. Dogadała się z pracownikiem hotelu, a później spokojnym krokiem udała się w stronę wind, zamierzając widocznie pozostać w wysokim gmachu. Smith ociężale się podniósł i ruszył w jej stronę, zatrzymując się dwa kroki z tyłu i wlepiając gały w cyfry pięter. Pomyślał, że zachowuje się jak kiepski prywatny detektyw ze starych pożółkłych kryminałów, ale to było od niego silniejsze. Winda nadjechała, więc zabrał się razem z nią i skromniutko przycupnął w rogu kabiny. Rozsiewała zapach drogich perfum i nie stwarzała wrażenia kogoś, kto mógłby być groźny dla otoczenia. Wyszła na dziewiątym piętrze, on zaś pojechał wyżej, a następnie wcisnął przycisk parteru. Zjechał na dół, przeżuważając w myślach to, co zobaczył. Kiedy wyszedł przed hotel, przyszło mu do głowy, że z tymi mutantami jest podobnie jak dawniej z Indianami, Murzynami i innymi kolorowymi. By znaleźć zadowalającą płaszczyznę porozumienia z nimi, należało wyrzec się głęboko zakorzenionych rasistowskich odruchów.

- Nie ma co!.. - mruknął do siebie, rozglądając się za wolną taksówką. Zaczynał siąpić deszcz.

Akurat jedna zwolniła i zatrzymała się. Wsiadł, pamiętając o ukrytym w zanadrzu dysku z wyrokiem śmierci na różniącą się genetycznie od ludzkiej niewielką, wpływową społeczność. Brzydko wyjął usta. Jego ściągnięta twarz wydawała się należeć do kogoś innego, kto dawno temu wyzbył się ludzkich odruchów i nie wiedział, co to szlachetność i współczucie. Zadumał się nad werdyktem, który wydano bez procesu

sądowego. Tamtym odmówiono konstytucyjnego prawa do obrony. Od tego nie było już odwrotu. Klamka ostatecznie zapadła. Wydawało mu się, że najpierw należy szukać pokojowych dróg zażegnania kryzysu, a dopiero później myśleć o wyciąganiu armat. Niestety, od zarania dziejów miano za nic tę prawdę. I to nie kto inny, lecz właśnie on sam, John Smith, w czasie pierwszej rozmowy z Erichem Greimasem pod wpływem nagłego impulsu zasugerował mu to drastyczne rozwiązanie i podpisał się pod nim bez wahania.

- Dobry Indianin to martwy Indianin - wyrzucił z siebie z bólem, gdyż przyszło mu nagle na myśl to stare powiedzenie. Historia lubi się powtarzać.

- Słucham?! - kierowca taksówki odruchowo obejrzał się do tyłu, odrywając się na moment od kierownicy, ale nie zrozumiał, o co chodzi pasażerowi. Nie był od tego, żeby zgadywać cudze myśli.

Wolniutko płynęli nad dachami Paryża, wpatrując się w grę świateł metropolii. Polecili dwoma połączonymi fotelami i początkowo trzymali się za ręce, jakby w obawie, że coś ich rozdzieli i raptem odfruną w przeciwne strony, tracąc kontakt. Dziewczyna była mylnie przeświadczona, że chłopak zaoferował jej unikatowy program inicjacyjny, z którym wcześniej się nie zetknęła, więc o nic nie pytała. Dowcipniś nie zdradził jej, w czym rzecz, święcie przekonany, że sprawi jej prawdziwą niespodziankę. Liczył na efekt zaskoczenia. Majestatycznie wyprowadził mającą kształt kulistego dipola kapsułę z cienia Ziemi i przedostał się nad oświetlony słońcem Ocean Spokojny. Sprawnie radził sobie z nawigacją. W labiryncie rozsypanych jak sznury koralu wysp i wysepek bez trudu odszukał tę właściwą i ostrożniutko osadził wehikuł na plaży.

- Jesteśmy na miejscu, zechce pani wysiąść - odsapnął z ulgą, poprawiając się w fotelu i zachęcająco spoglądając na modelkę.

- Gdzie? A co tu jest? - zrobiła wielkie oczy. - Z czego... wysiąść?

- Jak to z czego? Z samochodu - zażartował.

Na króciutką chwilę skupił myśli na czymś dla niej nieuchwytnym. Z cichym sykiem otworzył się bolid, a jej twarz owiał żar tropików. Młody kapitan lekko się podniósł, wymacując owal wejścia.

- Coś ty? Co robisz? Tak nie wolno. Nie! - krzyknęła, wpadając w popłoch i nerwowo przywierając do fotela. Zaniepokoiła się nie na żarty. Była jak dziecko, które ktoś siłą wyrwa z ramion matki. - Nie zostawiaj mnie tu samej!

Dostrzegł w jej oczach autentyczne przerażenie i usiłował ją

uspokoić.

– Taki z ciebie tchórz? No, nie wygłupiaj się. Popatrz! Już tu byłem i zwiedzałem tę wyspę.

Wyskoczył rażno z bolidu, odwrócił się do niej i popisał się na piasku zwariowanymi wygibasami, mającymi znamionować taniec. Ściągnął przez głowę koszulkę polo i zaczął nią wywijać. Oczyma jak talary przypatrywała mu się dłuższą chwilę i wreszcie coś jej zaczęło świtać w głowie. Odważyła się, puściła kurczowo ściskane poręcze, podniosła się i niepewnie poszła w jego ślady. Podał jej dłoń, pomagając pokonać niewidoczny próg.

Niezwykła, egzotyczna sceneria pobudziła jej wyobraźnię i zmysły. Z prawdziwym zdumieniem pieściła dłonią lekko wibrującą, przezroczystą powierzchnię kosmicznego rumaka. Obeszła go dookoła, niepewnie stąpając po miłkim piasku. Ciepły wiatr rozwiewał jej złociste włosy.

– Ufff, ale z ciebie drań. Tu jest fantastycznie! – przyciszonym z wrażenia głosem wyraziła swoje uznanie. – Nie sądziłam, że to możliwe.

– Jak to w tropikach.

– Nikt nie wiedział, że tak można.

– Co tam! – zbagatelizował swe odkrycie. – Ktoś musiał na to wpaść.

Wyspa wyglądała z oddali jak maleńka czapeczka, rzucona kaprysem losu na taflę oceanu. Z góry było widać pasmo raf i odcinającą się od ciemnoniebieskiej głębi jasnozieloną płyciznę wód. Zbitym wieńcem zamykały one zatokę, tworząc lagunę.

– Czy ona jest zamieszkała? – zapytała, rozglądając się na wszystkie strony. Lekki wiatr szarpał jej zwiewną sukienkę. Nie odstępował jej, również ciekawie filując na boki. Wreszcie wzruszył obojętnie ramionami.

– Nie sądzę, wydaje mi się, że jest tylko nasza – rzekł chętnie. – Póki co.

Opuściła go, z zaciekawieniem podchodząc do ściany tropi-

kalnego lasu i jakby chcąc się upewnić co do realności miejsca, w którym nieoczekiwanie się znalazła. Tam w głębi, gdzie królowały zieleń i brąz, krążyły motyle i przedzierały się przez listowie jaszczurki. Wyżej dawały o sobie znać krzykliwe, barwne ptaki. Zawróciła. Znalazła na mokrej plaży rzadką muszlę, zachwycającą gracją linii skrętów i spiral. Podniosła ją i z uwagą obejrzała.

– Podoba ci się tutaj?

Nie odpowiedziała. Jej luźna, króciutka sukienka zsunęła się na piasek, odsłaniając nieziemską figurę. Zrzuciła pantofle.

– Goń mnie! – zawołała ze śmiechem.

Pobiegła skrajem plaży i tylko śmigają jej pięty. Dopadł ją po chwili pościgu, przewracając na żółty piasek. Dyszeli oboje jak maratończycy. Tu w tropikach jej nagość była jeszcze bardziej podniecająca. Przyciągnął ją do siebie, pieszcząc ustami jej ramiona i piersi. Nie pozwoliła mu posunąć się za daleko.

– Mógłbyś tym dolecieć na Alfę Łentauri? – zapytała, zasłaniając mu usta dłonią.

– Mógłbym, ale po co? – zamruczał. Wydawało się, że zacznie gryźć jej palce.

Odsunęła się, a jej oczy pociemniały.

– Jak to? Nie wiesz? Przecież stamtąd pochodzimy... – podniosła się i otrzepała z piasku. Przysłoniła ręką twarz i obrzuciła wzrokiem błękitne niebo. Przez krótką chwilę miał wrażenie, że dziewczyna nie należy do niego, lecz do kogoś innego, kto ją stworzył i jak zaprogramowanego androida przysłał na Ziemię, by tu wywiązała się z nałożonej na nią misji.

– No, tak!

– dorzuciła gniewnie. – Nie oglądałeś programów inicjacyjnych – zabrzmiało to jak wyrzut. – Dlatego w kółko stawiasz te naiwne pytania.

Również zerwał się na nogi.

– Stamtąd? – zdziwił się. – Raffaello dał mi wolną rękę. Nie musiałem niczego oglądać.

Uzmysłowiła sobie, że starzec wie, co robi, więc złość jej przeszła. Nie miała powodu, by się irytować. W jej oczach znowu błysnął podziw.

- Musimy koniecznie z nim porozmawiać - rzekła z determinacją w głosie. - To fascynujące. Nikt nie wiedział, że naszym gmach jest wyposażony w podobne cuda. Prosto z Paryża wiedzie najkrótsza droga do gwiazd.

Z powagą skinął głową, przyjmując słowa uznania. Pochlebiali mu tym bardziej, że pochodziły od tak pięknej laski.

- Zamierzałem mu o tym powiedzieć - niemrawo się usprawiedliwił. - Ale najpierw chciałem to pokazać tobie. Czy takiej bogini można odmówić palmy pierwszeństwa?

Roześmiała się, marszcząc zabawnie brwi.

- Raz, dwa, trzy, gonisz ty! - prowokująco dźgnęła go palcem.
- Złap mnie!

Znowu pomykała jak sprinterka na stadionie sportowym, pokonując kolejne metry brzegu. Dogonił ją na skraju atolu, bo zwolniła na rysującym się wzniesieniu. Chichotała, kiedy ją dopadł, przewrócił i okrył pocałunkami. Nie bronila się, ale nie pozwoliła sobie ściągnąć fig. Wreszcie wstała. Zmęczenie przywróciło jej powagę.

- Zobacz, cała jestem w piasku - rzekła. - Wykąpiemy się, a potem czas na obiad.

Pałące słońce wzniosło się wysoko. W Paryżu królowała noc, tu zaś było upalne przedpołudnie. Rzucili się w morze, płynąc w stronę rafy koralowej. Pokonali mieliznę, na którą natrafili, brnąc po kolana w wodzie, a potem zanurzyli się w bajkowy podwodny świat. Rafa przywitała ich podmorskim ogrodem, pełnym barw i zdumiewających kształtów. Przeźroczystą jak kryształ wodę prześwietlały promienie słońca. W jego świetle oglądali zastygłe kwiaty, alabastrowe gałązki pokryte pączkami, koralowe misy i wazony, utkane z wapiennych blaszek, wielkie liście nenufarów o uniesionych krawędziach. Białe, żółte, pomarańczowe, czerwone i fioletowe konary z ostrymi

grzbietami, sięgającymi tuż pod powierzchnię toni, zdawały się trwać tu w roli strażników podmorskiego królestwa. Żyło tu mnóstwo drobnych ryb tańczących wśród koralowców, rozpościerały się szarozielone ukwiały, a w zakamarkach kryły się szafirowe rozgwiazdy. Popłynęli na skos przez zatoczkę, trafiając na przeciwległy brzeg, a stamtąd wrócili do bolidu.

Przeczesała ręką mokre włosy, otrzepując się z wody.

- Wiesz? - powiedziała. - Moglibyśmy tu spędzić cały weekend. Wspaniałe miejsce. I chyba nie ma rekinów. Jest za płytko.

Był bardziej prozaiczny niż sądziła.

- A co będziemy jeść? Gdzie będziemy spać? - zapytał.

- Jak to, co?! - fuknęła na niego. - Zapolujesz na ryby - znalazła rozwiązanie. - Przecież jesteś mężczyzną.

- A z czego zbuduję ci dom? Pewnie z bambusa i liści bananowca?

Założyła pantofle i sukienkę, stając się znowu Europejką, która może się pokazać na Polach Elizejskich. Weszli w dżunglę, a ta przywitała ich odgłosami ptaków. Wspaniałe ubarwione ary o ostrych, zakrzywionych dziobach królowały wśród gałęzi.

Zerwała żółty kwiat, próbując wpiąć go we włosy.

- A jak tam jest? - wskazała w górę. - W kosmosie, w próżni?

Z uwagą oglądał jej zabiegi upiększające.

- Jeśli chcesz, możemy się tam wybrać, nic nie stoi na przeszkodzie - odpowiedział.

- Nawet teraz? - zapytała.

Prawie niedostrzegalnie przytaknął.

- Nawet teraz.

Z wrażenia zabłysły jej oczy i nagle dżungla przestała ją zajmować. Spodobał jej się ten pomysł. Wrócili na plażę, ostrożnie omijając sunącego dróżką drobnego węża i zajęli miejsca w fotelach przejrzystego rumaka. Zaczęła głębiej oddychać, jakby w obawie, że w próżni może raptem zabraknąć jej tlenu. Zabrała ze sobą znaną na plaży kolorową muszlę, trzymając ją w ręku jak talizman.

Jak przystało na zwariowanego nastolatka, Pierre musiał się przed nią popisać.

- Uwaga, odliczam! - zacisnął palcami nos. - Dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden, zero. Start!

Z niesłychaną prędkością kokon poszybował w górę. Wyspa zmalala, ginąc w archipelagu zielonych i brązowych plam i punktów na oceanie. Szybko dostrzegli krzywiznę Ziemi. Ta odpływała, ustępując miejsca czarnemu jak aksamit niebu, usianemu miliardami gwiazd. Pojawił się Księżyc.

- Boże, co za tempo! - wyszeptała, trzymając się kurczowo dłoni Pierre'a. - Mknijemy w inną stronę wszechświata i ani śladu przeciążenia.

- To dokąd lecimy? - zapytał tak, jakby był za kierownicą miejskiego autobusu i znał na pamięć pokonywaną codziennie trasę. W każdym razie wyczuwało się, że jest za pan brat ze świetlistymi kosmicznymi szlakami. - Na Saturna? - zaproponował. - Doskonałe miejsce na miesiąc miodowy. - Skinęła głową, godząc się ulegle. Wyczuł to i żartobliwie dośpiewał: - Czy byłaś już tam kiedyś w ramionach przystojnego Ziemianina?

- Nie - odrzekła ciepło, tuląc się do chłopaka. - Ale nie mam nic przeciw temu, żeby spróbować - wyszeptała mu do ucha.

Po powrocie płynęli cicho ulicami uspiętego Paryża, zaglądając to tu, to tam. Dochodziła czwarta rano. Księżyc, spoglądający z uśmiechem z nieba, nie był tak piękny jak Saturn i nie mógł się równać z tą olbrzymią, fascynującą planetą. Pierre niczym doświadczony awiator ostrożnie doprowadził bolid do gmachu pod walczącym aniołem, osadzając pojazd. Ciemnogrnatowy, gładki i nieco wypukły dach ugiął się na środku pod przezroczystym kokonem, wpuszczając dwoje młodych podróżników do wnętrza budynku. W sali studyjnej na piętrze zapaliło się światło.

- Dzięki za cudowną wyprawę! - pocałowała go w policzek. Miała jeszcze przed oczyma rajską plażę na wyspie i pierścienie

Saturna.

Chłopak jednak nie wstał z fotela. Siedział nieruchomy i zamysłony. Wreszcie się ocknął i spojrzał na Dianę.

- To nie jest zwyczajny gmach - wybąkał. - I nie może być zwyczajny. Leciałaś nad Paryżem i widziałas to na własne oczy. Inne domy mają spadziste dachy, kominy i szyby wentylacyjne, rynny i anteny. Ten nie - podsumował. - I kształty ma jakieś dziwne...

Nie pojmowała, o co mu chodzi. Była już bardzo senna.

- Jutro to sobie spokojnie przemyślisz, kochany. Czas spać. Chodź, bo zasnę za kierownicą mojego citroena.

Chcą nie chcą, musiał się z nią zgodzić.

Usadowił się w fotelu z pilotem w ręku, uzmysławiając sobie, że przegapił wieczorne wiadomości. Kiedy włączył telewizor właśnie się kończyły. Tym niemniej trafił na coś interesującego. Jego ulubiony spiker ciągnął za język jednego z dyrektorów amerykańskiego programu badań kosmicznych. Ten, widoczny na podglądzie, wypowiadał się na temat czarnej dziury w pobliżu Układu Słonecznego. Odżegnywał się od ostatecznych wniosków, zastrzegając, że jak na razie wszystko jest jeszcze w sferze niejasnych hipotez.

Na planie w studiu telewizyjnym padło kolejne pytanie, na które tamten, przypominający Alberta Einsteina, z sumiastymi wąsami i furą siwych włosów, bezzwłocznie odpowiedział.

- Czy zachodzi prawdopodobieństwo, że czarna dziura, o której pan mówi, może się nadmiernie zbliżyć do Słońca i naszych planet, a tym samym wywołać spore zaburzenia w polu grawitacyjnym?

Amerikanin nadal starał się być ostrożny w sądach.

- Dopóki nie znamy wielkości tego obiektu, jego przybliżonej masy i prędkości, ani nie wiemy, w jakim kierunku zmierza, nie możemy dać żadnej zadowalającej odpowiedzi. Póki co

niektórzy z astrofizyków są zdania, że badany obiekt raczej oddala się od Układu Słonecznego niż się do niego zbliża.

Spiker nadal drążył ten temat, licząc na to, że skoro David Wilson zgodził się wystąpić przed kamerami telewizyjnymi, uda się go wycisnąć jak cytrynę.

– Skąd te kłopoty z określeniem położenia? Przecież nie mamy trudności z oznaczaniem odległości nawet w przypadku bardzo dalekich gwiazd w innych galaktykach. Czyżby w naszym oko-łosłonecznym świecie obowiązywały jakieś szczególne prawa?

Przyciśnięty do muru Wilson wdał się w sekrety astrofizyki i kosmologii.

– Proszę pamiętać, że czarna dziura, o ile to jest ona, nie przypomina tradycyjnej gwiazdy. Ponieważ pochłania światło, zakrzywiając jego bieg, nie można jej ujrzeć w teleskopie. To dotyczy również pozostałych zakresów promieniowania. A poza tym jest bardzo małym obiektem i ma średnicę nie większą niż kilka kilometrów. W niczym nie przypomina planetoidy ani dużego meteorytu. Nie jest odłamkiem skalnym. Niebezpieczeństwo, które niesie, wiąże się z jej straszliwą gęstością. Zawiera w sobie skondensowaną jak w pigułce ogromną masę, o wiele większą niż masa Słońca i całego naszego układu planetarnego z Jowiszem, Saturnem i Uranem...

W czasie, kiedy tamten odpowiadał, dyplomatycznie dobierając i cedząc słowa, spiker odebrał telefon, po którym desperacko zgarnął kartki z serią niepostawionych pytań. Ostentacyjnie odłożył je na bok. Potem zwrócił się w stronę kamery, która bezlitośnie obnażyła ten zabieg.

– Dziękuję bardzo za rozmowę i cenne wyjaśnienia! – pożegnał gościa z Waszyngtonu. Widoczny na podglądzie wizerunek Wilsona zniknął. – Sądzę, że do tego frapującego tematu, proszę państwa, powrócimy w jednym z kolejnych wydań – wykrzywił twarz w niezbyt udanym uśmiechu. – Być może, dowiemy się wtedy, co się naprawdę stało z sondami „Voyager 202” i „Wega

1000” – zakończył, ścisząc głos, jednak dzieląc się tym samym z telewidzami treścią pytań, których nie pozwolono mu już postawić. – Tymczasem zajmiemy się sprawami mniej odległymi i bardziej przyziemnymi – wziął do ręki kolejne zapisane arkusze.

– Kosmos jest rozległy, ale – jak się okazuje – daleko może być również z Greenwich do Londynu...

Pierre’a nie zajmowały wypadki na autostradach, więc zaczął leniwie przeglądać kanał po kanale, szukając czegoś ciekawszego. Głowił się nad tym, czy Ziemi mogło naprawdę zagrozić obce ciało z kosmosu. A jeśli to był kolejny przysłowiowy wąż morski, temat na nadchodzący sezon ogórkowy?... Wiedział, że ludzie już dawno uodpornili się na takie sensacyjne doniesienia, uznając je za wierutne brednie. Na atak Marsjan dali się nabrać mieszkańcy New Jersey w 1938 roku po słuchowisku radiowym, zrealizowanym według „Wojny światów” Wellsa. Tyle pamiętał z historii. Procesy, zachodzące ileś tam bilionów kilometrów od Słońca, obchodziły nieledwie garstkę specjalistów. Inni przy podobnych rewelacjach poziewywali i zasypiali.

Nie zdążył się jednak na nic zdecydować, bowiem usłyszał gong przy drzwiach. Zdziwił się, nikogo się nie spodziewał. Skoczył, by otworzyć.

Miała na sobie obcisły czarny kombinezon z błyszczącego materiału przypominającego skórę, a z rozpuszczonymi włosami i lekko rozstawionymi nogami w wysokich butach wyglądała jak groźna amazonka z paryskiego gangu motocyklowego. Brakowało jej tylko pejcza w rękach lub innego podobnego dodatku.

– To niemożliwe! Sophie?!

Niewyraźnie się uśmiechnęła, widząc zaskoczoną minę chłopaka.

– Wpuścisz mnie? – zapytała z miną niewiniątka.

Wziął głęboki oddech.

- Czemu nie? Mogę ci nawet dorobić klucz - zażartował.

Ochoczo weszła. Otarła się o niego, ciągnąc za sobą niepokojący zapach perfum. Zamknął za nią drzwi, mając przez chwilę nieodparte wrażenie, że to tajemne wrota do zastrzeżonej dla garstki wybrańców demonicznej jaskini rozpusty i że zaraz obleje go karminowa czerwień wybiegu dla striptizerek.

- Wyobraź sobie, że przepadł mi u ciebie kolczyk od kompletu

- wypaplała, zdradzając cel niespodziewanej wizyty, jednak nie do końca przekonana, że chłopak jej uwierzy. Obawiała się, że nie dostrzeże aprobaty w jego oczach.

Nie chciał być nietaktowny.

- Trudno, poszukamy razem! - zgodził się, obojętnie wzruszając ramionami.

- Nie gniewasz się na mnie? - niezdarnie usiłowała się upewnić. Nie widzieli się od owego wieczora, kiedy to chwiejącego się na nogach odprowadziła go do mieszkania.

Nie odpowiedział, więc zajrzała mu z bliska w oczy, szukając namacalnych dowodów winy, ale dziwnym trafem ich nie znalazła. Odważyła się i cmoknęła go w policzek, potem z wdziękiem zdjęła kurteczkę i z uwagą przedelfilowała po salonie, zaglądając w różne kąty. Świetnie się prezentowała w dopasowanym czarnym seksy topie, odsłaniającym jej opalone ramiona. Uklęknęła, skuliła się i zapuściła żurawia pod niską biblioteczkę. Wygrzebała stamtąd zgubę - i chłopakowi przeszło przez myśl, że poprzednim razem z premedytacją podrzuciła ten drobiazg, żeby mieć pretekst do kolejnych odwiedzin.

- A gdybym tam przejechał odkurzaczem?... - zastanawiał się głośno.

Podawała mu kolczyk, by mógł go sobie obejrzeć w świetle stojącej obok lampy.

- I co, demonie rozkoszy, numerze trzysta sześćdziesiąty czwarty?!...

Wziął do ręki i zadrżał, uderzony wizerunkiem. Miniaturowy wisiołek miał ten sam znak, co inne przedmioty należące do ich tajemniczej wspólnoty.

– Skąd się u ciebie to wzięło? – zapytał, nie kryjąc zaaferowania.

Śmiało przysiadła, świadoma tego, że dzielący ich dystans nagle zmałał.

– Skąd to mam? Nie obawiaj się – rzuciła. – Na pewno nie z kosmosu. Po prostu od dobrego jubilera z Place d’Opera. Zamówiłam sobie taki komplecik – wyprowadziła go z błędu. – Do tego jest jeszcze delikatna broszka.

Odłożył złote cacko. Umówił się z Dianą, że wybiorą się wspólnie poza Układ Słoneczny, kierując się w stronę Proximy i przez krótką chwilę żywił nadzieję, że kolczyki Sophie rzucają jakieś światło na tak zaplanowaną wyprawę.

Modelka konsekwentnie trwała przy założonej wcześniej strategii.

– Mogłbyś mi go założyć? – zaproponowała. – Samej mi raczej trudno.

Nie wypadło mu odmówić, choć miał na końcu języka, że są lustra w przedpokoju i w łazience. Próbował nieporadnie wbić się złotym drucikiem w ledwo widoczny ślad w uchu, czując jej rosnący zachwyty, wywołany dotykiem. Syknęła, boją zabolalo.

– Ufff! Niech to lichy! – usprawiedliwił się. – Nie mam wprawy.

Ozdoba trafiła na swoje miejsce. Przytrzymała go łagodnie za rękę, nie pozwalając mu się odsunąć.

– Mam do ciebie prośbę, Pierre, ale się nie zdziw – powiedziała ciepło. – Czy mogłabym zostać tu na noc? – zapytała niby od niechcienia, ufnie składając mu głowę na ramieniu.

Oblała go fala gorąca i odruchowo ją pogłaskał, przeczesując palcami jej lekko kręcące się włosy. Przymrużyła oczy, poddając się tej niewinnej pieszczocie. Ale tego wieczoru był trzeźwy, bo przecież nie zaglądał do kieliszka, zatem panował nad

rozwojem sytuacji. A przynajmniej tak mu się wydawało.

- Mam fantastyczną dziewczynę - tłumaczył niechętnie. - Kocham ją i nie chciałbym, żebyś nam wszystko popsuła - usiłował się całkiem rozsądnie wymówić. - Powinnaś to zrozumieć, przecież jesteś jej najlepszą przyjaciółką...

Nie wypuściła jego dłoni, ale podniosła ją jak relikwię do ust i ze czcią ucałowała.

- Och, książkę z bajki... - na jej twarzy widniało oddanie. - Niczego nie żądam dla siebie, nie musisz mnie traktować serio, wierz mi. Wystarczy, że pozwolisz, bym była twoją maskotką - z rozmarzeniem w oczach wyłożyła swoje racje, niemal osuwając się do jego stóp. - Możesz ze mną robić, co tylko zechcesz i kiedy zechcesz, jak z niewolnicą! - wyznała nieprzytomnie.

- Coś ty? Z tobą aż tak źle? Mówisz serio? - wymamrotał, niebotycznie zdumiony. Przeszło mu przez myśl, że pewnie musiała nacytać się tanich romansów. Sprzedawano takie erotyczne gnioty. Potem uzmysłowił sobie, że pod pewnymi względami była zaprzeczeniem Diany. Tamta lubiła dominować, ta była uosobieniem uległości. - Niewolnictwo zostało zniesione w większości państw w dziewiętnastym wieku - wyrecytował jak w budzie, pozwalając sobie na ripostę w złym smaku. - A poza tym nie mam ochoty na harem - jeśli chciał, potrafił być okrutny i zimny.

- Nie mogę dzisiaj wrócić do siebie - spoważniała na moment, podając kolejny argument. - Odstąpiłam apartament koleżance, żeby mogła spędzić noc ze swoim chłopakiem. Dziś przyjechał do Paryża, a rzadko się z nią widuje. Są teraz razem, zapatrzeni w siebie i zakochani. Ech! A ja? - zapytała z ociupinę widowiskowym żalem. - Czyż to nie piekło wiecznej samotności? - I konspiracyjnie wyjawiała: - Wiesz, Pierre, podobnie jak ty, czytuję dzieła Sartre'a.

Nie wierzył, że jest szczerą. Zachowywała się tak, jakby grała na scenie. Może to wpływ utworów Szekspira? Pomyślał o

Dianie, o chwilach, które razem spędzili, lecz przy Sophie te przesycone rozkoszą doznań obrazy wydawały się blednąc i dziwnie szybko tracić świeżość. Mimo wszystko, nie poddał się jej urokowi. Miał swoje zasady.

- Diablica z ciebie, wstawiasz takie teksty, że mózg staje - podsumował jej rozpaczliwe zmagania z jego męskim ego. Uniósł się i podszedł do okna. Zaczynał kropić deszcz. - I co ja teraz mam począć? - zamyślił się. Mógł, wijąc się jak piskorz, jakoś od tego się wymigać, ale nie byłoby to w dobrym tonie. „Już widzę, jak będziesz żałował swojego kroku!” - szepnęła mu w głowie filuterny głosik. - Zostań, nie jestem świnią - rozstrzygnął raptem - ale noc spędzimy oddzielnie. Ty będziesz lulać tu, w salonie, wyciągnę śpiwór i nadmucharę materac, albo na tej kanapie, tylko że ona się nie rozkłada, a ja - w sypialni.

Jej brązowe oczy zabłysły tygrysim blaskiem, lecz zaraz przygasty.

- Coś w stylu: małżeństwo po ostrej kłótni? - zapytała zadziornie, jednak oddychając z ulgą.

Nie podjął piłeczki. Nie byli po ślubie. Usiadł i najbezcelniej w świecie zajął się małym ekranem, bez pośpiechu przeglądając kanały. Trafiał na reklamę wczasów w tropikach.

Dłuższą chwilę taksowała go z uwagą. Potem wstała i rozejrzała się po jego mieszkaniu, omijając wzrokiem drzwi do sypialni.

- Jadłeś już kolację? - obudził się w niej nagle instynkt macierzyński. Zapraagnęła zaopiekować się małym niezaradnym chłopczykiem.

- Nie - odrzekł zgodnie z prawdą. - Możesz się tym zająć, jeśli chcesz, ale lodówka jest prawie pusta, nie licząc szynki i sałatki z krewetek. No, coś tam może jeszcze znajdziesz. Dopiero na jutro zaplanowałem zamach na supermarket.

Powinna była zejść na dół do znajdującego się za rogiem sklepu spożywczego i w pierwszej chwili miała ochotę to zrobić

- jednak wolała ani na minutę nie opuszczać apartamentu, który zdobywała jak warowną twierdzę. Przezornie zaszyła się więc w kuchni.

- Nawet dobre - orzekł z pełnymi ustami, kiedy zabrał się do tego, co mu przyniosła.

Z uznaniem przyglądała się, jak pałaszuje jedną kanapkę za drugą.

- Wiesz co? Wprost uwielbiam gotować... - to małe niewinne kłamstwo przeszło jej jakoś przez usta i nawet tego nie zauważył. Zaraz sobie o czymś przypomniała. - Powiem ci zagadkę - zaświeciły się jej oczy. - Kuchenną. Ile ruchów trzeba wykonać, aby włożyć żyrafę do lodówki?

Przestał jeść i zmarszczył brwi.

- Trzy.

- Zgadza się - przyklasnęła mu z uznaniem. - A ile ruchów trzeba wykonać, aby schować słonia do lodówki?

- Też trzy - rzekł po chwili namysłu.

- A nie, cztery - poprawiła chłopaka. - Bo jeszcze trzeba wyjąć żyrafę.

Prychnął z dezaprobatą.

- Też mi coś. Wiesz, jaką ten dowcip ma brodę? Stąd do Księżyca. Opowiadali go już ze sto pięćdziesiąt lat temu.

Tryskała znowu energią.

- Sto pięćdziesiąt lat temu nie było jeszcze zamrażarek. No, dobrze. A ile mrówek zmieści się w lodówce?

Sięgnął po następną kanapkę.

- Zgodnie z twoją logiką - powiedział - zmieści się tylko jedna, ale duża.

Niestety, chłopak nie miał racji i było to widać w jej ciemno-brązowych oczach.

- Żadna - odrzekła. - Bo w lodówce jest słoń.

Udało jej się go rozśmieszyć. Cisnął w nią kolorową poduszką. Zdążyła ją złapać, popisując się niezłym refleksem. Była piekielnie wysportowana.

– Zachowujemy się jak idioci – zawyrokował. – A ty? – uzmysłowił sobie – dlaczego nic nie jadłaś? Nie smakuje ci?

Wolała nie podejmować tego tematu. Musiała przecież dbać o linię.

– Wiesz, Pierre? Za pięć minut na jednym z kanałów będzie reportaż o modelkach ze stajni Lemaître’a. Masz ochotę obejrzeć?

I tak nie miał niczego innego do roboty, więc zgodził się bez wahania.

– Serio, będzie o was?

– Oczywiście. Okupowali z kamerami nasze studio przez kilka dni. I włązili wszędzie, gdzie tylko się dało...

Wzięła do ręki półmisek, na którym pozostały tylko okruszki.

– To co? Zgodzisz się, bym spała w twoim łóżku? – sprawdzała, czy nie runie nadwątlony mur. Była jak bluszcz, oplatała go coraz to mocniej i mocniej.

– Nie... – bezapelacyjnie odrzucił złożoną mu propozycję. Tym razem jednak jakby z mniejszą dozą pewności siebie. Ale cóż, był wierutnym osłem i nie zdawał sobie sprawy z tego, co traci.

– A wtedy, kiedy cię odholowałam, dobrze ci ze mną było? – niewinnie usiłowała się dowiedzieć.

Nie odpowiedział, tylko zarumienił się po same uszy. Udała, że tego nie widzi, i szybko umknęła do kuchni. Wierzyła w swoją szczęśliwą gwiazdę.

Błąkał się po Brodwayu, lawirując w tłumie przechodniów i zaglądając do mijanych sklepów. Szukał czegoś nietuzinkowego, co mógłby zabrać ze sobą na Srebrny Glob, a co kojarzyłoby mu się z żegnanym światem, cieszącym bogactwem błękitu i zieleni, promieniami ciepłego słońca, powiewami wiatru i zapachem mokrej ziemi. Nurtował go jednak nieokreślony niepokój, niepozwalający mu skupić się na zakupach i czerpać z nich przyjemności. Należało wierzyć przecuciom, a John instynktownie czuł, że stało się coś złego, czego w swoich chłodnych kalkulacjach nie uwzględnił. Otrzymał wezwanie, gdy był blisko Times Square, i połączył się natychmiast z centralą przy pomocy najbliższego ulicznego wideofonu. Ujrzał na ekranie przemiłą Carré, niestety, z wymalowanym na twarzy nieskrywanym przerażeniem, która mu poleciła, aby bez zwłoki stawił się u Dickinsona. Nie chciała lub nie mogła mu niczego więcej zdradzić. Odszukał w popłochu swój samochód i zasiadł za kierownicą, włączając się w sterowany przez komputer ruch uliczny. Rychło dotarł na miejsce.

W gabinecie szefa wydziału toczyła się narada, a wszyscy, których tam przygnało, mieli skwaszone miny. Pomieszczenie wypełniał smolisty dym tytoniowy, z którym nie umiał się uporać system wentylacyjny. Już na podstawie tego symptomu Smith mógł wyciągnąć wniosek, że w siłach specjalnych doszło do katastrofy. Co to było? Cyklon, powódź, pożar, wybuch wulkanu czy trzęsienie ziemi? Który z nieokreślonych żywiołów dał o sobie znać? Wszedł tam z duszą na ramieniu, domyślając się najgorszego.

Na jego widok siedzący tam agenci raptem ucichli i z zażenowaniem pospuszczali oczy. A przecież nie dotknął go trąd, a jego nos i uszy nie były zniekształcone i nie ropiały.

Carré bez pytania podała mu parującą kawę, spieszenie ulatniając się do sekretariatu.

– Może mi ktoś powie, co się właściwie stało? – zapytał.

Szef wydziału z konieczności podjął się niewdzięcznej misji. Nie wypadało mu tchórzliwie zrzucić przykrego obowiązku na podwładnych.

– Niestety! – odkaszlnął. – Twoja Alice nie żyje – rzekł ze ściśniętym gardłem. – Takie są smutne koleje losu w naszej firmie. Przyjmij wyrazy szczerego współczucia – lekko skłonił się w jego stronę. – Wszyscy wiemy, co do niej czuleś... – rozluźnił kołnierzyk koszuli i przetarł ręką zroszone czoło, sięgając po kolejnego papierosa. Uznał, że te pospieszne kondolencje wypadły bezdusznie i nijako, ale mimo dobrych chęci na nic więcej nie umiał się zdobyć.

Biała śmierć z kosą w kościstej dłoni złośliwie zachichotała, zaglądając Johnowi w oczy. Usadowiła mu się na kolanach, strasząc pustką i chłodem. Przyjął ten strzał nadzwyczaj spokojnie. Cóż, nie pierwszy raz rozstawał się z bliską sercu kobietą. Przed laty zmarła mu żona. Nie wylał ani łzy.

– I co jeszcze? – jak automat poprosił o dalsze informacje.

Dickinson znowu odkaszlnął. Najgorsze miał już za sobą, więc mógł sobie pozwolić na dłuższy wywód.

– Poszła w strzepy cała nasza góra – wyjął. – Zginęli dyrektor Erich Greimas i obaj jego zastępcy. Także współpracownicy Alice – Hillary, Adolf, Anthony... – wyliczał ze zniechęceniem. – I wielu innych. W siłach specjalnych ogłoszono czerwony alarm. Ale co to da? Do wybuchu doszło w naszej pilnie strzeżonej bazie koło Tucson w Arizonie na poziomie minus ósmym w sali konferencyjnej, w której odbywało się posiedzenie. Zeszło tam ponad trzydzieści osób. Jak to się stało, nikt nie wie. Przecież to ostatnie miejsce, gdzie można podłożyć

bombę...

- To jak krach na giełdzie w 1929 roku - z trwogą szepnął jeden z obecnych.

Technik złożył ręce jak do modlitwy. Greimas przewidywał zamach na siebie, ale nie to, że pociągnie za sobą na tamten świat tabun agentów, szykując im zbiorową mogiłę. Skupił myśli, w zakamarkach pamięci intensywnie szukając właściwej przegródki, czy raczej szufladki, którą musiał teraz delikatnie wysunąć, by się nie pogubić. Rzeczywistość stanęła dęba. Ktoś z nagłą odwrócił klepsydrę, na nowo odmierzając czas, a widziany oczyma wyobraźni sypiący się wążutką strużką piasek uzmysławiał, że trzeba się spieszyć. Ta straszliwa śmierć podważyła niewzruszony porządek rzeczy. Powoli się mobilizował, czując się jak zrzucony do dzikiej dżungli samotny komandos, mający wytropić przebiegłych rzezimieszków i ich unieszkodliwić. Póki co jałowo biegły sekundy i minuty.

- A co z Calvezem? - zapytał Dickinsona.

Ten zrobił wielkie oczy.

- Z Calvezem? Tam go nie było - wyjaśnił. - Nie ruszał się z Nowego Jorku i powinien kręcić się po Manhattanie.

- Gustavo Calvez? - Carré zajrzała akurat do gabinetu. - Godzinę temu miał wypadek na Szóstej Alei. Przy zielonym świetle potrafił go samochód na przejściu dla pieszych. Jest w klinice, ale podobno z tego wyjdzie. Zdaje się, że tylko złamał rękę.

Smith chciał opuścić gabinet szefa wydziału, ale ten go zatrzymał.

- Zaraz, zaraz! - zawołał. - Jest tu dla ciebie przesyłka. Miałem ci ją oddać... - zamilkł. - Zresztą, nieważne. Boże, cóż za zbieg okoliczności... W razie śmierci Greimasa...

Technik obejrzał kopertę, rozdzierając brzeg i wydobywając gładką folię. Można jej było użyć tylko raz. Zdarł zabezpieczenie i czekał na wynik. Po kilku sekundach pojawił się na niej napis. Był złowróźbny w treści i John poczuł szalone łomotanie serca. Erich Greimas ostrzegał z grobu: „WKRÓTCE

ZIEMIA PRZESTANIE ISTNIEĆ. MUSISZ SIĘ KONIECZNIE DOSTAĆ NA KSIĘŻYC

- DO STATKU KOSMICZNEGO OBCYCH!" Smith wiedział, że za niespełna pół minuty te słowa znikną i cierpliwie trzymał folię pod światło.

- Niezawodnie jakieś imienne instrukcje? - zapytał życzliwie szef wydziału.

Smith skupił myśli na korpulentnym Calvezie, który cudem wyszedł z ulicznej kraksy. Ktoś tak przezorny jak on nie wpadał jak niezdara pod samochód.

- Można tak powiedzieć - wy dukał dyplomatycznie, nie mając bynajmniej zamiaru zdradzać przykrej prawdy. Zresztą, kto by mu uwierzył? - Chodzi o naszego specjalistę od pleśni z dorzecza Amazonki. Z tego, co tu dostałem, wynika, że komuś zależy na tym, żeby go sprzątnąć. To nie był wypadek. Nie można wykluczyć, że znowu będą próbować dobrać mu się do skóry.

Dickinson wymownie spojrzął na agentów, którzy siedzieli jak trawie w gabinecie, przysłuchując się rozmowie.

- A czy ma w klinice obstawę? - głośno pomyślał jeden z nich.

- Chyba nie...

- No, właśnie! - szef wydziału wpadł mu w słowo, uradowany tym, że wreszcie dojrzał przed sobą jakiś cel po kilku godzinach męczącej bezczynności. Poderwała go potrzeba działania. - Musimy się tym zająć. I to natychmiast - stwierdził, sięgając po telefon.

John opuścił gabinet. Nie miał złudzeń. Zaprogramowany jak wysokiej klasy automat decydował się na kolejne kroki, świadomy tego, że aby przeżyć, musi się zamaskować i dobrze ukryć. Sztuka kamuflażu i szkoła przetrwania! Jeśli zginął Greimas i ktoś chciał załatwić Calveza, to było wiadomo, że i on w następnej kolejności trafi pod lufę. Zjechał windą do magazynu w poszukiwaniu odpowiedniego sprzętu. Zgarnął do torby kilka szatańskich zabawek, które pozwalały mu zabijać z

ukrycia. Potem przeszedł do służbowej garderoby, decydując się na dwa zestawy ubrań, które kolejno przymierzył. W granatowym kombinezonie z firmowym nadrukiem na plecach wyglądał jak mechanik samochodowy. W drugim stwarzał wrażenie fana najnowszej nurtu muzyki młodzieżowej. Brakowało mu tylko dużych kolczyków w uszach. W garażach odebrał mały samochód, w którym dopiero co zmieniono numery rejestracyjne. Umieścił w bagażniku pobrane rzeczy i wrócił na górę.

Udało mu się bez trudu połączyć z Calvezem, który nadal żył i przebywał w klinice przy Trzeciej Alei.

– To chyba najgorsza z możliwych wersji wypadków? – rzucił bez ogródek, widząc go na ekranie.

Gustavo w milczeniu przytaknął. Nie miał złamanej ręki, a gipsowa łupka leżała obok na łóżku, służąc chyba jako atrapa.

– Współczuję ci – wydobył z siebie głos. – Ale niczego więcej nie udało się nam osiągnąć – ze smutkiem postawił kropkę nad „i”.

Smith unaoczniał sobie nagle, że nie będzie mógł się pojawić na pogrzebie Alice. Ale czy to było naprawdę ważne?

– I co dalej? – zapytał. Jakaś część jego ja zawzięcie się broniła przed uznaniem przerażającej prawdy o tym, że nadchodzą ostatnie dni planety. A przecież szykowałą się istna apokalipsa. – Czy jest tak, jak to wynika z testamentu Ericha? – zapytał. – Nadchodzi Armagedon?...

Leżący na szpitalnym łóżku grubas przyjrzał się mu z uwagą, wnikliwie oceniając jego możliwości. Lustracja wypadła raczej dobrze.

– Słuchaj i nie przerywaj – zaczął zdecydowanie. – Ta czarna dziura istotnie jest niebezpieczna. Za tydzień, dwa lub trzy, trudno obecnie dokładnie przewidzieć kiedy, z naszego globu praktycznie biorąc nic już nie zostanie. Szlag trafi cały Układ Słoneczny. Musisz uciec tym statkiem, który jakimś cudem znaleziono na Księżycu. Skoro Alice nie żyje, zabierz ze sobą tę

małą z Paryża, o ile uda ci się ją tu ściągnąć. A wcześniej zajmij się tym programem, który podsunął ci Erich. Nie wahaj się ani chwili. Zlikwiduj tych bydlaków! – w jego głosie zabrzmiały ostre nuty. – No i nie daj się przy tym zabić. David Feenay był nieostrożny i jest już martwy. Ty ostatni dysponujesz odpowiednim dyskiem...

– Do kroćset, a to pech – nieoczekiwanie przerwał mu Smith.

– Nie mam go przy sobie, zostawiłem w mieszkaniu.

Calvez na chwilę zamilkł. Medytował nad czymś, gryząc się z myślami.

– Musisz zaryzykować – orzekł. – Wróc do siebie, chociaż na pewno jakieś zbiry tam czekają. Załatw to i zmykaj. I bądź ostrożny, na litość boską! Jeżeli teraz im się nie powiedzie i ujdiesz z życiem, to będą pewnie potem czyhać przed odlotem wahadłowca...

Przemysłny plan działania powoli krystalizował się w głowie Smitha. Chociaż to, co usłyszał od Calveza, nie było pocieszające, to jednak korpulentny jegomość wlał w jego serce otuchę. Nie żałował, że z nim pogadał.

– Postaram się – obiecał mu solennie. – I przeżyję. Nie dam się wdeptać w ziemię, o to się nie martw!

Pożegnał się z nim bez łez, po męsku, łącząc się potem wolną linią z Paryżem.

Rankiem miał coś na kształt moralnego kaca po zwariowanej nocy, ale robił dobrą minę do złej gry, a poza tym nie leżało w jego naturze, żeby z byle powodu komie bić się w piersi. Zresztą, jeszcze nie wyklarowało mu się w głowie, czy to, do czego doszło, było jego triumfem czy sromotną klęską. Łobuzerska brunetka z numerem trzysta osiemdziesiątym drugim wyfrunęła o świcie. „Zgubiła kolczyk!” Może poszła o zakład z chichoczącymi przyjaciółkami, że go z łatwością zaliczy, a teraz zdawała im wyczerpującą relację? Nie przyznał

się do niczego przed swoją boginią, mając nadzieję, że póki co wszystko pozostanie w najgłębszej tajemnicy, a tamta laska go nie zdemaskuje. Diana nie zauważyła zmiany w jego zachowaniu, a poza tym prawie Pierre'a nie widziała, bo ten zaszył się gdzieś z Montinim, by wypowiadać się ze swych podniebnych podbojów. Nie miała pojęcia, że nie jest takim aniołkiem, za jakiego go brała. Potem zaś bez zwłoki polecieeli.

- Ahoj, przygodo!

Obiecał, że tego dnia dotrze do Alfy Centauri i wypadło mu dotrzymać słowa. Przy Saturnie chłopak zwolnił, by zebrać siły przed właściwym startem i łagodnie wszedł na ciasną orbitę olbrzyma. Nigdy dotąd nie usiłował opuszczać Układu Słonecznego i nie był pewny tego, czy z tak śmiałą wyprawą sobie poradzi. Czy nie porywał się z motyką na... no, nie, nie na Słońce, na inną gwiazdę? Jakiś czas sunął cicho tuż ponad powierzchnią regularnych pierścieni, które w okolicy strefy równikowej rzucały cień na górne warstwy atmosfery.

- Saturn znajduje się dwa razy dalej od Słońca niż Jowisz, a natężenie promieniowania rodzinnej gwiazdy jest tu dziewięćdziesiąt razy słabsze niż na Ziemi - objaśniał z miną nadętego belfra, udzielającego korepetycji ładniejszej uczennicy, robiącej do niego słodkie oczy. - Ha, im dalej od Słońca, tym mniej światła... - zdradzał, że popularna astronomia jest jego hobby. - A jednak ta zbudowana z wodoru i kryjąca w swoim metalicznym wnętrzu wiele znaków zapytania ogromna planeta zdaje się posiadać naturalny blask. Jest spłaszczona na biegunach, co naocznie stąd widać, i wiruje w szaleńczym pędzie wokół swojej osi. Doba na tym gigancie trwa dziesięć ziemskich godzin.

Na rozmarzoną modelkę planetarny goliat wydawał się działać hipnotycznie. Może miał coś wspólnego z Archiwum X? Rozszerzonymi oczyma wpatrywała się w mknące pod nimi pasma pierścieni niczym pasażer z tyłu szybkiego wozu w asfalt autostrady i migające na poboczu słupki. Pierre nie obawiał się,

że Diana zaśnie.

- Boże, jak tu pięknie! - wyszeptała w pewnej chwili. - Tyle tylko, że jakoś...

- Chłodno, nie? - domyślnie wpadł jej w słowo. - Jednak to subiektywne odczucie, w kapsule temperatura nie spada - dodał.

- Ten przeźroczysty kokon ma rzadkie właściwości izolacyjne... - wpadł w trans, sypiąc wiadomościami wprost z podręcznika i nadając jak jego komputerowy nauczyciel.

Poza studiem Diana cichła, pokorniała, stawała się potulna i nieśmiała, ulegle godząc się przy nim na rolę drugich skrzypiec. Nie miała tu nic do gadania. Chłopak jednak zdawał sobie sprawę z tego, że to tylko gra pozorów. Dziewczyny nic nie mogło zmienić. Nikt nie mógł strącić jej z piedestału, na którym stała. Wystarczyło, że poczuła pod stopami skrawek twardego gruntu, a już wracał jej rezon i natychmiast przejmowała inicjatywę, nie pozwalając sobie niczego narzucić. Nie kryła zdecydowania, wiedziała, czego chciała i umiała to wyegzekwować.

- Przytul mnie - szepnęła, czując, że jej kapitan jest daleko myślami.

Objął ramieniem prześliczną Barbie, zegnając Układ Słoneczny. Przyspieszył, wyobrażając sobie, że naciska pedał gazu i mężnie skierował kosmiczną krypę w stronę mroźnych, otwartych przestrzeni.

- Raz kozie śmierć! - zapiał zuchwale. - Oby nam się powiodło...

Na tę podróż międzygwiazdową otrzymał błogosławieństwo Raffaella. Rwał teraz w swym pojeździe jak kula wystrzelona z armatniej lufy, nie myślał jednak wcale o odległym celu. Oczywiście duszy widział na fotelu zamiast Diany ciemnowłosą Sophie. Tamta to miała temperament! Nie przypuszczał, że tak łatwo będzie wodzić go za nos. Kiedy ocknął się w nocy, przez okno zaglądał blady sierp księżyca. W półmroku zorientował się, że

diablica nie śpi w salonie, ale na wietnamskiej macie tuż przy jego łóżku. Skruszyła go tym oddaniem i uległ jej. Pozwolił, by przeniosła się do niego pod kołdrę, nie biorąc pod uwagę tego, że jej głodne ciało natychmiast dopełni reszty.

Raffaello podarował mu cenną plakietkę, którą przed przeszło siedemnastu laty dołączono do wyjątkowego zarodka przesłanego na Ziemię. Miał ją przy sobie niby kosmiczny dowód tożsamości. Wydawało się, że zabrał ją po to, by okazać w razie konieczności kosmicznym wartownikom, gdyby tacy raptem wyłonili się z czeluści na nieznanych Ziemianom niby-rogatkach, każąc się im zatrzymać i wylegitymować. Galaktyka miała średnicę około stu tysięcy lat świetlnych, a obejmowała ogromną liczbę gwiazd i układów solar-nych. Oni sami, jako mieszkańcy okrytej obłokami Ziemi, znajdowali się wraz z żółtym Słońcem nieledwie świecącą plamką na czarnym niebie, w pobliżu wewnętrznego brzegu jednego z ramion spirali. Podróż, w którą się oboje wybrali, niby Wikingowie ruszający na podbój zamorskich krajów, należała z perspektywy Drogi Mlecznej do najkrótszych. Cóż bowiem znaczył dzielący Słońce i Proximę dystans czterech lat świetlnych wobec ogromu kosmosu, który się przed nimi roztaczał? A gdyby tak oblecieć – gorączkowo myślał

– całe to skupisko gwiazd? Dotrzeć do centrum Galaktyki?

Dał z siebie wszystko, poganiając w myślach kapsułę jak tylko mógł – a w rezultacie zbliżył się po minutach wytrwałego lotu do trzech świecących obok siebie gwiazd. Wyławiał je wzrokiem bez trudu po treningu przy osobistym komputerze.

– Są! – sapnął z dumą, widząc je coraz wyraźniej przed sobą. Przetarł zroszone od wysiłku czoło. – Niedługo będziemy musieli zwolnić. Wiesz, ile mamy na liczniku? Nie chce się wierzyć – mamrotał z przejęciem. – To niemożliwe, ale ze sto tysięcy razy przekroczyliśmy prędkość światła – z powątpiewaniem kręcił głową. – Nas po prostu nie ma...

– Nie ma? – zapytała.

- To tylko moja skromna teoria - odrzekł. - Hipoteza robocza. Wiesz, dlaczego światło nie może biec szybciej niż biegnie? - zapytał. - Bo będąc falą, ma zarazem naturę cząstki...

- Oczywiście! - przerwała mu. - Wbijali nam to do głowy na fizyce. Teoria korpuskulo- falo- wa...

- W tym rzecz. Myślę, że ta kapsuła, kiedy do niej wejdziemy, redukuje nas do poziomu subkwantowego. Przestajemy składać się z połączonych razem molekuł, chociaż tego nie czujemy. Stajemy się jakby... istotami... eee... duchowymi.

- Nie rozumiem - odrzekła po chwili, usiłując w myślach rozsypać ten gordyjski węzeł.

- Ba! - mruknął zgodnie. - W gruncie rzeczy ja też...

Orientował się na czerwonego karła, a kiedy ten zaczął przed nim rosnać, postanowił z rozbiegu, nie tracąc części olbrzymiej szybkości, wykonać w sporawej odległości pętlę i opłynąć Proximę, Tolimana A i Tolimana B, by potem w spokoju kolejno obejrzeć te gwiazdy, koncentrując się na ich układach planetarnych. Bo z pewnością je miały. Po namyśle jednak z tego planu zrezygnował, a intuicja mu podpowiedziała, że kresem jego wyprawy międzygwiazdnej powinna być jedna z planet żółtego słońca. Pomimo to postanowił nie omijać Proximy. Pokazał ją palcem Dianie, która błędziła wzrokiem po firmamencie, co rusz oglądając się za siebie, jakby chcąc sprawdzić, czy nie oddaliła się za daleko od swego domu. Niestety, Pól Elizejskich z tego punktu wszechświata nie było widać.

- Tam patrz, to ona! - powiedział. - W katalogach astronomicznych figuruje pod numerem V 645 Centauri.

Chłodniejsza od Słońca Proxima świeciła na czerwono i jej blask nie zmuszał do mrużenia oczu. Wpatrzony w nią z zachwytem, omal nie wpadł na wielką planetę, która nagle wyrosła przed jego bolidem. Przestraszył się nie na żarty i zaczął ostro hamować, zbacząc z trasy. Mignęła obok nich, pozostając z tyłu.

- Co to było? - z obłędem w oczach zapytała Diana, która palcami kurczowo wpiła się w jego ramię. Przeraziła się dużo bardziej od niego.

Skrzywił się, obniżając sobie w myślach ocenę z astronomii.

- Jaki ze mnie tępak, fatalna sprawa, o mały włos, a byłbym w nią rąbnął. To była Prima - wyjaśnił. - Przepraszam, ale wyleciało mi to z głowy. Jest planetą Proximy, dużo masywniejszą od naszego Jowisza. Niestety, podeszliśmy do niej od ciemniejszej strony. I za szybko. Ta kapsuła chyba ściąga nas w stronę ciał niebieskich...

Gwiazda zajęła sporą część nieboskłonu, a wytracając prędkość, zbliżyli się nieomal do samej korony słonecznej, tonąc w upiornym, krwawym blasku. Przez krótką chwilę wydawało się chłopakowi, że jest walecznym krzyżowcem, który po wyczerpującej bitwie w promieniach zachodzącego słońca ślizga się po plamach rozlanej krwi. Zawrócił, chcąc uciec od karminu i odrobinę wypocząć na orbicie pozostawionej z tyłu planety.

Nocne niebo Primy oferowało te same gwiazdozbiory, co pogodny wieczór na Ziemi. Nie zwracał już uwagi na Proximę, która znowu zmaląła, stając się obiektem o wielkości jednej trzeciej Księżyca, lecz poszukał konstelacji Kasjopei.

- Zerknij w tę stronę! Tam jest nasze Słońce - pokazał dziewczynie, jak wyłuskać wzrokiem żółtą gwiazdę, z tej odległości jedną z wielu na firmamencie. - Ech, gdybyśmy nie wiedzieli, gdzie ono jest, byłoby już po nas. Zgubilibyśmy drogę do domu.

- Co ty?! - nie chciała wierzyć w tak koszmarną możliwość.

- Przecież ona... - rzuciła impulsywnie - ta kapsuła... sama wraca do studia... jak wierzchowiec do stajni.

- Tak sądzisz? - zamyślił się na moment. - Oby! A gdyby jednak nie wróciła?

Potem skupił wzrok na gwiazdozbiorze Centaura. Już wcześniej w czasie lotu obserwował, jak Alfa Centauri znacznie się

przesuwa na tle swej konstelacji, rozpadając się na dwa jasne punkty. Zadumał się nad hipotezą, zgodnie z którą właśnie stamtąd pochodzili – on, Diana, Sophie, Raffaello i blisko pół tysiąca innych Ziemi. Ogarnęło go nagle zwątpienie.

– Mam już dość – rzekł raptem zniechęcony. – Nie mam siły, by kierować tym pojazdem. To diabelnie męczące.

Chyba wiedział, w czym rzecz. Bolesnie pojął, że nie chce stamtąd pochodzić.

Usiłowała podtrzymać go na duchu. Ożywiła się i cmoknęła go w ucho. Jej palce pieszczotliwie pogłaskały go po głowie.

– Co ty? Nie rezygnuj, spróbuj, przecież już blisko – szepnęła, starając się dodać mu otuchy. – Nie schodzi się z bieżni tuż przed metą.

Miał wrażenie, że mierzy się z całym kosmosem i porządkiem, ustalonym w chwili Wielkiego Wybuchu.

– A może sama spróbujesz? – zaproponował nieśmiało. – Wyobraź sobie, że masz na głowie kask mentalny i że oglądasz film interakcyjny z czterościeżkowym pułapem komplikacji.

– Ja? – zdziwiła się. – Nie podpuszczasz mnie? Nie pomyślałam... – rzekła. Nie brała wcześniej takiej możliwości pod uwagę.

Zdecydowała się po chwili wahania i ku jego zdumieniu przejęła od niego pałeczkę. Po kobiecemu go podpatrywała i chyba już wiedziała, jak on to robi.

– OK – wyszeptała.

Ujęli się za ręce. Wszechświat był wszędzie – z dołu i z góry, z przodu i z tyłu, po lewej i po prawej. Mimo że nie dawał im żadnego punktu oparcia i zawiśli w bezkresnej próżni, czuli się bezpieczni w doskonale chroniącej ich otocze.

– Ruszamy – podpowiedział jak instruktor podczas pierwszej próbnej jazdy.

Bolid zmienił kurs, a okryta grubą warstwą biało-szarych chmur ogromna Prima, z widocznymi w nowiu księżycami, zaczęła się powoli oddalać. Żegnała mikroskopijnych

wędrowników. To podnieciło dziewczynę, która pojęła, że tajemniczy wehikuł jest jej całkowicie posłuszny. Płynął tam, gdzie chciała, i tak szybko, jak chciała.

- Yip- eee- tee- yi- yo! - wydała dziki okrzyk radości, podnosząc się z fotela. Była teraz kowbojem, który ujeżdżał dzikie mustangi na prerii. Wydawało się, że za chwilę pomacha kapeluszem z szerokim rondem, a potem zręcznie rzuci lassem.

- Czy kochałeś się już, odważniaku, w pobliżu Proximy z jakąś kobietą z Ziemi? - zażartowała zuchwale, wpadając w euforię.

- No pewnie! I to z niejedną - odpowiedział w tym samym tonie. - Cumy ściągnięte na pokład. Odpływamy!

Noc spędził na samym krańcu Central Parku, przeczuwając, że tam będzie bezpieczny. Na skalistym, dzikim wzgórzu z jaskinią wznosił się najstarszy zabytek zielonej oazy Manhattanu – budowla obronna z początków XIX wieku. Dalej za murkiem ciągnął się Harlem. Przewracał się na twardym posłaniu i trapiły go zmory. Kiedyś Manhattan był porośnięty lasem, a zamieszkiwali go indiańscy Algonkinowie. Przychodziło mu do głowy, że wtedy życie musiało być dużo prostsze. Miał przy sobie książkę, którą pożyczył od Alice, obiecując jej, że ją przeczyta. Ścisnął ją teraz jak talizman. „*Bo/ażń i drzenie Kierkegaarda*” – szepnął do swoich myśli. Te dwa słowa tytułu dobrze oddawały stan jego ducha.

Gdy świtało, zgasił tłące się jeszcze ognisko i w duchu pożegnał nieopodal śpiących bezdomnych staruszków, którzy z wieczora gościnnie częstowali go pieczoną rybą. Odszukał swój wóz, obejrzał go ze wszystkich stron, sprawdził wzrokiem zamki, zerknął pod podwozie, a przekonany o tym, że nikt przy nim nie kombinował, cicho wsiadł, zapalił silnik i powolutku ruszył z miejsca. Krystalizował mu się w głowie plan działania. Pomyślał, że w pierwszej kolejności powinien wdepnąć do swego mieszkania. Wiedział, że ta wizyta może się okazać fatalna w skutkach, jednak nie miał innego wyjścia. Jeśli zastawili gdzieś na niego pułapkę, to właśnie w tamtym cichym zakątku, do którego zawsze wracał po pracy. Budził się nowy dzień i zaczynał się niemrawy ruch na szarych ulicach.

Stara Portorykanka nie żyła, a jej zwłoki odnalazł w kuchni. Z kranu wąską strużką sączyła się woda, ale bał się go zakręcić.

Upadła z szeroko rozłożonymi rękami i wyglądała tak, jakby zaglądała pod kuchenną szafkę. Ciało spoczywało tam już z

pewnością dobrych kilkanaście godzin. Jak ją uśmiercono? Śladów krwi nie dostrzegł. Pewnie z sadyzmem skręcono jej kark – pomyślał. Dorwał ją nie przebierający w środkach zbir, z uporem polujący na Smitha. Co za kat tak niehumanie się popisał? Technik nie miał zielonego pojęcia. Zła opinia o Portorykańczykach nie przeszkadzała mu w traktowaniu tej zasuszonej babci niemal jak członka rodziny, więc odczuł to jak cios we własne serce. Bo ojca i matki nie miał od dawna. Chętnie uroniłby nad nią łzę, ale nie mógł sobie na to pozwolić. Musiał być twardy, a poza tym gonił go czas. Odwrócił ciało, pragnąc po raz ostatni zajrzeć jej w twarz. Śmierć ścięła bojaźliwe spojrzenie jej oczu, które wydawały się mówić mu, że godzi się w duchu na tę całopalną ofiarę. Nigdy nie kryła tego, że pragnie, aby John długo żył, i że często gorliwie modli się za niego do Madonny, zapalając w tej intencji świece. Przed nieszczęsnym spotkaniem ze srogim oprawcą zdążyła pochować świeżo zrobione zakupy, a lodówka była pełna, jednak nie uporała się z myciem naczyń, których zawsze zostawiał cały zlew.

Ścienny sejf był splądrowany, szczęśliwym trafem niepozba-
wiony wyobraźni John ukrył cenny krążek nie w zamykanym
na cztery spusty schowku, ale w abstrakcyjnej płaskorzeźbie,
którą zdobiły w artystycznym nieładzie różne drobne części
komputera. Pozostawił więc „Skorpiona” na widoku, zgodnie z
zasadą, że najciemniej jest pod latarnią. Poruszał się bardzo
ostrożnie, zwracając uwagę na to, gdzie stawia stopy i co
otwiera – nie chciał bowiem wraz ze swoim mieszkaniem
wylecieć z hukiem w powietrze. Delikatnie wydłubał dysk
scyzorykiem, dokładnie zdmuchując resztki białego gipsu.
Podłączył laptop do sieci. Uruchomił w mig zabójczy program,
co zajęło mu niespełna trzy minuty. Diaboliczne instrukcje
popłynęły przez Internet i nie musiał się o nic więcej martwić. Z
ulgą odetchnął. Doskonale wiedział, że śmiercionośna machina
niezawodnie ruszy z miejsca. Drogą elektroniczną popłynie

seria supertajnych zleceń, zaś banki na całym świecie odnotują przelewy na okrągłutkie wielocyfrowe sumy. A ci, którzy żyją z takich szatańskich „dorywczych prac”, ponad wszelką wątpliwość gorliwie wywiążą się z reszty.

Uznał, że musi się spieszyć. Liczył się z tym, że jego prześladowcy nie zapomnieli o pozostawieniu w mieszkaniu miniaturowych detektorów ruchu. Jeżeli o to skrupulatnie zadbali, zapewne już wiedzieli, że zwierzyzna o świcie wpadła im w sieci. Jaki rodzaj zejścia z tego świata przewidzieli dla skromnego agenta? Zasunął kombinezon, w którym wyglądał jak anonimowy mechanik samochodowy, a w obszernej kieszeni ulokował szybkostrzelny pistolet. Bezszelestnie otworzył wejściowe drzwi i łypnął okiem na puściutki korytarz, zezując na obie strony. Potem prawie na palcach przedelfilował w stronę windy.

Nie zdążył jej jednak wezwać. Nim wcisnął przycisk, jej mechanizm obudził się do życia. Ktoś go ubiegł, wchodząc do niej na parterze i z determinacją ruszając w górę.

- Jasny gwint! - zaklął z cicha, nerwowo odskakując i ustawiając się na wprost z odbezpieczoną bronią. Mógł umknąć schodami, ale uznał, że nie podejmie takiego ryzyka. Wolał w tym miejscu zmierzyć się z przeznaczeniem.

Z bijącym sercem śledził zmieniające się cyfry na górnej liście, mając nadzieję, że winda się nie zatrzyma na jego piętrze. Niestety, zawiódł się, bowiem cicho szcęknęła, gdy dotarła do piątego. Zaczęły się bezszelestnie rozsuwać metalowe drzwi.

- Stać! - rozkazał zimnym tonem, zerkając do środka i wsuwając tam lufę. - Ani kroku dalej!

Dwaj niewinnie wyglądający ślepcy w bardzo ciemnych okularach, obaj w podniszczonych czarnych garniturach i równie czarnych, wytartych kapeluszach, nie byli lokatorami budynku, w którym Smith od lat wynajmował apartament. Tych rozpoznawał, chociaż nie ze wszystkimi wymieniał kurtuazyjne

ukłony. Czego szukali tak wczesną porą w obcym dla siebie miejscu? Teraz już sprawy pobiegły bardzo szybko. Starszy z intruzów nie stracił zimnej krwi. Na jego nieco rozlanej twarzy przez ułamek sekundy malowały się sprzeczne uczucia – podziwu, gniewu, zmieszania i nienawiści. Jednym gwałtownym ruchem uniósł w stronę Johna białą laskę, którą dzierżył w dłoni. Jednak spóźnił się z oddaniem strzału – skosiła go krótka seria z broni automatycznej technika. Terkot był niegłośny i przypominał odgłos dziecięcej zabawki. Młodszy z siepaczy tak zgłupiał, że nie usiłował się bronić. Zamarł w bezruchu, licząc na zmiłowanie i laskę. I jego Smith nie oszczędził, bez pardonu ładując w stojącą biernie postać zawartość magazynku. Tamtemu zmiękły kolana i z malującym się na twarzy wyrazem niebotycznego zdumienia osunął się w kąt.

– Zrobione! – mruknął z odrazą. Dłuższą chwilę rozszerzonymi z wrażenia oczami chłonał rezultaty starcia. Przemknęła mu przez głowę myśl, że tym razem to zwierzyna zapolowała na myśliwych, zaskakująco odwracając role. Rozejrzał się jeszcze raz po pustym koiytarzu, potem wszedł do windy i odsunął nogą przeszkadzający mu kapelusz. Wcisnął przycisk parteru.

Zjechał na dół w towarzystwie swoich ofiar, po drodze medytując nad podłym losem, który nie oszczędził mu niespodzianek. Zbyt dobrze znał oblicza obu tych pomyleńców, by nie wiedzieć, z kim przyszło mu się zmierzyć. Byli dobrzy w swoim fachu, jeśli nie wręcz znakomici i w firmie pokazywano niekiedy agentom ich fotografie. Z ciekawości rutynowo przejrzał ich kieszenie, uważając, by nie poplamić się krwią, ale nic ważnego nie znalazł. Ostatnio działali w Filadelfii, w Waszyngtonie i w Chicago, podejmując się płatnych zabójstw i sprytnie zacierając za sobą ślady. Potem obejrzał sobie białą laskę. Nieźle ją wyważono, spust umieszczono w wygodnym miejscu i łatwo było się nią posługiwać. Przypomniawszy sobie, że

wiązano ich ze śmiercią młodego funkcjonariusza z Paryża, jasnowłosego chłopaka, który pracował z Hillem. Ogarnęło go zdumienie. Nie pojmował, jak to się stało, że tacy spryciarze dali się tak łatwo zaskoczyć. Przypuszczalnie zgubiła ich rutyna.

Gdyby chwilę później lub wcześniej opuścił swój apartament, spotkanie z tymi zimnymi draniami skończyłoby się dla niego fatalnie. Po prostu tego wczesnego ranka miał fart – pokrzepił się myślą, że jeszcze nie nadeszła jego godzina. A może modlitwy Portorykanki odniosły skutek?

- Dzięki, Madonno! - westchnął z ulgą. Pomyślał, że powinien nosić na szyi medalik jak wtedy, kiedy był chłopcem.

Wysiadł z windy, pozostawiając za sobą martwe ciała. Siepacze z Filadelfii do mokrej roboty brali się zawsze we dwóch, więc nie obawiał się, że ktoś wygarnie do niego z broni przed bramą gmachu. O tak wczesnej porze dozorca nie było w kantorku, więc nikt nie widział, jak wychodzi. Dotarł do wozu zaparkowanego na sąsiedniej ulicy. Ulokował się za kierownicą, otarł pot z czoła, a potem zerknął na zegarek. Posiedział w bezruchu kilka minut, usiłując się jakoś pozbierać, bo zabijanie nie było przecież jego chlebem powszednim, a później ruszył z miejsca. Następnym punktem docelowym miał być dworzec lotniczy, lecz nie musiał się spieszyć. Czekał go start lecącego na Księżyc wahadłowca.

Coś mu mówiło, że powinien jeszcze wdepnąć do apartamentu Alice, ale doskonale wiedział, że nie był to dobry pomysł. Pomyślał, że trochę sobie pojeździ po mieście, by ochłonąć. Sunął arteriami Manhattanu, wspominał utraconą narzeczoną, z którą miał wkrótce wziąć ślub, żal ścisnął mu gardło. Nagle ujrzał przesłódką przyjaciółkę na rogu mijanej ulicy. - „Niemożliwe, to nie może być ona” - pomyślał, ale zabiło mu mocniej serce. Nacisnął na hamulec, gwałtownie się zatrzymał, zjeżdżając na pobocze, potem cofnął się wozem, mając za nic zasady ruchu drogowego. Nadal tam stała, nie

ruszając się miejsca. Niestety, nie przypominała przesłodkiej Alice, poza tym, że miała na sobie podobne ciuchy. Skrzywił się, pojmując z bólem, że przestaje panować nad rozhuśtanymi nerwami. A nie wolno mu było utracić nad sobą kontroli.

Ruszył dalej, włączył radio, łapiąc refleksyjną muzyczkę. Myślnami przeniósł się do laboratorium, w którym bystra panna Dupont prezentowała mu kreatywne możliwości z pozoru niewinnej alfy. Pogodził się jakoś z tym, że tego urządzenia obcych nie wykradnie z dobrze strzeżonego obiektu sił specjalnych. A przydałoby mu się na Lunie. Rozważał taką możliwość, leżąc przy ognisku w Central Parku i bezmyślnie wpatrując się w rozgwieżdżone niebo, ale uznał, że jest zbyt ryzykowna. Z Greimasem nie chciał się już kontaktować w tej sprawie.

- Alice, ty nie żyjesz - wbijał sobie do tępej głowy. - Odeszłaś na zawsze z tego świata - udzielał swemu ja jałowych pouczeń. Faktycznie, zamordowano ją i chcąc nie chcąc musiał pogodzić się z tą przykrą prawdą. Nie próbowano go oszukać, mówiąc o jej śmierci.

Po zejściu ukochanej, a następnie po zgonie starej Portorykanki poszerzyła się znacznie próżnia, którą odczuwał w sobie. Jedynie miła Arielle mogła ją teraz wypełnić - i całą uwagę skupił na oddanej mu młodziutkiej studentce z Paryża, która liczyła na to, że łysawy Amerykanin z Nowego Jorku odwzajemni jej rozczulającą szczenięcą miłość. Miał cichą nadzieję, że ta mała dotrze na drugą stronę Atlantyku, jak się z nią umówił, i że stanie się dla niego podporą w tym koszmarnym świecie, w którym wszystko nagle zaczęło się walić.

- Arielle - mruknął pod nosem, czując, że jej imię napawa go otuchą i przywraca wiarę w przyszłość. Było jak rozbłysk słońca na zasnutym szarymi chmurami niebie.

W przeciwieństwie do Alice ona mogła jeszcze okazać się mu bardzo pomocna.

W nietypowych sytuacjach korpulentny Gustavo Calvez radził sobie dużo lepiej od mniej doświadczonego Smitha. Zwłaszcza w takich, które wymagały podejmowania szybkich decyzji, nie mówiąc o stosowaniu wyrafinowanych mistyfikacji. W uniformie urzędnika pracującego w biurach lotniska znakomicie wtapiał się w tłum, a gdy podszedł do wygolonego fana muzyki buddyjskiej, odzianego w długą pomarańczową szatę i obwieszonego świecidełkami, ten w pierwszej chwili go nie poznał. Calvez pokazał mu trzymane w ręku papiery i kazał iść za sobą. John podążał za nim z wyrazem doskonałej obojętności na uduchowionej twarzy. Miał jednak nieprzepartą ochotę, by nadal dyskretnie rozglądać się za uroczą laską z Francji. Figlarna Paryżanka nie stawiała się o umówionej porze i technik tracił już nadzieję, że się w ogóle pojawi.

W biurze nie było właściwie nikogo, nie licząc szczupłego chłopaka, który zabawiał się przy komputerze. Wyglądał na gońca, jednego z tych, co roznosili korespondencję i gazety oraz odbierali zamówienia. Był odwrócony tyłem i Smithowi wpadła w oczy tylko jego dzinsowa cyklistówka, której nie ściągnął w zamkniętym pomieszczeniu.

John nie mógł ukryć wzruszenia, bo nie spodziewał się, że jeszcze kiedykolwiek ujrzy Calveza. Omal go nie uścisnął jak brata. Obecność tego anioła stróża podziałała na niego kojąco, miał bowiem na kogo przerzucić choć na chwilę brzemie ciężającej mu odpowiedzialności.

– I jak? Wszystko w porządku? – indagował go specjalista od pleśni z dorzecza Amazonki. – Udało ci się tu cało dotrzeć? Cało i zdrowo?

– Nie narzekam – odrzekł. – Uruchomiłem ten złowieszczy program. A przy okazji ukatrupiłem dwóch siepaczy z Filadelfii. Miałem niewiarygodne szczęście – wyznał.

– Czy to ktoś od nas, z sił specjalnych? – zapytał zaciekawiony Calvez, krytycznym okiem lustrując przebranie Smitha.

– Nie, nie od nas – odrzekł John. – Załatwiłem braci Todt –

pochwalił się z dumą. – Ale mam kłopot – zwrócił się do Calveza. – Arielle nie przyleciała, mimo że obiecała. Nie wiem, co się stało, może coś jej przeszkodziło?

Calvez nieoczekiwanie się roześmiał. Rozanielony zatarł dłonie, a Smith spoglądał na niego jak ostatni półgłówek, nie mogąc pojąć, co tego guru konspiracji tak bardzo rozbawiło.

– Coś takiego? Jest lepsza w te klocki niż sądzisz, otarła się o ciebie w poczekalni kilka razy.

– Bredzisz! Serio? Ona jest tutaj? – nie mógł ukryć zdumienia.

Goniec, który przycupnął za jego plecami, oderwał się wreszcie od komputera, zwracając się w stronę zdębiałego fana muzyki wschodniej.

– Niech Budda będzie z tobą! – zdobył się na pełen szacunku rytualny ukłon, składając pobożnie dłonie jak do modlitwy. Potem zdjął cyklistówkę, pozwalając, by rozsypały mu się wokół twarzy długie blond włosy.

– Arielle?! To ty? Nie ma co... – technik nie wierzył własnym oczom. – Ty psotnico! – Nigdy nie widział dziewczyny w takim stroju. No i bez śladu makijażu.

Dziewczyna cieszyła się, widząc, że udało się jej splatać figła. Zarzuciła mu ręce na ramiona, czule tuląc się do niego, radosna, rozpromieniona i szczęśliwa. W tym wieku lubi się błaznować. Roztkliwiony do łez, odwzajemnił powitanie. Czas przestał się nagle liczyć i odniósł wrażenie, że jakieś sprzyjające mu bóstwo gniewnie strąciło ze stołu tamtą klepsydrę, w której złowieszczo przesypywał się mialki piasek. Zabłysło znowu złote słońce, a obraz chichoczącej białej śmierci z kosą rozplynał się w jego jasnym świetle.

Calvezowi bardzo przypadło do gustu to powitanie, ale nie pozwolił im na długie czułości i pieszczoty. Miał swoje plany. Przypuszczalnie przewidywał jakieś komplikacje, których za wszelką cenę chciał uniknąć. Był przecież obytym agentem, a tacy nie pozwalali sobie na nieprzemysłane improwizacje. Z kieszeni marynarki wyjął plakietkę identyfikacyjną, cierpliwie

czekając, aż dziewczyna odklei się od Smitha.

- Nazywasz się teraz Alice Dupont - oznajmił, podając ten znaczek Arielle. - To na wypadek, gdyby w hali odlotów jakiś niewydarzony służbista przyczepił się do ciebie. Wejdziecie tam wprawdzie od tyłu, nie głównym korytarzem - objaśnił - ale nigdy nic nie wiadomo. Zostanę tu do momentu, gdy odprawę będziecie już mieć za sobą. Boże drogi! - westchnął ciężko. - Ileż to jeszcze potrwa?

Dziewczyna z powagą obejrzała kartę identyfikacyjną, przyglądając się wtopionej w plastik fotografii.

- Wiem już, kochany, że polecę z tobą na Księżyc - szepnęła Smithowi do ucha. - Zostałam zwerbowana przez służby specjalne

- wyjawiała z nieskrywanym podnieceniem.

John w popłochu zerknął na Calveza, nie pojmując, co tamten zrobił z tą młodą Paryżanką, ale grubas chyba tego nie zauważył. Nadal wydawał dyspozycje.

- Wątpię, czy ostatecznie pokonamy mutantów i czy odnieśliśmy spektakularny sukces - rzekł do technika, wydobywając z kieszeni służbowej marynarki spore etui. - Erich Greimas, nasz kochany Erich, najzwyczajniej pod słońcem wszystkich nas wykiwał - dobrze znał słabości dyrektora sił specjalnych. - Był ostrożny aż do przesady. A może nie umiał trafnie przewidzieć tego, co nastąpi? - zawahał się na krótką chwilę. - Ten zabójczy program, który uruchomiłeś, jest bardzo dobry, co tu dużo kryć, i został przygotowany przez profesjonalistę, ale jak się zorientowałem, ktoś go mocno okroił. Odczuwamy jego skutki, lecz nie wcześniej niż dopiero za jakieś dwa lub trzy dni. Może trochę później. Greimas wprowadził do niego coś w rodzaju... eee... *vacatio legis*. Musi się uprawomocnić - objawił z nieskrywanym z żalem. - Zatem dopiero gdy będziecie dolatywać do Srebrnego Globu, tu zacznie się piekło dla obcych. O ile dobrze odczytałem te dyspozycje, nasz świętej pamięci dyrektor zdecydował się ostatecznie - widać, miał skrupuły -

na eliminację tylko najstarszych mutantów. Pójdą pod nóż prawdopodobnie wszyscy po czterdziestce. Ilu ich zostanie po tej jatce, na razie trudno przewidzieć. Bo na pewno nie wszystkich uda się sprzątnąć.

Smith popadł w zadumę, słuchając Calveza.

– Więc mówisz, że to nie był pełny program?

Gustavo przytaknął, z odrobiną zazdrości spoglądając na technika.

– Cóż, dla ciebie to nawet lepiej, będziesz miał mniej zgryzot – dorzucił domyślnie. – Przecież osobiście nacisnąłeś spust. Nie będą ci się po nocach śnić umierające dzieci i ominie cię świadomość tego, że niczym się nie różnisz od okrutnego Heroda z Biblii.

Podał mu etui, jak daje się prezent przed podróżą.

– To dla mnie? – zdziwił się John. – Pewnie miniatura Statuy Wolności – pozwolił sobie na niewinny żart.

– Też coś, trzymają się ciebie dowcipy, otwórz i zobacz!

Kryjący się we wnętrzu podłużny przedmiot był owinięty w irchę.

– To alfa – szepnął technik z nabożnym podziwem. – Udało ci się ją stamtąd wyciągnąć? – błysnęły mu oczy. – Jesteś geniuszem.

Arielle przyjrzała się czemuś, co może i przypominało kształtem pilota tv, jednak nie miało żadnych widocznych przycisków.

– Co to jest? – zapytała takim tonem, jakby chodziło o niewiele znaczącą pamiątkę po dalekim krewnym. Może o mocno już zużytą i przepaloną fajkę po zmarłym dziadku?

Przeszył go nagły ból. Tam, w Europie, u podnóża Alp, bystra Alice łapała wszystko w pół słowa. To dla niej jak ostatni palant ryzykował w supermarkecie, chcąc odebrać maszkarom z kosmosu cudo techniki, o jakim na Ziemi nie można było nawet marzyć. To dla niej angażował się w nierówną walkę z obcymi, którzy niezauważalnie zagościli na planecie. Pragnął, by miała

udział w tych cichych bojach i w przyszłym sukcesie, na który liczył podświadomie. Dopiero teraz to wszystko pojął i ogarnęło go przytłaczające przygnębienie. Czynił to dla swojej bogini, lecz jej już nie było wśród żyjących. Tamto przeminęło z wiatrem, a czasu, który upłynął, nie dawało się cofnąć. Błysnęła mu myśl, że ta zdolna agentka chyba pozostawiła w niezwykłym narzędziu obcych jakąś część swojej duszy i to odkrycie przyniosło mu ulgę. Pieczołowicie zawiązał alnę w irchę i dokładnie zamknął etui.

Gustavo Calvez dostrzegł jego ból. Niezgrabnie objął więc Arielle, cmokając ją nieporadnie w czoło i tuląc jak córkę. Zwykle nie manifestował w ten sposób swych uczuć.

– Opiekuj się nią, proszę! – błagalnie zwrócił się do Smitha. Brzmiało to prawie jak testament. – Dbaj o nią, ona jest naprawdę z klasą...

Arielle była zmęczona po podróży, wrażeń miała aż nadto, więc w gruncie rzeczy nie orientowała się, o co właściwie chodzi nerwowo żegnającym się dżentelmenom, ale też nie było to dla niej szczególnie ważne. Stała obok supermana, którego całym sercem wybrała, a co więcej – miała się z nim właśnie udać w bardzo długą podróż. Po kobiecemu odgadywała, że nie będzie mógł z nią się rozstać – i jedynie to wydawało się mieć dla niej znaczenie. Nic innego się nie liczyło.

Dopadły go sprawy zawodowe i musiał polecieć do Paryża, a potem do Waszyngtonu, jednak zza Atlantyku powrócił do Aten, chcąc u wybrzeży Krety wykorzystać do końca przerwany urlop. Pogoda dopisywała i zaczynało mu się tam podobać. Na białym jachcie Adama Marcela niewiele się w tym czasie zmieniło. Przepadła gdzieś bez śladu piękna Alberta i trzy inne blondynki, ale zastąpiły je nowe dziewczyny, również o figurach modelek. Hill był Amerykaninem i nie czuł się wcale żabojadem, niemniej nie przeszkadzało mu to, że tryskające

energiją długonogie laski kojarzą go z Paryżem. Francuzi byli ponoć świetnymi kochankami, lecz on sam, zajęty pracą i niemający czasu na rozrywki, nie przypisywał sobie szczególnych talentów na tym polu.

Gdy znalazł się na pokładzie i przywitał się z przyjacielem, wpadła mu w oczy olśniewająco piękna Mulatka, jeden z nowych nabytków Adama. Przyjrzał się jej dokładniej, kiedy zszedł na lunch. Filując na nią, czuł się jak Casanova. Kogoś takiego brakowało mu do kompanii. Kiedy łapał jej spojrzenia, wciągał brzuch i starał się stworzyć pozory zabójczego faceta, na którego poleci każda zgrabna laska. Uzmysłowił sobie, że to jej fotkę oglądał przed kilkanaście dniami w kabinie krezusa i doszedł do wniosku, że powinien z miejsca zabrać się do rzeczy.

Zabójcza piękność odstawała jednak od reszty damskiego towarzystwa, wystając samotnie przy barierce i z uśmiechem Mony Lizy wpatrując się w morze, jakby była już z góry komuś przeznaczona. Ignorowała zachęcające spojrzenia Humberta, który chciał ją wciągnąć do figlarnej zabawy w ocienionej części górnego pokładu. Inne panienki z nim flirtowały, odgadując jego życzenia, tamta nie. Tego dnia na jachcie nie królował nikt poza Hillem, więc ten po dobrej godzinie zszedł urażony do kabiny przyjaciela, pragnąc się dowiedzieć, co się kryje za chłodem tej boskiej małej.

Adam Marcel szykował się właśnie do nurkowania w morzu i przeglądał przyniesione części ekwipunku. Uwielbiał podwodny relaks. Trzymał w rękach niewielką butlę tlenową. Była za mała, by umieszczać ją na plecach. Przypinało się ją do skórzanego paska wraz z wodoszczelną latarką i nożem.

- Może chciałbyś ze mną się zanurzyć? - zaproponował życzliwie, nie licząc w gruncie rzeczy na to, że jego kompan się zdecyduje. - Mam drugi podobny komplet. *Homo aquarius* to jest to...

Humberto skrzywił się z odrazą, jak stary okrętowy wyga, który unika wody jak może, natomiast chętnie sięga po rum i

inne mocne trunki.

- Coca- cola to jest to - zgryźliwie poprawił kumpla. - Ta Mulatka jest dla kogoś zarezerwowana? - zazgrzytał zębami, przełamując opory i pytając o to bez ogródek.

Na tamtym jego pytanie nie zrobiło żadnego wrażenia. Przywykł przecież do łatwych pańienek na pokładzie.

- Nie - odpowiedział smętnie. - Możesz ją brać, jak chcesz. A co się właściwie stało, że pytasz? - okazał ślad zainteresowania.

- Właściwie nic takiego, ale siedzi jak nadęta i nie chce włączyć się ani do rozmowy, ani do zabawy - poskarżył się Humberto.

Multimilioner wcisnął przycisk przy butli i założył na twarz maskę do oddychania. Wziął kilka głębokich wdechów.

- No, niezłe - mruknął z zadowoleniem. - Ot, przedszkole - skonstatował, odpowiadając Hillowi. - Wielka pani? Przesadzasz. Ona jest po prostu z innej agencji, w tym rzecz. Nie podrzucili jej z Aten, tylko z Istambułu, nie zna się z tamtymi, więc niby o czym będzie z nimi gadać. Powiedz jej, żeby zeszła z tobą do kabiny - doradził przyjacielowi. - Będziecie sam na sam, to od razu się rozkręci. Zrobi, co do niej należy...

To wyjaśnienie uspokoiło nerwowego Amerykanina. Spadł mu kamień z serca. Udobruchany przysiadł przy Adamie, z zaciekawieniem oglądając ekwipunek.

- Mon Dieu, pamiętam tę aferę z ludźmi delfinami - wzięło go naraz na wspomnienia. - Gdzie to było? Bodajże w Brazylii. Zlikwidowaliśmy wtedy świetnie wyposażone tajne laboratorium, w którym ochotnikom wszczepiano skrzela...

Adam syknął, hamując jego zapędy.

- Dość, znam tę przydługą historię! - próbował go ostudzić.

- Oj, stary, stary, wiesz, ile razy mi ją opowiadałeś? - zerknął na niego z udawanym współczuciem. - Jeżeli nie masz ochoty ze mną popływać, to nie truj mi pierdoł, tylko zajmij się tą czekoladową seksbombą. Czuję, że cię do niej rwie. Babka jest cacy. Szczerze mówiąc, sprowadziłem ją tutaj z myślą o tobie.

Pamiętam, że przeglądając zdjęcia, nie mogłeś oderwać od niej oczu. Pomyślałem, że ci sprawię miłą niespodziankę. Mam nadzieję, że uznasz to za udany prezent...

Hill nieco się zawstydził i nieumiejętnie próbował to ukryć, poufale klepiąc kompana po plecach, ale wypadło to zbyt protekcyjnie.

- Dbasz o mnie, trudno tego nie docenić - rzekł z odrobiną sarkazmu w głosie. - À propos... - nagle coś mu się przypomniało i ni stąd ni zowąd zmienił temat rozmowy. - Są sprawy poważniejsze. Czy zastanawiałeś się, kto zostanie po Greimasie nowym dyrektorem służb specjalnych? A może ja mógłbym objąć tę posadę?

Właściciel jachtu wzruszył obojętnie ramionami, nie okazując zainteresowania tą kwestią.

- Czemu nie? Jeśli już tak bardzo palisz się do tej roboty... - odchrząknął. - Możemy o tym pogadać przy drinku - obiecał mu. - Jednak nie wcześniej niż wieczorem... - zakończył. - Teraz się zmywam. Żywiół wzywa.

Inne dziewczyny gdzieś przepadły, ale świadoma swej niezwyklej urody Mulatka nie opuściła pokładu. Znudzona wyciągnęła się na leżaku, czekając na dalszy rozwój wypadków. Miał wrażenie, że ucieszyła się na jego widok.

- Jak masz na imię? - agent z Paryża uzmysłowił sobie, że ma arystokratyczne maniery, pochylił się i z kurtuazją złożył pocałunek na jej dłoni.

- Eurydyka - na jej pięknych ustach wykwitł nieśmiały uśmiech. Zdjęła okulary i zmrużyła oczy od słońca. Z gracją podniosła się, lepiej prezentując swoje wdzięki. Przeszło mu przez myśl, że za pomocą tego, co kryła pod skąpym strojem bikini, mogła z powodzeniem podbić cały męski świat. Niektóre kobiety to potrafiły.

Zebrał się na odwagę.

- Pofoglujemy? Pójdiesz do mnie?! - przemógł się i zapytał, jakkolwiek przez ułamek sekundy miał wrażenie, że ta nazbyt

śmiała propozycja nie przejdzie mu przez gardło.

Przytaknęła bez słowa, godząc się potulnie. Przepuścił ją na dół. Schodziła powoli, lekko kołysząc biodrami. Uzmysłowił sobie, że nigdy nie spotkał tak zmysłowej kobiety, a jej bliskość doprowadza go nieomal do szaleństwa. Wydawało mu się, że z tą rajską łaską nigdy nie dotrze do kajuty. A kiedy już się tam znaleźli i zatrzasnął za sobą drzwi, przestał się kontrolować. Zachęcająco odwróciła się do niego. Ogarnął ją ramionami i jak napalony młokos zdarł z niej przykusy biustonosz, uwalniając cudownie pełne piersi, zaś jego ciało przeszył nieopisany dreszcz rozkoszy.

Ze skrzyżowanymi nogami siedziała w mroku u jego stóp, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczyma. Jakby na to nie spojrzeć, nieczęsto się zdarzało, żeby ktoś wracał z innego układu gwiazdowego i snuł opowieść o tym, co tam widział. Bogiem a prawdą, było to właściwie niemożliwe.

– I co dalej? – zapytała dociekliwie, gdy zamilkł, wpatrując się w ciemność. Była do głębi przejęta jego niecodzienną relacją, nieporównywalną z niczym, co wcześniej słyszała.

Nie zapalił świateł w salonie. Jedynie na ścianie migotała maleńka, czerwona lampka, wydobywająca z mroku odrażającą maskę szamana z głębi Czarnego Lądu. Po płaskorzeźbie biegały chybotliwe cienie. Zabawnie przekrzywił głowę i naraz wydało mu się, że przeniósł się w czasie – stał się wędrownym trubadurem, który w zmurszałym zamczysku przy rozświetlających ciemność płonących w kominku drwach karmi wyobraźnię słuchaczy opowieściami o dalekich krainach, szarpiąc struny dźwięcznej harfy.

Rzucił okiem na Sophie. Niestety, w obcisłych dżinsach i skąpym topie na wąskich ramiączkach nie przypominała zasłuchanej księżniczki ze szlchetnego rodu. Zabawnie przewiązała sobie gęste włosy, które modnie jej sterczały na wszystkie strony.

Wrócił myślami do wyprawy na Alfę Centauri. Znowu zaczął opowiadać.

– Tak więc minęliśmy Proximę, chcąc lecieć na Tolimana A, ale jakaś dziwna siła wydawała się spychać nas w stronę pomarańczowego słońca – stłumionym głosem wtajemniczał laskę w szczegóły wyprawy. – Traciliśmy prędkość i momentami miałem duszę na ramieniu, bo bałem się tam ugrzęznąć na amen. I

to w dodatku nie sam. Obawiałem się, że skończy się paliwo, chociaż to przypuszczenie nie miało najmniejszego sensu. Albo że dotrzemy do granic, poza którymi kapsuła nie będzie już mogła się poruszać. Szczerze mówiąc, ogarniało mnie zniechęcenie. Diana też już psychicznie wysiadała, chociaż to ona przecież tak bardzo rwała się do tej podróży – cedził niespiesznie. – Wreszcie się przełamała i nieodwołalnie orzekła, że wracamy. A sama kierowała bolidem – błysnęły mu oczy. – Odważyła się i spróbowała. Ty byś też potrafiła – dorzucił obiecująco, widząc nagłą fascynację na jej twarzy. Znowu uniknął gdzieś myślami, lecz zaraz wrócił.

– Natrafiliśmy na kilka planet, ale takich jak nasz Merkury, bez atmosfery i śladów życia – ciągnął. – I pewnie na tym byśmy sprawę zamknęli i pofrunęli z powrotem do domu, gdyby nie to, że w ostatniej chwili wpadł mi do głowy fenomenalny pomysł. Nigdy bym nie przypuszczał... – z niedowierzaniem pokręcił głową.

Uśmiechnęła się łobuzersko. Bawiła się ściągniętą z ręki bransoletą. Na moment ujęła ją tak, jakby była kierownicą samochodu.

– Z reguły miewasz genialne pomysły – rzuciła zachęcająco, podnosząc na niego wzrok.

Nie próbował dociekać, czy bierze go pod włos, czy nie. Był zbyt przejęty tym, co przeżył.

– Uderzyła mnie myśl, że jestem kimś niezwykłym, aniołsem, a nie szarym człowiekiem. Ech, to tak łatwo się mówi! Ale czasami trzeba puścić wodze fantazji. Wydobyłem z zanadru plakietkę i zaktywizowałem ją z nadzieją, że może mi się to do czegoś przyda. I stało się jutro... – klarował składnie. – Z nagłą zabłysła i intensywnie się zajarzyła, czym napędziła strachu Dianie. Zmieniła barwę. Bolid ożył, dostał kopa i jak chart skoczył do przodu. Zwolniliśmy go ze smyczy. Chyba z identyfikatora odczytał trasę. Wierz mi, czuliśmy to, moc była z nami! Nie minęło kilka chwil i znaleźliśmy się w pobliżu

podobnego do naszego słońca.

Ależ rwaliśmy! Mon Dieu, cóż to było za tempo! – uciał, przeżywając w myślach sekundy szybkiego lotu.

– I co dalej? – ponagliła niecierpliwie, ciągnąc go za język. – Mówże!

– I dotarliśmy na miejsce... – zdania płynęły, pozwalając mu dojść do sedna. – Ta wyjątkowa planeta została utworzona z ogromnych kryształów. Imponujące przejrzyste ściany przenikały się, sięgając w głąb globu i tam niknąć. Myślę, że nie mogła powstać tak jak inne ciała niebieskie. Była... jakby to powiedzieć... dziełem natchnionego nieziemskiego architekta, który chciał wyrazić swój artystyczny zamysł. Przepiękna! Zbliżyliśmy się do niby- polis, a potem bolid zwolnił, łagodnie podpływając do jednej z ukośnych płaszczyzn, w której światło odbijało się jak na ścianach naszych wieżowców. I wtedy dojrzeliliśmy tamte istoty. W głębi toczyło się życie, trwał nieustający ruch, lecz oni przenosili się z miejsca na miejsce jak ludzie. Czynili to w okamgnieniu. Poruszali się lotem błyskawicy, znikając tu, pojawiając się tam...

– A jak wyglądali? – klęczała teraz i podparta na łokciach, z wypiekami na twarzy wpatrywała się w Pierre'a.

– Spokojnie, zaraz do tego dojdę – hamował jej zapędy. – Wszystko po kolei. Nie wiedzieliśmy z Dianą, co robić. Sterczeliśmy tam, bojąc się nawet drgnąć, a bolid łagodnie się kołysał, jakby go unosiły niewidzialne fale. Nagle jednak zajął się nami ktoś, kto doskonale wiedział, po co zapędziliśmy się w tamte strony. Jedna z tych istot podpłynęła do nas z silnym telepatycznym poleceniem, które nie mogło budzić wątpliwości. Chryste, co to był za wstrząs!...

– No więc, jak ona wyglądała? – bezskutecznie domagała się konkretów.

Z ekstazą spoglądał gdzieś w górę, jakby miał ją wciąż przed oczyma.

– Obcy był najprawdziwszym w świecie aniołem – zdradził jej

skupiony, przechodząc w szept. – Miał do dyspozycji potężne białe skrzydła i stwarzał wrażenie, że nie podlega prawu grawitacji. Wydawało się, że jednym ich ruchem jest w stanie wywołać kosmiczne tornado. Kiedy do nas podpłynął, przywiał ze sobą intensywny zapach słodkich kwiatów – tak cudowny, że w jednej chwili zapomnieliśmy o urokach Ziemi. Potem poczuliśmy jego bliskość. Emanował niezwykłą siłą i niewyobrażalną wręcz dobrocią, a jego ciepłe spojrzenie przeniknęło nas do głębi. Dotknął nas, nie dotykając, zagrał na strunach naszych dusz jak na tajemnych instrumentach, pobudzając do czegoś, czego nie umiem nazwać – wyższego, wysublimowanego, niemal boskiego. Następnie wyciągnął dłoń, kierując naszą uwagę ku odległemu ciału niebieskiemu, a z jego niby to efemerycznego ciała wytrysnął strumień rubinowej energii. Przez moment miałem przed oczyma ognisty miecz, pewnie taki sam jak pierwsi ludzie w raju. Pojęliśmy, że mamy udać się na planetę, która będzie nowym domem rodzaju ludzkiego...

Sophie pochyliła głowę, usiłując sobie uzmysłwić, co się naprawdę stało w układzie gwiazdnym, który Pierre odwiedził.

– Dotyk anioła – wyszeptała w nagłym olśnieniu. – Wygnanie i powrót. I co dalej?... Mów! – rozkazała.

Teraz już tylko obojętnie wzruszył ramionami. Wywnętrzył się przed nią i to mu wystarczało. Musiał się z kimś podzielić tym, co przeżył.

– Udaliśmy się tam niezwłocznie, żegnając oglądane z zachwytem kryształowe państwo- miasto – ciągnął nieco szybciej.

– Wydaje mi się, że nie my pierwsi na nie wpadliśmy. Chyba opisał je już święty Jan w Księdze Apokalipsy. Musiał je widzieć. A potem? Ta planeta, którą nam wskazał anioł, okazała się bardzo podobna do Ziemi. Ech, cudo! Może jest i mniejsza, ale ani chybi jej jądro jest bardziej masywne, bo to w sumie nie rzutuje na siłę ciężenia. Toliman A wygląda z niej jak nasze Słońce. Jest żółty i ciepło świeci. A na niebie znaczą się – jak na

marsjańskim – dwa księżyce. Ujrzelśmy je tuż przed zachodem. Oba były w nowiu, jeden prawie wielkości naszego, a drugi o połowę mniejszy. Są tam morza i lądy, tereny pustynne i pełne bujnej roślinności oraz różne strefy klimatyczne. Na biegunach widać czapy lodowców...

Podniosła się i usiadła tuż przy nim.

– To prawie jak cudowny sen. Musiałabym ujrzeć tę planetę na własne oczy i pooddychać jej powietrzem, żeby naprawdę uwierzyć.

Kiwnęła głową, biorąc ją delikatnie za rękę. Wydawało się, że chce policzyć jej wysmukłe palce.

– Pooddychać, żeby uwierzyć? – rozradowany pokazał jej zęby. – W czym rzecz? – powiedział. – Mogę cię tam zabrać, nawet dzisiaj. Miałem się tam właściwie wybrać późnym wieczorem, ale ty do mnie wpadłaś z wizytą, krzyżując mi plany.

Zaświeciły się jej oczy i zerwała się na równe nogi. Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

– Mówisz serio, najzupełniej serio? Nie chcesz mnie wykiwać? To wszystko takie nieprawdopodobne, wręcz... wysrane z palca...

Skrzywił się i unióśł brwi.

– Dlaczego miałbym robić z siebie durnia? Co bym osiągnął?

– I potem dodał ni w pięć ni w dziewięć, ciężko wzdychając: – Nie masz pojęcia, jaką rzadkością jest życie we wszechświecie...

Uważnie mu się przypatrywała, jakby chcąc się doszukać śladów pomieszania zmysłów. Nie znalazła ich, Pierre nie był świrem.

– Bombastycznie! Polecimy we dwójkę, bez Diany? – musiała się upewnić. – Jestem gotowa do drogi.

– Oczywiście, bez Diany – numerze trzysta osiemdziesiąty drugi. Tylko z tobą! – zadeklarował i nagle rozkosznie ziewnął.

– Ale najpierw musiałbym rzucić coś na ruszt – brutalnie sprowadził ją na ziemię. – Nie lubię być głodny, kiedy ruszam

na kosmiczne szlaki – powtórzył złotą myśl bohatera oglądanego serialu. – Nie szwendam się po Galaktyce bez wałowy i bez bab...

– Ty świntuchu!... – podsumowała go kpiąco i podekscytowana odeszła do kuchni. Tam nieoczekiwanie zamarła w ciemności, nie zapalając światła. Przez króciutką chwilę wydawało się chłopakowi, że wyparowała jakimś cudem z mieszkania i przepadła bez śladu. Powoli wróciła, wstrząśnięta mimowolnie dokonany odkryciem.

– Jeżeli oni są aniołami – rzekła z namysłem – to przecież już od dawna, od wielu wieków odwiedzali Ziemię, wcale się z tym nie kryjąc. Doradzali wybranym ludziom. Tyle tylko, że prawie nikt w ich istnienie nie wierzył.

Pierre zerknął na nią z uznaniem, uśmiechając się zagadkowo jak ktoś, kto znacznie wcześniej rozszyfrował nie tylko ten, ale i inne sekrety ezoterycznych obcych.

– Trafiaś w sedno. Tak właśnie jest. Chociaż, czy to takie zabawne? I czy dobrze świadczy o gatunku *Homo sapiens*? – oceniał ostrożnie. – Chyba nie. Bywamy jak ślepcy, szukamy po omacku gdzieś daleko. A to, co usiłujemy znaleźć, znajduje się często na wyciągnięcie ręki.

Płynęli nad znaczącą się błyskami światła i zasypiającą już o tej porze metropolią. Czas wydzierał z kalendarza jeszcze jedną kartkę. Z tej wysokości podświetlona od dołu wieża Eiffla wyglądała jak niewinna dziecięca zabawka. Gdy Sophie już nasyciła oczy wieczorną panoramą stolicy, pognął za odchodzącym Słońcem, niby kursowy boeing sunąc nad Atlantykiem, a następnie nad kontynentem północnoamerykańskim. Potem w świetle dnia wspiął się na orbitę okołoziemską. Z przeogromnej wysokości sprawy zagubionych w miejskich labiryntach mikroskopijnych ludzkich mrówek wydawały się błahe i mało znaczące.

Ruszyli w kosmos, ginąc w przepastnych próżniach, gdzie panowały temperatury bliskie zera absolutnego.

– Dlaczego nie odczuwamy przyspieszenia? – Sophie okazała się nad wyraz myślącą dziewczyną.

– Nie wiem – odparł z powagą. – Przy ich poziomie zaawansowania nauki przestrzeń jest czymś, co w podróży można prawie całkowicie zaniedbać, nie mówiąc już o tak trywialnych barierach jak jakaś tam... grawitacja. Ha, ha, ha! Albo prędkość światła. Albert Einstein pewnie przewróciłby się w grobie, gdyby o tym usłyszał. Ale to dopiero początek wyprawy, więc lepiej łap się fotela – doradził jej żartobliwie. – Polecimy na skróty, o ile można tak powiedzieć, na intuicyjny azymut, a przy tym z taką prędkością, z jaką poruszają się aniołowie.

Nie była pewna, czy mówi serio, czy nie, ale na wszelki wypadek przytrzymała się oparcie czarnego fotela.

– Nie trzeba zapiąć pasów? – zapytała figlarnie.

Nie odpowiedział, napinając mięśnie i koncentrując całą uwagę na locie. Autostrada do gwiazd, o ile taka istniała, była całkowicie niewidoczna. Wszechświat nagle drgnął w posadach i błyskawicznie przesunął się o kilka lat świetlnych, zaś tuż przed nimi gwałtownie wyrosło żółte słońce.

– Ufiff! Udało się, koniec podróży – wysapał. – Oto Toliman A, wprost przed nami – wyrzucił z siebie, strasznie przejęty. – To praktycznie biorąc prędkość nieskończona. Widzisz? – usadowił się wygodniej w fotelu. – Cztery lata świetlne w ciągu kilku sekund. Czy ktoś na naszej staruszce Ziemi jest w stanie to sobie wyobrazić? Z pozoru niemożliwe, a jednocześnie najzupełniej realne. I w pełni wykonalne – chwalił się, rozradowany, że ma komu zaprezentować siłę ciągu niepozornego statku kosmicznego.

Znaleźli się na orbicie i dziewczyna nie mogła uwierzyć własnym oczom. Pod jej stopami rysowała się tętniąca życiem planeta, podobna do tej, którą opuścili, jednak faktycznie ociupinkę mniejsza i z obcą linią kontynentów.

Pokazał dziewczynie księżyc.

- Ten większy nazwę Dianą, a mniejszy pewnie ochrzczę twoim imieniem - zaproponował chełpliwie.

Była zbyt zaaferowana tym, co widziała w dole, między skupiskami obłoków i chmur, by szukać w myślach riposty. Opadał łagodnie, płynąc nad oceanem ku widocznemu na horyzoncie lądowi, jak schodzący do lądowania wahadłowiec.

- Czy wyjdziemy z tej kapsuły? - zapytała. - Można oddychać tym powietrzem?

Potwierdził ruchem głowy, zajmując się nawigacją.

- Pokażę ci miejsce, które znalazłem - rzekł. - Tam będziemy mieszkać. Oni już wszystko starannie przygotowali, ba, zapiepli na ostatni guzik.

Niewielkie osiedle przycupnęło na skraju wielkiej wyspy, którą pokrywał sięgający wysoko w skaliste góry tropikalny las. Mieściło się ono w prześlicznej zatoczce tuż nad lazurowym morzem. Wyglądało malowniczo, jakby żywcem wycięte z foldera, reklamującego wczasy na Pacyfiku. Pod pewnymi względami przypominało okrzyczane i modne na Zachodzie skanseny luksusu, ekologiczne wioski, tworzone dla najzamożniejszych obywateli, znużonych życiem w męczących i zatłoczonych metropoliach.

Osadził kokon przy stylizowanych na prymitywne chaty murzyńskie parterowych sadybach. Wszechwładna dżungla wychodziła naprzeciw morzu, życzliwie ocieniając wąskie plaże. Podał modelce rękę, pomagając pokonać niewidoczny próg pojazdu. Ucałowała piasek z powagą i czcią jak papież w czasie swoich podróży apostołskich. Chłopaka nieco zdziwił ten gest, mający w sobie coś z archaicznego rytu. Docierało jednak do niego, co może czuć i przeżywać Sophie, której nikt wcześniej nie przygotował do takich rewelacji. Pomachał ręką ku ptakom, które zerwały się z drzew.

- Wiesz? - rzekła, oddychając pełną piersią i rozglądając się ciekawie dokoła. - Mimo że dzieli nas aż dziewiętnaście

numerów, możemy zostać przyjaciółmi. Na zawsze.

Nie odpowiedział.

- W której chacie będziesz mieszkać? - zawołał. - Ja w tej - pokazał jej narożną, nieco większą od pozostałych. A potem pognął przed siebie.

Roześmiała się i pobiegła za nim, zrzucając po drodze pantofle.

- Ja w tej następnej, tuż obok! - krzyknęła.

Dogoniła go na skraju dżungli, w której mieszały się odgłosy nieznanymi ptaków z szumem owadów i popiskiwaniami małych gryzoni. Zagłębili się ostrożnie w zarośla, trafiając na duże paprocie. Umknął im sprzed nóg niewielki jaszczur.

- Tu jest trochę tak, jak na Ziemi przed wieloma milionami lat - orzekła. - Może się mylę, a może nie. Przyjrzyj się kwiatom

- pokazała mu. - No i tym liściom - zerwała jeden, oglądając z obu stron. - Ta roślinność robi wrażenie jurajskiej.

- Zabawne - powiedział. - Już poprzednio nasunął mi się podobny wniosek. Chodziła mi po głowie absurdalna hipoteza, ta mianowicie, że nasza Ziemia i ta planeta miały kiedyś wiele wspólnego, a potem je rozdzielono, pozwalając, by na każdej ewolucja poszła w swoją stronę - zamilkł. - Może są tu dinozaury albo to, co z nich zostało w wyniku wielu milionów lat rozwoju?

Sophie rozejrzała się niepewnie wokół siebie.

- Lepiej głębiej nie wchodźmy - szepnęła. - Jeżeli to jest park jurajski, wpadniemy na jakieś mięsożerne gady. Nie ryzykujemy.

Wycofali się na plażę, gdzie poczucie zagrożenia szybko ich opuściło. Świeciło słońce, a przemywająca piasek łagodna bryza zachęcała do morskiej kąpieli.

- Zajrzemy do tych ślicznych domków? - zapytał.

Chętnie się zgodziła, licząc na to, że ujrzy tam znowu coś rewelacyjnego. Pobiegła pierwsza i zniknęła w drzwiach chaty. Chłopak skwapliwie pognął za nią.

Wywierala na niego zbawienny wpływ, uwalniając go spod władzy ponurych jak czarne pająki myśli, które go nawiedzały nocami, nie pozwalając mu zasnąć. Spędził w jej towarzystwie dwa udane dni, nie mówiąc o upajających nocach. Włóczył się z nią po starych uliczkach Iraklionu, otarł się o kafejki przy Platia Eleftherias, zaciągnął ją do sąsiadujących z placem okolicznych sklepów, pozwalając, by wybrała sobie coś z damskiej biżuterii, powiódł ją do dostarczającego mnóstwa wrażeń Muzeum Archeologicznego i wreszcie pokazał wykopaliska w Knossos. Błąkał się z nią niby w labiryncie po rumach pałacu królewskiego. Przy okazji popisował się swoją wiedzą historyczną, wprowadzając Eurydykę w sekrety kultu byka, symbolu urodzaju i płodności. Przed trzema tysiącami lat Minojczycy tworzyli tutaj wysoko rozwiniętą społeczność. Późniejsze dzieje wyspy były równie ciekawe, jednak nie udało mu się namówić Adama, by wyciągnął kotwicę i skierował jacht w stronę Rhetimnonu. Oprócz fortów chciał tam pokazać dziewczynie stare dzielnice z licznymi śladami nie tylko weneckimi, lecz i tureckimi. Panienska była zasłuchana, on zaś – zapatrzony w nią i zakochany po uszy. Myślami niekiedy go opuszczała, odbiegając ku nieznanym mu osobom i odległym miejscom, ale tym się nie przejmował, gdyż dodawało jej to uroku. Czerwona, krótka sukienka Eurydyki współgrała z intensywnymi w barwie kolumnami królewskiego pałacu – i odniósł tam wrażenie, że w magiczny sposób przeniosła się ona z zamierzchłej epoki do współczesnej mu, lekceważącej mity cywilizacji. Może jak Ariadna tkala nić, która miała go wyprowadzić z błędnego koła urojeń i złudzeń? Chociaż wiedział, jaki zawód wykonywała, wydawało mu się, że jest dla niego symbolem tego, co najtrwalsze – prawdziwej i szczerzej miłości, zdolnej przetrwać grób. Był starym capem i nie dostrzegał tego, że w mig go omotała i dokumentnie przewróciła mu w głowie.

Słońce pięło się po niebie, jacht łagodnie się kołysał, poddając

się poruszeniom drobnych fal. Ponad głowami krążyło kilka kolorowych lotni, zaś wyciągnięty na pokładzie Humberto usilnie główkował nad tym, co zrobić, żeby jego urlop tak szybko się nie skończył. Nie miał zamiaru rozstawać się z Eurydyką. Adam Marcel był ukontentowany tym, że ściągnięta z Istambułu kurtyzana zajęła się jak należy terapią przyjaciela, a wolny czas, w którym Hill nie zawracał mu głowy, wykorzystywał na swoje sprawy. Ostatnio co rusz debatował z nowymi partnerami z Kairu. Jednak agent ewidentnie przesadzał, adorując panienkę lekkich obyczajów jak szykujący się do oświadczyn młokos. Wpadło to Adamowi w oczy, niemniej było jeszcze za wcześnie, by wkraczać do akcji i uświadamiać kompanowi, że nie należało traktować jej jak panny do wzięcia lub wielkiej damy. Jednakże tego przedpołudnia mniej istotne sprawy odpłynęły na plan dalszy. Doszło bowiem do czegoś niepokojącego, co prawie wszyscy intuicyjnie wyczuli, a zła wiadomość, która znienacka nadfrunęła jak gniewny elf, sprawiła, że na barometrze dobrego samopoczucia słupek rtęci poleciał w dół.

Krezus spotkał się z Hillem na górnym pokładzie. Adam był osowiały i w pierwszej chwili Humberto przypisał to przepracowaniu. Powinien był ściągnąć z pleców tę białą koszulę. Nie należało wysiadywać za długo przy komputerze – zwłaszcza gdy w pobliżu wyraźnie się nudziły wprost stworzone do uciech piękności. Miał mu to żartobliwie wypomnieć, ale w mig się zorientował, że w grę wchodzi coś znacznie poważniejszego.

– Krach na giełdzie? – zapytał.

Adam przecząco pokręcił głową. Miał ochotę podzielić się z Hillem tym, co go gnębiło, lecz raptem doszedł do wniosku, że nie powinien psuć kumpłowi dobrego humoru.

– Wybierasz się gdzieś dzisiaj? – zainteresował się jego planami na przedpołudnie, ale myślami był wyraźnie gdzie indziej.

– Tylko do starego Heraklionu – uspokoił go Humberto. Cią-

gnęło go wprowadzie do Eurydyki, by nadal snuć jej opowieść o dziejach weneckich kupców, lecz poczucie solidarności z Adamem zwyciężyło. – Chcesz pogadać? – zapytał. – Mam jeszcze czas.

Zeszli na dół do kajuty, pełniące rolę gabinetu. Adam Marcel przysiadł na obrotowym krześle i zaczął nerwowo bębnić palcami po blacie biurka.

– Widzisz, stary, smutna prawda jest taka, że szlag trafił wszystko, co osiągnąłem – wyznał szczerze przyjacielowi. – Dwadzieścia lat harówki poszło na marne.

Humberto nadal niczego nie rozumiał.

– Niemożliwe! A co dokładnie się stało?

Na czole Adama znaczyły się zmarszczki.

– Zawaliłem z porządkami na górze – przyznał się bez bicia. – Udało mi się sprzątnąć Ericha Greimasa i całą tę zgraję, która się nami zajmowała, ale coś tam przeoczyłem. I jeden palant nam umknął.

Hill wzruszył obojętnie ramionami i włożył ręce do kieszeni szortów.

– Tylko jeden? Zatem w czym rzecz?

Krezus dokończył podjętą myśl.

– Dał dyla i uruchomił drań jakiś program kasacyjny. Skurwysyny, bardzo dobrze się przygotowali do konfrontacji. Wiem tylko, że jeżeli jeszcze dzisiaj nie schronimy się gdzieś w jakiejś mysiej dziurze, spece od mokrej roboty zajmą się jutro nami i wyślą nas na tamten świat.

Hilla zamurowało.

– Jak nazywa się ten dupek?

– To John Smith z Nowego Jorku, facet koło pięćdziesiątki. Znasz go, bo ostatnio z nim współpracowałeś – podkreślił Adam.

– Ten? Nie robił wrażenia specjalnie rozgarniętego. Leci teraz na Księżyc, o ile się nie mylę. Albo już tam wylądował. A jak mu się udało uciec? – Hill przeżywał prawdziwą udrękę.

– Wyobraź sobie, że zabił braci Todt.

Kompanowi nie chciało się wierzyć.

– Załatwił ich?! Wredny typ. Przecież byli najlepsi w swoim fachu. I co teraz? – spojrzał błagalnie na przyjaciela.

Krezus miał jeszcze inne złe wieści i sypał je jak z puszki Pandory.

– To bynajmniej nie koniec. Otrzymałem z Watykanu polecenie, zgodnie z którym dzisiaj do północy musimy się wszyscy znaleźć w Paryżu u Raffaella w gmachu inicjacji. Podobno na zawsze opuszczamy Ziemię – to ostatnie zdanie mocno zaakcentował.

Hill wstał i zaniemówił, omal nie zamieniając się w słup soli. To, co usłyszał, nie mieściło mu się w głowie.

– Ależ to brednie – wybuchnął. – Czysty absurd. Ktoś chciał się nieudolnie zabawić naszym kosztem czy co?

Szybko jednak się opanował. Posiedzieli jeszcze chwilę, a potem opuścili kabinę, w której zdawało się brakować im powietrza.

– I co? Podporządkujesz się temu idiotycznemu zarządzeniu?

– zapytał zgryźliwie Humberto.

Adam Marcel spojrzał na niego prawie nienawistnie.

– A mam wybór? Muszę! – warknął. – Ale jeżeli ktoś sobie z nas zakpił... – nie dokończył groźby. – O czternastej przyleci po nas śmigłowiec. Masz być gotowy.

– Udany ten mój urlop – mruknął Hill z nutą zawodu w głosie. Nagle zaświeciły mu się oczy. – To jeszcze zdążę ostatni raz wybrać się z Eurydyką do Heraklionu – stwierdził uradowany.

– Coś mi się przecież należy od życia.

Gdy odpływał motorówką na brzeg, Adam Marcel kiwał mu ręką na pożegnanie. Jakaś niepokojąca myśl drążyła wciąż jego umysł, nie pozwalając zepchnąć się do podświadomości, więc wrócił na dół i zasiadł przed komputerem. Kręcił młynka palcami, mruzczał do siebie i w skupieniu medytował. Wreszcie pojął, co się stało. Sięgnął po leżący obok wydruk i przejrzał

jeszcze raz naniesione dane.

- No, tak - mruknął do siebie, sumując w myślach liczby. - Terminy. Ter- mi- ny! - gwałtownie się zerwał. - Co za gówniarze, popieprzyło im się z godziną zero. To nie jutro, to dzisiaj, do jasnej cholery!

Niebywale podniecony utknął na środku gabinetu z założonymi rękoma, siłując się z myślami, które opadły go z wszystkich stron. Potem szybko podjął decyzję. Przez wewnętrzną sieć wezwał do siebie kapitana, a gdy ten się pojawił, wydał mu cicho kilka poleceń. Zaraz za nim wyszedł na pokład, zatrzymując się na dziobie i biorąc do ręki koło ratunkowe. Podejrzliwie rozglądał się po morzu i po niebie, nic jednak niepokojącego nie rzuciło mu się w oczy.

Kapitan dotarł do niego po kwadransie.

- Znalazłem - powiedział. - W kajucie tej jebanej Mulatki!

Marcel zacisnął pięści w niemym gniewie.

- I dlaczego pozwoliłem temu głupkowi popłynąć z nią na ląd? - pluł sobie teraz w brodę, ale było już za późno na interwencję.

Zszedł za brodatym Grekiem w podkoszulce w paski, zatrzymując się przed jedną z gościnnych klitek. Osobiste rzeczy seksbomby z Istambułu były porozrzucane. Na małym stoliczku leżały wyjęte z jej torby podróźnej zgrabnie połączone ładunki wybuchowe i zapalniki. Bardziej jednak zaniepokoił multimilionera podejrzenie wyglądający zestaw medyczny, w którym brakowało jednej fiolki i maleńkiej strzykawki.

- Od kiedy ona to ma? - zapytał.

- Pewnie od wczoraj, bo ktoś jej podrzucił z wyspy jakąś paczkę.

- Czym prędzej telefonuj na ląd do Hilla! - rzucił do Greka. - Każ mu natychmiast wracać. I to koniecznie bez tej dziewczyny.

Komórka Humberta jednak nie odpowiadała. Przez chwilę zagłądali sobie pytająco w oczy, związani od lat i świadomi niebezpieczeństw, których wspólnie udało im się uniknąć.

Wsluchiwali się w złowróżbną ciszę. Wdarły się w nią nagle wysokie tony silnika powracającej z portu motorówki.

– Jest wreszcie, łap ją i płyń tam! – rozkazał Marcel. – I przywieź go. Oby całego i żywego!

Gdy brodaty Grek odpłynął, multimilioner zamknął się znowu w gabinecie. Połączył się z Watykanem, rozmawiając przez dobrą minutę z osobistym sekretarzem kardynała Austina, następnie zaś z kimś innym w Waszyngtonie, a potem zastygł w bezruchu. Oczy miał niby to sennie przymknięte, wszakże wszystkimi zmysłami usiłował przeniknąć otaczający go świat, szukając zagrożenia. Rozumiał aż nadto dobrze, że przestał być myśliwym, a przeistoczył się w ściganą zwierzynę, która w każdej chwili mogła stać się ofiarą ukrytego w mroku siepacza. Ocknął się, gdy usłyszał odgłosy zbliżającej się motorówki. Zabrał broń, włożył ją za pas i wyszedł na pokład.

Brodaty Grek wracał, ale bez Humberta Hilla. Zamiast niego targał ze sobą piękność z Istambułu. Przybił do burty, każąc jej wejść na jacht. Potulna jak jagnię Eurydyka robiła minę niewiniątka, jednak kapitan Manolis nie certolił się z nią. Gdy znalazła się na pokładzie, złapał ją i brutalnie pchnął przed siebie, każąc jej się położyć twarzą w dół. Otworzył swą potężną dłoń, pokazując Adamowi zgniecioną strzykawkę i resztki zużytej fiołki.

– Gdzie Humberto?

Eurydyka odwróciła twarz.

– Miał zawał – tłumaczyła się rozpaczliwie. – Próbowałam go ratować, wstrzykując mu to serum. Przecież to środek wzmacniający.

Krezus sarkastycznie się roześmiał.

– Angelosi nie umierają na serce – drwiąco wyrzucił z siebie.

– Z premedytacją go zabiłaś! – w jego głosie zabrzmiały groźne nuty. – I zamierzałaś wysadzić jacht w powietrze.

Pojeła, że przegrała, i odwróciła się z godnością do Adama Marcela. Jej kształtne piersi, doprowadzające facetów do

obłądu, wydawały się gwarancją nietykalności.

- Ty szowinistyczna męska Świnio, możemy zawrzeć umowę
- syknęła nienawistnie. - Podałam ci w drinku syntetyczną neurotoksynę, zdechniesz, jeżeli nie dostaniesz odtrutki, a tylko ja wiem, jak ją zdobyć.

Multimilioner był górą, nie wierzył w takie brednie.

- Łziesz jak najęta! - zaśmiał się ponuro. - Zaryzykuję. Skończysz jak żmija.

Podniósł broń, celując między jej wystraszone oczy. Strzał był krótki i suchy. Podstępna morderczyni poderwała się, jakby chcąc zatrzymać ulatujące z niej życie, a potem bezsilnie opadła na pokład, nieruchomiejąc w objęciach wiecznego snu. Cóż, okazała się śmiertelna i podobnie jak jej mityczna imienniczka musiała trafić tam, gdzie ślepy los przeznaczył jej miejsce, czyli do ponurego Hadesu, z którego nawet sam Orfeusz - choćby nie wiadomo jak się starał - nie byłby w stanie jej wyprowadzić.

Pochylił się nad jej ciałem. Eurydyka nawet po śmierci była piękna. Tylko otwór po kuli szpecił jej czoło.

- W nic nie wierzę, nie mam na nic nadziei, jestem wolny

- wymamrotał z ironią, przywołując epitafium z grobu Nikosa Kazantzakisa, autora *Greka Zorby*. Mauzoleum tego wybitnego Kreteńczyka znajdowało się na południu Iraklionu. A potem dodał z niezwykłą dla niego melancholią, skupiając myśli na tym, co go jeszcze czekało: - Ależ się urządziliśmy, masz ci los!.. - Rozejrzał się, lustrując badawczo morze z obu stron jachtu. Nic się w pobliżu nie kołysało. Wreszcie spojrzął spode łba na stojącego z boku brodatego kapitana. - Trzeba posprzątać - poleciał mu chmurnie. - Tamte z dołu nie mogą jej zobaczyć. Sam zresztą wiesz dlaczego...

Lewą rękę ostrożnie dźwigał na temblaku i chociaż chwilami aż sykał z bólu, starał się, by jego myśli koło niej nie krążyły. Nie poruszał palcami. W okropnym dniu, w którym triumfowali zaślepieni nienawiścią szaleńcy, to, co mu się przed południem przytrafiło, nie wydawało się rzeczą godną uwagi. Trwał wyścig z czasem. Groźne ołowiane chmury zasnuły niebiosy, posępnie zagrzmiało i na wybranych wylała się raptem czasza gniewu Bożego. I to właśnie wtedy, kiedy mieli już pożegnać tę planetę i raz na zawsze ją opuścić. Rana postrzałowa okazała się zresztą powierzchowna i w mig mu ją opatrzył dopiero co przybyły z Gandawy łysawy chirurg z numerem sto siedemdziesiątym dziewiątym. Ten powolny facio dobrze utkwiał mu w pamięci. Był przed laty wątlwym młodzianem z nadszarpniętą wiarą w siebie, mylnie przeświadczonym, że nie przebrnie przez wymagające studia medyczne i Raffaello musiał się zdrowo przyłożyć, żeby chłopak wziął się w garść i podjął to wyzwanie. Specjalista skorzystał z dobrze zaopatrzonej apteczki, którą Montini zapobiegliwie przechowywał w gabinecie, jednak dziwnym trafem zapomniał o środku przeciwbólowym. Kula zamachowca prześlizgnęła się poniżej łokcia, gdy numer czwarty wspinał się po zmurszałych schodach gmachu inicjacji, ale szczęściem nie naruszyła kości przedramienia. Skulony za karoserią zaparkowanego wozu snajper widocznie nie był pewny jego tożsamości – i dlatego tak długo zwlekał z oddaniem strzału. Gdyby nie to, bezsprzecznie pożegnałby się z życiem. Tamtemu draniowi nie udało się wykorzystać momentu zaskoczenia, więc nie miał na co czekać. Spiesznie wskoczył do czarnego volvo i ze wściekłym piskiem opon odjechał, ginąc w głębi ulicy. Kuśtykający starzec był już zresztą w drzwiach,

schodząc mu z oczu.

– To stało się tak szybko, Boże wielki, co za pech... – ciężko westchnął, nie mogąc jeszcze wyjść z szoku. – Jednak los okazał się dla mnie nad wyraz łaskawy – usiłował się pocieszyć, mamrocząc pod nosem. – I może nadal taki będzie.

Przydawała mu się cierpliwie trenowana przez lata umiejętność perfekcyjnego wtapiania się w uliczny tłum. Odziany byle jak, szary i nijaki, pochylony i lekko utykający na jedną nogę, niknął wśród przypadkowych przechodniów, zlewając się z ludzką masą na trotuarze lub w wagoniku kolei podziemnej. Trudno go było wyłuskać wzrokiem. Stwarzał wrażenie egzystującego na krawędzi, zgaszonego paryżanina, który utrzymując się z mniej niż skromnej emerytury, dożywa ostatnich lat bez nadziei na poprawę swego losu. Cóż, należał do tych spośród wybranych, którzy starali się zachować daleko posuniętą ostrożność. Przewrotny zawsze ubezpieczony! Dmuchał na zimne i nie lękał się pod tym względem przesady. Pamiętał o tym, że z racji zadań w tajemnej współpracy i związanej z nimi ogromnej odpowiedzialności nie powinien postronnym rzucać się w oczy. A przecież mógł szastać pieniędzmi, zajmować wykwintną willę na przedmieściach, służyć się w najdroższych restauracjach, wysiadywać w kasynach gry, szukać pocieszenia w ramionach łatwych kobiet, a do gmachu inicjacji dojeżdżać luksusową limuzyną z prywatnym kierowcą.

– Pożądliwość oczu, pożądliwość ciała i pycha tego żywota... – skonstatował, znowu sykając, bo niechcący szarpnął ręką, zapominając na moment, że przez jakiś czas nie będzie mógł nią podnieść nawet zapalki.

Był chyba jedynym w tym wyjątkowym na Ziemi towarzystwie, który zdawał sobie sprawę z tego, do czego mogą doprowadzić mafijne porachunki między zapatrzonymi w siebie wpływowymi angelosami a działającymi skrycie agentami służb wywiadowczych.

Zazwyczaj wcześniej od innych wyczuwał zagrożenie, jednak jego ostrzeżenia rzadko kiedy wywoływały pożądany skutek. Kto w tym szacownym gronie słuchałby rad i pouczeń starego pryka? Duży szmal przewracał wielu wybranym w głowie, dając im złudne poczucie bezpieczeństwa. Obchodzili go gówniarze i czuwał nad nimi, więc uważano, że w głębi ducha jest do nich podobny, łatwowierny i prostoduszny, bezkrytyczny i naiwny, a tacy nie mieli większego wpływu na strategię działania i najważniejsze decyzje, zapadające w zaciszach luksusowych gabinetów i na pokładach zbyt licznych jachtów. Lekceważono jego sugestie i lekkomyślnie przechodzono nad nimi do porządku dziennego. Ignorowano jego doświadczenie i wiedzę, mimowolnie zakładając, że nie warto słuchać fajtłapy, który nie umie korzystać z życia. I stało się! Otworzyła się puszka Pandory. Nieprzemyślany zamach na dyrektora generalnego Ericha Greimasa i jego najbliższych współpracowników wywołał nieobliczalną w skutkach reakcję łańcuchową. A przecież jeśli miało się odrobinę oleju w głowie, to pewnych granic się nie przekraczało. Trzeba było znać naturę ludzką i targające nią sprzeczności. Komu była potrzebna ta konfrontacja? Groźna lawina zniecka się osunęła, pochłaniając multum niewinnych ofiar. Sam znalazł się wśród poturbowanych.

- Odwieczne prawo zemsty - mruknął powściągliwie. - Starannie wyreżyserowany krwawy odwet. Nigdy na tym podłym globie nie było inaczej. Naruszono niepisany pakt o nieagresji i ruszyła jak monstrualny walec nienawistna maszyna do zabijania, stojących na jej drodze wgniatając w ziemię. Ci, którzy podzielali jego punkt widzenia i pedantycznie się zabezpieczyli, uniknęli zgubnego spotkania ze śmiercią. Umknęli siepaczom. Mniej ostrożnym to nie było dane, a biała pani z dojmującym chłodem zajrzała im w oczy.

Póki co nikt go nie potrzebował i nie wzywał, więc samotnie sterczał przy oknie, ostrożnie wyzierając na ulicę i z głębokim

żalem sumując w myślach mijający dzień. Minęło późne popołudnie i miało się ku zachodowi. Pamiętna godzina zero przypadła między dziesiątą a czternastą, licząc według czasu zachodnioeuropejskiego, a rozszalałe demony śmierci zebrały obfite żniwo.

– *Requiem aeternam dona eis, Domine, et lux perpetua luceat eis*²² – wyszeptały jego zbieleńsze wargi. Litania cichych słów popłynęła. Tych, którzy odeszli, należało wesprzeć żarliwą modlitwą.

Sekretarz generalny ONZ, który wczesnym rankiem przyleciał śmigłowcem z Waszyngtonu do Nowego Jorku, zginął na lotnisku w następstwie wybuchu czarnej rządowej limuzyny. Nie powiódł się zamach na kardynała Austina, ale uparta kostucha dosięgła jego asystenta, który w kardynalskiej purpurze wyszedł do nawy świątynnej. Był bardzo podobny do swojego zwierzchnika i strzelec wyborowy pomylił go z ofiarą, bezbłędnie trafiając w środek czoła. Richard Shaull, ornitolog z Amsterdamu, zatrzał się środkiem do tępienia owadów i dogorywał w klinice bez szans na powrót do zdrowia. Issak Maury, prezenter telewizyjny z Waszyngtonu, został zabrany ze studia z przetrąconym kręgosłupem. Nieoczekiwanie spadło na niego rusztowanie. Humberta Hilla wykończyła w Iraklio prostytutka, podająca mu gwałtownie działającą truciznę. Lista niby to wypadków była długa i ciągnęła się za nią lista zgonów.

– *Requiem aeternam...* – powtórzył ze smutkiem.

Zatrudniono do mokrej roboty najlepszych fachowców z tej branży. Ten, kto z zimną krwią zaplanował wszystkie zabójstwa, musiał świetnie się orientować w umiejętnościach strzelców wyborowych, bowiem zlecenia mordów nie stwarzały wrażenia przypadkowych. Perfidny drań doskonale wiedział, kogo komu podać na tacy i rozegrał ten diaboliczny mecz z niedosięgniętą wirtuozerią. Agent, który krył się za tak dopracowaną i skuteczną akcją, zasługiwał na miano znakomitego stratega. Któż to był? Tego Raffaello nie umiał

dociec. Chodziły mu po głowie różne ksywy, imiona i nazwiska, ale krzywił się przy nich i kolejno je odrzucał. Całe popołudnie bombardowano go straszliwymi rewelacjami i nie dziwił się, że do Paryża zdołała dotrzeć znikoma część dorosłych angelosów. Straszliwie przetrzebiono wspólnotę, pozbawiając ją czołowych postaci. Przy życiu pozostali głównie ci, którzy nie mieli jeszcze czterdziestki, a dotąd kryli się w cieniu, nie angażując się w życie polityczne i nie pchając się na świecznik. Rozlokowani teraz w pomieszczeniach klubowych, niespokojnie czekali na to, co dla nich przewidziano. Maruderzy mieli czas do północy na dotarcie do punktu zero.

Jakimś cudem siepacze oszczędzili wyrostków i nikt nie podniósł ręki na najmłodsze latorośle. Nie zaplanowano też terrorystycznego ataku na gmach wtajemniczenia, pewnie nie doceniając roli tego niezwykłego miejsca. Raffaello kiwał w zadumie głową, krążąc myślami wokół rozkosznych pociech, rozmieszczonych u z pozoru naturalnych rodziców. Te maluchy miały w przyszłości przejść inicjację. Obserwował je dyskretnie, z dystansu, śledząc ich losy, a wykorzystując rozległe koneksje w miarę potrzeby usuwał spod ich stóp niespodziewane przeszkody. Niestety, nie mógł ich teraz raptownie wyrwać z rodzinnych gniazd i zabrać na Nową Ziemię. Chodziło mu wprawdzie niejasno po głowie, że numer trzysta sześćdziesiąty czwarty – przy współudziale kilku rówieśników – mógłby się tym zająć w następnych dniach, gdy już wspólnota upora się z niezwykłymi przenosinami, a przybyli ochłoną po podróży, ale nie był pewny tego, czy to ryzykowne przedsięwzięcie okaże się wykonalne. W każdym z tych przypadków jedynym rozwiązaniem był bowiem bezwzględny kidnaping. Na wszelki wypadek miał pod ręką obszerne dossier z adresami, innymi danymi, a przede wszystkim udanymi fotkami. Czas naglił.

– Autostrada do gwiazd... – zachnął się, mimowolnie powtarzając słowa Pierre'a. A potem wyszeptał za autorem biblijnej Księgi Apokalipsy: – I ujrzę niebo nowe i ziemię nową,

bo pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeminą...

Nie przypuszczał, że chłopak tak szybko odkryje nieziemską drogę przez nieboskłon, a przy tym, że cały czas będzie ona w zasięgu ręki. Teraz żałował, że nie wtajemniczył go rok wcześniej. Może uniknęliby w ten sposób wielu perturbacji?

Zrezygnował z wystawiania przy oknie i kuśtykając, przeszedł do swojej pakamery, by zasiąść przed ekranem telewizora. Środki masowego przekazu szalały. Seria tajemniczych zgonów na szczytach władzy sugerowała spisek o światowym zasięgu. Przerwano kontrolę przepływu zastrzeżonych informacji i dziennikarze raptem weszli w posiadanie całego wachlarza danych o zagrażającym Układowi Słonecznemu gigancie. Nie były one jednak wystarczająco powiązane, aby mogła się odsłonić do końca wizja nadchodzącego kataklizmu – wszakże Raffaello trafnie przewidywał, że jeszcze tej nocy, bądź też następnego dnia, wypowiedzą się na ich temat wybitni specjaliści, którzy rozwieją ostatnie wątpliwości. Przełączył aparat na ulubiony kanał, ponieważ zbliżała się pora wiadomości.

Zapowiadano wystąpienie Ludwika Coxa, wybitnego astronoma, laureata nagrody Nobla. Montiniego ciekawiło, jak ten chłodny, analityczny umysł oceni rozmiary apokalipsy. Usadowił się w starym fotelu, chroniąc przed urazem postrzeloną rękę. Zbagatelizował wstępne doniesienia, jak również informacje o niepokojach na światowych giełdach, całą uwagę skupiając na poranej zmarszczkami twarzy rozsądnego starca.

Ten zaś był poważny, nieznacznie pochylony i marszczył gęste brwi, gdy odziana w ciemną garsonkę młoda, szczupła prezenterka rzucała kolejne pytania.

– Ta diabolicznie skondensowana materia – lekko chrypiał – porusza się z prędkością bliską jednej dziesiątej prędkości światła.

O ile więc naszą Galaktykę można porównać do chmury pyłu,

o tyle tę skupioną masę do wystrzelonego pocisku. Tu trzeba zaznaczyć, że nie jest to jakaś typowa czarna dziura, bo o takich sporo wiemy. To jakiś odprysk z chwili po Wielkim Wybuchu – dziwił się przed kamerami – zważywszy jej ogromną prędkość.

Przemknie w odległości około siedmiu miliardów kilometrów od Słońca, no, może ośmiu lub dziewięciu, by natychmiast się oddalić. Nie wchłonie ani naszej świecącej gwiazdy, ani żadnej z planet, gdyż porusza się za szybko. Niemniej jej fala grawitacyjna będzie tak potężna – staruszek machnął energicznie swoją laseczką – że odczują ją wszystkie planety i księżyce Układu Słonecznego.

– Czy to znaczy, że na Ziemi może dojść do kataklizmów? Powodzi, wstrząsów sejsmicznych, wybuchów wulkanów? – zapytała prezenterka, zachowująca kamienny spokój i życzliwe spojrzenie, jakby chodziło o coś z gruntu błahego. – Czy życie na planecie jest zagrożone?

Ludwik Cox spojrział na nią surowo spod krzaczastych brwi, jak profesor na źle przygotowaną studentkę w czasie egzaminu. Nie bał się tego, że się ośmieszy. Nie musiał się już o nic troszczyć. Był przygotowany na najgorsze.

– Z tego wynika, młoda damo, że życie w ogóle przestanie istnieć – warknął. – Jej uderzenie prawdopodobnie wywieje w próżnię całą ziemską atmosferę, pozbawi glob cienkiej powłoki lądów i odsłoni morze ognistej magmy. W wyniku tej konfrontacji przypuszczalnie zapasy wód wyparują – pomijając już to, że nasza planeta zostanie wytracona ze stałej orbity okołosłonecznej. To nie jest żadna atrakcja astronomiczna, droga pani, lecz zatrącenie...

Raffaello wyłączył telewizor. Trzeba było ponad wszelką wątpliwość jeszcze kilku dni, by do mas ludzkich na wszystkich kontynentach dotarło, że nie chodzi tu o brednie skostniałego starucha i innych, jemu podobnych, nieodróżniających chorobliwych fantazji od rzeczywistości. Katastrofalne odliczanie się rozpoczęło, a najgorsze nieuchronnie

nadchodziło. Tykał zegar końca czasów. To, co kiedyś dotknęło Sodomę i Gomorę, powracało w niewiarygodnym rozmiarze. Większego koszmaru nie można było sobie wyobrazić. Ziemia miała być wyrwana z posad, oderwana od Słońca i wyrzucona w dal.

- Tyle miliardów istnień... - nie mieściło mu się w głowie. - I kres układu solamego, który w przyszłości można by było tak pięknie zagospodarować i urządzić...

Usytuowani w sąsiednim systemie gwiazdnym obcy, reprezentujący osobliwą i jakby pochodzącą z zupełnie innego wymiaru wszechświata cywilizację, dawno temu przewidzieli ten niewyobrażalny kataklizm. Nie zdziwił się, gdy Pierre zdradził mu, że kosmici żywcem przypominają aniołów z kart Biblii, chrześcijańskich dzieł sztuki i ilustrowanych publikacji religijnych. Cóż, skrycie odwiedzali Ziemię już przed dwoma, trzema i czterema tysiącami lat, dając się poznać co poniektórym, a unikając kontaktów z ogółem. Pozostawiali po sobie ślady. Byli jednak tak ostrożni, że w rezultacie odmawiano im realności, uznając ich za postaci zmyślane, mityczne. Kilku najstarszych angelosów spotykało się z nimi - nikt jednak nie chciał potem dzielić się szczegółami z tych niezwykłych, wstrząsających seansów. Przylgnęła do członków wspólnoty ta niecodzienna nazwa i posługiwali się nią, chociaż nie była dokładna, a nawet myląca. „Angelos” w języku greckim oznaczał przecież anioła. Nie zdziwił się też, gdy Pierre mu wyjawiał, że budynek ze smokiem na portalu jest w gruncie rzeczy statkiem kosmicznym, mogącym się poruszać w kosmosie z takimi samymi prędkościami jak pojedyncza, jednoosobowa kapsuła. Uśmiechał się pod nosem, wracając myślami do początków małej społeczności i jej późniejszych losów. Czy dano by wiarę komuś, kto głosił, że widział anioła i że rozmawiał z uskrzydloną świetlistą postacią? Czuł, że uwalnia się od ostatnich nurtujących go wątpliwości, od napadów depresji, która go niekiedy zwałała z nóg jak ostre,

świszczące porywy wichru. To, czym się zajmował w paryskim gmachu inicjacji, było umotywowane i zasadne. Radował się w duchu, że nie zmarnował cennych lat na fantasmagorie i utopie.

Pierre mimochodem zajrzał do jego saloniku na parterze, nie pojmując, o czym staruszek tak rozmyśla w samotności.

Sekundowała mu ciągnąca za nim jak cień ciemnowłosa Sophie. Meble tu były staroświeckie, niby kupione na wyprzedazy.

- Czy coś się stało? - zapytał.

Raffaello zaprzeczył, wycierając ogromną kraciatą chustą zażawione oczy.

- To tylko kilka wyblakłych wspomnień sprzed lat, niby starych fotografii... - wytłumaczył chłopakowi. - Naprawdę nic ważnego.

Pierre dojrzał rozpostarty plan budynku i zatrzymał na nim dłużej wzrok.

- Przed chwilą dotarło jeszcze czterech - oznajmił. - Mieli plakietki. Na wszelki wypadek mógłbyś na nich zerknąć, by upewnić się, czy są w porządku!

Raffaello przytaknął i ciężko podniósł się z miejsca. Wkrótce miał pożegnać na zawsze zagrożony Układ Słoneczny i przenieść się do innego systemu solamego. Wprost nie chciało mu się wierzyć, że to się stanie...

Poryty meteorami i nierówny grunt księżycowy ze znaczącymi się zagłębieniami, rzucającymi cienie łańcuchami górskimi i kolistymi wyrwami biegł im rażno na spotkanie, z każdą minutą czyniąc to jednak coraz wolniej i wolniej, aż wreszcie przybyły z planety- matki maleńki wahadłowiec zastygł nad wybranym kraterem. Przejęci złożoną procedurą lądowania piloci - Paul Rodin i Pamela Winling - na zimnym ciągu wstecznym ostrożnie osadzali wehikuł w rysującej się pod

nimi niecce. W ostatniej fazie coś im nie wyszło i w rezultacie wahadłowiec usiadł na twardym gruncie, pochylony na prawe skrzydło o jakieś dziesięć stopni. No, ale nie miał stąd przecież już nigdy wystartować.

Powszechnie znana stacja badawcza, o której tyle się mówiło w ostatnim czasie, znajdowała się daleko od tego mało komu znanego, zakazanego miejsca. Chyba dotąd nikt tu nigdy nie zaglądał, bo nie było po co. Baza kryła się po drugiej stronie otaczającego kotlinę sporego wianuszka ostrych wzniesień. Nie popłynęli ku niej, by skorzystać z czekającego tam kwalifikowanego lądowiska. Gdyby to zrobili, mamie by skończyli. W ośrodku wybuchł bunt, kiedy się okazało, że odnaleziony statek kosmiczny obcych ma garstce wybrańców posłużyć do ucieczki z Układu Słonecznego, a podekscytowana załoga odmówiła wykonywania rozkazów. Rozpętało się ponoć prawdziwe piekło, a krew lała się strumieniami. Dyrektywy Davida Griffitha i komandora, który z grupą popleczników, w tym jedną kobietą, przeszedł na stronę zwycięzców, brzmiały jasno i wyraźnie. Posłuszni im, awaryjnie wybrali wskazany przez radio zakątek, na tyle skalisty, by nie wzniecić potężnych tumanów kurzu.

Tamci już czekali uzbrojeni po zęby, a gdy goście z Ziemi kolejno zaczęli się wynurzać ze śluzy otoczonego rzadką chmurą pyłu wahadłowca, witali ich niby przyjaźnie, jednak bez specjalnego entuzjazmu. Pewnie odczuwali skutki stresu i męczył ich nadmiar wrażeń.

Dopiero gdy cała drużyna znalazła się na zewnątrz, włączyły się potężne reflektory. Widok, który się przed przybyłymi roztoczył, był naprawdę niezwykły.

- Boże mój, jakie to ogromne! - ktoś nabożnie wyszeptał przez radio.

Zamarli w bezruchu, podziwiając unoszącą się swobodnie tuż nad gruntem i przypominającą długie cygaro przeogromną gwiazdną karawelę. Wywindowany wcześniej z głębokiej

księżycowej studni i doprowadzony tutaj po mistrzowsku przez Griffitha gigant czekał, monumentalny, majestatyczny i posągowy. Nie przeszkadzało mu, że nie kierują nim jego twórcy, lecz reprezentanci zupełnie innej rasy. Było w tej jedynej w swoim rodzaju scenie coś łapiącego za gardło i nieomal sakralnego. Nigdy na Ziemi nie stworzono czegoś tak cudownego.

- Chris Donlon - przedstawił się jeden z lunonautów, wyluskując bezbłędnie spośród przybyłych Johna Smitha. Częstotliwości były wcześniej dostrojone. Dotknął go rękawicą.
- Musimy się spieszyć, gdyż ci straceńcy z bazy mogą tu wcześniej czy później się pojawić. Zupełnie im odbiło, więc nie ma co ryzykować. Zatem najpierw - rozkazał - zawartość ładowni...

Wynosili zasobniki, zgodnie ze wskazówkami ustawiając je na czymś w rodzaju ośmiokątnej platformy. Stąd niby wyrwane spod władzy siły ciężenia odpływały same prosto do otwartego gardła kosmicznego kolosa, by zniknąć w jego przepastnym wnętrzu. W jednym z ładowanych pojemników powinien być znajdować się retrozator, ale John zdążył się już dowiedzieć, że w opakowaniu ze znakami firmowymi zakładów Cobba nie kryje się rozłożona na części aparatura. Były tam natomiast nasiona i bardzo cenne sadzonki roślin.

- Gotowe - mruknął z uznaniem Chris. - Przeładowanie trwało tylko szesnaście minut. Ten transporter - to rewelacja.

Pchnął lekko Johna w stronę statku, powoli ruszając za nim. Inni poszli w ich ślady - żegnając wzrokiem opuszczony wahadłowiec, który przy tym kolosie wyglądał jak niewinna zabawka. Sadzili powolne księżycowe susy, zważając na to, by nie potknąć się na nierównym terenie i nie wywinąć koziołka.

- Jak się wślizgnąć do tego monstrum? - Pamela okazała się nadzwyczaj przezorna. Znała od dawna Davida Griffitha, więc dobrze pamiętała, że ten mający osobliwe poczucie humoru młody naukowiec może szykować zabawne niespodzianki.

- Statek ma świetnie działający system grawitacyjny, zatem nie zdziwcie się, gdy odwróci was w śluzie o jakieś dziewięćdziesiąt stopni. David miał zamiar postawić to cygaro pionowo, ale z tego pomysłu zrezygnował. Bylibyśmy zbyt widoczni. Wewnątrz przypomina nasz przyzwoity ziemski wieżowiec. Pięter jest naprawdę do cholery. Nie bójcie się, różowe ściany są przenikalne, można przez nie przechodzić. Wasze kajuty są na poziomach pomarańczowych, mesa - na zielonym. Aha, windy... - dorzucił przez mikrofon w kombinezonie. - Są dokładnie na osi cylindra. Lewa biegnie w górę, a prawa w dół. Też grawitacyjne...

Smith pomyślał, że jak na przepotęzną i zagmatwaną maszynę, którą wypichciła obca im cywilizacja, nie były to zbyt precyzyjne instrukcje. Zapraszano ich jak do standardowego hotelu na Hawajach, w którym nic nie mogło ich zaskoczyć. Chrisa i dwu innych agentów już nie dojrzał, bo rozmyli się we włazie, a idący z tyłu naciskali. Nie miał więc czasu na wahanie. Odważnie pociągnął za sobą Arielle, wtapiając się w różową masę. Zmieniły się nagle kierunki, góra znalazła się gdzieś z boku i wyciągając ręce, pojął, że rozpaczliwie balansuje, lecz zaraz to wrażenie minęło. Odzyskał równowagę. A gdy wyłonił się po przeciwnej stronie przepuszczalnej niby- ściany, ogarnęło go niebotyczne zdumienie. To był wstrząs i zatkało go na amen.

Znalazł się we wnętrzu kosmicznego goliata, który przez trzydzieści wieków zapomniany tkwił w gruncie księżycowym. Poziom, na który dotarli z bocznej bramki, miał około sześciu metrów wysokości. Delikatne roślinne motywy na ścianach otaczających okrągły pawilon, odpowiadający średnicy statku, mimo że były obce, w swej ornamentyce odpowiadały jakoś ludzkim oczom, ciesząc czystością wzorów. Piętro prześwietlało słońce, więc mimowolnie się rozejrzał za dużymi oknami, by połapać się, że ma do czynienia z perfekcyjną imitacją światła dziennego.

Chris wskazał im przebieralnię. John pomógł Arielle uwolnić się od hełmofonu, cmoknął ją przy okazji w czoło, a potem zajął się własnym. Poradził sobie z lunopłaszczem, którego zakładanie i zdejmowanie trenowali podczas lotu, wkrótce więc był już bez kombinezonu. Jakaś niewidzialna siła wyrwała mu go z ręki i ten zawisł w przegrodzie w pozycji pionowej.

- Ależ mają wieszaki! - pozwolił sobie na tę uwagę, mając przed sobą zaaferowanego Donlona.

- Zaskakujący są pod każdym względem. To znaczy - byli. Cześć ich pamięci! Chodź, przyjrzyj się! - Chris zdecydował się pokazać mu to, na co technik sam na pewno nie zwróciłby uwagi.

- Niemożliwe - z wrażenia Johnowi zaparło dech w piersiach.

W kolejnych przegrodach nad niskimi podestami połyskiwały ciemne kombinezony kosmiczne obcych. Sądząc po próżniowym odzieniu, byli znacznie wyżsi od Ziemiaków. Prawdziwi biblijni giganci. Może to wzmianka o nich znalazła się w Starym Testamencie? Wybrzuszenie z przodu hełmofonów dowodziło, że matka natura wyposażyła ich w mocno wysunięte, nieomal zwierzęce szczęki. Pod tym względem nie różnili się zapewne od ziemskich czworonogów.

Nie mógł oderwać od nich oczu.

- Patrz i podziwiaj, chłopie! Na Ziemi tego nikt ci nie pokaże. Upajaj się i smakuj. Tak wyglądali, gdy odziani w to szkaradztwo opuszczali statek - wypalił Donlon z uniesieniem.

- Potrafisz to sobie wyobrazić? Czyż nie przypominali bogów? Pędzący rydwanem faraon był przy nich pędrakiem...

- To niesamowita rewelacja. Ci, którzy na nich się natknęli, musieli mieć niezłego pietra.

- Pewnie srali w gacie. Niestety, to była cywilizacja schyłkowa - ciągnął dalej Chris. - Jakiś zanik barier immunologicznych. Żyli w absolutnie sterylnych warunkach, ale im to nie pomogło. Ten statek okazał się ich grobem. Jeden z nich miał wypadek na Ziemi. Rozdarł mu się kombinezon, czy coś takiego, w wyniku

czego do jego organizmu dostały się nasze drobnoustroje. A do celu mieli przecież tak blisko...

- Dokąd lecieli?

- Zdziwisz się - wyraźnie chciał się wygadać. - Pokonali dystans, wynoszący blisko pięćset lat świetlnych, aby dotrzeć do Proximy Centauri. Trochę chyba zboczyli z kursu, by wdepnąć na Ziemię. Gdzieś tu, niedaleko, cztery lata świetlne stąd, znajdowało się dla nich lekarstwo - poprawił rozczochrane włosy. - I miarkuj sobie, padli metr przed metą...

Technik był poruszony i wstrząśnięty. Przecież nie dowiedział się o tym od Calveza, a rewelacjom Arielle - mimo wszystko - nie do końca wierzył. Miał nieodparte wrażenie, że dziewczyna przekręca fakty, mija się z prawdą, fantazjuje i koloryzuje, albo że momentami najzwyczajniej w świecie go buja.

- Jak na to wszystko wpadliście?

Chris wzruszył ramionami.

- Zostawili nam testament, który Davidowi udało się odczytać.

I ten imponujący statek w spadku. Nam, ludziom! - podkreślił. - Wierzyli w gatunek *Homo sapiens*. Byli przekonani, że wcześniej czy później trafimy na ich ślad. I że będziemy wiedzieć, co zrobić z tym, co nam darowali.

Ktoś ich wreszcie entuzjastycznie witał na pokładzie goliata, przybyłego z mrocznych stron kosmosu, a z windy grawitacyjnej wynurzył się promienny komandor Pacelli. Temu nie groziły pesymizm i lęk przed przegraną.

- Nareszcie! - wykrzyknął. - Długo czekałem na tę chwilę...

Z wielką energią wyciągnął dłonie, lecz nie do Johna, Arielle lub Pameli, ale do rudowłosej Rity z Londynu. Oglądając ich razem, Smith pojął z osłupieniem, dlaczego ta, niemająca punktów styčných z jego branżą, zadbana i wygadana facetka trafiła na pokład wahadłowca. Seksapilu jej nie brakowało. Taki stary cap, a przy gruchał taką laskę.

Chris Donlon też się na nich gapił.

- Cóż za egzaltacja, czy to nie wielka rzecz, znaczyć dla kogoś wszystko? - mruknął z uznaniem, idąc za jego spojrzeniem. - Jak waleczni Wikingowie przytargaliście sporo branek - zakpił sobie.

- Teraz jest pół na pół, dwanaście par - otworzył mu oczy na rysujące się przed skompletowaną załogą przeznaczenie. - Tak to sobie obmyślił nasz kochany Gustavo Calvez, który w najdrobniejszych szczegółach zaplanował tę operację - zdradził. - Goliat może rozwinąć nie lada prędkość. Tak go chyba zresztą nazwiemy. Ustawimy się na Proximę Centauri, uciekając na razie od Układu Słonecznego prostopadle do ekliptyki. Ten grawitacyjny demon, który zniszczy Ziemię, da nam dodatkowy impuls. Pognamy z prędkością równą dwóm dziesiątym prędkości światła - dokończył z dumą.

John nieznacznie się skrzywił.

- Ale drań, nie chciał się przede mną tym pochwalić. Ten wie, tamten wie, tylko ja nie wiem... - zauważył z odrobiną pretensji. A potem mruknął pod nosem: - Do diabła z tanimi iluzjami. Jesteśmy przecież ludźmi bezdomnymi i nikim więcej.

Rozejrzał się po twarzach przybyłych. Byli bladzi, zmęczeni i przejęci, mimo to niektórzy z nich już ulegli bakcyłowi przygody. Poszukał wzrokiem Arielle. Stała nabożnie obok Pameli przed biegnącą przez piętra statku pionową przesieką niczym trzymany za rękę maluch, mający pierwszy raz w życiu wejść na ruchome schody w ogromnym supermarkecie. Uczyniła ostrożniutki krok do przodu, a delikatna siła lekko ją poderwała, powolutku unosząc ku wyższym piętrům giganta. Dziewczyna odwróciła się, a czując spojrzenie Johna, z entuzjazmem na twarzy pomachała do niego ręką. Pamela ruszyła za nią.

- Każda kajuta ma przy wejściu wizytówkę, więc bez trudu odnajdziecie własne. Łazienki są czynne. Woda zaczyna kapać i będzie właściwie bez ograniczeń - ponaglił Donlon,

zauważając, że niektórzy czują się zagubieni i nie wiedzą, co z sobą począć.

- No, to kiedy startujemy? - Smith klepnął go w ramię.

Chris łypnął na niego jak na nierozgamiętego uczniaka, który nagle wyrósł przed nim jak spod ziemi i stawia rozbijającą szczenięcę pytania.

- Jak to kiedy? Dziwne? Nie poczułeś? Już lecimy - odpowiedział. - David poderwał to cygaro, kiedy tylko zatrzaśnięto właz. Księżyc jest dawno w dole. I cała ta banda opryszków z bazy. Zresztą, sam zobaczysz, kiedy zaczepimy o sterownię. Wszystko było na styk - oznajmił, widząc okrągłe ze zdumienia oczy Smitha. A potem raptem się przeciągnął: - Dzień pełen niespodzianek zakończony. Co przyniesie jutro? Na pewno nie będzie gorzej...

- dodał sobie otuchy. - To co? Ładujemy się na górę? Musimy później pogadać, Calvez wysoko ocenił twe umiejętności, więc dołączysz do naszej dwójki. A poza tym masz coś, czego my nie mamy - dorzucił zagadkowo, zawieszając głos.

- Wiem, wiem - potwierdził John po chwili zastanowienia.

- Trzymam ją przy sobie. Tu - lekko klepnął się w kieszeń na piersiach. - Milutką alfę.

Tamten odetchnął z ulgą.

- To dobrze - powiedział. - Nie zabraknie nam czasu na rozpracowanie tego cacka. Mamy na to niemal całą wieczność.

- Faktycznie, niemal całą wieczność - powtórzył Smith, choć nie bez odrobiny ironii. - I dorzucił, kręcąc nosem: - Psiakość, ale się poplątało... Miesiąc temu, gdyby mi ktoś powiedział, że...

- nie dokończył.

- Czujesz się wysadzony z siodła? My też - pocieszył go Chris.

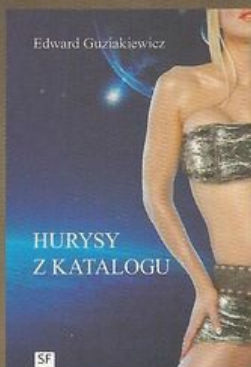
- Lepiej sobie nie zawracać tym głowy...

- 1) *Vietato! Pręgo!* (wł.) – Zabrania się! Proszę! ↵
- 2) *Buongiorno!* (wł.) – Dzień dobry! ↵
- 3) *Grazie, grazie tante!* (wł.) – Dzięki, wielkie dzięki! ↵
- 4) *Vous- cherchez une fille?* (franc.) – Szuka pan dziewczyny? ↵
- 5) *Non, merci. Pas aujourd'hui* (franc.) – Nie, dziękuję. Nie dzisiaj. ↵
- 6) *Pourquoi pas?* (franc.) – Dlaczego nie? ↵
- 7) *Fai attenzione. Non avvicinarti* (wł.) – Uważaj. Nie zbliżaj się! ↵
- 8) *Bonsoir, monsieur!* (franc.) – Dobry wieczór panu! ↵
- 9) *Parigi, Parigi, tante grazie!* (wł.) – Paryż, Paryż, wielkie dzięki! ↵
- 10) *Le fa male qualcosa?* (wł.) – Czy coś pani dolega? ↵
- 11) *Forse aiutarLa?* (wł.) – Czy mogę pani pomóc? ↵
- 12) *Identification please* (ang.) – dokument tożsamości poproszę. ↵
- 13) *Good night, boy!* (ang.) – Dobrej nocy, chłopcze! ↵
- 14) *Efcharisto* (gr.) – Dziękuję. ↵
- 15) *Good luck, boy!* (ang.) – Powodzenia, chłopcze! ↵
- 16) *Ecce corpus delicti!* (łac.) – Oto dowód rzeczowy! ↵
- 17) *Eppur si muove!* (łac.) – Jednak się porusza! ↵
- 18) *Rue de VEcole de Médecine, s'il vous plaît!* (franc.) – Proszę na Rue de l'Ecole de Médecine! ↵
- 19) *Vous êtes de Varsovie?* (franc.) – Czy pani jest z Warszawy? ↵
- 20) *Non, de Rome* (franc.) – Nie, z Rzymu. ↵
- 21) *Mais je suis née en Pologne* (franc.) – Ale urodziłam się w Polsce. ↵
- 22) *Requiem aeternam dona eis, Domine, et lux perpetua luceat eis* (łac.) – Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niech im świeci. ↵



Edward Guziakiewicz

(ur. w 1952r. w Mielcu), absolwent Wydziału Teologii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, jest autorem powieści, opowiadań, drobnych utworów poetyckich oraz kilkuset publikacji prasowych rozszanych na łamach około trzydziestu czasopism, w tym polonijnych. Ulubionym gatunkiem literackim Guziakiewicza jest fantastyka naukowa. Jako autor science fiction debiutował mikropowieścią *Ekscytoza. Z tamtej strony Trójkąta Bermudzkiego*. Za powieść *Zdrada strażnika planety* został uhonorowany Złotym Piórem – nagrodą rzeszowskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Kilka mikropowieści znalazło się w tomie *Przyloty na Ziemię* wydanym w Chicago (USA) w 2006 r. W lutym 2011 r. nakładem Wydawnictwa Dreams ukała się powieść *Hurysy z katalogu*, teraz do rąk czytelników trafia kolejna – *Obcy z Alfy Centauri*.



Polecamy również

Hurysy z katalogu

Powieść przenosi nas w odległą przyszłość, w której przemieszczanie się w kosmosie nie stanowi problemu. Ludzie żyją nie tylko na Ziemi, ale w całym Układzie Słonecznym. Raoul, po latach służby w Siłach Kosmicznych Układu, osiada na Dianie. Tam wiedzie beztroski żywot. Stać go na różne fanaberie. Jedną z nich jest Afrodyta, przepiękna dziewczyna-android. Przeżywa dzięki niej miłosne uniesienia, jakich dotąd los mu skąpił. Jest człowiekiem majątnym, bo przez przypadek odkrył złoża retelitu służącego do wyrobu eliksiru młodości. Przez retelit właśnie stał się wrogiem numer jeden tajemniczego starca Grooma, który za wszelką cenę stara się odmłodzić. Czy Afrodyta i Iryda – druga superpiękna partnerka Raoula, uratują go z opresji i wyjdą cało z zasadzek sprokurowanych przez zbirów potwora z odległej planetoidy?